U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

9

TWÓRCZOŚĆ

WRZESIEŃ 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 9

WARSZAWA WRZESIEŃ 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 1543 z dn. 9.8.51 r. nakład 6723. Druk ukończono 10.9.51 r. 2-B-39389

PIOSENKI

I

Kocham krajobraz polski nizinny,
rzeki igranie.
Na polach żniwnych południa blask siny,
zbóż falowanie.

Kocham krajobraz piaszczysty i żyzny,
łąki nurt senny.
Przelot gałęzi wśród mgły siwizny,
lot zmienny.

Kocham owocu twórczy niepokój,
zanim dojrzeje.
Pieśni się rodzą, gdzie piersiom szeroko
i wzrok jaśnieje.

II

Trawa się wznosi ku górze,
Łąki ciemnieje brzeg.
Będzie zapewne burza
Biała jak jabłoń, jak śnieg.

Ryby się skryją na dnie,
Czerwony zapłonie klon.
Kropla na wargi spadnie,
Szuwarów uderzy dzwon.

Deszcz przejdzie, deszczyk rzęsisty,
Przejdzie na ukos i wspak.
W gnieździe drgających liści
Skrzydłami trzepoce ptak.

III

Gałązeczka stuka,
Kukułeczka kuka.
Dudni wóz na moście,
Wołaj, matko, gości.

Na spółdzielcze rżyska
jedzie traktorzystka.
A mechanik młody
pędzi samochodem.

Jabłonka w zieleni
cała się rumieni.
A błękitna śliwa
listkiem na nich kiwa.

Wiatr chwieje czereśnią,
Jedzie chłopak z pieśnią,
Dziewczę koło niego,
Godna ona jego.

Gałązeczka stuka.
Kukułeczka kuka.

NASTKOWI MATYWIECKIEMU

Majorowi Wojsk Polskich, który zginął w walce z hitlerowcami dnia 27 sierpnia 1944 r. w Warszawie

Tobie umarły ja dotychczas żywy,
chociaż przeszedłem w życiu nazbyt wiele,
ten szorstki wiersz, nie boleściwy,
jak most nad wspomnieniami ścielę.

Umarłeś dawno. Już nie rani
ostrze pożaru ani wybuch bomby.
Teraz przygniata ciebie granit
i płynie asfalt, rosną klomby.

A przecież nieraz, nieraz szliśmy
ulicą tą, gdzie twe milczenie
przygłusza srebrna mowa Wisły
bijąca falą w brzeg kamienia.

I jakże teraz z głębi źrenic
wydobyć to, co przytłumione,
aby zerwane tętna drżenie
znów się odziało w krew czerwoną.

A tętno serca kto przypomni,
kiedy ucichnie, kto spamięta,
chyba jak w marszu płynny pomnik
w majowych zalśnisz transparentach.

Chyba odżyjesz w dźwięcznej pieśni,
co w przyszłość umie wieść zuchwale.
Zginąłeś w bitwie. Jakże wcześnie.
Abyśmy mogli iść dziś dalej.

Jan Śpiewak

TADEUSZ ROŻEWICZ

YENDERAN

W lutym br. nowojorska gazeta New York Herald Tribune przyniosła następującą wiadomość: „W ciągu 24 godzin zniknęło jedno miasto z mapy Malajów. Yenderan nie będzie już więcej zaopatrywał w żywność partyzantów Malajskich". Yenderan był największą miejscowością, która zniknęła z powierzchni ziemi w ramach wielkiej akcji wysiedleńczej na Malajach.

I. GŁOS NAJEMNEGO ŻOŁNIERZA

Zabiłem człowieka
zabiłem kolorowego
zabiłem jego kobietę
zabrałem jej ciepło
znane wam ciepło
miłości ciała
Kauczuk i cynk
to strategiczne surowce
przysłała mnie tutaj firma
Harrison u. Crossfield
i Rubber Agency
i Thomas Berlow
Słucham rozkazu
w nocy i w dzień
śpiącego i przy pracy
zabiję młodego który kwitnie
nie wyda owocu
zabiję jego ojca i matkę
słucham rozkazu
maszeruję maszeruję
czyszczę karabin czyszczę bagnet
czyszczę bagnet z rudych plam
Odejdę
zostanie po mnie
spalona ziemia

II. YENDERAN—MIASTECZKO, KTÓRE ZNIKNĘŁO Z MAPY MALAJÓW

Ludzie bez dachów
nad głową
patrzą na siebie
spustoszonymi oczami

Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Poczerniało słońce
w kauczukowych lasach
Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Ucięte głowy rosną
w kauczukowych lasach

Nie ujrzysz dymów
co stały nad miastem
Miasto roznieśli
najemni żołnierze
zniknęło miasto
z ubogą radością
z domami z bydłem
z tysiącem drobnostek
Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Z niewielką szkołą
i sklepem ptasznika
z dziwacznym szyldem
i krzykiem żebraka
Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Widzę miasteczko na powietrzu
narysowane czystymi liniami
widzę miasteczko na powietrzu
ze skręconymi od żaru drogami
ze ściekami w których bulgoce
brudna woda
na którą dzieci wypuściły łodzie
odpływające z białymi żaglami
Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Widzę jak się unosi
nad spaloną ziemią
w drżących językach powietrza
Widzę tak czysto
jak w błękitnej bryle bursztynu
Yenderan
Dymy stoją nad domkami
nad ubogimi radościami
nad rzeką słów
I księżyc widzę

i zakochanych którzy
dzielą się ciepłem
a karmią ustami
Drzewa
gałązki liście
i srebrne żyłki na każdym liściu
Yenderan oddycha
oddycha i żyje
Lecz liść poczerniał
zwija się od żaru
spod liścia z szumem
wyfrunął ptak
W popiele chłopcy
piszą słowo
które rozkrada wiatr
Yenderan

III

Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Yenderan
czy to nazwa rośliny
czy blask światła
na drżącym liściu
Yenderan czy to imię
małego biedaka którego
nie szukają rodzice
Yenderan czy to nazwa
cyrku wędrownego
który przybija do brzegu
i znika o świcie
Yenderan czy to ptak
który przysiadł na gałęzi

Yenderan czy to liść
Yenderan czy to imię biedaka
Czy to nazwa wędrownego cyrku
Czy skrzydło wędrownego ptaka
Yenderan zniknął
z powierzchni ziemi
Yenderan
czy to strumień
który uciekł w skałę
czy motyl jednodniowy

Czy dziewczyna co biegła
wśród drzew
Czy to uśmiech czy łza
Yenderan Yenderan
czy to światło czy cień
Zasadzili ucięte głowy
w kauczukowych lasach
czarne głowy
milczące usta
Zasadzili ucięte głowy
w kopalniach cyny
milczące usta
Zasadzili ucięte głowy
na postrach wolności
O niej mówi
to milczenie

1951 r.

Tadeusz Różewicz

POKOLENIE*)

XXV

Władka Mileckiego wysłano gdzieś w krakowskie na okres długotrwałej rekonwalescencji. Miał spędzić ten czas w klasztorze zakonu o niezmiernie surowej regule. Anna-Maria, podając się za jego żonę, odwiozła chłopca na miejsce, a później odwiedzała go nie nazbyt często. Opowiadała, że chodzi w habicie i uczęszcza do kaplicy, aby nie drażnić sumienia braci i ojców. Każdy z nich żył w osobnym domku-celi. Napięcie uczuć religijnych u tych ludzi graniczyło z obłędem. Władek, któremu ostrzyżone włosy zaledwie zaczęły odrastać, prezentował się w habicie bardzo mistycznie. Pogłębił swoją znajomość łaciny, studiując teksty. Wyrażał nadzieję, że dzięki temu zdoła wzbogacić swój styl.

Relacje Anny-Marii nie zawierały żadnego ciepła. Odwalała niejako obowiązek towarzyski. Coraz bardziej opornie rozmawiała z Jurkiem. Postęp ochłodzenia był tak niedostrzegalny jak ruch kielicha linii wodnej, zamykającej się o zachodzie słońca. Nie pojmował, dlaczego ona zawsze ma pod ręką w pogotowiu atlas anatomiczny lub patologię czegoś tam — książki sankcjonujące jej brak czasu. Nie pojmował, ponieważ nie świadomy był przyczyn. Ona zaś, na której psychice głazem ciążyła pruderia, czekała zniecierpliwiona, aby sam się domyślił i odszedł.

Zauważył pewnego dnia, iż w gruncie rzeczy nie jest piękna. Zaniepokoiły go jej brwi, zrośnięte nad nosem zbyt kudłato. Dostrzegł, że ma pryszczyk nad górną wargą i że jej spojrzenie jest mdłe, kiedy patrzy na niego. — Upiększyłem ją w swoich myślach i oto sama sprowadza mnie na ziemię — konstatował rozgoryczony. Nie było mowy o pocałunkach.

— Głupcze... — syknęła prawdziwie rozwścieczona. — Rozstrzeliwują. Czy to twoi materialiści nauczyli cię być zwierzęciem?

Uwierzył pokornie. Jej oschłość w tym wypadku wydała mu się ze wszech miar usprawiedliwiona. Ponieważ jednak był dumny, postanowił odejść trzasnąwszy drzwiami.

— Nie rozumiem przyczyn, dla których starasz się mnie upokorzyć i nie wiem, czy to jest miłosny sadyzm, dla mnie wręcz niepojęty, czy też twoja niechęć do mojego poglądu na świat, który przeczy wszelkiemu kołtuństwu. Uczucie, jakie żywię dla ciebie, nie przesłania mi

*) Patrz: numer poprzedni Twórczości.

wzroku... i tak dalej. Coś w tym sensie jej wygarnę — obiecywał sobie, idąc z niezapowiedzianą wizytą.

Otworzyła mu drzwi i trzymała dłoń na klamce, nie bacząc na zimny powiew ciągnący z klatki schodowej.

— Masz gości? — spytał i w tym samym momencie ponad jej ramieniem dostrzegł w głębi mieszkania siedzącego na kozetce chłopca o twarzy młodego patrycjusza pod sutą czapą włosów bogatych jak kiść czarnych winogron.

— Ach...—szepnął i machnął ręką gestem zniechęcenia. — Przeszkodziłem... Właśnie odbywa się zmiana warty. Obejmują ją swoi ludzie.

— Wyszło lepiej niż przypuszczałem — pomyślał zadowolony. Lecz w dwa dni później gnał poprzez miasto, przecinając smugi głosu, co z blaszanych megafonów zapowiadał nowe rzezie. Pędził na Pragę owładnięty uczuciem tęsknoty. Na schody wchodził już powoli i nie doszedł na trzecie piętro, do drzwi Anny-Marii.

Wieczorem długo opierał czoło o chłodną szybę. Po drugiej stronie szkła zacinały powierzchnię ostre drobiny deszczu, później leniwie zbierały się w dużą kroplę i ściekały.

— W gruncie rzeczy dobrze — pocieszał się.

— Czemu się martwisz? — spytała matka. — Czyżby znowu nieszczęście?

— Jakie nieszczęście? Z Anną-Marią skończyłem... Okazało się, że to było sezonowe.

Mówił nieprawdę, brał swoją chęć rychłego zapomnienia za rzecz łatwą do wykonania. Wspomnienie chłopca siedzącego na kanapie dręczyło go długo, później nie pojawiało się już za lada przyczyną, za lada skojarzeniem myślowym, lecz dawało znać o sobie niby stary, zapomniany pod skórą odłamek pocisku.

*
* *

Życzliwy lekarz z Krakowa, który odwiedzał Władka w rozmównicy klasztornej i ciepłymi palcami dotykał jego gowy, dostarczył dwa bruliony w sztywnych okładkach i kilka kopiowych ołówków. Władek postanowił czynić zapiski, nie dowierzając nadwerężonej głowie. Skłonił go do tego strach przed dziurami pamięciowymi, jakie nawiedzały go, napawając bojaźnią.

„Byłem na pasterce — pisał w pierwszy dzień świąt. — Oni modlą się zachłannie. W ciągu nocy kilkakrotnie budzi ich warkot kołatki.

Mrucząc jakby gniewnie modlitwy, suną gęsiego korytarzem. Ich chóralne „Amen" dudni rozgłośnie w zakamarkach. „Na wieki wieków", „Niechaj tak będzie" — grzmią triumfująco. Nie mogę odpędzić myśli, że niejeden z nich mówił te słowa w początkach z determinacją. Nie mają twarzy. Są ujednoliceni bez reszty. Kaptury głęboko nasuwają na oczy. Pozostają usta opiewające bezustannie chwałę Bożą. To nie ludzie — to już tylko gromnice, których jedyną przyczyną istnienia jest to, że płoną u ołtarza. Słyszałem jednak, jak brat ogrodnik targował się o produkty. Ale tylko on jeden chyba ma kontakt ze światem zewnętrznym, nie licząc gwardiana i przeora, których styczność ze światem jest gatunku mniej wulgarnego. Dzięki niej przybyłem tutaj.

W kaplicy, skąpo oświetlonej, mszę bożenarodzeniową celebrował przeor. W chłodnym wnętrzu gęsto kurzyła się para oddechów. Wydawało się, jakby ucieleśnione modlitwy płynęły w górę. W ciszy, kiedy szemrał ledwo dosłyszalnie starczy głos przeora, słychać było miarowy jak stąpanie czasu szelest kropel wilgoci, kapiących z mroku, co zalegał w łukach sklepienia. Opodal ołtarza, w kręgu świec ustawiono grupę figur drewnianych, symbolizujących betleemską stajenkę. Złocona figurka małego Chrystusa, wyrzeźbionego z równie wzruszającą nieporadnością jak inne postacie, odbijała światło intensywnie, koncentrując uwagę.

Nastąpił wybuch pieśni sławiącej narodziny. Westchnienia organów zatrzęsły triumfalnie ścianami. Ich głos niby wiatr przygiął do ziemi ciała braci. Uczułem i ja przypływ nierzeczywistej, wielkiej radości. „Nadzieja! Nadzieja!" — śpiewał ekstatycznie brat Antoni, leżący opodal krzyżem. Leżał trzy dni na kamiennej, pokrytej lodem posadzce, nie przyjmując ani pokarmu, ani napoju. Umartwiał się na intencję odwrócenia groźby — *scilicet* ofensywy Armii Czerwonej.

Czyn brata Antoniego, jednoczesny z jego pieśnią, wzbudził we mnie sprzeciw, chociaż daleki jestem od cielęcego uwielbienia, jakim darzy sojuszników w rubaszkach taki „J".

Teraz nie wiem, czy to nastrój święta narodzin człowieka, co skomplikował filozofię nędzy na użytek niewolników i wyzwoleńców i ten zryw wysublimowanego uczucia radości, który przeżyłem, czy też bardziej może idiotyzm brata Antoniego, nieludzki idiotyzm zawarty w sprzeczności jego gestu i słów, każą mi się zastanawiać nad moją poezją. To moje: „pozostaw wszelką nadzieję", które szeptałem bezustannie ludziom, ba, mówiłem tonem rozkazu — czy to wszystko, co mam do powiedzenia? Jeśli tak — to chyba niewiele i łatwo..."

*
* *

Dawid od miesiąca przenosił płyty cementowe na terenie B u n a-W e r k e. Krążąc po obwodzie wielkiego placu rozmiesili sabotami śnieg i glinę na gęstą, podmarzającą papkę. Trzeba było nosić biegiem. Z miejsca na miejsce, bezustannie, z miejsca na miejsce. Nie było w tej pracy nawet tyle twórczego, ile jest w obgryzieniu paznokcia.

— Z ciebie jest marny komunista, Jacques — szeptał Dawid do swojego sąsiada na pryczy. — O czym myślałeś, kiedyś wstępował do partii? Ty jesteś głupi muzułmanin, a nie komunista. Czy nie rozumiesz, że partyjny obowiązek tutaj, to jest — żyć jak człowiek. Jak człowiek— to znaczy — nie za wszelką cenę. Żyć — rozumiesz, ty zmuzułmaniałe bydlę? Po co ja dla ciebie gębę strzępię, ty i tak jutro podpiszesz się na czarnej desce.

Nie podpisał się, lecz upadł z płytą na plecach. Odciągnięto go na bok i położono piersiami na zmarzniętym kretowisku. Położono płytę w poprzek jego pleców i kapo Feliks rozkraczony na niej kołysał ciałem na lewo i na prawo.

— „Maharadża"? — spytał „post" na bramie. Świeżo tu przybył i słowo miało dla niego urok nowości.

*
* *

— Ja przejdę do „Czwartaków" — powiedział Jacek, „Łaskawca" — Myślałem, kombinowałem, znaczy, na wszystkie strony i tak sobie uplanowałem. Mój szef coś przewąchał, że mu ginie po trochu amunicja. I Visa nie znalazł i tych dwu „filipin". Przyczaiłem się teraz, znaczy, nie kradnę. Ale czy to coś pomaga? On na mnie patrzy takim baranim wzrokiem, kiedy koło mnie przechodzi. Więc myślę sobie: „Lepiej może mu dalej tę broń, znaczy, aktywizować, to wtedy do reszty zbaranieje, a inaczej mówiąc, nie domyśli się, że to ja.

— Racja — powiedział Jurek. — Masz drewnianą twarz, z której nic nie można wyczytać.

— Mówisz — racja. Ale jeśli on na mnie pułapkę zastawi, podłoży coś na wabia i co? Wtedy — leżę. Nas jest dwóch z Gwardii na warsztacie, a reszta — lepiej nie wspominać — akowcy albo dziadźki—stare remiechy, co poza deską świata nie widzą. On sobie zorganizował warsztat na swoją modłę, wcześnie zaczął, wcześniej niż my. Nas jest dwóch mło-

dych i agituj — no, agituj, jak możesz. Starych nie przekonasz. Naśmieją się, powiedzą: „szczeniaku, smarka sobie utrzyj". A inni — zacietrzewieni. Poszedłem do mieszkania jednego takiego Stefana, tak się nazywa, młody, ożenił się teraz i dziecko przyszło... Myślę sobie: „Nie pije, chłop porządny, myśli, dzieciaka kocha, babę ma zacną. Spróbuję". — A trzeba wam wiedzieć, że to było zaraz po tym, jak moje chłopaki z Jelonek, oni pracują w Depo, poprzyczepiali ładunki termitowe z magnesami do cystern. Robili w nocy, ja ich obstawiałem i „Mańkut" z Koła. Ładunki były z opóźnieniem. Pociąg poszedł. Wyobraziłem sobie, jak to fuknęło w drodze i cieszyłem się na drugi dzień. Idę do tego Stefana. Pracujemy po sąsiedzku, zaprzyjaźniłem się z nim. On tak samo jak i ja nie pogania z robotą, ale lubi wszystko dokładnie i żeby nie było wymęczone. Poszedłem i rozmawiamy tak i tak, o robocie, o tym, o owym. Chłopak mu się zesikał, więc go przewija, pokazuje, co za basałyk z tego małego, powiada sześć kilo dwadzieścia trzy deka. A tu ten chłopak, kiedy go tak przewracał, znowu — sik w górę jak fontanna i zmoczył mu kamizelkę. Śmiejemy się. Żona jego aż się popłakała. „Widzisz — powiada — jaki mądry, nie przewracaj". Mały też się śmieje, szczerzy jednego zęba. Więc ja myślę sobie — a zrobiło mi się raźno na duszy, bo i ten malec, i tamte cysterny, więc pytam: „a co ty, Stefciu, za los szykujesz dla twojego chłopaka? Co?" A on mówi: „No, on pójdzie do szkoły. Później go popchnę wyżej. Chciałbym, żeby skończył „Wawelberga".Technik będzie— powiada—albo inżynier jak nasz szef, kto wie. Więc ja znowu: „A skąd cy na to pieniądze weźmiesz?" — pytam i uważacie z mańki go biorę, bo wiem, że jak przyjdzie socjalizm, uczyć będą za darmo. Na to on się zaroskał, znaczy, zaniemówił, a później gryzie wargi i tak powiada: „Roboty po wojnie będzie dużo. Będziemy, zobaczysz, Jacek, leżeli na trawie, a na zelówkach wypiszemy sobie cenę. Ile, znaczy, chcemy zarobić na godzinę, żeby nas po próżnicy nie budzili. Po każdej wojnie jest dużo roboty. A ja, jak mnie znasz, fachowiec jestem nie ostatni. Rysunki bez błędu czytam i sam kreślić potrafię plan roboczy, jak wypadnie" — Tak mi, rozumiecie chłopcy, klaruje, a ja już wiem, co będzie dalej i robię się smutny. Ale posłuchajcie — „Zarobię sporo" — powiada. Kiwam głową, a on myśli, że mu przytakuję cały czas. — „Zaoszczędzimy. Żona moja jest gospodarna, ja nie piję. Chłopak będzie mały. Szkoła powszechna nic nie kosztuje, a zanim przyjdzie płacić za niego — ja już wtedy otworzę własny warsztat. Wezmę kilku chłopaków ze wsi, żeby płacili mi za naukę rzemiosła, ze dwóch czeladzi, sam będę pracował na maszynach i popłynę. Chłopak mój, jeśli nawet nie weźmie po mnie warsztatu, będzie miał swój dobry kawałek chleba z szynką, a ja sprzedam warsztat,

jak odłożę sobie trochę grosza, i z moją Anką zamieszkamy na stare lata w Pyrach, albo gdzie indziej pod Warszawą, wśród lasu. Chciałbym kupić mały domek z owocującym sadem. Chodź, pokażę ci pierwszą belkę na ten mój dom". — Prowadzi mnie do sionki, włazi na taboret i z antresoli co zdejmuje? Suport do tarczówki. Powiada: „Zauważ, suport nie jest zwykły, tylko kombinowany, tu — powiada — możesz zamocować piłę, a tu z boku jest uchwyt dla zamocowania wiertła. Będzie kombinowana maszyna, tarczówka i wiertarka za jednym zamachem. Tanio kupiłem, chociaż poszła na to moja ślubna obrączka, co została mi jeszcze po ojcu". I gadaj tu z takim. Sto lat będziesz go urabiał, a on pomyśli, żeś mu nieprzyjaciel. On już wszystko z góry powiedział — na całę życie.

Twarz „Aleksandry" napłynęła powoli wyrazem groźnego namysłu. Umilkli wszyscy i chociaż wieczór uchwalono uczynić wesołym, nadęta banieczka radości pękła. Jacek spostrzegł, że to jego opowiadanie skruszyło wesołość i zagadał:

— No, co tak pomarkotnieliście? Stachu, zagraj coś na organkach. No co, przez jednego Stefana Polska nie zginie, a inaczej mówiąc, niech go diabli. Inni są gorsi jeszcze. Jest taki u nas jeden młody. Niedawno przyszedł. Sztachnięty trochę — utyka lekko na prawą nogę — spadł z rusztowania na budowie — boazerię pod sufitem polerował. Żwawy, taki kędziorowaty. Spodobał mi się, bo kłócił się w czasie obiadu: „Drugi front — powiada — Gdzie jest ten drugi front? Ugrzęźli we Włoszech, zakopali się w dziurach. Idą jak żółwie. A Włochy rozłożone, gołymi rękoma brać. Partyzanci leją od tyłu Niemców. Każdy tam na aliantów z winem i cytrynami czeka". Myślę sobie: „w bojowej robocie pożytku z niego nie będzie — sztachnięty, ale czy można zostawić go na boku? Przyda się nie dziś — to jutro. Robota znajdzie się dla niego, a człowieka podchowamy sobie". Zaprosiłem go do siebie i teraz żałuję. Od razu mi odpalił: „Co — powiada — to ty, znaczy, zaprzedałeś się. To ty taki Polak jesteś? Napluć ci w mordę — parobku bolszewicki". Pokuśtykał. Więc ja chcę iść do „Czwartaków", bo będę skoszarowany i nie będę potrzebował nigdzie pracować, dadzą etat. Rozmawiałem z „Konradem" — on bierze dowództwo. Przyznam się, że mam stracha teraz, znaczy, rozkonspirowałem się po głupiemu przed tym Antkiem. Jeśli on tak mówi, to jest w AK, jeśli jest w AK, to znaczy trzyma sztamę z szefem, jeśli trzyma z szefem, to nie ma dla mnie miejsca w warsztacie, a inaczej mówiąc jestem spalony. Wyszło tak, rozumiecie, że on gniewa się na sojuszników nie za to, że nie wojują, ale za to, że Czerwona Armia do nas przyjdzie. Później gadał w czasie przerwy inaczej.

Trzeba wam wiedzieć, że szef dał mu do zrobienia nową kolbę do erkaemu. Przywieźli jacyś na dorożce ten erkaem. Tacy w cholewach. Z daleka poznać, kto zacz. Wszystkie stalowe części zachowały się dobrze, ale drzewo obgniło — nie wytrzymało w ziemi. Wykopują teraz broń na gwałt. Więc on z pięknego orzecha robi tę obsadę. Masyw orzechowy — żal patrzeć. Dłubaniny przy tym co niemiara. Pilniczkiem zegarmistrzowskim piłuje, jak Boga kocham... Szef go wyróżnił tą robotą. Ja myślę, że z tą jego nogą nie było tak prosto. On chyba z rusztowania nie zleciał. A mówił tak: „Bolszewicy do nas przyjdą. To jest już teraz pewne. Proszę bardzo. Niech przyjdą. Niech przyjdą i niech idą sobie, skąd przyszli. My zrobimy tak (Jacek pokazał gest, jaki wykonał kulawy Antek. Był to gest policjanta regulującego ruch i przepuszczającego pojazdy). A puścimy ich dwiema drogami przez Warszawę. Przez most Poniatowskiego i przez Kierbedzia. Drogi obstawimy takimi oto cackami" — poklepał ten erkaem. — „A tych, co by chcieli inaczej, przytrzyma się za mordę". — Popatrzył na mnie, rozumiecie? A ja sobie myślę: „dudku". Dudek dudkiem, ale niebezpieczny. Tak... moi drodzy. Pójdę do „Czwartaków" — batalion, można powiedzieć, gwardyjski —do dyspozycji „kranu" *) — Tak mówił „Konrad". No, co? Źle? Dobrze? Radźcie.

— Dobrze. Ja myślę, że masz rację — powiedział Jurek. — A co do twojego kulawego — to jawny faszysta. Wiej, bracie, z warsztatu, póki czas.

— Jacek mógłby zostać na dzielnicy. Albo w ogóle na ZWM-owskiej robocie, tak samo jak w „Czwartakach" — mówił Stacho, któremu żal było każdego człowieka, ponieważ zdołał już się przekonać, jaka jest treść pojęcia „aktywista".

— A co „Czwartacy"? Nie ZWM? — wołał Jacek. — Ja wiem, że tam wchodzi pluton z RPPS-u. To są ich najlepsi ludzie, zgoda. A my co? Wybierki damy? Ja swojego „plutonowego" nie zarobiłem na handlu pestkami, a inaczej mówiąc, przez leżenie do góry brzuchem...

„Aleksandra" uśmiechnęła się. Tak samo „Dorota" i „Grażyna", siedzące ciasno obok siebie i splecione ramionami, śmiały się do zacietrzewionego Jacka. Jego trupia twarz rozciągnęła się nagle w grymasie, który miał oznaczać radość.

— Nikt cię nie trzyma za połę — powiedział Stacho. — Pomyślisz jeszcze, żeś nie zastąpiony.

---

*) „Kran" — KRN.

— Tak, tak — dogadywał Jurek. — Staniesz się dumny i zarozumiały. Zarozumiali najczęściej giną.

— Zadam zagadkę — powiedziała „Aleksandra". — Słyszeliście, co mówił Jacek o swoich niepowodzeniach w fabryce? Który jest wedle waszego zdania bardziej wrogi, Stefan czy Antek?

Do północy tańczyli przy dźwiękach ustnej harmonijki, na której grał Stacho przystawiając do policzka szklankę. Dźwięk rezonował w naczyniu, co dodawało grze powagi i głębi.

Śpiewali okolicznościową piosenkę, którą ułożył Jurek pod melodię walca: B u j a j m n i e A n t o ś, p s i a j u c h o. Refren śpiewali chórem na melodię: N a d p i ę k n y m, m o d r y m D u n a j e m.

„Groźne są wody Volturno,
Rzeka się bardziej pieni,
Co robić... dziś znów pochmurno,
Żołnierze są przeziębieni.
Dwa kroki naprzód, jeden w tył,
Wystawił zadek i znów się skrył,
Bujda i kant, blaga i swąd,
To anglosaski trzeci front".

Przed dwunastą weszła do pokoju matka, niosąc na szklanej tacce karafkę z żytniówką i kieliszki. Dziewczęta podbiegły do niej. Uśmiechając się odsuwała je dłonią: „Nie odbierajcie mi satysfakcji. Miewam ją nieczęsto. Pozwólcie..."

„Aleksandra" mówiła:

— W tej chwili odbywa się pierwsze plenarne posiedzenie Krajowej Rady Narodowej. Wypijmy za partię, która zmontowała Front Narodowy, zbierając w wielką pięść to, co mamy najlepszego w narodzie. Wypijmy za Nowy Rok. To będzie już rok wolności i wart jest toastu. Będzie święto na naszej ulicy. A ponieważ mówimy o rzeczach radosnych, o nadziei i ludzkim szczęściu — wypijmy za Stalina.

— Ależ mocne... co? — mówili odstawiając kieliszki. Trzeba było usprawiedliwić wilgoć w oczach. Jedynie matka nie wstydziła się łez. Lecz ona miała włosy siwe. Jej włosy w ciągu ubiegłego roku pokryła bez reszty siwizna.

Zanim przyszedł sen, rozmawiali szeptem o swoich sprawach.

— Ale czy to tak serio? — pytała „Dorota" „Grażyny".

— Myślę, że tak, skoro chcę go co dzień widzieć.

— Szkoda, że od nas odchodzisz... — mówił Jurek do Jacka. — Przyzwyczaiłem się do widoku twojej trupiej gęby. Pozostanie ze starych nas dwóch na Woli. A może i ja odejdę. „Aleksandra" przebąkuje coś o redakcji W a l k i M ł o d y c h. Wtedy Stacho pozostałby sam na dzielnicy, bo „Grażyna" i „Dorota" są na technice.

— Czego wróżysz ponuro? „Sam zostanę". — Też wymyślił. — A „Michał", „Kocur", a „Gacek", a nowi: „Jadwiga" i chłopcy z Koła i spod cmentarza Wolskiego, a cały aktyw? Wymyślił, że „sam zostanę"... Ja pójdę, on pójdzie, ty pójdziesz. Dokąd pójdziesz? Na księżyc?

Stacho powiedział to zbyt głośno. Dziewczęta już zasnęły. Ściszył głos i napominał: „Jacek, ty się nie rozleź tam, w tych „Czwartakach". Ucz się. Czytaj. Staraj się o literaturę. Przychodź do nas, pogadamy. Ucz się. Myślisz pewno, że ja gderam, że się od „Aleksandry" nauczyłem i powtarzam jak papuga. Ale ja ci to zaraz... na przykładzie... z mojego życia... Pamiętasz tę kolejówkę z „Pietrkiem", tę pierwszą... Więc ja wracam rano do domu... Nie, nie tak ci opowiem. Od początku... Był tam u nas na Budach taki Kostek. Skakałem z nim na pociągi zimą z 39 na 40 rok... Spokojnie nie mogę myśleć, że ja mógłbym, tak jak on teraz... A niewiele brakowało... Zaraz, więc po kolei...

CZĘŚĆ TRZECIA

XXVI

Z początkiem miesiąca czerwca Rodak zaprosił do siebie stolarza Fijałkowskiego i maszynistę Żelazowskiego.

— Proszę, przyjdźcie, są poważne sprawy do załatwienia. Nie potrzeba się bać... — wtrącił spostrzegłszy na ruchliwej, maleńkiej twarzy Fijałkowskiego wyraz niepokoju czy troski. — Sprawy, o których porozmawiamy, nie śmierdzą, a załatwiać je, czy tak, czy tak, musimy. Trzeba się śpieszyć, Rosjanie idą szybko.

— Czy możesz nam powiedzieć teraz, w dwu słowach... — pytał Fijałkowski, któremu wszelka niepewność sprawiała zgryzotę.

Rodak nie chciał wyjaśniać w dwóch słowach. Przeczyłoby to powadze sprawy.

Żelazowski nie miał żadnych zastrzeżeń. Dokładnie wypytał o adres, o sień, o piętro, o drzwi, aby nie zaszła konieczność informowania się u dozorcy.

— Ostrożność nie zawadzi — powiedział poważnie. — Co, Rodak?

— Nie zawadzi. Skoro ze mną już macie do czynienia, nie zawadzi.

Żelazowski skręcił papierosa nad pudełkiem, które podsunął mu Fijałkowski. Czynił to powoli, brakowało mu palców u prawej dłoni.

Po kolacji Rodak wyglądał oknem na swoją uliczkę. Nie była piękna, posiadała głębokie rynsztoki, zbyt rzadko schlapywane wapnem. W sobotę poziom wody w rynsztokach podnosił się, wartko płynęły strumienie szarych mydlin z prania i mycia podłóg. W małej zatoce ulicy, utworzonej przez cofnięty w głąb posesji drewniak, zmontowano przed laty żelazną pompę. Z jej fantazyjnej gardzieli, odlanej w kształt rybiego pyska, strzykała woda za każdym obrotem podwójnego koła żelaznego. Była to, jak każda studnia na świecie, studnia kobiecych plotek, salon obmowy, a także trybuna politycznych swarów.

Dom, w którym mieszkał Rodak, zbudowany był z drzewa, jak wiele w tej dzielnicy, a latami stojąc niestrudzenie z wnętrznościami zżeranymi przez grzyb drzewny zapadł się w ziemię i pokrzywił.

Nie było zieleni na tej ulicy, chyba że za zieleń uzna się mech porastający stare, nie wydeptywane kamienie, leżące w wilgotnych kątach podwórka. Ale nawet i ten mech nie miał nic z szorstkiej wełnistości mchów leśnych, lecz okrywał kamienie ciasno przylegającym, zielonym pokrowcem z zamszu. Zamiast drzew stały wzdłuż ulicy gazowe latarnie na żelaznych, smukłych pniach. Pod trzecią latarnią, licząc na lewo od Rodakowego okna, przystawał kiedyś, w latach trzydziestych, młody człowiek i korzystając z jej światła, czytał. Nawet latem nosił zmiętoszony szalik na szyi, zasłaniał nim brak koszuli.

I kiedy Rodak spoglądał na lewo i na prawo ze swojego okna, nie miał w polu widzenia przedmiotów obcych i martwych, wszystkie opowiadały o wydarzeniach i losach ludzkich. Dlatego czuł się dobrze na swojej ulicy, a ilekroć myślał o tym, że w przyszłości zniknie — aby jej nie żałować — musiał przywoływać na pamięć wszystkie argumenty o gruźlicy, o grzybie drzewnym, o reumatyzmie, o higienie.

Z lewej strony przyszedł Fijałkowski. Rodak rozpoznał go z daleka po stolarskim chodzie.

Chód ten właściwy był ludziom, którzy za czasów wczesnej młodości pracowali w warsztatach bez maszyn, torturowali swe miękkie jeszcze kości przy pomocy zapomnianych już dzisiaj narzędzi do ręcznej obróbki drzewa. Fijałkowski kroczył powoli, nie śpieszył się. Rozpiął kołnierzyk swej zawsze czystej koszuli i poddawał odsłoniętą skórę szyi przyjemnym powiewom wiatru, który podnosił się u schyłku skwarnego dnia.

Żelazowski przyszedł z prawej strony. Zerknął na numer przy bramie domu. Popatrzył po oknach, udał, że nie widzi Rodaka. Ten uśmiechnął się.

Rozmowa ruszyła z miejsca ciężko. Wymyślali z trudem zdania, aby je wypowiedzieć. Rodak pokazywał części szerokiego łóżka, przygotowane do polerowania. Pukali palcami po fornirze, szukając pęcherzy — Wyprawa dla córki — wyjaśniał Rodak. — Wieczorami zrobiłem w czasie wojny.

Żelazowski nie brał udziału w ocenianiu mebli. Nie znał się na tym. On był od motorów, transmisji, maszyn i surowych desek, które „wydawały" lub „nie wydawały" potrzebne wymiary, a wśród wycia szybkich noży i wierteł pokornie przybierały pożądany kształt.

Rozmowa o łóżku wywoływała rumieńce na policzkach Zofii, córki Rodaka, krzątającej się przy stole. Zasiedli do ubogiego poczęstunku, którego niedostatek łagodziła schludność nakrycia.

Wypili po kieliszku dobrego samogonu cukrowego, odchrząknęli poważnie i Rodak uznał za stosowne przystąpić do sprawy.

— No więc, tak będziemy mówili. Czy wyobrażacie sobie, jak to u nas wszystko będzie wyglądać, kiedy wypędzimy Niemców? Co na przykład będzie się działo z nami, z naszą fabryką...

Słuchali nie przerywając. Zapukano do drzwi. Wszedł Jurek tłumacząc gęsto swoje opóźnienie.

Za karę samotnie wzniósł w górę kieliszek z grubo rżniętego szkła. Wypił za pomyślność narady. Przyszedł tu z obowiązku dziennikarskiego, miał napisać do Walki notatkę o powstaniu Rad Fabrycznych.

— Mówimy — ciągnął Rodak — „fabryki dla robotników". Robotnicy przejmują fabryki w swoje ręce. Ale jak to ma wyglądać w życiu? Jak przejąć... Głupi wyobraża sobie, że każdy bierze, co się da, na plecy, albo, powiedzmy, na wózek i toczy na swoje podwórko. Ale rzecz właśnie w tym, aby się nic nie zmarnowało. I dlatego musi być organizacja, co odbierze fabrykę od kapitalisty i poprowadzi ją dalej dla nas... Organizacja, to znaczy ludzie — przedstawiciele robotników. Przedstawiciele — to znaczy najlepsi. Do kogo mam się zwrócić, no, powiedz ty, Fijałkowski i ty, Żelazowski. Do kogo w takiej sprawie? Poprosiłem was do siebie, abyśmy się naradzili wspólnie, co trzy głowy, to nie jedna...

Tak prawił Rodak starając się ukazać zadania, jakie stoją przed nimi, we właściwym dla tych zadań dużym wymiarze. Czynił tak po to, aby bardziej oczywista stała się dla Żelazowskiego i Fijałkowskiego małość ich własnych spraw.

Po dwu godzinach, kiedy Tymczasowa Rada Fabryczna w składzie: Fijałkowski, Żelazowski i Rodak skwitowała fakt swych narodzin uści-

skiem dłoni, nadszedł czas rozmowy swobodniejszej, czyniono niejako dopiski na marginesie.

— Czy wiecie, kogo mi jednak, mimo wszystko, trochę żal... najstarszego Berga — „pierwszego". „Trzeci" to jest geszefciarz, „drugi" zna się na buchalterii. Ale „pierwszy" — ten nie zna się na niczym. Mdło mi się robi, kiedy pomyślę, że on taki stary i na nic nieprzydatny. Doczekał ładnej starości, nie daj mi Boże takiej doczekać... — mówił Fijałkowski.

— Niech cię cudza głowa nie boli — mówił Żelazowski. — Słali oni sobie przez całe życie i to naszymi gnatami. Posłanie wyszło twarde.

— A może wyjadą do Niemiec? — kombinował Fijałkowski.

— Dobrze byłoby, gdyby zeszli z oczu.

— Wyjadą do Niemiec... — podchwycił Rodak. — I co ty myślisz? Znajdą tam sobie miejsce? A ja myślę, że i tam będzie trudno dla nich o miejsce. Ziemia kurczy się coraz bardziej pod nogami takich jak oni. W Niemczech... kto wie, jak się tam ułoży, wszystkich komunistów nie wybili, nie wszystkich ludzi zamienili w mierzwę...

— Co do Bergów — powiedział Jurek — to my trochę dzielimy skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.

— To nieważne — odparł Rodak. — Ten niedźwiedź będzie zabity.

* * *

Stacho siedział tuż przy drzwiach piwiarni i przyjmował defiladę w godzinach poobiednich. Nie było to nużące, bowiem tylko armia, idąca w ofensywie po zwycięstwie ma pozór jednostajnej maszyny. Rozgromiona, cofająca się w bezładzie, stanowi bogate widowisko. Nie było co robić z czasem. Wszystko uzgodniono bez reszty na ostatnim wspólnym posiedzeniu przedstawicieli młodzieżowego aktywu i komitetu dzielnicowego partii. Wyznaczono lokal, gdzie towarzysze mieli zgłaszać się na wypadek utraty kontaktu. Po raz pierwszy zwyczajnie: ulicę, numer domu i mieszkania. Konspiracja przestawała obowiązywać. Jurka spytano, czy nie dałby mieszkania na następne zebranie komitetu redakcyjnego W a l k i. Odpowiedział — Po co? Następne zebranie proponuję w Pałacu Blanka.

Stacho siedzi w drzwiach piwiarni i robi bilans.

Przydzielono go do oddziału, który ma za zadanie obronę mostu Kierbedzia przed wysadzeniem w powietrze. Do tego potrzebny jest karabin maszynowy, ale mają tylko jeden i nie wiadomo, czy „Ry-

szard" go da. Jeśli nie da, na most Kierbedzia trzeba będzie kaem zdobyć. Nareszcie się to całe draństwo kończy. Jacek wyjechał z grupą „Czwartaków" po zrzut. Zrzut mają dostać pod Mińskiem Mazowieckim. Jeśli zdążą na czas — wszystko będzie dobrze. Ciekawe, czy zrzucą broń niemiecką czy radziecką? Lepiej byłoby dostać niemiecką, ze względu na amunicję.

Na ulice wyległo mnóstwo ludzi, krążą jak w dzień świąteczny. Ciągną huzarzy węgierscy, ale nic nie mają w sobie z zadzierżystości znanej z popularnych operetek. Przeciwnie — są wykończeni. To nie jest armia, to na poodparzanych koniach siedzą wymordowani ludzie, którzy niczego już nie pragną poza powrotem do domu.

Nie chcą mieć pośladków i ud startych o skórę siodła. W czasach ubiegłej wojny drwili z Czechów, pozdrawiających ich podniesionymi w górę rękami. Teraz uznają swój błąd, chętnie podnieśliby ręce, lecz nakazano odwrót. Nikt nie popędza koni. Budapeszt jest wolny. Ci, którzy są z Budapesztu, wspominają wspaniałości miasta, jego światła i wyspę Małgorzaty, łaźnie i tureckie ruiny starej Budy, parlament po stronie Pesztu, sprawdzający swój majestat w stalowej wodzie Dunaju. Czy można mieć serce do wojaczki?

Na postojach sprzedają broń. Dziwnie zachłanni są tutaj ludzie na to żelastwo udręczające plecy i boki. Ale jakże mogą o wszystkich dniach i nocach nieludzkich opowiedzieć w ciągu minuty? Wypadałoby krzyknąć głosem, od którego wylałaby woda w Wiśle.

Teraz ciągną hajdamacy — zwerbowani faszyści ukraińscy. Dla tych nie ma uśmiechów. Widziano ich przy robocie. Jadą na koniach sztywno. Konie są nie byle jakie. Malinowe lampasy na szarawarach nie zblakły, spod papach zwisają zuchowato na oczy kosmyki włosów. Eskortują swoje tabory wiozące dobytek, kobiety i dzieci. Milczą. Ostrzegawczo kołyszą się nahajki u przegubów ich rąk. O nic nie proszą — nawet o wodę. Są zakurzeni, uznojeni nieludzko i wściekli. Nic nie rozumieją. Przeklinają Niemców. Przeklinają Czerwonych. Przeklinają Polaków. Przeklinają swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Teraz uciekają na zachód. Nazwy miast coraz bardziej obco brzmią dla ich uszu nawykłych do śpiewnej mowy. Pozostaje im gonić nadal słońce, zamknąć się w sobie i szczerzyć zęby na wszystkie strony. Odgryzać się, dokąd będzie można. Opływa ich zewsząd nienawiść. Są nienawistni i nikomu już niepotrzebni. Niemcy wycisnęli z nich, co się dało. Na drogach klęski spychają ich do rowu.

Ciągną Niemcy w porozpinanych mundurach, z zawiniętymi po łokcie rękawami. Na plecach mają plamy potu. Wloką nogi. Nie patrzą na

twarze ludzi przechadzających się po chodnikach. Ci ludzie nic ich nie obchodzą.

— Wygląda to na maszynę do sortowania — myśli Stacho. — Odchodzą plewy. Ale kiedy zaczną iść połupane ziarna...

Nie cofają się czołgi, nie cofa się artyleria. Nad miastem idą wysoko klucze samolotów jeszcze z zachodu na wschód. Sylwetki maszyn roztapiają się w mlecznych oparach zalegających wysokie niebo.

Stacho dowiedział się, że dowództwo AK ogłosiło alarm i odwołało go. Dręczące jest to oczekiwanie. Stacho nie nocuje w domu od czasu, jak zaaresztowano „Grażynę". Nie dlatego, aby obawiał się, że ona coś powie, lecz dlatego, że nie chce zostać aresztowany z jakiejkolwiek innej przyczyny. Sypia w „hotelu pod mokrym fletem". Tam już teraz nikt nie nocuje. Małych złodziei i rzezimieszków, którzy nie potrafili sprostać zadaniom epoki, wyczesano ze starego pieca w kilku kolejnych obławach i zamknięto w obozie pracy na „Gęsiówce". Inni, obdarzeni rozsądkiem i większą hucbą, dorobili się pieniędzy i trzymają „blat" z dzielnicowymi policjantami. Ci mogą spać spokojnie w wygodnych łóżkach u boku ciepłych kobiet. Ich marzenia o budce na targowisku, o niewielkim sklepiku z tandetą, gdzie od tyłu można by załatwiać paserskie transakcje, wydają im się zrealizowane. Oto przechodzą w swym wyobrażeniu do arystokracji złodziejskiej.

Tak więc stary piec, sterczący samotnie nad gliniankami, nie jest już przytuliskiem. W ciągu dnia mali chłopcy bawią się tu w żandarmów i partyzantów. Nocą składa tu swoją skołataną głowę Stacho, który najbardziej pragnąłby nie spać wcale. I nie dlatego, że obawia się przegapić chwilę wyzwolenia, lecz dlatego, że lęka się, by nie obudzono go słowem: *aufstehen!* — teraz, kiedy kończy się to całe draństwo, ale kiedy maszyna gestapo działa jeszcze i może zgnieść nawet swoim ostatnim, zamierającym obrotem, jak „Grażynę". Stacho leży i myśli z udręką o nocy, kiedy schroniła się do niego, zaszczuta już i zagoniona na śmierć. Było to po tym aresztowaniu jej brata — chłopaka piętnastoletniego. Dzielny był i zapalony do każdej roboty. Czy to może on przyniósł do domu nieszczęście? Może to właśnie on opowiedział komuś o czymś, nie mogąc utaić rozpierającej go piętnastoletniej dumy. Może to on sprawił, że rodzicom odpadnie troska o jego charakter i o jej wiano. Dla nikogo na „dzielnicy" nie było tajemnicą, że ona i „Marcin" kochają się. Tych dwoje mocnych ludzi sprzęgła miłość. Chodzili polami w stronę Babic, płoszyli czajki, patrzyli na koźlęta o guzowatych czołach, co trykały się nawzajem głowami, jakby swę-

dziły je kiełkujące różki. Pasły się stada kóz na tutejszych nieużytkach, sapowatych i kwaśnych.

Widok małych zwierząt jest miły, rodzi myśli spokojne i ciepłe.

Przyszła wtedy wieczorem do Stacha i siedziała na brzeżku stołka, jadła końcem łyżki, wydawało się, że pragnie zajmować jak najmniej miejsca. Przepraszała za kłopot, żenowały ją okoliczności jej ucieczki przed śmiercią. Stacho nie pytał o nic i radził:

— Nie szarp się. „Aleksandra" mi mówiła, że chcesz dalej pracować w tym swoim sklepie. Rzuć to do diabła. Oni mają twój rysopis i fotografię. Oni z twojego brata wszystko wyduszą: gdzie pracujesz, gdzie masz znajomych... O mnie on nic nie wie. Przesiedzisz u mnie parę dni. Puścimy pogłoskę, że ożeniłem się z tobą. Wynajdziemy miejsce dla ciebie. Nie miotaj się.

Ale nie posłuchała rady, była przekonana, że wlecze za sobą wzrok gestapo wszędzie, gdziekolwiek się zjawi. Nikt nigdy nie dowie się, co skierowało jej kroki do sklepu. Być może obawa przed pustym dniem, być może nieodparta chęć spędzenia chociaż jednego jeszcze dnia w sposób pozornie bodaj normalny.

Około południa weszli do sklepu klienci, którzy zażądali nie towaru, lecz człowieka, aby go zabić i w ten sposób wystudzić jego serce.

W kwietniu zginął „Michał". Zatrzymano dorożkę, w której wieźli broń ze spalonego lokalu. Było trzech żandarmów. Zdołali ich zlikwidować. Kiedy droga już stała otworem, z okien Pałacu Staszica — siedziby Towarzystwa Naukowego — warknęły automaty niemieckie. Pozostał na środku jezdni sam pod ołowianym deszczem. Wyszarpnął z kieszeni plik dokumentów i prasnął o bruk butelką termitową. Osunął się w kałużę płonącej benzyny. Stał się niepoznawalny. Spłonęły jego dokumenty i twarz.

Wiosną śmierć kosiła tęgo.

Stacho nie może zasnąć w piecu. Słoma pod plecami parzy go jak wiązka rozpalonych drutów. Wychodzi na zewnątrz i słucha nocy. Wśród nagrzanej trawy, wśród cegieł piłują świerszcze swoją miłosną piosenkę o dwu tonach. Od ulicy Górczewskiej dochodzi klekot. Ciągną po nocy konne tabory rozbitej armii niemieckiej. Nie jest to głośny hurkot gąsienic wozów pancernych ani dudnienie przetaczanych armat. Nie słychać też szumu motorów. Nie szumi nawet motor tego niewielkiego auta, na które oczekuje Stacho.

— A jeśli ją śledzili dokładniej, niż przypuszcza „Aleksandra"? A jeśli odkryją moją kryjówkę? — Będę biegł, tak jak to uczynił „Ka-

zik". Będę biegł polem... — myśli i patrzy zachłannie w niebo i wciąga nozdrzami zapach trawy. Te rzeczy stają się dla niego cenne, teraz — kiedy wszystko, co złe, jest bliskie śmierci.

*
* *

Władek pisał w swoim notatniku:

15. VI. Kuracja skończona. Leżałem dwa tygodnie z idiotyczną szyną na nodze. Lekarz mi to zaaplikował. Ale kiedy zobaczyłem, że w bandażach przytrzymujących szynę roi się od wszy — wyrzuciłem. Nic się nie stało. Kula nie naruszyła ani kości, ani ważniejszych nerwów, miałem tym razem więcej szczęścia niż wtedy w Warszawie, chociaż groziła mi gangrena, kiedy wyskoczyłem oknem ze szpitala w miasteczku R... Przyszli sprawdzać, czy wśród chorych nie ukrywają się ranni partyzanci. Zabrali „Tygrysa" i „Sikorę". Oni nie mogli się ruszać. Ja miałem szczęście. Chciałbym powrócić do swojego oddziału. Jest tam takie samo draństwo jak gdzie indziej i jak wszędzie, ma jednak tę zaletę, że jest mi znane. Znowu się wszystko zacznie od nowa: niekończące się marsze, „długie wstęgi dróg w pyle"... — bardzo długie, za długie jak na nogi człowieka. Straszenie chłopów, bezładne strzelaniny, kiedy nagle ni z tego ni z owego okazuje się, że połowa ludzi jest zabita, że są ranni i trzeba zastrzelić tych, co nie wyżyją, a ciężarem swym uniemożliwiają przerwanie okrążenia. Modę na zabijanie wprowadził nowy komendant — „Moskit" — w cywilu kalkulator, podporucznik rezerwy przed wojną. Myślałem, że to jedynie zawodowi oficerowie najdokładniej zbydlęcieli i że są najbardziej tchórzliwi. „Moskit" nie zabija rannych bez wyboru. „Sikorę" kazał nieść z beznadziejnie postrzelonym brzuchem. Ja na to wszystko patrzę obojętnie. Wydaje mi się, że nic nas już nie jest w stanie uczłowieczyć.

20. VI. Dziś zdjąłem buty chłopu. Wątpię, czy kiedykolwiek powrócę do subtelnych zagadnień wersyfikacji. Buty są dobre, to świeżo podzelowane saperki niemieckie. Jestem zadowolony. Nie przydzielono mnie do mojego oddziału, lecz do batalionu kapitana „Raroga". „Moskit" czy „Raróg" — wszystko mi jedno.

Buty były przecież bardziej mnie potrzebne niż kmiotkowi. Nawet nie zaklął. Milczał, odkręcił z nóg onuce i poszedł boso, nie oglądając się za siebie. Było mi wstyd.

5. VII. „Raróg" gorzej niż „Moskit". Z opowiadań starych partyzantów tego oddziału rekonstruuję jego historię. To jest dawny oddział NSZ, oni teraz są pod dowództwem „Bora". Przyłączyli się, kiedy powstała Rada Jedności Narodowej. Nie wszyscy się przyłączyli. Wielu do tej pory chodzi na własną rękę. „Raróg" przyłączył się, ponieważ nie miał innej rady. Oddział jego został wybity prawie do nogi. To jest tylko z nazwy batalion, w rzeczywistości to niepełna kompania, teraz dopiero, w drodze na koncentrację obrasta ludzkim mięsem. „Raróg" swoich starych ludzi mianuje dowódcami drużyn i plutonów. Ja też jestem dowódcą drużyny i nie wiem, czy przekonał go o konieczności zamianowania mnie mój stopień, czy to, że zdjąłem buty naszemu „językowi". W mojej drużynie jest kapral „Dziki", on miał zostać dowódcą, ale ma grzech na sumieniu. Grzech jego jest ciężki, wyszedł żywy z rąk „czerwonych". On właśnie opowiedział mi, jak „dżuma za nimi w ślad biegła". Nie wyginęli w walkach z Niemcami. Z początkiem lata ubiegłego roku zrobili — jak to mówił „Dziki" szeptem — „wielkie głupstwo". Umówili się na wspólną akcję z oddziałem „Cienia". „Cień" to była Gwardia Ludowa. Kiedy tamci przyszli na umówioną koncentrację, „Raróg" nadciągnął, część oddziału wymieszała się z czerwonymi, a część otoczyła ich pierścieniem. Później „Raróg" przeprosił „Cienia", odszedł na bok niby to za swoją potrzebą i dał znak.

„Dziki" twierdzi, że to on pierwszy zaczął strzelać. Ludzie „Raroga", pozostający w pierścieniu, uskoczyli na boki i później siekli z broni maszynowej ile wlezie. „Cień" ocalał a wraz z nim niewielu ludzi. Od tego dnia „Raróg" nie zaznał spokoju. „Z Niemcami nie było wojny — mówi „Dziki" — ale oni nam dawali, bracie, ten „Cień" ze swoimi. Było ich mało, bo mało zostało wtedy, ale ci, co zostali, zamienili się w diabły. Szli za nimi w poprzek Lubelszczyzny. Ciągle go czułeś na plecach, tego „Cienia". — Tak mówił „Dziki" — w cywilu czeladnik rzeźniczy z Kielc. Człowiek, który smarował przy niedzieli włosy szmalcem, modlił się w kościele, a później bił Żydów. „Dzikiego" „Cień" wziął do niewoli. — „Powiedziałem im, bo pytali, co ja jestem: — robotnik — „Cień" splunął, a inni popatrzyli na mnie, jakby się dziwili. Dali list do „Raroga" i puścili mnie, chociaż przez cały czas miałem stracha, że mi w kark strzelą. „Cień" wygarnął mi na odchodnym: „donieś swojemu hetmanowi, że go powieszę na drzewie do góry nogami jak świnię. Powiedz mu, że „Cień" daje na to słowo

honoru. Proletariackie słowo honoru" — tak powiedział. — „A list oddaj, bo jak jeszcze raz się spotkamy, to źle będzie z tobą, skoro rozkazu nie wykonasz". — „Oddałem list, a „Raróg" w mordę mnie... raz. „Ty bydlaku" — powiada — „co ty mi za świństwa znosisz. Żebyś nie był taki głupi — rozwaliłbym z miejsca." A ja stoję, rozumiesz, bracie, i mrugam oczami, żeby pomyślał, że ja rzeczywiście matoł jestem. Bo co innego mogłem zrobić, bracie?"

„Bracie" — niezłe określenie. Bratem mu jestem. I ta Rada Jedności Narodowej. Co za jedność, skoro mszczą się i nie bez racji. Nogi mam jak kloce. Czuję w nich bolesne pulsowanie krwi. Każdy skurcz tętnic boli. Ziemia parzy mi stopy. Ja nie jestem rozbity. Ja jestem zniszczony. Czuję się tak, jakby mną długo wycierano brudną, chropowatą szybę, a szyba nadal jest brudna i nic poza nią nie widać. „Dziki" mówi szeptem, bo się obawia. Przychwyciłem w swoim mózgu myśl o zniszczeniu notatnika, oznacza to, że także boję się „Raroga" i jego zauszników. A więc to jest ta swoboda intelektu, to *spiritus flat ubi vult*. A przecież nie co innego kierowało mną, kiedy rozmawiałem z „J", tylko obawa przed zaprzeczeniem mi tej wolności, którą umiłowałem nade wszystko, bez której jestem niczym. Okazuje się, że jestem zwykłym człowiekiem, któremu drogę działania wyznaczają strach i nienawiść, i to w odniesieniu do kogo, do „Pumy", do „Moskita", do „Raroga", do szefa kompanii, który jest wulgarnym wieprzem. Strach i nienawiść do ludzi nic nie znaczących, podlejszych i głupszych ode mnie, oto, co jest motorem mojego postępowania. A miłość? Żadnej miłości już nie ma.

Czeka nas długi marsz. „Raróg" na odprawie mówił o tym, aby zbierać informacje o dyslokacji bolszewickich oddziałów dywersyjnych, to znaczy spadochroniarzy sowieckich i partyzantki AL-owskiej. „Walka z czerwoną dywersją — to teraz najważniejsze nasze zadanie. To opóźni ofensywę czerwonych." Proste. Oto nowe, uzupełnione wydanie mnicha — brata Antoniego.

Czeka nas długi marsz. Idziemy w góry Świętokrzyskie na koncentrację. Nie ma nic za mną, nie ma nic przede mną oprócz męki długiego marszu. Przyjdą czerwoni. A tacy jak „J" i jego ludzie wezmą władzę i zaczną pytać, co robiłem u „Raroga", ja — poeta, ja — człowiek z głową płonącą jak żagiew. Nikt z nich nie będzie zabawiał się w rozsnuwanie mojego kłębka sprzeczności i przypadków, powiedzą — to człowiek od „Raroga". Przyjdzie mi ich znienawidzieć. Mój Boże! Nawiedzają mnie szczurze myśli:

„uciekać...“ Dokąd? Do Warszawy, do „J“? I wtedy on uzna mnie za zwykłą, tchórzliwą świnię. Już lepiej: „niech tak będzie“. Chciałbym oddać buty...

*
* *

Jest nieruchomy upał. Dawid dźwiga na tragach ciężkie ciało „kapo“ Feliksa — kryminalisty z Hamburga. Umarł na serce w porze obiadu. Usiadł w cieniu drzewa, oparł się o pień i patrzył jak pastuch na stado ludzi w pasiakach, zgarbionych nad menażkami pełnymi ciepłej wody ze strużynami buraków. Tak już pozostał. Dziwili się, że nie wrzeszczy, aby kończyć prędzej. Nie podbiegł, nie kopał w plecy i nie krzyczał: *los!* Było to tak niepokojące, że postanowili mimo wszystko podejść do niego. Nie spał, oczy miał otwarte, był martwy. Śmierć „kapo“ wstrząsnęła Dawidem. Tragi obrywają ręce — Feliks jest tłusty ciężki. Dawid nie może myśleć o niczym innym, tylko o jego ludzkiej śmierci, tak potwornej tutaj. Niosą tragi nisko na opuszczonych rękach.

— Dlaczego niesiecie tak nisko swojego maharadżę? — pyta SS-man na bramie. — Wyżej! Wyżej!

— To nie maharadża — odważył się powiedzieć jeden z Vorarbeiterów — to nasz „kapo“.

— *So was?* — zdziwił się SS-man i nic już nie powiedział, kiedy przekroczyli bramę obozu niosąc ciało Feliksa nisko na opuszczonych rękach.

*
* *

— Jestem w rozterce, Hildo — mówił trzeci Berg — i trzeba się będzie poradzić braci. Przecież oni są współwłaścicielami. Niechaj także trochę pomyślą. Niechaj nareszcie zaczną myśleć. — Trzeci Berg łyknął odrobinę zimnego mleka z wysokiej szklanki. W sąsiednim pokoju Agata, stąpając cicho po puszystym dywanie, likwidowała pobojowisko kolacji. Niby dzwonki na zakończenie nabożeństwa dźwięczały kryształowe kieliszki i porcelanowe talerze. Wtórował im tępy głos stukających o siebie pustych butelek. Hilda namawiała na mleko. Twierdziła, że niweluje alkoholowe skutki lepiej niż czarna kawa, której nie należy nadużywać przy takim upale, przy takiej tuszy i w tych

latach. Trzeci Berg pił je ze wstrętem, a jednak pomagało. Zastanawia się, ile w tym jest autosugestii.

— Ja, Hildo, prawdopodobnie zrealizuję swój „plan B". To znaczy będę jednak ewakuował fabrykę, jak radzi von Pfaden. Nie potrzeba płakać, Hildo, twój płacz mi nie pomaga, a przeciwnie, przeszkadza. Masz łzy na zawołanie, tu nie ma co płakać, tu trzeba zakasać rękawy i ratować swoją przyszłość. Agato! Niech Agata pozwoli... Agato... trzeba zacząć pakować rzeczy. Proszę na mnie nie patrzeć głupio, tylko rozsądnie wysłuchać poleceń. Nie trzeba pakować wszystkiego, lecz rzeczy najcenniejsze. Czemu Agata płacze? Ja Agacie za płakanie nie płacę, tylko za gospodarowanie...

Z niesmakiem patrzył na obydwie kobiety. Wstał z fotela, zabrał szklankę z mlekiem i poszedł do sypialni, wlokąc za sobą pantofle. Żona wydała mu się stara i rozlazła. Dziwił się sam sobie: „po co ja się z nią ożeniłem?"

Nazajutrz wieczorem mówił do obydwu braci, kończąc malowanie obrazu sytuacji:

— ...są dwie drogi do wyboru: albo pozostawić wszystko na miejscu, jak radzi major Szapowski, i narazić na zniszczenie, jak twierdzi von Pfaden, albo ewakuować się i narazić naszą opinię patriotów, lecz wyjść cało lub z niewielkim uszczerbkiem. Rzecz nie jest trudna do przemyślenia. Decyzja jest prosta. Moim zdaniem należy ewakuować się, lecz niezupełnie. Nasze wagony przyczepią przypadkowo na końcu pociągu i przez pomyłkę odczepią na ustronnej stacyjce.

— Tak, ale ile to będzie kosztować? — zapytał drugi Berg.

— Właśnie... — zadudnił pierwszy, który, jako że nic nie potrafił wymyśleć, uczepił się byle czego, by zadokumentować swój udział w naradzie.

— Koszty... ty stale myślisz groszowymi kategoriami zarobków i strat, ciebie wojna niczego nie nauczyła. Tu trzeba rozumować w grubych zarysach. Co znaczą koszty?... Teraz tych kilka dolarów naprawdę nie ma znaczenia. Czy nie możesz tego pojąć? Czy nie mam racji, Klaudiuszu?

— Tak — huknął pierwszy.

— Ach... Klaudiuszu... Klaudiuszu — syknął drugi, podniósł dłoń do ucha obronnym gestem i dodał tonem zwątpienia:

— Jaką masz gwarancję, że maszyn odstawionych na boczny tor nie rozkradną?

— Gwarancja... Używasz dziwnych słów, mój drogi. Jakie mogą być gwarancje w takich czasach. Pojedziemy z transportem. Gwarancje...

zy można zagwarantować cokolwiek człowiekowi na froncie? A my esteśmy na froncie. Maszyn nikt nie kradnie zazwyczaj, są za ciężkie: Ukraść maszynę", to tak brzmi jak „ukraść żyrafę". I po co kmiotko-vi moja frezarka? On za butami będzie patrzył.

Major Szapowski mówi ciągle o tym powstaniu. Zupełnie ich opęta-) to powstanie. Osobiście nie mam nic przeciwko powstaniu, ale wiem, e tam, gdzie strzelają, łatwo o ogień. Zresztą von Pfaden przebąkuje, e być może Warszawa stanie się twierdzą. Dziękuję...

— A budynki? A szopy? A materiał na placu? — bronił bez prze-onania swej negatywnej pozycji drugi.

— Klaudiusz tu pozostanie, na miejscu. Będzie miał do pomocy Słu-eckiego i Młodzianka. Zakupię większą ilość gaśnic. Zapłacę dobrze ıdziom, którzy zdecydują się ochraniać warsztat przed pożarem. Nie ıogę ryzykować maszyn. Jeśli nawet spłonie wszystko doszczętnie, to ıaszynę można ustawić pod prowizorycznym dachem, a ona zarobi ardzo prędko na ściany dla siebie. Poleciłem Słupeckiemu, aby wywie-ział się na warsztacie o obronie przeciwpożarowej. Od razu zgłosili ię: Fijałkowski i Żelazowski, a także mały Edzio, który jest wszędzie ım, gdzie Fijałkowski. Zdziwiłem się, dlaczego oni właśnie. Ale po-ıyślałem zaraz, że zdziwiłbym się tak samo, gdyby to byli trzej inni. 'ijałkowski mnie zadziwił. Ale to przecież mimo wszystko człowiek ardzo spokojny.

— Ja się zgadzam na twój plan — powiedział drugi.

— Ja też — powiedział pierwszy.

Wychodząc popatrzyli smutno na piramidę walizek ustawionych ' przedpokoju, jak zwykle przed odjazdem. Trzeci popatrzył na baga-e w zamyśleniu. „Wszystkimi porami wychodzi z niej niemczyzna — omyślał z niesmakiem o żonie. — Jakieś kwocze przywiązanie, i to do zego, do przedmiotów — gratów, które gromadziła latami, ciesząc się, e ich przybywa. Bagaży jest zbyt wiele."

Żegnając się z braćmi perorował:

— Jutro biorę list polecający od von Pfadena i jadę do Krakowa ałatwiać. Wracam za kilka dni. Będę się starał o wagony.

Jeszcze tego samego wieczoru Agata wezwała dozorcę i przy jego omocy zaniesiono do komórki przy stróżówce zrolowane dywany i du-ą skrzynię z cennymi trunkami. Były tam francuskie koniaki i wina dobrych datach. Berg nie chciał narażać tych przedmiotów na brutal-ość transportu kolejowego, o meble nie dbał, wiedział bowiem, jak zybko można je zrekonstruować.

Twarz dozorcy nie przybrała wyrazu pożądliwości. Nie wyrażała nic. Spocił się niosąc skrzynie. Podziękował mrukliwie, gdy wypłacono mu sowity zadatek. Obiecał pilnować jak oka w głowie. Był to niedźwiedziowaty analfabeta, umiejący zaledwie podpisać się i nisko ukłonić.

Berg nie zdołał nic załatwić w Krakowie. Trafił bowiem w sam wir ewakuacyjnej krzątaniny. Zbywano go niczym w urzędach, gdzie dawniej nie czekał nigdy w przedpokoju. Teraz siedział na korytarzu piastując teczkę i patrzył, jak wszyscy biegają niby mrówki czujące płomień. Łowił za poły kurtek ludzi ze znakiem swastyki w klapie. Oni jednak wyrywali się i biegli tak szybko, jakby czerwień kokosowego chodnika patrzyła im stopy. Kiedy zorientował się, że nie biorą już łapówek, opanowało go przerażenie. Przynaglony wieścią o powstaniu wybłagał miejsce w samochodzie jadącym do Warszawy. Obgryzał do krwi paznokcie myśląc o tym, że zbytnio lekceważył przestrogi Szapowskiego. Doznawał uczucia duszności. Wydało mu się, że rzucono go na dno studni, a teraz z góry obsuwa się ciasno dopasowany, kamienny tłok. „Trzeba było częściej patrzeć na mapę — rozpaczał — mierzyć odległości. Póki wszystko toczyło się tam, nie myślałem o niczym jak idiota. Miasta, które zdobywali, wydawały mi się dalekie jak gwiazdy, a odległości między nimi nie wyobrażałem sobie, tak jakby były międzyplanetarne. Ale to przecież dzieje się tutaj na ziemi. I wystarczyło wziąć ołówek i obliczyć — idioto... idioto..."

Tego samego dnia dozorca wydobył z zastawionego rulonami dywanów kąta komórki dwie flagi narodowe. Szamotał się z nimi, kije zawadzały o bergowskie klamoty. Poczuł na swoich plecach czyjś wzrok. W drzwiach komórki, zasłaniając światło, tkwiła Hilda Berg. Stanął z flagą w dłoni pośród poprzewracanych dywanowych rulonów, niby wśród zwalonych kolumn, i krzyknął:

— Już się wasze panowanie skończyło... Niczego nie pilnuję. Możesz sobie pani sama siedzieć na tych łachach. A wódkę zabiorę. Z Rosjanami wypiję... Zrób pani przejście, flagę zawieszam... Nuże... nastąp się... — zawołał i wyszedł zostawiając drzwi otwarte.

Dwu chłopców w strażackich hełmach, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, pomogło mu umocować flagi. Echo przynosiło z miasta stukot strzelaniny. Nad wieczorem począł padać obfity deszcz. Do bramy wpadło trzech chłopców bez hełmów i opasek, ale za to uzbrojonych. Jeden z nich, widać dowódca, wyjrzał na ulicę, zlustrował wzrokiem podwórko zamknięte oficynami i zadecydował:

— Nie ma co, musimy przedostać się do ulicy Syreny i tam tyłami do Górczewskiej. Tu nie ma co... Na Młynarskiej jest nasz punkt zbor-

ny. Młynarska dwadzieścia sześć. Zapamiętajcie, bo możemy się rozbić. Teraz jazda skokami, pod murem. A ja siknę z automatu. Podchodzą...

— Kto podchodzi?... Niemcy? Jak to? I panowie nas zostawiacie? Zrobili powstanie i teraz co? — wołali ludzie zgromadzeni w bramie, skoro spostrzegli, że chłopcy zbierają się do odejścia.

— To nie my — zaczął Stacho, lecz machnął ręką. — Tłumaczenie zabrałoby zbyt wiele czasu. Trzeba by zacząć od początku, a tu należało już strzelać. Chłopcy wypadli na ulicę. Stacho bił króciutkimi seriami. Straszył raczej, niż ostrzeliwał. Pobiegł za „Mańkutem" i „Muchą".

W trzy godziny później, kiedy megafon na słupie latarni obwieszczał martwym, mrocznym ulicom i zamkniętym domom stan oblężenia dla miasta Warszawy, do bramy weszli SS-mani z ochrony lazaretu.

— Kto strzelał z waszego domu? Ty? — pytali dozorcę.

— Ja jestem hausmajster... — mówił szybko, aby uprzedzić strzał — Pilnuję rzeczy pani Berg...

— Co za pani Berg? — zainteresował się dowódca patrolu. — Niemka?

— Ja... ja... — przytakiwał dozorca.

Kazali się zaprowadzić.

— Precz... precz, bandyto! — krzyczała tupiąc histerycznie nogami. Trzęsły się jej obrzękłe od płaczu policzki. — To bandyta! — piszczała wskazując palcem. — Proszę mnie wziąć pod opiekę!

— Moment, łaskawa pani. Za chwilę będzie wszystko w porządku. Proszę się uspokoić.

— Mam auswajs — mówił gorączkowo dozorca czepiając się poręczy schodów.

Sprowadzili go na podwórko i tam zastrzelili opodal trzepaka.

On był pierwszym, którego zabito. Resztę dopiero po dwu dniach wyprowadzono, rozstrzelano i spalono w fabryce „Ursus" przy ulicy Skierniewickiej wraz z tysiącem mieszkańców z domów okolicznych. Stało się to tego samego dnia, kiedy trzeci Berg wysiadł z samochodu i przekonywał dowódcę posterunku, że powinien puścić go do miasta. W ciągu tych kilku dni powstanie stwardniało, zarysowała się linia frontu powstańczego na Woli. Biegła ona na zachód od ulicy Młynarskiej.

Dowódca posterunku wiedział o tym, spytał o adres. Kręcił głową, nie mogąc podjąć decyzji. Obracał w dłoni kennkartę Berga z paskiem na okładce. Kennkarty takie otrzymywali małżonkowie Niemców, któ-

rych pochodzenie było „niemieckie". — Nie rozumiem... — mówił komendant. — Pan świetnie zna niemiecki... pańskie nazwisko...

— Niech pan zrozumie, nie zdołałem załatwić formalności, jestem Niemcem oczywiście...

Komendant machnął dłonią.

— Na swoją własną odpowiedzialność pan wejdzie do miasta. Ja nic o tym nie wiem. Radzę iść środkiem ulicy i podnosić ręce na każde wezwanie. Pański dom leży w rejonie nie opanowanym przez bandytów. *Heil Hitler!*

— *Heil Hitler!*

Poszedł. Droga mu się dłużyła. Jasna wstęga betonowej jezdni leżała przed nim pusta i lśniąca od deszczu jak szkło.

Minął kościół i zobaczył swój dom. Na chodniku przed bramą leżała rozpruta poduszka. Berg nie mógł od niej oderwać wzroku. Wiatr urzekająco igrał rozsypanymi wokół piórkami.

Z bramy wyszło kilku żołnierzy obładowanych butelkami jego wina. Oburzyło go to tak bardzo, że krzyknął do nich nie po niemiecku, lecz w języku, którym posługiwał się myśląc. To spowodowało jego śmierć. Nazajutrz ulicami ruszyły dwuosobowe patrole grenadierów, niosących na barkach miotacze płomieni. Nie podpalono warsztatu na Dworskiej. Spłonął ogniem zapożyczonym od domów sąsiednich. Mimo deszczu płonął olbrzymim, jasnym płomieniem. W ogniu miękły i osiadały żeliwne korpusy maszyn.

XXVII

Stacho otrzymał pełne umundurowanie złożone z niebieskozielonych spodni pancerniackich, impregnowanej wiatrówki w ochronnych kolorach i hełmu pokrytego podobnym pokrowcem. „Skromny" wydawał w pokoju sztabowym opaski z literami AL. Umundurowanie ucieszyło Stacha. Oddział prezentuje się po wojskowemu. Jest to kompania „Czwartaków". Wszystko wygląda porządnie. Wydaje się regularnie obfite posiłki. Przeprowadza się krótkie wypady nocą i dniem, obmacuje przedpole linii obronnej. Strat nie ma. Niemcy nie nacierają. Nastąpił okres ciszy. Jest to chwila, kiedy Niemcy uznali fakt powstania za dokonany i poczynają traktować je jako element w pełni strategiczny. Deszcz ustał i teraz wiatr przynosi suche sadze.

Ubiegłej nocy dotarł na Młynarską Sekuła. Przyszedł ze Starego Miasta, przyniósł plik prasy i rozkazy sztabu warszawskiego. Jest rozkaz główny — trzymać się na Woli, ponieważ to dzielnica robotnicza.

Sekuła mówił o zlikwidowaniu powstania na Pradze. Otoczyli go kręgiem.

— A mosty? Jak z mostami? — pytali.

— Próbowano opanować, ale niemrawo. Teraz trzymają je Niemcy.

— Wszystkie?

— Wszystkie. Na Starówce nasi chłopcy trzymają pod obstrzałem przyczółek mostu Kierbedzia. Nowy Zjazd i Plac Zamkowy.

— Dlaczego oddano Pragę? — pytał Stacho rozżalony.

— Mnie się o to pytasz?... — powiedział Sekuła wyskubując z puszki wołową konserwę. — Ale mogę ci odpowiedzieć. Nie jestem wojskowy, lecz nie trzeba być wojskowym na to, aby zrozumieć, że dowodzący, który w naszym położeniu oddaje lekką ręką przyczółki mostowe na wschodnim brzegu Wisły, zna się, być może, na hippice i końskich bobach, ale nie na strategii... Lub — nie zależało mu na przyczółkach i nie strategia nim powoduje, lecz polityka. — Sekuła odstawił puszkę i patrzył na Stacha żywo. Później spojrzenie jego zmroczniało i zamyślił się trąc dłonią nieogolony podbródek.

— A my?... — powiedział Stacho. — Czy nie można by zaatakować mostów naszymi siłami? Mamy kaem, kilkanaście automatów. Kilka karabinów. Pistolety. Granaty. Chłopcy przynieśli cztery pancerfausty... Machnąć ręką na „Bora" i atakować. Co Sekuła...?

— Były takie propozycje w sztabie. Ale teraz jest to niemożliwe. Można to było zrobić przez zaskoczenie, za pięć dwunasta, rozumiesz. Na to mieliśmy siły, na te pięć minut do dwunastej. Ale teraz to nie ma sensu. To już nie jest zaskoczenie, lecz normalna operacja frontowa. Szans mamy jedną na tysiąc. Broni mamy zbyt mało. Jesteśmy odcięci od naszych zrzutów. A oni — Sekuła wskazał kciukiem okno, za którym stał dom, gdzie kwaterowali akowcy. — Im nie mosty w głowie, nie prawy brzeg Wisły, nie pomoc dla ofensywy radzieckiej. Im nie to w głowie, oni robią cud nad Wisłą. Robią ten cud na gwałt, bo wszystko, co sobie wymyślili, rozsypuje się. Ale my, Stachu, wiemy, że cudów nie ma, nie te czasy, kochani panowie, nie te czasy...

Zaległo milczenie w kręgu światła lampy karbidowej. Pod ścianą, na materacach spali chłopcy. Stacho i Sekuła wodzili wzrokiem po ich ciałach owiniętych kocami, podobnych do wielkich kokonów.

— Są po wypadzie — bąknął Stacho usprawiedliwiająco.

— Niech śpią, póki można jeszcze... — powiedział wtedy Sekuła i podniósł się z krzesła.

W sąsiednim pokoju „Skromny" majstrował przy odbiorniku radiowym. Nie było prądu. Badał, czy nie uda się uruchomić aparatu przy pomocy akumulatorów.

— Zajrzę jeszcze do „Skromnego" — powiedział Sekuła. — Mam z nim do pogadania. Zresztą przyjdę tu do was na stałe. Wezmę kilkunastu chłopców ze Starówki i przyjdę. „Ryszard" także się tutaj wybiera.

— Zaraz, poczekaj, Sekuła — mówił Stacho pragnąc zatrzymać go dłużej przy sobie. — A co z nami? Mów... Jak my z tym wszystkim?

— Będziemy się bronić. Będziemy bronić miasta. Będziemy bronić życia ludzkiego. Będziemy dobrze bronić. My nie możemy sobie ani pomyśleć nawet: „w gruncie rzeczy mnie to nic nie obchodzi". Ech, Stasiu, Stasiu... Namieszali panowie z Londynu parszywego piwa. Co im Warszawa, co im ludzie... Rzucą w ogień wszystko, wszystko, żeby ocalić swoje koryto, swoje pieniądze, żeby nie dopuścić do tego, by człowiek na naszej ziemi podniósł głowę. Chcą rządzić, Stachu, rozumiesz, rządzić chcą, zbrodniarze! Jedyna nadzieja w Armii Czerwonej. Jedyna nadzieja. Nie powtarzaj chłopcom tego, co mówiliśmy. Mówię do ciebie otwarcie, bo ty jesteś mocny. Na ciebie można dużo ciężaru nałożyć.

*
* *

Dzisiaj od rana jest martwa, gorąca cisza. Stacho wdrapał się po drabinie na dach i wziął lornetę od „Mańkuta". Do połowy wychylony z kominiarskiego włazu, patrzy na miasto pokryte sczerniałą łuską dachów. Snują się lekkie smugi z kominów. Ludzie gotują jedzenie na płytach kuchennych. W południowej stronie miasta puchnie coraz bardziej kilka czarnych grzybów dymu. To przed południem zrzucił bomby zapalające Messerschmidt. Nad śródmieściem, w mglistym, jedwabiście błyszczącym powietrzu krąży „bocian" na niewielkiej wysokości i odlatuje na północ. Po jego odlocie z kilku miejsc naraz poczyna sączyć się gęsty dym. Tak samo zaczęło się w getcie. Po pierwszej eksplozji nastąpiła chwila ciszy, w której pluskały drobne krople bomb zapalających, zanim rozpętało się piekło. Stacho patrzy z niepokojem na miasto, gdzie podlegli nawykom ludzie gotują jak co dzień jedzenie. Serce jego pełne jest niepokoju. Chciałby stanąć na dachu i krzyknąć głośno, chciałby, aby coś zaczęło się dziać w tym mieście kurzącym pierwszymi dymami. Niemal żywi żal do domów, iż nie ruszają z miejsca jak olbrzymie stado słoni. Stacho nie potrafiłby tego wyrazić i nie

znalazłby żadnych argumentów na poparcie swej nieustępliwej, nużąco nie ustępliwej myśli o tym, że teraz jest taka chwila działania, która się nie powtórzy.

Stacho patrzy przez lornetę na miasto i przełyka ślinę, zwilżając zasychające gardło. Przywarł do szkieł i patrzy zachłannie. Ale nic się nie dzieje.

Po niebie zaczął snuć się cichy brzęk, przechodzący w miarowe buczenie. Stacho odwrócił głowę. Z zachodu płyną nisko nad Wolą trzy „sztukasy", rysując wyraźnie swoje garbate sylwetki na tle nieba. „Na dół!" — krzyknął Stacho i zjechali z „Mańkutem" po drabinie, nie dotykając prawie szczebli. Pierwsza bomba dogoniła ich na podeście pierwszego piętra. Za oknami klatki schodowej bluznęło na ulicy wielkie światło. Stacho poczuł dławienie. Podpinka dusiła, pęd powietrza zrywał mu z głowy hełm. Na schodach panował teraz mrok, w zębach zgrzytał piasek i kurz, pachniało amoniakiem. Nie zdążył podnieść się, kiedy w górze począł narastać warkliwy świst drugiego pocisku. Stacho przywarł piersią do betonu i szarpał palcami podpinkę. Nie lękał się, wiedział, że i ta bomba ominie dom. Zbyt długa była przerwa pomiędzy zrzuceniem pierwszej i następnej. Przeczekali jeszcze dwie oddalające się eksplozje i zbiegli po szkle, chrzęszczącym pod butami, na parter.

„Skromny" ogłosił alarm. W korytarzu stali rzędem przyklejeni do muru wszyscy chłopcy. Zanim osiadł kurz, przybiegł łącznik z „Parasola" i łapiąc oddech, wołał: „atakują!". Pobiegli za nim pochyleni, pod murem. W wykopie na rogu Młynarskiej i Wolskiej było ich stanowisko. Kilku mieszkańców domu, w którym kwaterowali, patrzyło niespokojnie w ślad za nimi. Ludzie ci nie odnosili się przyjaźnie do powstańców. Poryw entuzjazmu minął. Teraz patrzyli ze zmieszanym uczuciem strachu i podziwu na buńczucznych akowców, szukając w ich niefrasobliwości dobrej wróżby dla siebie. A jednak polubili tych z AL-u za to, że nie czynili żadnego rwetesu wokół siebie, nie rozkazywali, lecz tłumaczyli, i za to, że mieli spokojne, zasępione twarze, jak zwykli ludzie.

Stacho rozmieścił swych chłopców. Pozostało oczekiwać. Ulica przed nimi była pusta i wypełniona światłem. Minął kwadrans, zanim rozróżnili w szarej masie, zbliżającej się gdzieś od ulicy Bema, sylwetki trzech czołgów. Sunęły wolno, przystając, wietrząc długimi ryjami. W pełnej ciszy, jaka zaległa ulicę, słychać było miarowy huk motorów i grzechot gąsienic.

— Nie patrzcie — mówił Stacho. — Nie ma co patrzeć. Nadjadą... to wtedy. Teraz nie patrzcie.

Ściskał w spotniałych dłoniach pistolet maszynowy i wiedział, że nawet wówczas, gdy nadjadą, niewiele da się zrobić. Z rąk do rąk niby cegły podawano butelki zapalające.

W ciągu dwu następnych dni Stacho stracił głos. Mówił ledwo dosłyszalnym, ochrypłym szeptem. Miał uczucie, jakby czaszkę wypchano mu pierzem. Paliły ogniem przekrwione oczy, zgryzione dymem i zasypywane piaskiem zbyt często. Dłonie obrzmiały i w końcach opuchniętych palców tętniła boleśnie krew. Zatrzymali się na Ogrodowej, w pobliżu Placu Kercelego. Tutaj była obecnie pierwsza linia. Nareszcie zdołał zebrać i policzyć chłopców — brakowało czterech i nikt nie mógł powiedzieć, co się z nimi stało. Zaciskał szczęki w gniewie. Zatracili wszelką karność. Strzelali, kryli się i biegli na własną rękę. Zrywali się do ucieczki na widok czołgu, który przystanął w odległości pół kilometra, a za godzinę „Kaczor" prosił:

— Zostaw mnie tutaj. On nadjedzie, a ja go flaszką.

— Nie widzisz fizylierów? Zanim krok zrobisz, dostaniesz w czapę. Nie dosięgniesz, plac łysy jak tyłek. Żeby to noc...

Trwali pod ogniem cekaemów, nie bacząc na gruz zasypujący im plecy, na iskry krzesane z bruku kulami, lecz w godziną później potrafili biec nieprzytomnie, przerażeni strzałem czołgowego działa. Stacho już nie rozkazywał, lecz prosił i klął na zmianę.

Oparł się plecami o mur domu przy ulicy Ogrodowej i zasypiał. Mówił do siebie: „zamknę oczy na chwilę". Pod powiekami w ciemnościach opadały w dół czerwone centki, bezustannie w dół. Ulicą szła powoli staruszka, przytrzymując się ręką muru. Twarz jej i ramiona pokrywała gruba warstwa szarego pyłu. Kosmyki nadpalonych włosów zakrywały oczy. Do piersi przyciskała album w pluszowej oprawie. Spomiędzy kart wylatywały pocztówki i fotografie, padały na chodnik znacząc ślad jej wędrówki. Przystanęła przed Stachem. Spostrzegła, że śpi siedząc pod murem i szeptem poczęła go przeklinać.

Wieczorem „Skromny" wysłał łącznika na Starówkę. Łącznik spotkał „Ryszarda" w połowie drogi. W nocy zorganizowali linię obronną na skrzyżowaniu Chłodnej i Wroniej. Przed nimi płonęła Wola. Zwycięski, wielki ogień wył ponad dachami. Wysuwał zachłanne, gibkie języry ze wszystkich okien, panował wszechwładnie. W mrocznym mieście, poza ich plecami, ludzie patrzyli z niepokojem na rosnącą łunę. „Pali się Wola" — mówili, pocieszając się, że wiele przecznic i kwartałów dzieli ich jeszcze od tej części miasta.

W świetle ognia dostrzegli zbliżający się czołg. Poprzedzała go zbita masa ludzi, byli to cywile. Za nimi i za czołgiem szli gęstą ławą strzelcy.

„Ryszard" wychylił się zza przedpiersia rowu przeciwczołgowego i krzyknął osłaniając usta dłońmi:

— Uciekajcie! Strzelamy!

Łańcuch ciał pękł. Rozbiegli się na obydwie strony. Śmierć zadana od tyłu wydała im się mniej straszna. Kilkunastu dotarło do rowu. Jęczeli z wyczerpania, chwytając ustami gęste od dymu powietrze.

Fizylierzy przypadli do ziemi pod ogniem automatów. Stacho widział, jak Sekuła, klęcząc za węgłem, mrużył oczy pełne czerwonego blasku i kurczył nozdrza od kwaśnego odoru odpalonych naboi.

Zdołali oderwać fizylierów od czołgu. Wycofywali się, szorując plecami po ścianach kamienic. Któryś z chłopców poczołgał się pod murem, opierając ciało na łokciach. W obydwu pięściach niósł butelki. Skoro osiągnął słup latarni, powstał i cisnął z rozmachem. Buchnął żółty blask, jaśniejszy od światła pożaru. Ktoś krzyknął, że wysiadają. Stacho podniósł broń i mierzył poprzez płomień do czarnej sylwetki, która zamajaczyła nad wieżycą czołgu.

— Strzelaj! — przynaglał „Ryszard".

Stacho pragnął nade wszystko strącić tamtego z powrotem w głąb stalowego garnka pełnego płomieni. Pociągnął spust. Zamek chlapnął tępo. Magazynek był pusty. Z prawej strony słyszał, jak przez poduszkę, huk automatu Sekuły. Osunął się na dno rowu.

— Na pięć minut starczyło — myślał z goryczą. — Na pięć minut do dwunastej.

Nikt już nie strzelał. W płonącym czołgu gotowało się, blachy pancerza odskakiwały. Eksplodowała wewnątrz amunicja.

„Ryszard" postanowił uderzyć teraz wzdłuż ulicy, osiągnąć Plac Kercelego i wyjść na tyły Niemcom, atakującym na Ogrodowej. Swoich sił miał za mało. Rozesłał ludzi na boki, pragnąc nawiązać kontakt z sąsiadami. Pierwszy powrócił chłopiec z plutonu RPPS. Wymachiwał nad głową automatem radzieckim. Nie miał tej broni poprzednio. Wręczył mu ją ze słowami: „Bierz, kolego, na zdrowie. Ja mam dosyć" — człowiek, który szarpał swoją biało-czerwoną opaskę, zrywając ją z rękawa. Chłopca nazwano później „Pepeszka". On to przyniósł wieść, że na prawym skrzydle oddziały AK wycofują się z Woli, kierując się poprzez ruiny getta na Stare Masto.

Ludzie, którzy biegli przed człogiem, a teraz siedzieli na dnie rowu, przyjęli wieść, nie przeklinając.

— Wyłazić! — krzyknął „Ryszard". — Zbiórka za rogiem!

Wtedy i oni podnieśli się. Zajęli miejsca w rzędzie „Czwartaków", odchodzących z Woli jako ostatni.

Na polecenie dowódcy pomagali iść rannym i nieśli tych, którzy nie mogli chodzić. Dowódca wydał im ten rozkaz, aby poczuli się potrzebni. W ciągu ostatniego dnia postradali swoje rodziny, domy i wszystko, do czego przywiązywali wartość. Nie należało pozostawiać ich w trującej bezczynności wystawiając na działanie apatii lub szaleństwa.

*
* *

Tego samego dnia Władek uczynił ostatnie adnotacje w swoim dzienniku pod datą 6-go sierpnia.

„Idziemy na Warszawę. Przeprawiamy się przez Wisłę pod Kazimierzem i bierzemy kierunek na północ. Cieszę się. Wszystkie oddziały otrzymały ten sam rozkaz. Nareszcie jest jakiś cel. Być może, jeśli dotrzemy, uda mi się wyzwolić spod dowództwa „Raroga". Cieszę się. Nie wyschłem ze szczętem. Żywię miłość do mojego miasta i tęsknię za nim. Nie najważniejsze to ze wszystkich ludzkich miłości, ale jednak miłość. Nie pojmuję, dlaczego nie podciągnięto nas wcześniej pod Warszawę, lecz dopiero teraz wysyła się SOS. Czyżby rzecz nie była uzgodniona z Rosjanami i robiona z zupacką bezmyślnością? A może to na wielką skalę gest brata Antoniego? Myślę o tym z niepokojem. To, co mówił „Raróg" na ten temat, utwierdza mój niepokój... Dziwię się sam sobie, jak bardzo przywiązany jestem do tej kupy kamieni. Obudził mnie daleki odgłos parowozu. Leżałem w półśnie. Wydało mi się, że drzewa szumiące nad moją głową rosną w lesie młocińskim, że jest niedziela i buczy statek na Wiśle. Przywidzenie to było tak dotkliwe, proste w nastroju i mocne, że ocknąłem się pełen nadziei. Nie ma jednak cudów na tej ziemi. Wojna się jeszcze nie skończyła. Obok chrapie owinięty w celtę „Dziki", przytulając do brzucha karabin. Węgielki naszego ogniska pokryły się białym nalotem. Budzą się pierwsze ptaki. Chciałbym przeżyć tę wojnę".

*
* *

Tego samego dnia doktor Konstanty zaniósł swoje książki do piwnicy, tak samo jak w roku 1939.

— Jest w piwnicy... — usłyszał głos komendanta OPL sprawującego niemal dyktatorską władzę w domu od chwili wybuchu powstania.

Konstanty przykrył pieczołowicie skrzynię ceratą i otrzepał ręce z pajęczyn. Światło świecy padło na chmurne twarze dwu młodzieńców.

Młodzieniec w chełmie miał piękną twarz o rysach pełnych godnego spokoju, właściwego antycznym rzeźbom olimpijskim. Drugi, w gestapowskiej czapce pozbawionej odznak, burknął ostro:

— Pan jest lekarzem. Chirurg?

— Jestem internistą — odpowiedział cicho. — Ale pańska czapka nie upoważnia pana do inkwizytorskiego tonu w głosie, bardzo młody człowieku.

— Więc pan na zranieniach nie zna się zupełnie? — spytał tamten już zwykłym i zawiedzionym głosem.

— Znam się, ponieważ mało kto z nas uprawiał w czasie tej wojny swój zawód. — Doktor Konstanty szczęknął kłódką, bez ceremonii wręczywszy świecę młodzieńcowi w hełmie.

— Wezmę narzędzia — powiedział, kiedy wyszli z piwnicy. — Jeśli wam się wydaje, że jesteście żołnierzami, którzy sprostają SS-manom o trzyletnim doświadczeniu frontowym, to dlaczego ja nie mogę sobie wyobrazić, że jestem chirurgiem. Ale żal mi i was, i siebie z tego powodu.

— Ta łuna co oznacza? — zapytał.

— Płonie Wola — odpowiedział chłopiec w hełmie.

Twarz doktora Konstantego spochmurniała.

— Idziemy — warknął gniewnie. — Prowadźcie mnie... wy kamienie rzucone na zas.... szaniec — szepnął, rozumiejąc, że konspiracja obowiązuje go nadal.

XXVIII

Na Starym Mieście nic nie przypominało o grozie. Nad rynkiem kwadratowym jak dno akwarium pływały gołębie. Straszyły je dalekie grzmoty, które nie powodowały nawet brzęczenia szyb. O zmierzchu, szarą godziną, kiedy znikała przyćmiona dymem poświata słoneczna, pod malowanymi fasadami kamieniczek krążyły pary przygodnie zakochanych. Piękne panie w leciuchnych sukienkach opierały się o kamienie bramujące wejścia do ciasnych sionek. Rozmawiały cicho a żarliwie z młodzieńcami umundurowanymi zamaszyście. Darowały im pocałunki bez wzdragania. Wina było tak wiele, że robiono zeń lemoniadę. Olbrzymie niemieckie magazyny żywnościowe na Stawkach i w Wytwórni Papierów Wartościowych gwarantowały sytość żołądków. Natrętnie dudniła piosenka: „Serce w plecaku", beztroska, jak samo życie żołnierskie. Brakowało jedynie kwiatów.

Wtedy poczęli napływać pierwsi uciekinierzy z Woli, niosąc we włosach i odzieniu zapach spalenizny. Szukali głębokich piwnic i żywności.

Budzili przez to litość. Stacho przystanął na rogu Freta i patrząc na miłość, snującą się po Rynku w zaciszu wiekowych budowli, czuł się znużony. Patrzył na dziewczęta i chłopców z kpiącym, starczym uśmiechem. Wiedział więcej niż oni.

Tego samego wieczoru, kiedy zasypiał na kwaterze czwartackiej, usłyszał niezbyt odległy huk eksplozji. Tuż przy jego materacu stuknął o podłogę twardy przedmiot. Sięgnął dłonią i cofnął ją szybko. Odłamek, który wpadł przez otwarte okno, oparzył mu palce. Nie przestraszył się. Dotknął jeszcze raz dłonią wywoskowanej posadzki dębowej i zatrzymał wzrok na kryształowych szybach stylowej serwantki, lśniących czerwonymi smugami. Nieomal z lękiem patrzył na jej filigranowe nóżki, wygięte w pełną wdzięku linię. Przeniósł wzrok na bogate ramy złocone szczerym kruszcem, gdzie za grubymi szkłami drzemały dostojne sztychy. Pokój wypełniało różowe, nikłe światło, odblask łuny nad Wolą. „Panowie niech nie zawadzają bronią o meble — prosiła właścicielka mieszkania — proszę nie uszkodzić nic. Przeniosłabym wszystko do piwnicy. Ale piwnicę zajęli uciekinierzy".

Stacho wodził wzrokiem po rzeźbionym gzymsie serwantki. Narastała w nim gorycz zrodzona ze świadomości trudu i kunsztu, z jakim kiedyś dobry rzemieślnik budował ten przedmiot, pieszcząc go dłońmi i szukając w opornym materiale piękności jego kształtu. Napłynęły myśli o matce, którą pozostawił na progu sieni. Nie chciał czekać na skarpetki, które cerowała jeszcze, idąc za nim po schodach. Sądził, że zaraz powróci. A teraz wyglądało tak, jakby uciekł od niej, nie chcąc obarczać się kalectwem, co nie pozwalało jej chodzić zbyt daleko. Na pewno tak myśli, siedząc sama we wnętrzu domu, z którego wszyscy uciekli. Bezradna jest zupełnie i otoczona pożarami. Pomyśli, że jej nie kochał nigdy i że widać była dla niego gderliwa, kiedy był mały i zbyt głupia, kiedy on tak zmądrzał za czasów wojny.

Daleko odszedł od swojego domu. A teraz odległości wszystkie wyolbrzymiały. O Woli mówiło się i myślało jak o obcym kraju. Nie było sposobu powrócić. Wyrzucał sobie, że zbyt mało znajdował chwil dla matki w tych czasach, kiedy robiła się wielka robota ZWM-owska. Żal był niewczesny — i to przydawało zgryzoty.

— Teraz nic nie pozostaje innego, tylko umierać i patrzeć na drugi brzeg Wisły. — Przyjął tę myśl jako pewnik, lecz zatruwała mu duszę, nawykł bowiem do działania. Tutaj zaś działanie nie miało żadnej perspektywy. W polu widzenia był obszar zasypany żużlem, „czerwony dom", wisłostrada i za nią pas wody o kolorze ołowiu. Na praski brzeg należało patrzeć przez lornetkę, kiedy obserwację prowadziło się w ce-

lach wojennych, lub bez lornety, zwyczajnie, w chwilach zwątpienia. Toczył się jednostajny kołowrót natarć niemieckich i wypadów czwartackich. Bronili starej prochowni z czasów, jak mówiono, napoleońskich, stojącej u zbiegu ulic Rybaki i Mostowej. Od Wisły dzielił ich wielki, czerwony budynek garbarni. Na wisłostradzie patrolowały czołgi, ostrzeliwując garbarnię i domy na staromiejskiej skarpie. Niemcy nacierali rano lub w godzinach poobiednich. W południe należało się spodziewać ciszy, ponieważ niemieccy artylerzyści i ludzie z obsługi miotaczy min szanowali godzinę posiłku i pracę swą traktowali biurokratycznie. Można by powiedzieć, że nieomal obowiązywał ośmiogodzinny dzień roboczy. Nocą prowadzili nękający ogień. Wstrzelani byli w każdy metr kamieni Starego Miasta. Świecili reflektorami przeciwlotniczymi, kładąc trupie światło na skarpę staromiejską, wodząc smugami blasku po domach tak postrzelanych, że fasady ich podobne były do map krainy jezior.

Za dnia Stacho z bezradną wściekłością patrzył na drugi brzeg Wisły, gdzie przy moście kolejowym uwijali się u stóp nasypu rozebrani do połowy artylerzyści. Karmili miotacze min pociskami podobnymi do parówek, a kiedy wszystkie sześć gardzieli nasycili, wskakiwali do schronu i stanowisko baterii pokrywał biały dym.

Ponad Wisłą, wyjąc opętańczo sunęły rakietowe pociski, które niosły Stalinowce płonący benzol i eksplodujący trotyl. Dzielnica rozpadała się jak płuco dotknięte murzyńską gruźlicą.

Stacho zwerbował kilku dobrych strzelców, umieścił ich na najwyższym piętrze garbarni i kazał bić salwami w obsługę miotaczy, nastawiając celowniki karabinów na największą odległość. Zaniechał tego. Pożałował amunicji, kiedy spostrzegł patrząc przez lornetę, że tamci nawet nie odwracają głów, spokojni wobec jęku pocisków.

Sekuła odszedł na śródmieście, odkomenderowany tam przez sztab. Kolporterki Głosu Warszawy, Trybuny i Armii Ludowej, nasycające dzielnicę śródmiejską prasą, pewnego dnia wróciły, przynosząc nietknięte prawie naręcza gazet. Ciasne, pozostające pod bezustannym obstrzałem przejście, przerwano ostatecznie.

Niemcy atakowali od strony Placu Zamkowego, wnikając powoli w ciasne uliczki: Podwale, Piekarską i Świętojańską. Trwały walki o domy przy Kanonii i o Katedrę. Zajmowali dom po domu powoli i systematycznie, wgryzając się w mury jak buldog, który chwycił za szyję i żuje mięśnie dobierając się do tętnicy.

Niemcy atakowali od strony Dworca Gdańskiego, zamykając przejście na Żoliborz. Puszczali „goliaty" na szpital obłąkanych na Bonifra-

terskiej i wybebeszali piętro po piętrze Wytwórni Papierów Wartościowych, ładując w jej betonowe stropy setki kilogramów bomb.

Chłopcy, którzy bronili tych pozycji, sczernieli. Bandaże, którymi owinęli rany, ponadpalane były od ognia. Po całej dzielnicy włóczyli się dniem i nocą wariaci od Bonifratrów, ciągnąc za sobą wstęgi rozluźnionych opatrunków. Wszelakie ich manie znalazły pożywkę w potworności otoczenia. Niektórzy, opętani szałem religijnym, wygłaszali płomienne kazania do ludzi zgromadzonych w piwnicach. Słuchano ich, starając się odnaleźć w mistycznym bełkocie ziarna proroctwa.

Niemcy wzięli dzielnicę pod koncentryczny obstrzał artyleryjski, prowadząc go z baterii ustawionych na Pradze, na Bielanach i na Woli. Kilkakrotnie w ciągu dnia ponawiali naloty. Sztukasy, przeznaczone do atakowania z lotu nurkowego, nie nurkowały, lecz lecąc ponad dachami zasadzały bomby z ogrodniczą dokładnością.

Wieczorem Stacho siedział na progu sieni. Nadeszły godziny nocnej ciszy. Ludzie z piwnic wypełzli na powietrze i gwarząc cicho podgrzewali konserwy na maleńkich ogniskach, ułożonych pomiędzy cegłami. Część piwnic w ciągu dnia zalała woda, znajdując sobie ujście wśród fundamentów. Pękły stare rury wodociągów, nie wytrzymały bezustannego drżenia ziemi.

— Ten dom jest budowany tandetnie — mówi Stacho przypominając sobie cienkość ścian działowych i drewnianych stropów.—Tandetna, czynszowa rudera, nadpalona teraz od góry. To wszystko kiwnie się za lada podmuchem. Oni źle robią chroniąc się tutaj. Nam wszystko jedno i tak większość czasu jesteśmy na placówce... Nieraz myślę, że tam bezpieczniej.

— Nigdzie nie jest bezpiecznie — odpowiedziała „Kasia", która przysiadła obok niego na betonowym schodku. Oparła łokcie o swoją torbę sanitarną i dłońmi obejmowała policzki. Stacho spostrzegł, że od pewnego czasu widzi ją często obok. Ona, skoro zauważyła jego wzrok na sobie, spojrzeniem prosiła o przebaczenie. „Czego się plączesz — mówił — będą ranni — zawezwę. Idź i siedź w maglu. Tutaj strzelają i czołgi mogą nadjechać". Ale kiedy odchodziła, widział puste miejsce po niej.

— Bezpieczeństwo, bezpieczniej — to są wszystko stare słowa. Teraz trzeba by może nawet myśleć jakoś inaczej — mówiła powoli, poddając się spokojowi godzin wieczoru. Za dnia nikt nie mówił powoli. — Wiesz, w tym domu urodziła się Maria Curie-Skłodowska. Dziwne, że właśnie w takiej ruderze, jak mówisz. Dzisiaj w południe przeczytałam tablicę nad bramą. Zaraz później oparzyło naszego Francuza. Tego, co

to razem z „Tankiem", z „Janklem" i „Żydem" i z całą grupą Greków przyłączył się do nas, kiedy uciekli z Pawiaka. Francuz zasnął i już się nie obudzi. Dał mi adres i prosił, aby po wojnie zawiadomić matkę. To był Paryżanin. Zawsze myślałam, że Francuzi to poganie z włosami wysmarowanymi brylantyną. „Tank" będzie teraz sam przy kaemie... A Paryż już jest oswobodzony...

— Nie będzie sam. „Muchę" mu dodałem do pomocy.

— Dobrze, żeście wydębili tę morfinę. Kto by pomyślał, że tutaj w piwnicy jest morfina? Doktor wścieka się... „Słuchać nie można — mówi. — Amputuję na żywca"... Patrz, Stachu, co za człowiek z tego magistra. Cały balon eteru i tę morfinę trzymał do lepszych czasów. Nawet akowcom nie dał. Co za człowiek!

— Czy rozumiesz, Kasiu, co znaczy balon eteru? — Stacho powiódł dłonią wskazując na ludzi zgarbionych nad ogieńkami. — Oni nic nie wiedzą. Gdyby ten eter eksplodował, drzazgi by nie pozostały z tego domu i ze wszystkich okolicznych. On łatwo eksploduje.

— Francuz prosił, aby go zastrzelić. Doktór mówi: „Co ja mam zrobić? On nie wyżyje w żaden sposób. Piersi spalone na węgiel. A męczy się. Ja wiem, jak on się męczy. Żebym miał morfinę". Jakże zastrzelić towarzysza, jak sparszałego psa? Kto to potrafi? Potrafiłbyś?

Stacho pokręcił głową.

— Aptekarza — tego bym zastrzelił. Kto wie, gdybym wypił przed południem, może bym i nie powstrzymał ręki, tylko palnąłbym prosto w tę głupią, roztrzęsioną mordę. Wielką miałem chęć. Teraz mi to odeszło. Właśnie odstawiłem go do żandarmerii akowskiej. To ich człowiek. Niech z nim robią, co chcą. W sztabie tej żandarmerii byłem, w podziemiach kościoła garnizonowego. Porobili takie kojce. Słomy nanieśli. Baby tam jakieś w ciemnościach chichoczą. Idę, a tu wychodzi taki jeden, patrzy jak puchacz. „Czego tutaj szukasz? — mówi. — Szpiegujesz?" i za pistolet łapie. Baba go jakaś za łokieć trzyma i zapina bluzkę na sobie. Nadszedł jakiś oficer i mówi: „Zostawcie „Nowy" — to Alowiec. Nie rusz łajna, bo śmierdzi". Śmierdzi im, bo Armia Czerwona jest pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. Bo im warszawska parada nie wyszła. Z Londynu śpiewają tylko: „Z dymem pożarów". Oni już nie są na wierzchu. Inaczej by oni z nami gadali... Jakiś bajzel po prostu a nie sztab. Opowiadałem chłopcom, a „Tank" powiada: *„kamu wajna, kamu mat' radnaja"*. A jak przychodzimy na Mostową, to akowski komendant ze skóry wyłazi z radości i koniak wyciąga, i po plecach klepie. Mówi: „żebym to ja miał chociaż drużynę takich jak „czwartacy", spokojną bym miał wtedy głowę". Pomieszało się wszystko. Coraz cię-

żej wytrzymać. Szykanują. Wczoraj podali fałszywe hasło na noc i patrol chciał rozbroić „Admirała", kiedy wysłałem go na górę z meldunkiem. Coraz cięższej wytrzymać.

— Myślę wciąż o naszym Francuzie. Dla niego sprawa była prosta. Od razu trzymali się razem: on i „Tank". Spytali: „czy walczą w powstaniu komuniści?" On nie zdążył zorientować się w całym galimatiasie. Dla niego sprawa była prosta. Twoi chłopcy lubili go. Przynosili mu jakieś ozory w puszkach, bo myśleli, że mu dogodzą, skoro przywykł do innego niż nasze jedzenia. Teraz zasnął i nie obudzi się. Zlizał go ten ogień. Buchnął i zlizał, jak krowa żuczka na trawie.

Okna parterowego mieszkania, gdzie mieściła się obecnie kwatera oddziału Stacha, pozostawiono otwarte. Noc była gwiezdna i gorąca. Odblask przenikliwego światła reflektorów wsiąkał pomiędzy mury i oblizywał je leniwie. „Admirał" i „Florek" na dwa głosy śpiewali piosenkę kapepowską: „strycharze z Marek i z Baniochy i z Błonia bezrolny brat, powiedzą panom: „dość darmochy..."

Ludzie przy ogniskach przestali rozmawiać. Później Stacho i „Kasia" słyszeli, jak chłopcy proszą „Tanka" żeby i on coś zaśpiewał. Przekręcali polskie słowa i wydawało im się, że mówią doń po rosyjsku. Prosili, aby zaśpiewał gruzińską pieśń o miłości; tę lubili najbardziej, chociaż ani jej słów nie rozumeli, ani nie potrafili powtórzyć melodii skomplikowanej, noszącej wiele cech muzyki Wschodu. Wiła się w tej pieśni w kapryśnych splotach tęsknota chwytająca za gardło, olbrzymia jak masyw górski. — „Zaśpiewam dziś co innego" — powiedział.

Jego czysty, piękny głos wylatywał z okna i ponad głowami Stacha, „Kasi", nad ogniskami ludzi z piwnic, wznosił się i opadał, jak wielki ptak wypełniający podwórko skrzydłami. „Przejdziesz, mój towarzyszu, przez wojny i boje, nie zaznawszy snu ani zacisza. Ukochane miasto, możesz spać spokojnie i widzieć sny..."

— Tę pieśń lubił Francuz — szepnęła „Kasia". — On dlatego ją śpiewa.

Stacho wstał i przeciągnął się.

— Pójdę do „Dziury" na pierwsze piętro — powiedział. — W nocy nic nie będzie. Gęsto atakowali za dnia. Spaliliśmy im trzeci czołg. Starczy jak na jeden dzień.

Odwieczny budynek prochowni począł obrastać wrakami spalonych maszyn jak stary dąb czarnymi grudami huby.

— Będziesz znowu pił. Widziałam, jak „Dziura" gotował z cukrem wino od Dominikanów. Przytaszczyli cały kocioł. Zarżnął konia wczo-

raj i za ochłap mięsa dostał cały kocioł tego czerwonego octu. Będziesz pił — ja wiem. „Konrad" mówił, że ostatnio pijesz za często.

— A ty co? Niańka? — obruszył się Stacho i odszedł, nawet nie podawszy jej ręki, choć tak na to liczyła, ponieważ ściskając dłoń spogląda się w oczy.

Tej nocy akowski sztab odcinka „północ" wydał obłędny rozkaz, aby pewną ilość rannych zgromadzić w kościele świętego Jacka. Miało to odciążyć przepełnione szpitale. Nad wieczorem dnia następnego nadleciały „sztukasy" i zrzuciły kilka bomb. Bomby przebiły niby papier cienkie sklepienie z cegieł i utkwiły w posadzce. Stosowano już wtedy bomby z zapłonem opóźnionym. Ranni, leżący na noszach ustawionych ciasno we wszystkich nawach, ci, których nie zasypały cegły walące się ze stropu, jeszcze przez dziewięć sekund żyli, zanim nie nastąpiła potężna eksplozja, która bez reszty otworzyła sklepienie kościoła. Stał się podobny do olbrzymiego, wypróchniałego zęba. Stacho, powracając z placówki, przeprowadził swój oddział przez klasztor, omijając ruiny kościoła. Później „Konrad" polecił mu powrócić do prochowni i przekazać rozkaz o przygotowaniu nocnego natarcia. Stacho wybrał drogę przez ruiny kościoła. Nie znał wypadków ubiegłego dnia. Podeszwa jego buta natrafiła na przedmiot miękki i poddający się naciskowi. Przydusił guziczek lampki elektrycznej. Podnieść wzrok zdołał dopiero wówczas, kiedy w jednej z bocznych kaplic osunął się gruz, chrobocząc głośno. Przeniósł promień latarki. W kręgu światła zobaczył płowego psa, wysuszonego jak mumia. Pies znieruchomiał, patrzył na Stacha drgając kościstymi lędźwiami, oczy mu płonęły czerwono.

Tej nocy, kiedy pierwszy pluton czwartacki pod dowództwem samego „Ryszarda" szedł do natarcia niosąc na kocach niewypały pocisków z niemieckich miotaczy min, Stacho siedział w kwaterze na podłodze i czerpał filiżanką czerwone wino. Ogarniające go zdrętwienie witał jak druha.

Nad ranem powrócili do kwatery chłopcy, rozgrzani natarciem, w wyniku którego wysadzili w powietrze niemieckim trotylem niemiecką placówkę w „czerwonym domu". „Kasia" pierwsza pchnęła drzwi pokoju. Na podłodze spał Stacho w kałuży zwymiotowanego wina. Omijali go z pogardą także ci, którzy zazwyczaj nie skąpili sobie. Ona jednak pochyliła się i otarła mu usta. Następnego dnia wieczorem nie przyszła, aby porozmawiać z nim na progu kwatery. Chciał iść do szpitala i szukać jej, ponieważ noc zapowiadała się niespokojna i kto mógł wiedzieć, kiedy po raz ostatni rozmawia z towarzyszem. Pomyślał jednak, że może jest zajęta rannymi i nie wiedział dokładnie, co

jej powie. Wywoła ją z podziemia hal targowych przy Świętojerskiej, gdzie na piasku stały łóżka zapadające się w ziemię. Oderwie ją od jakiejś pracy i zawoła. Ona popatrzy pytającym wzrokiem, na który — jak jej odpowiedzieć? Tłumaczyć rzeczy mgliste i nieuchwytne, nie dające się łatwo wypowiedzieć? Prosić ją o litość w przerwie między dwoma opatrunkami? Aż stęknął podziwiając swoją głupotę.

W ciągu następnych dni i nocy chłopcy jego mówili: „stara się nasz „Bartek", zhardział".

Zauważył, że ma mniej strat, mimo wzrastającego bezustannie napięcia działań. Żywość jego udzieliła się chłopcom, walczyli precyzyjniej. Prowadził szkolenie w obsługiwaniu kaemu. Zapraszał „Aleksandrę" do kwatery, aby prowadziła pogadanki i rozmowy. Po jej odejściu, nierychło zaczynali tasować karty, a mały „Kindzior" perorował:

— Głupiście, „Admirale". Sam widzisz, co to wojna. Zarobiłeś przedwczoraj ocierem po szyi i jeszcze gadasz: „czego nie idą? czego nie idą?" Wedle ciebie jak? Karabin powiesił na plecach i idzie sobie spacerkiem spod Brześnia Litewskiego nad Wisłę, mleko po drodze popija, skowronków słucha. A nawet jeśli tak? Przespaceruj się. Dojdziesz do Wisły i nosem w wodę upadniesz. A to armia. Gdzie bazy dla samolotów? — Pod Kijowem. Gdzie ropa do czołgów? — W Smoleńsku. A szpitale, a zaopatrzenie... Lepiej byś się zastanowił. Ty myślisz, że to tak, jak pokazywali Niemcy na filmie. Czołgi jadą, muzyka gra, nikt nie jest zabity. A tu, bracie, czterech piechurów starło nogi do kości. Trzeba ich dać na podwodę, a podwody nie ma. Szukają. Żniwa. Chłopi nie chcą jechać. Pół dnia stracone, a tu motor nawalił, głupstwo powiedzmy, panewka się wytopiła, szukaj nowej, ale ona sto kilometrów z tyłu, a tu, bracie, Niemcy się okopali i paskudzą okolicę. Ty nic, tylko — „czego nie idą, czego nie idą?". A sam, jak czołgi nacierają, to mówisz, że butelek za mało i że zaraz przyniesiesz.

Roześmieli się, a później „Kindzior" zmówił się z trzema chłopcami, pobiegli do artysty malarza, który pracował w kancelarii sztabu, wykonywując ozdobne blankiety do krzyża Grunwaldu, plakaty rozwieszane w stołówce P o d B a z y l i s z k i e m i rysunki do gazety ściennej C z w a r t a k.

— „Wiktor", narysuj pomnik — prosił „Kindzior". — Podstawa, rozumiesz, na podstawie facet z pancerfaustem.

— Na cholerę?

— Narysuj, spokojna twoja głowa. Dla „Czwartaków" nie zrobisz?

Przybiegli ze zrolowanym papierem do kwatery, a „Faja" pozostał za drzwiami. Tam wydusił z siebie resztki śmiechu, zmierzwił włosy, przekrzywił hełm i wybałuszył oczy. Tak wkroczył do pokoju i zawołał:

— Wracam z Mostowej, koninę chłopakom zaniosłem na kolację. Krewa. Czołgi atakują. Nie mogą dać rady. Porucznik „Stasiek" prosi o pomoc. Mówił, żeby przysłać „Admirała". „Konrad" dał dla „Admirała" pancerfaust. Strzelają z daleka, nie podjeżdżają. Podczołgać się trudno. „Konrad" mówił: „Admirał" pewno nie wróci, odznaczymy go pośmiertnie. „Wiktor" machnął od ręki projekt pomnika. Usiądę. Osłabłem.

Podał „Tankowi" rulon papieru. Ten rozwinął go, przekrzywił głowę i bąknął: *Nu... niczewo...*

Karton wędrował w krąg i wreszcie podano go „Admirałowi". „Kindzior" pochylił się, oparł rękę na ramieniu i powiedział:

— Pomnik piękny. Na Mostowej postawimy, na placyku pomiędzy Prochownią a Czerwonym Domem. Tam, gdzie polegniesz, dokładnie w tym miejscu. A może chcesz gdzie indziej, co, „Admirał"? Powiedz swoje ostatnie życzenie. W ogóle coś powiedz, dobrze jest dla historii, kiedy bohater coś powie przed śmiercią. Wymyśl coś ładnego i żeby nie było długie.

— Tak, tak — powiedział „Faja". — Łatwiej będzie zapamiętać i na podstawie wyryć w kamieniu.

„Admirał" zbladł wodząc po ich twarzach baranim wzrokiem. Nie mogli znieść tego dłużej i ryknęli rozgłośnie.

— Umieram! — krzyczał „Kindzior", osłabły ze śmiechu.

— Dobrze, że się śmieją — myślał Stacho. Lecz zaniepokoiła go przyczyna wesołości, zawarte w niej okrucieństwo. Być może, że i „Tank" zrozumiał to podobnie. Skoro uspokoili się, mrugnął po łobuzersku i zanucił cicho *czastuszkę*. Otoczyli go i chórem powtarzali skoczny, pełen prostej wesołości refren: *oj... kalinka... kalinka...*

Uchyliły się drzwi i „Kasia" ukazała zza nich swą roześmianą twarz.

— Pozwólcie i mnie poweselić się z wami!

Długo w noc, kiedy dopalały się malutkie ogniska uciekinierów, obserwując ich gaśnięcie gwarzyli siedząc na betonowym schodku u wejścia do kwatery. Podwórko wydało im się za ciasne. Mieli nad głowami jedynie mały prostokąt nieba, nieco jaśniejszego od ścian kamienicy. Stacho poprowadził dziewczynę, trzymając ją za rękę. Usiedli na złomie muru w ogrodzie klasztornym. Nie cofnęła dłoni. Zza Wisły ciągnął mocny wiatr, zrodzony daleko na suchych stepach. Niósł zapowiedź pogody i odpędzał na zachód dym. Nie szeleściły drzewka w klasztor-

nym ogrodzie, podmuchy eksplozji już dawno pozbawiły je liści. Za dnia ich pnie i gałęzie szare były od pokrywającego je popiołu i kurzu. Nad skarpą staromiejską, nad Wisłą i nad jej płaskim prawym brzegiem wysoko wisiało bogate w gwiazdy niebo. Ono jedno nie uległo przemianom w otaczającym ich pejzażu. Rozległe, wszechobejmujące i odwieczne jak miłość.

— Ja wszystko wiem... Kilka dni temu „Aleksandra" mi mówiła: „chciałam, żeby został przyjęty do partii, a on się rozpił jak świnia. Jak tylko „Smukły" odszedł na śródmieście, on zaczął chlać, a ja go chciałam do partii. Patrzeć mi teraz trudno na niego". I wiesz, „Bartek"...

— Ja mam Stacho na imię. A tobie, jak?

— Katarzyna, Kasia — znaczy. Nie wybierałam sobie pseudonimu specjalnego i tak już zostało. Więc, Stachu, jak ona mi to powiedziała, zrobiło mi się głupio i wstyd. Ale ty pomyślisz, że ja ciebie agituję, a ja mówię po prostu...

— Nie myślę tak. A „Aleksandra" za szybko na mnie krzyżyk postawiła. Mnie nie tak łatwo przekreślić, ja się nie dam. Zobacz, co się dzieje naokoło. Rzeźnia, która się zamienia w dymiący grób. Ludzie z piwnic wilkiem na nas patrzą. Za jaką sprawę ja się biję? Pytam i nie umiem odpowiedzieć. Za co zginęli „Pepeszka", „Longin" i tylu innych? Połowa moich chłopców gryzie ziemię albo czeka na Świętojerskiej, kiedy bomba przebije strop szpitala. Wczoraj przyszedł do nas na Mostową jakiś cuduś, porucznik z AK. „Phi — powiada — straty. U mnie bywały dni, kiedy po dwudziestu zostawiałem na barykadzie". Gdzieś na Podwalu rypnęła bomba. Biegnie kobieta wzdłuż starej fosy, cała obsypana kurzem, nogi odarte ze skóry, woła: „dziecko!" Jak można na to patrzeć? I jeszcze ta pętla naokoło. Nie ma stąd żadnej drogi, nigdzie, wszędzie naokoło karabiny maszynowe. Jama z trupami — oto Starówka. Sekuła poszedł. „Aleksandra", no cóż, baba, jak z nią gadać? Towarzysze ze sztabu zaharowani, innych nie znam. A co ja? — Też człowiek. Cierpnę, kiedy pomyślę, że mnie tutaj zakatrupią. Nigdy nie bałem się. Nie widziałem, jak się umiera. Wydawało mi się to proste i zawsze jednakowe. Ale śmierć może być rozmaita. Tutaj jest straszna, na nic nieprzydatna.

Teraz już myślę inaczej. Teraz myślę tak: „a jeżeli wyżyję, „Smukły" po wojnie powie: „no co? pękłeś?" I powie jeszcze „a ten i ten i ten nie pękli. Inni wytrzymali, a ty?" Teraz już myślę o życiu. Tylko o życiu myślę.

— Dla nas w ogóle nie ma śmierci. Ja tak myślę, Stachu. Nie ma dla nas śmierci. Więc po co myśleć o rzeczach, których nie ma?

Stacho zamyślił się. Wysączył resztę dymu z drewnianej cygarniczki, wydmuchnął niedopałek i długo wdeptywał go w piach.

— Mówisz i prawdziwie, i bałamutnie zarazem. Pewno, że zaczęło się nie za nas i skończy się nie za nas. I kiedy nas nie będzie, sprawa nasza będzie szła dalej. Ja wiem... Ale człowiek ma jedno życie i my, widzisz, jesteśmy jakby na progu. Jeszcze miesiąc, jeszcze tydzień, a może dzień i doczekamy się tego, czego nie doczekało tylu przed nami. Nie będę kłamał. Boję się śmierci. Boję się — to nie znaczy, żebym się po dziurach chował, ale boję się. I dlatego nie o tym myślę, że przyjdzie zginąć, a o tym, że przyjdzie żyć.

Kasia drgnęła, od Wisły powiało chłodem.

— Zimno, kończy się sierpień.

— Prawda — powiedziała ze zdziwieniem.

Zdobył się na odwagę i otoczył ramieniem jej barki.

— Tak będzie cieplej — mówił szybko, aby uprzedzić jej odmowny gest. Ponieważ przytuliła się, ciepłym głosem dodał:

— Posiedzimy jeszcze, czy może musisz już iść?

— Służbę zaczynam dopiero o drugiej. Jeszcze jest czas — odrzekła.

O tej samej porze nocy następnej dowódca drużyny sztabowej AL „Gustaw" dyktował maszynistce meldunek, który łącznik miał przenieść kanałem na Żoliborz. „Dnia 26 sierpnia bomba lotnicza zabiła majora „Ryszarda", kapitana „Felka"... porucznika „Nastka"...

Na wielkiej wydmie gruzów pozostałej z domu, w którym urodziła się Maria Curie-Skłodowska, płonęło ognisko. W jego świetle migały ostrza kilofów.

Stacho otarł pot z twarzy rękawem koszuli i przypadł ciałem do cegieł. Nasłuchiwał chciwie. Żaden głos nie dochodził z wnętrza rumowiska. Stało się pewne, że sztab warszawski AL został zniweczony.

W cztery dni później oddziały powstańcze opuszczały Stare Miasto, przechodząc kanałami do śródmieścia.

W ciągu dwu nocy i jednego dnia czarny otwór włazu u zbiegu ulic Wareckiej i Nowego Światu wypluwał mokre kłębowiska ludzi, których niepokoił i napawał jednocześnie otuchą spokój panujący tutaj. Dotykali jak relikwii suto rosnących liści dzikiego wina, przeplatającego żelazną kratę kawiarni artystów na rogu Wareckiej.

Na puste, zapylone popiołem, zasypane rumowiskiem i żelazem ulice staromiejskie wychodzili ostrożnie ludzie z piwnic, uciekinierzy z Woli i mieszkańcy Starówki. Niespokojnie wypatrywali Niemców.

Po południu pojawiły się pierwsze białe flagi, zwisające ze ślepych okien. Na ulicy Rybaki, w domu stojącym naprzeciw prochowni, kilku mężczyzn przybijało gwoździkami prześcieradło do kija. Komendant domu prosił Stacha, aby ten zawiadomił go o likwidacji placówki. Unikał patrzenia w oczy, ponieważ wstyd mu było, mimo wszystko, białej flagi. „Panowie „Czwartacy" rozumieją, są dzieci i kobiety, mamy chorych i rannych. Uciekinierzy chcieli już wywiesić, ale ja ich powstrzymałem. Chcieli mnie bić, lecz uspokoili się, kiedy powiedziałem, że jak Niemcy zobaczą flagę, mogą podejść, a panowie „Czwartacy" zaczniecie wówczas strzelać, oni pomyślą, że to był podstęp i zemszczą się na nas. Przestali mnie wtedy szarpać..."

Stacho słuchał spokojnie, czytając w jego oczach zapadłych głęboką, wielką niepewność. Komendant nie powiedział tego, że ludzie krzyczeli: „nie pozwolimy strzelać powstańcom. Dosyć... przecież uciekają" i że uspokoiły ich nie tyle jego słowa, co popołudniowy atak lotniczy na ulicę Rybaki. Ostatni nalot przewalił się nad ich głowami. Dzień pochylał się, zamglony dymem i kurzem, którego wyniosłe zwoje niósł wiatr w górę Mostowej. Za przedpiersiami barykad leżeli chłopcy, odwracając głowy za siebie. Były to resztki oddziału Stacha, wzmocnione kilkoma ludźmi z drużyny sztabowej, której nazwa straciła wszelki sens.

O dziesiątej wieczorem „Gustaw" przysłał gońca z rozkazem zwinięcia obrony. Podnosili się powoli, zgarbieni przemykali za grzbietami barykad i siadali kolejno pod murem.

— Wszyscy są? Sprawdzić!

— Wszyscy... — bąknął ktoś z końca szeregu — wszyscy żywi... — dodał ciszej ten sam głos.

— Panowie odchodzą? — dopytywał się komendant niecierpliwie. Patrzył ponad ich głowami w ciemności zalegające wisłostradę.

— Poczekajcie na mnie. Zapalcie — powiedział Stacho do chłopców. — Prowadź — zwrócił się do komendanta. — Ja sam powiem, że odchodzimy.

— A może lepiej... może lepiej wy już sobie idźcie, panowie „Czwartacy".

Stacho był tak bardzo znużony, że uczucie gniewu nie objęło jego serca nagłym płomieniem, lecz wypełniało je powoli jak woda śluzę kanału. Pochylił zmrocznialą twarz ku twarzy komendanta i warknął głucho:

— Prowadź!

Piwnice były obszerne i sklepione półkolisto. Być może, dom ten postawiono na fundamentach przedwiecznych składów kupieckich, jak

wiele w tej części miasta, gdzie nawet mury starych fortyfikacji opierano o plecy czynszowych domów.

Panował gęsty, cuchnący mrok, a płomyczki małych kaganków nie tyle rozświetlały go, co odbierały resztkę tlenu z powietrza. Nikt nie spał, a pod sklepieniem szeleścił jednostajny poszum głosów. Jedynie dzieci drzemały zakopane w barłogach, sporządzonych ze słomy i szmat.

„Dzieci" — myślał Stacho. — „Skąd dzieci tutaj?".

Stał teraz sam pośród siedzących na ziemi i opartych o ściany ludzi, krzyczących najstraszliwsze przekleństwo samym swym istnieniem, swą nieruchomością, swoim milczeniem.

Stachem owładnęło zwątpienie. W głowie czuł pustkę, w której nie powstawał ani bodaj zarys myśli, które miał wypowiedzieć.

„Dzieci. Nie pomyślałem o dzieciach. Oni mają przecież dzieci" — myślał rozpaczliwie, podczas gdy ludzie z piwnicy powstawali i odrywali swe plecy od ścian, otaczając go coraz ciaśniejszym, milczącym kręgiem.

Podniósł głowę.

— Odchodzimy — powiedział cicho. — Dzisiejszej nocy ostatnie oddziały odchodzą ze Starówki. Możecie wywiesić białą flagę...

Zamilkł i przyciął zębami wargę. „Przepraszać, czy jak" — myślał.

Pierścień otaczających go ludzi pękł. Naprzeciw Stacha stanął człowiek o twarzy, której wieku nikt by nie określił, pokrywał ją wielotygodniowy zarost. Z marynarki, pozbawionej rękawa, wystawała goła ręka, bielejąca w mroku, podzwaniała cicho o klamrę bańka po konserwach, uwiązana u paska.

— I czego pan od nas jeszcze chce? Niech pan już idzie... — bełkotał podnosząc nagą rękę.

Stacho cofnął się o krok. Tamten zerwał z głowy watowaną czapkę niemiecką i cisnął ją Stachowi pod nogi.

— Zostaw, Jasiek — zadudnił w mroku czyjś głęboki głos. — Oni nic nie są winni. Kazali im.

„Mnie nikt nie kazał" — myślał Stacho wchodząc na stopnie schodów, prowadzących do wyjścia. I wtedy dopiero, na szczycie schodów, znalazł właściwe słowa.

Odwrócił się, pochylił do przodu i powiedział:

— My tu jeszcze powrócimy kiedyś. I wy powrócicie, i ja. Nie powróci ani „Bór", ani wszystkie byki z delegatury rządu. Ani nie zobaczą już nigdy Starówki ci z Londynu. Ale my tu jeszcze powrócimy.

Podniósł pięść. Nie wiadomo, czy groził, czy przysięgał, czy pozdrawiał.

W korytarzyku, wiodącym na zewnątrz, dogonił go głęboki głos człowieka, który mówił:

— ...On nie z tych. Ja ich znam. To z AL-u — komuniści...

To słowo napełniło serce Stacha ciepłą radością.

Przystanął na środku jezdni, chwycił nozdrzami tęgi haust wilgotnego powietrza nocy, przesyconego smolnym zapachem pożarów. Jasnym głosem krzyknął do chłopców przykucniętych pod ścianą:

— Wszyscy... powstań!

XIX

Jurek odwlekał z dnia na dzień. „Zgłoszę się jutro" — postanawiał. Ale później napływały tłumne wątpliwości, rzecz odkładał i postanawiał oczekiwać. „Z moją młodością tak się przecież nadaję do zabicia — mylał siedząc w przygodnym schronie — że nawet nie mogę dziwić się ludziom, których spojrzenia wyduszają mnie z tej piwnicy na zewnątrz".

Za dnia uczestniczył w tych wszystkich pracach, do jakich bez zbytnich zapraszań naganiano cywilów. Sypał barykady, nosił kamienie wyrwane z bruków i układał płyty chodników, tak, aby tworzyły rodzaj bunkrów przylepionych do ścian kamienic. Pracował pochylając nisko głowę, by nie napotykać wzroku młodych powstańców, dozorujących roboty. Czuł się oszukany.

W dniu, kiedy wybuchło powstanie, umówił się z „Genowefą" na rogu Marszałkowskiej i Hożej. „Pamiętaj: trzecia trzydzieści" — napominała, i nie przyszła. Wystarczyło, że poczekał na nią dwadzieścia minut, aby drogę do domu zagrodził mu labirynt ulic pozostających pod obstrzałem, aby miasto, tak znajome i łatwe do przebiegnięcia, zamieniło się w mroczny kocioł, bulgocący strzelaniną, pryskający żelaznymi kroplami. Kiedy szedł na spotkanie z „Genowefą", doznawał uczucia ssącego niepokoju, obserwując wzmożony, gorączkowy ruch na ulicach śródmieścia. Nie ulegał jednak głosowi przeczuć nakazujących mu powrót na Wolę, uznawał nawet przełamanie mglistych obaw za zwycięstwo nad swoimi nerwami, których rozedrganie wyjaśnił kanikułą i ogólnym nastrojem niepokoju, wniesionym do miasta przez odwrót niemieckiej armii.

Pozostał na ulicy Hożej, a później okazało się, że nawet przejście przez Aleje na północną stronę śródmieścia jest niezmiernie utrudnione. Wśród plotek na przemian panikarskich i buńczucznych, jakie wymieniali ludzie w sieniach i schronach, nie podobna było wypośrodkować cienia prawdy o czymkolwiek.

Poszedł na Wilczą do doktora Konstantego.

— Pan doktor został zmobilizowany. Odszedł przed godziną. — wyjaśnił sucho komendant OPL.

Jurek zatrzymał się jednak w tym właśnie domu, licząc na to, że Konstanty odwiedzi swoje mieszkanie, które zamknął na kłódkę.

Od tego dnia Jurek często opuszczał piwnicę, wyrywany z kąta ciężkim jak stalowy hak spojrzeniem komendanta OPL. Szedł, potykając się na stopniach schodów i wychodził na światło dzienne, wynosząc na urągowisko swoją młodą twarz i krzepką postać. Krzepkość jego była pozorna, a po tygodniu głód wyzuł go z resztek sił i pozbawił wstydu.

Kiedy wznoszenie barykad ustało, a wszyscy wokół przestali żądać bohaterstwa i otrzeźwieli, by popaść w nastroje pełne zwątpienia i gniewu, Jurek po dawnemu, jako jeden z nielicznych w tym domu przybłędów, wykonywał prace zalecone przez powstańców.

Stał się nosiwodą. Brnął poprzez wyrwy w chodnikach, dźwigając nienawistne kubły w dłoniach tak wiotkich jak meduzy. Szczęki jego pokrył puszystą kołderką kasztanowaty zarost, a źrenice płonęły w mrocznych oczodołach.

Tak spotkał go Konstanty.

— Jurek?

Postawił kubły na ziemi, popatrzył bezdusznie, a później powiedział:

— Czy masz może coś do zjedzenia?

Konstanty wodził po jego twarzy badawczym spojrzeniem.

— Czemu się przyglądasz? — spytał Jurek — Człowieka nie widziałeś? Napatrzysz się jeszcze. Już rychło przestaniesz się dziwić takim twarzom jak moja.

— Pójdź no, bracie, ze mną. Tyś skapcaniał—powiedział Konstanty.

O zmierzchu, kiedy zamilkło postękiwanie pocisków i noc zeszła na miasto, zaczerwieniona gorączką pożarów, Konstanty powrócił ze szpitala i przyniósł jedzenie.

Teraz Jurek leżał wyciągnięty na skórzanej kanapie i po raz pierwszy od wielu dni ćmił papierosa przy pełnym żołądku.

— Miałem zamiar zaciągnąć się jako mięso — mówił spokojnie, przerywając ciąg mowy dla zaczerpnięcia tytoniowego dymu. — Ostatecznie groziła mi śmierć głodowa. Pozostałem sam w obcej części miasta. A ciebie nie było. Ciągle myślałem, że spotkam kogoś z naszych i wahałem się. Trzy dni temu, kiedy w naszym schronie krzyczeli na mnie wszyscy, jak ptaki na przydybanego w dzień puchacza, kiedy wyładowała się ich złość i rozpacz, każąc im wymawiać mi kąt w piwnicy i po-

wietrze, które zabieram, zdecydowałem się już twardo: iść i prosić o przyjęcie do któregokolwiek z oddziałów. Bałem się pytań, jakie mogliby mi zadawać, kłamię nieudolnie, a milczeć tak jak w gestapo — nie wypadałoby. Wtedy wpadło mi w ręce to — Jurek sięgnął do kieszeni, wydobył zmiętoszony świstek gazety z nadrukiem Głos Warszawy i podał go Konstantemu, który przybliżył papier do świecy. — Pomyślałem wtedy, że dobrze będzie zaczekać jeszcze i przy pierwszej okazji przedostać się na północne śródmieście. Chciałem tam iść.

— I szukać wiatru w polu — powiedział Konstanty. — Szukać śladu ćwiartki papieru noszącej datę sprzed tygodnia, w mieście, gdzie jest trudno przejść ulicą.

Powstrzymało mnie jeszcze i to — ciągnął Jurek — że nasi dochodzą do Wisły. Po co — myślałem sobie — maczać ręce w tym wszystkim, niech ich diabli wezmą. Co ja z nimi mam wspólnego? Pomagać im, wygrywać ostatnią fałszerską kartę? Niech ich diabli wezmą.

— Ja miałem lżej — mówił Konstanty. — Miałem zbyt wiele roboty, aby myśleć, a przed kilkoma dniami odnalazł mnie „Smukły". Szukał ludzi. A gdzież znaleźć lekarza jak nie w szpitalu? Teraz pójdziemy z nim razem. Zaszedłem tu dziś, bo chciałem pożegnać moje cztery kąty. Mieszkało mi się tu i pracowało nieźle. Kto wie, czy wrócę kiedykolwiek. Czerniaków — to bardzo daleko.

Następnej nocy niewielki oddziałek ludzi schodził płytkim rowem, wyrytym w skarpie wąwozu ulicy Książęcej, w dół, w kierunku Wisły. Celem ich marszu była fabryka, zwana „Blaszanką", gdzie AL-owska kompania od kilku dni trzymała pozycję. Kroczyli gęsiego w milczeniu, pochylając się, aby nie dostrzegli ich ponad przedpiersie Niemcy ze szpitala świętego Łazarza. Jurek spoglądał bezustannie na swoją nową opaskę z literami AL, tak jak bezustannie spogląda się na nowy zegarek.

Tym samym rowem szły w górę karawany prowiantowe, niosąc puszki z konserwami pomidorowymi. Pomidorowe konserwy brali ze składnicy Społem na Czerniakowskiej, a jęczmień z browarów na Prostej. Co ochotniejsi a pozbawieni wstrętu ludzie poczęli patrzeć na koty i psy jak na dania mięsne.

Połowa powstańców chorowała na biegunkę.

*

* *

— Umierają „powstańcy" przeważnie na sraczkę — mówił Zenek wynoszący trupy razem z Dawidem.

— To nie są żadni lagrowcy. Wystarczy takiemu dwa tygodnie pochodzić na pokrzywowej zupie, żeby zmuzułmaniał. Później dorwie się gdzieś do brukwi albo wywęszy trochę chleba i gotów. *Durchfal* i część.

Dawid żywił w stosunku do „powstańców" uczucie niechęci. Prawie każdy z tych, z którymi zetknął go los, głędził na taką nutę: „Pan powinien zrozumieć, że my nie jesteśmy żadnymi prawdziwymi więźniami. Nie popełniliśmy nic, co by usprawiedliwiało nasz pobyt tutaj. Przywieźli nas z Pruszkowa, a my jesteśmy cywile niewinni". Wmawiali to wszystkim naokoło. Kładli to w uszy forarbajterów i posłów. Starali się przekonać nawet dowódców straży, że ich zwierzchnie władze popełniły fatalną omyłkę, przeczącą niemieckiemu poczuciu sprawiedliwości.

Rychło jednak zamykano im pełne słów usta czyniąc je zdolnymi jedynie do wydawania jęków.

Dawid pracował od miesiąca w komandzie czyścicieli. Przywykł. Ciałem człowieka bujali jak workiem pełnym mąki. Zenek wołał: „hoop!" — Oznaczało to, że rozmach jest już dostateczny i trzeba rzucić na samochód ostatnim, wielkim wysiłkiem wszystkich mięśni. Samochód odjeżdżał wznosząc pył na długiej drodze, biegnącej pomiędzy rzędami baraków, odjeżdżał w stronę, gdzie kurzyły tłustym dymem kominy krematoriów.

Dawid z lękiem spoglądał w tamtą stronę. Pragnął uniknąć pracy w krematorium, ponieważ sądził, że w momencie likwidowania obozu obsługa pieców zostanie dla zatarcia śladów wybita w pierwszej kolejności.

Dlatego to od tygodnia cierpliwie ponawiał zabieg, o którego skuteczności zapewniał go gorąco pewien stary Austriak: „udawało mi się w czasach pierwszej wojny dekować się tym prostym sposobem..."

Dawid zwilżał moczem skórę pomiędzy palcami rąk i pachwinami. Po pewnym czasie lekarz, na poły przekonany koloniami pęcherzyków na palcach Dawida, uznał go za chorego na świerzb i skierował do baraku dla krecowatych.

Po opuszczeniu szpitala, Dawid nie powrócił do dawnej pracy, lecz został zatrudniony w brygadzie budowlanej jako malarz.

Tak oto zamknął się krąg jego więźniarskich zatrudnień. Skończył na tym, od czego rozpoczął ten okres swojego życia, który tak dotkliwie okaleczył jego duszę, że później, kiedy przyszło mu powrócić do malowania obrazów na gładko, lśniąco-białych, brzęczących prawie pod dotknięciem pędzla płótnach, napiętych na prostokątne blejtramy, malował rzeczy widziane tak, jakby miały za chwilę sczeznąć, zniszczone

nieludzkim kataklizmem. Kwitnący sad mógł malować jedynie tak, jakby za chwilę miał runąć obalony uderzeniami wściekłych siekier.

Latami wyganiał ze swego mózgu te przywidzenia. Nie zginął bowiem, lecz ocalał za sprawą pewnego Niemca z Volkssturmu. Kiedy Dawid leżał w grupie rannych po ostatnim nalocie na ewakuowany transport więźniów, widząc jak ładują zdrowych na ciężarówki, spytał: „my będziemy rozstrzelani?" Odpowiedział mu ów volkssżturmista: „ja nie zastrzelę nikogo". Powiedział o wiele więcej, niż Dawid mógł się spodziewać. Wyczołgał się zatem i wlókł swe ciało po ziemi, na którą kładły się długie, miękkie cienie zmierzchu. Za jego przykładem nie poszli bracia Zylber, ranni odłamkami tej samej bomby, która zmiażdżyła mięśnie Dawida. Bali się śmierci, lecz obca im była ta wielka i żarliwa miłość do życia, którą on żywił.

Dlatego jemu, a nie im sądzone było dostrzec nocą łuny nad widnokręgiem ziemi niemieckiej.

*

* *

W drugim miesiącu powstania żołnierze warszawskiej Armii Ludowej wykonali dwa najsensowniejsze w ogólnym powstaniowym bezładzie posunięcia. Jednym z nich było utworzenie przyczółka na Żoliborzu z wykorzystaniem wsparcia artyleryjskiego, jakiego udzieliły baterie jednostek artyleryjskich Pierwszej Armii W. P. Umożliwiło to przerzucenie znacznej części sił AL-owskich na Pragę.

Na Czerniakowie specjalnie wydzielona sekcja przygotowała i przeprowadziła z dobrym wynikiem przerzut łączniczek na Saską Kępę.

Nocą nad Saską Kępą polatywały kapryśnym jak ćmy lotem poczciwe kukuruźniki. Gasiły one oczy reflektorów. Motory ich gderały przyjaźnie.

12-go września Niemcy zajęli gmach ZUS i przecięli w ten sposób wątłe połączenie Czerniakowa ze Śródmieściem.

Tego wieczoru łączniczki z warszawskiego AL-u jadły kolację w kwaterze Rokossowskiego.

— Słyszycie — powiedział — kiedy nad dachem domu przetoczył się jak turkot galopujących taczanek głos kukuruźników. — Niosą broń dla Warszawy.

W dniu następnym powietrze nad Wisłą westchnęło ciężko eksplozją, zrywającą przęsła Mostu Poniatowskiego. Jurek powiedział:

— No to cześć. „Bór" wywojował swoje. Oni są izolowani od niebezpieczeństwa. — Powiedział tak, kiedy po twarzach przeciągnął ciepły podmuch eksplozji znamionującej śmierć mostów.

Tkwili przez cały dzień w porcie czerniakowskim, w schronie, wymykając się w przerwach, jakie następowały w bezustannym ataku lotnictwa i artylerii. Biegli wówczas rowem dobiegowym na punkt obserwacyjny, by sprawdzić meldunek Stacha, mówiący o tym, że dostrzegł na wale miedzeszyńskim ludzi w mundurach koloru trawy. Wpadł do schronu wykopanego w ścianie brzegu Wisły, był obsypany kurzem i wytrząsał zza kołnierza grudki ziemi.

— Nasi, jak pragnę wolności, nasi — krzyczał, wypluwając piach.— Ależ łupią, czegoś podobnego nie było nawet na Starówce. Od wczoraj żyć nie dają.

— Jasne — powiedział Sekuła — przyczółek. Ostatni warszawski przyczółek. I to przyczółek do uratowania. Wystarczy atak w dół po skarpie, wzdłuż Książęcej, odbicie ZUS-u. Przerzucenie wszystkich sił tutaj — i już miasto będzie ocalone. Ale sztab AK-owski odda Czerniaków. Teraz zależy im tylko na przegraniu powstania.

— Bydlaki — jęknął Konstanty spod brudnobiałego turbanu, pokrywającego mu głowę. Był silnie kontuzjowany i każda kolejna detonacja rozsadzała mu czaszkę.

O zmierzchu nadszedł czas decyzji.

— ... Więc tak — kończył naradę Sekuła. — Kiedy nadlecą kukuruźniki i zgaszą reflektory, Stacho i Jurek przepłyną na tamtą stronę. Ja ściągnę naszych z „Blaszanki", zaraz tam idę. Doktorze, czy „Kindzior" może coś robić? On jest najlżej ranny.

— Może. Cóż teraz nie można? Wszystko można. Nie ma żadnych niemożliwości — stęknął Konstanty pokonywując obezwładniający go ból.

— Więc „Kindzior" będzie obserwował czekając na wasz sygnał z tamtej strony. Nie zamoczcie rakiet.

Siedzieli w wiklinach, przytuleni ciasno do siebie, oczekując znajomego turkotania motorów.

Od wody ciągnął mocny zapach wilgoci; rzeka mlaskała leniwie, oblizując drobnymi falami piach, obojętna i cierpliwa bezmiernie.

— O czym myślisz? — spytał szeptem Jurek. Pragnął zagadać nadchodzącą coraz silniej chęć zapalenia papierosa.

— Tak sobie... myślę o jednej dziewczynie... Ona została na śródmieściu i ja teraz jestem od niej odcięty...

*

* *

Pozostała na śródmieściu jedna AL-owska kompania o sile ogniowej plutonu strzeleckiego. Starali się powiązać z Czerniakowem, atakując wzdłuż ulicy Książęcej. Starczyło sił na odbicie jednego domu. Dalszy atak był niemożliwy. Niemcy ryglowali dół Książęcej ogniem z Sejmu, ze szpitala św. Łazarza i z ZUS-u. Jako jedyne zadanie do spełnienia pozostało — wytrwać. Uczestniczyli w obronie placówki „u Głuchoniemych". Tam zastało ich zawieszenie broni.

Wyszli ze stanowisk, zza barykad i z okopów na powierzchnię ziemi. Zrywali astry w ogrodzie Zakładu dla Głuchoniemych i Ociemniałych. Trawy w ogrodzie więdły, od ziemi szedł zapach zgnilizny. Chlupotały pierwsze, płaczliwe deszcze października. Chłopcy przypinali do bluz pęki czerwonych astrów. Cieszyli oczy ich gorącą barwą. Wydawały im się zadziwiające, tak jakby wyrosły gdzie indziej, gdzieś, gdzie jest życie.

Przyszłość najbliższa rysowała się smutno. Przewidywali jesienne szarugi, które towarzyszyć będą głodowi i tułaczce. Wolność przystanęła w marszu. Wiedzieli, że nie ruszy ofensywa, zanim nie zostanie przygotowana, zanim lód nie skuje szerokiej wody na Wiśle.

„Bór" uścisnął dłoń junkra von den Bacha. Dwaj arystokraci, dżentelmeńscy oficerowie starej daty, uśmiechnęli się do siebie jak po nocy spędzonej przy grze. Jeden z nich nie miał passy. Do dobrego tonu należy porażkę skwitować uśmiechem. W kancelariach zgrupowań powstańczych wypłacano stojącym w ogonkach żołnierzom po cztery tysiące złotych lub dziesięć dolarów. Piętnaście centimów za dzień powstania.

Obliczano, że w Warszawie zostało zabitych ćwierć miliona ludzi. Stacho i Jurek uniknęli twardych doświadczeń, jakie były udziałem tych, którzy przeżyli warszawskie *exodus*.

Starając się jak najciszej zanurzać pióra wioseł, przecinali Wisłę. Gdy osiągnęli drugi brzeg, Jurek obejrzał się. Rzeka, zabarwiona ogniem, płynęła czerwono i groźnie, tak jakby nigdy już nie miała zalśnić utopionymi w niej klingami srebrnego światła latarń, oświetlających spokojne bulwary.

Jurek odwrócił głowę. Przed nimi daleko w mroku płonęło kilka pożarów, wznieconych na praskim brzegu przez artylerię niemiecką. Widok ten nie był posępny. Dla nich były to ognie wolności.

KONIEC

Bohdan Czeszko

EUGENIUSZ PAUKSZTA

DYSKUSJA

Gdy wchodzili na salę, huczało w niej już setką zmieszanych głosów. Szereg jasnych, mocnych lamp rzucał snopy świateł na rzędy żółtych krzeseł. Nie wszystkie były zajęte. Część zebranych przechadzała się szerokim środkowym przejściem, inni stali pod filarami pogrążeni w rozmowie.

Wojewódzki zjazd lekarzy trwał już trzeci dzień. Na twarzach zebranych tu ponad stu przedstawicieli medycyny nie znać było jednak zmęczenia. Program zostawiał czas na wypoczynek i swobodną pogawędkę.

Doktor Kamieński przeciskał się ku pierwszym rzędom krzeseł. Przybyli z nim razem młodzi asystenci Wrześniewskiego pozostali skromnie w tyle. I tak z trudem udało się im uzyskać zaproszenia na obrady.

Byli podnieceni, przejęci ważnością chwili. W kołach lekarskich chodziły od dwóch dni słuchy o przygotowywanej kampanii przeciw tezom Wrześniewskiego, które podać miał do wiadomości zebranych doktor Kamieński. Może to właśnie stało się przyczyną, że podczas jego referatu prawie wszyscy byli obecni. Lekarze też lubią sensacje... A sprawa Wrześniewskiego, taki bowiem termin wszedł już powszechnie w życie, zapowiadała prawdziwą sensację.

Markiewicz z Warczakiem uważnie lustrowali salę szukając na niej sprzymierzeńców i wrogów.

— Patrz, jest Bieniek. Tam siedzi, obok tej starszej pani. I on się pokazał.

— To najmniejsza, na pewno nie wystąpi otwarcie. Żeby coś mówić, trzeba wiedzieć, o czym się ma mówić. On zaś nie ma zielonego pojęcia o metodzie... Nasi stypendyści usadowili się razem: Żurkówna, Gospodzka, parę krzeseł dalej doktor Piątek, jest i Konarkówna.

— Pisze ostatnio większą pracę opartą na spostrzeżeniach poczynionych w naszym zakładzie. Jest pełna entuzjazmu.

— Zuch kobieta. I przecież nikt jej nie skierował. Sama przyszła na studia do Wrześniewskiego.

— Tak. Zwolenników naszych jest sporo na sali...

— Co z tego, kiedy wystąpić na zewnątrz odważą się tylko nieliczni... Ciekaw jestem: wywiąże się ostra dyskusja, czy też wszystko rozpłynie się po kościach?

— Wczoraj w klinice profesor Jadźwiński zapowiedział swoją krytykę. Myślę, że skorzysta z okazji. Ale doktór Kamieński da sobie radę. Ma argumenty. Uzgodniliśmy zresztą, że w razie potrzeby zażąda wypowiedzi tych lekarzy, którzy popierają Wrześniewskiego, a boją się wystąpić z tym oficjalnie. Fakty będą musieli potwierdzić. A o cóż innego nam chodzi?

— Jest pisarz, wszedł teraz razem z doktorem Zanowiczem. To świetnie, że jest i Zanowicz. Ten nie zna strachu, będzie się bił o Wrześniewskiego.

— Najwięcej liczę jednak na profesora Drwęckiego. Ten może zadać bobu Jadźwińskiemu. Z jego zdaniem wszyscy się liczą. Młody profesor, ale naukowiec wielkiej klasy...

Za stół na estradzie wtaczał się powoli przewodniczący, młody lekarz o jowialnej, wesołej twarzy i nader wydatnym brzuchu. Obok zajmowali miejsca członkowie prezydium zjazdu.

Lekarze przepychali się na swoje miejsca. Gwar spotęgował się na chwilę, potem powoli ucichł. Szczęknęło jeszcze jakieś krzesło, ktoś zakaszlał, z trzaskiem zamknęła się metalowa popielniczka.

Przewodniczący podniósł się z miejsca. Chwilę stał czekając aż wszyscy umilkną.

— Proszę koleżanek i kolegów! Jako następny punkt porządku dziennego naszych obrad referat kolegi Kamieńskiego „O metodzie hydriatrycznej doktora Wrześniewskiego". Po referacie dyskusja... Proszę prelegenta o zabranie głosu.

Kamieński szybkim, żwawym krokiem wbiegł na estradę. Przesunął lampę na mównicy, by światło padało na rozłożony przed nim tekst, chrząknął w zwiniętą dłoń, powiódł wzrokiem po sali. Cicho było, oczy zebranych skierowały się ku postaci lekarza w ciemnym, starannie odprasowanym ubraniu.

— Wystroił się dzisiaj nasz Kamieńszczak! — szepnął Warczak koledze do ucha.

Ktoś z tyłu syknął niecierpliwie. Kazimierz ostro łysnął zza szkieł na kolegę. Ten niewiele sobie z tego robił. Uśmiechnął się tylko szelmowsko i uniósłszy nieco głowę wypatrywał miejsca, gdzie siedziała jego narzeczona.

Kamieński mówił spokojnie, nie za głośno, na tyle jednak dobitnie, że głos jego bez trudu można było usłyszeć na końcu sali. Był opanowany i pewny swego. Referat opracowany latem poddał ponownej redakcji, rozszerzył, uzupełnił argumentami i przykładami najbardziej uderzającymi. Do dyskusji był przygotowany gruntownie.

Czytał, rzucając co pewien czas spojrzenia na salę. Napotykał wtedy surowy, skupiony wzrok profesora Jadźwińskiego oraz życzliwy uśmiech profesorów Zakrzemskiego i Drwęckiego. Przemykał po pełnej nietajonej niechęci twarzy profesora Żmigalskiego, widział dziwny grymas na twarzy doktora Bieńka, wesoły, nieco figlarny uśmiech Żurkówny, z napięciem wpatrzone w niego oczy asystentów z zakładu.

Nie to jednak było dla niego w tej chwili najważniejsze. Istotę stanowiło zainteresowanie albo jego brak wśród ogółu zebranych lekarzy, nie zaangażowanych bezpośrednio w walce o metodę Wrześniewskiego.

Nie mógł narzekać. Mówił już z pół godziny, a napięcie słuchaczy nie malało. Zasadniczy wywód teoretyczny dobiegał końca. Dalsze tezy ilu-

strować będzie przykładami, nieraz tak rewelacyjnymi, że będą musiały ściągnąć ogólną uwagę, wywołać wysokie napięcie.

Oprócz Kamieńskiego na reakcję zebranych szczególną uwagę zwracali ludzie ze środowiska Wrześniewskiego, zaznajomieni już z referatem podczas zbiorowego jego omawiania.

Warczak badał twarz po twarzy. Przeszkadzała mu w tym nieco obecność Żurkówny, która stale przyciągała jego spojrzenia ku sobie. I ona z zaciekawieniem spoglądała na salę. Czasem spojrzenia zakochanych spotykały się i wtedy uśmiechali się radośnie.

Mroczniało od dymu. Dwa niewielkie wentylatory nie mogły nadążyć ze zmianą powietrza. Robiło się duszno. Uwaga kilku słuchaczy zelżała. W ostatnim rzędzie jakiś wychudzony człeczyna pochrapywał z lekkim poświstem. Inny dyskretnie czytał gazetę. Z paru miejsc dochodziły przytłumione szepty.

Większość zebranych słuchała z niesłabnącym napięciem. Kilka przykładów podanych przez Kamieńskiego wywołało w pewnym momencie cichy szmer — nie wiadomo — podziwu czy niezadowolenia. Chwilami napięcie zdawało się nawet wzrastać.

Trzeba było przyznać Kamieńskiemu umiejętność właściwego rozłożenia w czasie tez referatu. Chwilami celowo osłabiał siłę dowodzenia, by po takim odprężeniu wystrzelić nowym, silnym argumentem, ponownie przyciągającym uwagę słuchaczy. W bardziej istotnych miejscach zwalniał, skandował prawie poszczególne sprecyzowania, dawał słuchającym czas do robienia notatek.

Spojrzał na zegarek. Mówił już 50 minut. Do końca pozostało niewiele. Zasadnicze problemy już przedstawił, teraz mógł znowu stonować. Oczy jego nieustannie śledziły salę. Pragnął z góry dowiedzieć się, z czyjej strony spotka go najsilniejszy sprzeciw.

„...Na zakończenie omawiania reakcji naczyniowej i energetycznej muszę podać, że stadium drugie sumowanych reakcji przechodzi w trzecie i ostatnie. Nazywamy go porażeniem naczyń odnośnie układu naczyniowego lub atonią odnośnie reakcji energetycznych. Stadium to — choć ma mniejsze znaczenie praktyczne — jest bardzo ciekawe dla badacza. W czystej postaci występuje rzadko. Poronne postacie zdarzają się w przypadkach nadmiernego stosowania stałych zadrażnień na pewne części ciała np. okładów lub zmaczania głowy pod kranem. Opis objawów takich przypadków zabrałby dużo czasu, więc opuszczam go celowo.

Z dość pobieżnego z konieczności omówienia metody Wrześniewskiego wynika, jak wielkie znaczenie mają bodźce wodne w powstawaniu stanów chorobowych. Po zaznajomieniu się z tezami widzimy, że te same bodźce mogą przyczynić się do wyzdrowienia pod warunkiem zaniechania mycia się zimną wodą. Tylko woda o ciepłocie 30 — — 34° jest prawie obojętna..."

Uważnie spoglądał na salę. Słuchacze byli znużeni. Miał jeszcze jakieś trzy, cztery minuty do zakończenia. Teraz należy ponownie zogniskować rozpierzchłą nieco uwagę, powtórzyć zasadnicze tezy całego referatu.

Podniósł głos, akcentując dobitnie słowo po słowie.

Na sali można było zauważyć wyraźny wzrost napięcia. Schylone głowy podniosły się, oczy stały się czujne.

Kamieński powoli dobiegał końca:

„...A więc jeszcze raz — powtarzam — przy pomocy bodźca hydrotermicznego czyli po prostu wodnego potrafimy wywołać stan trwałej ortotonii i właściwej innerwacji, co z kolei w każdym prawie schorzeniu da nam poprawę i bardzo często wyleczenie zupełne. Ortotonia jest warunkiem zdrowia."

Zatrzymał się na moment, odetchnął, spojrzał ponownie na salę. Swobodnym już głosem zwracał się teraz z apelem do zebranych:

„Wzywam zebranych tu kolegów, by przyczynili się do przełamania oporów — w tym miejscu niedwuznacznie spojrzał w stronę siedzących nieopodal siebie największych przeciwników teorii Wrześniewskiego — stojących na drodze do rozpowszechnienia tej tak wiele dającej metody. Przede wszystkim zaś wzywam tu zebranych, by sami tę metodę poznali i zastosowali w praktyce."

— Oho, jeszcze jedna szpilka! Zuch ten Kamieński! — Warczak zwrócił swą uśmiechniętą twarz ku przyjacielowi.

Kamieński skłonił się zgromadzonym, schodził z trybuny.

Żurkówna odwróciła się ku Stefanowi. Spojrzenia ich spotkały się.

Przewodniczący podniósł się i zarządził pięciominutową przerwę, w czasie której należało zapisywać się do dyskusji.

Z hałasem powstawali wszyscy z miejsc, tłoczyli się w przejściu, rozprostowywali mięśnie znieruchomiałe podczas długiego siedzenia. Tworzyły się luźne grupki, dyskutujące z zapałem. Znać było, że referat wywołał ożywienie. Profesor Jadźwiński perorował coś stojącemu przed nim lekarzowi. Jeden potakiwał, drugi jednak kręcił z powątpiewaniem głową.

Do Kamieńskiego palącego nieco nerwowo papierosa przepychał się profesor Drwęcki. Głośno wołał już z daleka:

— Świetnie, panie kolego, świetnie. Musi pan koniecznie drukować swój referat. Da on dużo do myślenia antagonistom Wrześniewskiego... Szczerze panu gratuluję!...

— Żeby tylko — jak zawsze — nie skończyła się ta rzecz zapomnieniem...

— Nie powiem, nie powiem, każdą wielką rzecz, nową myśl, koncepcję trudno zrodzić, ale jeszcze trudniej zmusić do jej przyjęcia ludzi tkwiących w przestarzałych formach myślenia. To samo i tutaj. Nie trzeba jednak ustawać w wysiłkach, a w końcu przyjdą pełne sukcesy... Ciekaw jestem: wywiąże się mocniejsza dyskusja, czy też będzie podobnie mdła i sucha jak po referatach z poprzednich dni?

— Ja także jestem ciekaw. Podobno profesor Jadźwiński zapowiadał swoją opozycję.

— No, ciekawym, ciekawym...

Zabrzmiał znów dzwonek przewodniczącego.

— Otwieram dyskusję nad referatem kolegi Kamieńskiego. Do głosu apisali się w kolejności doktór Bulbiński, profesor Drwęcki, profesor adźwiński...

Bulbiński powstał z miejsca.

— Chciałbym przede wszystkim zwrócić uwagę szanownych kolegów a formalną stronę badań i wyników doktora Wrześniewskiego. Weźny pod uwagę następujące fakty. Primo — nie można odmówić Wrześiewskiemu wielkiej indywidualności, ba, śmiem twierdzić, znacznych ił sugestywnych. Secundo — Wrześniewski leczy w przeważnej części erwicowców i psychopatów. Rozmawiając z nimi przed każdym nieal zabiegiem, ma wielki wpływ sugestywny na przebieg ich reakcji sychicznych. W podsumowaniu obu tych stwierdzeń śmiem wysunąć ezę — oceniając prace te ze stanowiska neurologa-psychoanalityka — e należałoby wątpić, czy powtórzenie tych samych doświadczeń przez nych lekarzy na osobnikach o charakterach niehisterycznych dałoby efekcie podobnie pozytywne rezultaty.

Jadźwiński obrócił się całą postacią w stronę Bulbińskiego i manifetacyjnie kiwał doń potakująco głową. Część obecnych z uwagą śleziła jego zachowanie. Jadźwiński od lat pracował w aureoli sławy i jao diagnosta miał doskonałą opinię. Wykładał przy tym ciekawie, ale ie cieszył się sympatią studentów. Stanowczo przeciwstawiał się różym, jak on to nazywał, „rewelacjom" naukowym, powątpiewając, czy medycynie da się jeszcze tak wiele nowego kiedykolwiek powiezieć.

Bulbiński nie zdążył usiąść, gdy poderwał się z miejsca doktor Tomzak, impulsywny, nerwowy człowieczek niewielkiego wzrostu.

— Pan kolega nie był zapisany teraz do głosu... — zwrócił mu uwagę rzewodniczący.

— Ja tylko parę słów właśnie w kwestii poruszonej przed chwilą rzez mego przedmówcę! — i nie dając już przewodniczącemu dojść o słowa, mówił szybkim, nieco sepleniącym głosem. — Miałem niawno pacjenta doktora Wrześniewskiego, który leczył się również u mnie. Człowiek ten, dopóki leczył się w Zakładzie Przyrodoleczniczym metodą doktora Wrześniewskiego, czuł się zupełnie zdrów. Po kończeniu kuracji w bardzo prędkim czasie wszelkie objawy chorobowe wróciły jednak. Była to zwykła nerwica z objawami bólów w okolicy serca, z lekką depresją psychiczną. Zły sen, zaparcie, lęki w nocy, óle głowy... Przeprowadziłem także badania dodatkowe — nie wykazały żadnych zmian. Przytaczam ten przykład specjalnie, by na nim yraźnie wykazać, że dopóki istniał sugestywny wpływ doktora Wrześiewskiego czy zakładu, w którym pracuje, póty chory czuł się zdrów. Nerwice bardzo łatwo ulegają takim wpływom... Gdy jednakże po zakończeniu kuracji pacjent stracił kontakt z doktorem Wrześniewskim, wszystkie objawy chorobowe natychmiast wróciły. Bardzo możliwe, że innych przypadkach ten wpływ sugestywny Wrześniewskiego trwa nacznie dłużej. Nie mam zamiaru uchodzić za wroga doktora Wrześiewskiego. Jeżeli ktoś skutecznie leczy wpływami sugestywnymi, to ylko należy złożyć mu szczere gratulacje. Sam zresztą posyłam czasami

pacjentów do doktora Wrześniewskiego... Jeżeli zaś zabieram głos, to tylko dlatego, że uważam, iż należałoby pod kątem właśnie wpływu sugestywnego skontrolować wywody prelegenta.

— Tomczak jest z tej samej paczki, która tak zwalcza staruszka — szepnął Warczak do przyjaciela. Był podniecony, ręce zaciskał silnie, aż nabrzmiewały krwią.

— Wiem. Ale ciekawie się zapowiada, nieprawda, Stefan? To bzdury jak dotąd, Kamieński da sobie łatwo radę z tymi argumentami, zresztą wynikającymi z kompletnej nieznajomości metody Wrześniewskiego...— Markiewicz był spokojny, śledził dyskusję jak ciekawy obraz filmowy, z przejęciem, ale bez podniecenia.

— Profesor Drwęcki — zabrzmiał głos przewodniczącego.

— No, czyżby zaczynała się gra? — mruknął Warczak.

Wśród zebranych nastąpiło ożywienie. Drwęcki znany był szeroko jako jedna z najmocniej wybijających się po wojnie sław naukowych w kraju. Ostatnio ogłoszone jego prace uznane zostały przez fachowców za rewelacyjne.

Profesor, mający trochę więcej niż czterdziestkę, stał spokojny, uśmiechnięty. Prezentował się okazale. Szpakowata bujna czupryna dodawała uroku jego ostrej, nieco rzymskiej twarzy.

— Zaraz na wstępie muszę stanowczo zaprzeczyć stanowisku kolegów Bulbińskiego i Tomczaka. Opinie ich świadczą dla mnie jasno o jednym. Mówią oni o zagadnieniu, o którym wiedzą bardzo mało, nic prawie.

Przyciszony szmer przebiegł po sali. Bulbiński poczerwieniał na twarzy. Przewodniczący nie wiedział, czy ma zadzwonić czy nie. Żurkówna pochyliła się ku Gospodzkiej:

— Oho, Drwęcki zaczyna ostro. Cieszę się, że przyszedł na to zebranie...

Profesor chwilę wyczekał, potem mówił dalej tym samym łagodnym, spokojnym głosem, w którym jednak nie trudno było wyczuć wielką energię i siłę.

— Śmiem tak twierdzić dlatego, że metodę Wrześniewskiego znam bardzo dobrze, zarówno od strony teoretycznej jak i praktycznej. Ogłaszam stanowczo, żeby nie było omyłek, że w metodzie Wrześniewskiego nie może być mowy o żadnej sugestii!

Odetchnął głęboko, uśmiechnął się ironicznie do Bulbińskiego.

— W 1938 roku byłem uczniem doktora Wrześniewskiego. Pracowałem u niego dokładnie osiem miesięcy. Poznałem tam zarówno samą metodę jak i system pracy lekarskiej w zakładzie. Dlatego jeszcze raz powtarzam, bredniami są twierdzenia o sugestii w systemie Wrześniewskiego! Widziałem niejednokrotnie ustępowanie objawów chorobowych u pacjentów leczonych metodą Wrześniewskiego, opartą na prawach i regułach, o których pacjenci nie mieli najmniejszego pojęcia. Widziałem, jak w trakcie kuracji zmieniały się kształty serca w obrazie rentgenologicznym, obserwowałem szereg ustępujących obiektywnych objawów chorobowych w przypadkach, gdy pacjenci w najmniejszym stopniu nie wierzyli w pomyślny rezultat kuracji.

Stwierdzam jeszcze raz, że Wrześniewski w każdym razie operuje mniejszą ilością czynników sugestywnych, niż operuje się nimi we wszystkich szpitalach i klinikach.

— Ależ siecze! — Stefan rozentuzjazmowany pochylił się w stronę kolegi.

— Cicho bądź!

Drwęcki akcentował teraz słowo po słowie.

— Jeśli zaś chodzi o Wrześniewskiego, wyraziłbym się odwrotnie. Gdy mowa o sugestii, to raczej właśnie pacjenci mają wpływ na niego, zmuszając go swoim natręctwem do nadmiernej pracy.

Profesor Jadźwiński nie wstając rzucił ze swego krzesła:

— Wierzymy koledze na słowo, że w zakładzie dra Wrześniewskiego szanowny kolega widział naocznie i sprawdził wszystkie te cudowne wyleczenia — słowo to wymówił Jadźwiński z wyraźną ironią — stwierdzając, że nie może tam być mowy o działaniu sugestywnym... Chociaż przyznam się, że ja, jeśli mam pacjentkę o charakterze histerycznym i daję jej odpowiednie leki, nie zawsze mogę odróżnić działania sugestywnego od działania leków...

Przewodniczący nieco bezradnie rozglądał się dokoła. Panowanie nad dyskusją wyraźnie wymykało mu się z rąk. Jeżeli i profesorowie zaczną sobie przerywać...

Drwęcki od razu podjął rękawicę.

— Bardzo przepraszam! Nie posuwajmy moich twierdzeń w interpretacji nazbyt daleko. To oczywiste, że niektóre zaburzenia dość łatwo podlegają wpływom psychicznym, czy może bardziej słusznie to określając, podatne są na wytwarzanie się pewnych mechanicznych odruchów warunkowych. Ale tu przecie nie chodzi o leczenie samych nerwic, które zresztą są schorzeniami bardzo uciążliwymi i bynajmniej nie zasługują na pogardę i lekceważące miano histerii — tu chodzi także o schorzenia organiczne, jak choćby przykładowo — gruźlica czy kiła. Takie właśnie przypadki potwierdzały prawa Wrześniewskiego, od prawa o sumowanych reakcjach poczynając. To są rzeczy sprawdzalne na każdym z nas. Choćby i na szanownym koledze dałoby się je bez trudu zademonstrować!

Pojedynek między obu profesorami zaczął się. Jadźwiński broniąc się, przystępował jednocześnie do ataku. Nie umiał tak panować nad sobą jak jego przeciwnik. Porwał się z miejsca zaczerwieniony, wzburzony. Sala w napięciu spoglądała na profesorów, ciszy nie przerywał najlżejszy nawet szelest.

Przewodniczący pragnął zachować chociaż pozory porządku. Zawołał:

— Głos ma profesor Jadźwiński.

Jadźwiński mówił tonem ostrym, zaczepnym.

— No właśnie! Sumowanie się reakcji?! Dlaczego to ma być sumowanie się reakcji, a nie torowanie odruchów? Albo energia nerwowa? Medycyna nie ma prawa do używania tego terminu, przynajmniej zaś w sformułowaniu Wrześniewskiego! Przecież wszystko, co się głosi, musi być sprawdzone dokładnie, wyjaśnione bez cienia wątpliwości. Zbyt łatwo szafuje się dziś teoriami bez ich dostatecznego uzasadnie-

nia... Możemy mówić o przenoszeniu się podniet, możemy nawet filozofować na ten temat, jak Pawłow dajmy na to, ale nie możemy mówić o energii nerwowej! Skąd się ona bierze? Na mocy jakich praw?

Nagle zatrzymał się na chwilę, by tym większą ironię wsączyć w następne słowa, które wypowiedział, zwracając się w stronę doktora Kamieńskiego.

— Może zresztą prelegent ukrył przed nami fakty mogące świadczyć o istnieniu energii nerwowej? Czekam odpowiedzi!

Usiadł triumfalnie, obejrzał się dookoła. Przemówienie zrobiło wrażenie, nie ma co ukrywać. Część lekarzy patrzyła na niego z podziwem i aprobatą, inni nie bardzo mogli znaleźć w myśli odpowiedź na wysunięte przed chwilą zarzuty.

Profesor Drwęcki spojrzał na przewodniczącego, po czym na dany znak przyzwolenia spokojnie podniósł się ze swego miejsca. Z uśmiechem zwrócił się do przedmówcy.

— Z poruszonych przed chwilą przez szanownego kolegę spraw najważniejsza niewątpliwie będzie sprawa energii nerwowej. Zatrzymam się więc na niej. Jest to zagadnienie w teorii doktora Wrześniewskiego bardzo istotne. O ile sobie przypominam, wystąpiło ono u niego przy odkryciu drugiego stadium sumowanych reakcji i sposobu jego likwidowania. Dla bardziej plastycznego wyjaśnienia posłużę się typowym przykładem polewu głowy. Przy pierwszych polewach, jak wiemy, następuje normalne przy zadziałaniu bodźcem wodnym, stopniowo coraz silniejsze, wreszcie bardzo silne przekrwienie objawiające się mocnym zaczerwienieniem skóry. Ale dalej, przy ciągłym kontynuowaniu polewów, zaczerwienienie to będzie jak gdyby tłumione i dojdzie do wyraźnego zblędnięcia skóry głowy, tym silniejszego, im dłużej będziemy powtarzali zabiegi. Polejmy teraz całe ciało od kończyn aż po szyję włącznie, nie naruszając jednak zupełnie głowy. Stwierdzimy, że głowa staje się coraz bardziej ukrwiona, skurcz naczyń cofa się wyraźnie, co nawet po którymś polewie może mieć przebieg bardzo gwałtowny i spowodować krwotok mózgu. Po dalszych polewach dolnych części ciała cofa się kompletnie i zaczerwienienie.

Splunął do trzymanej w ręku chusteczki.

— Teraz wnioski! Czy badacz stwierdzający podobne fakty ma się ograniczać wyłącznie do ich spisywania? Czy też ma prawo, a nawet obowiązek wyciągać z tego logiczne wnioski? Ja, w ślad za Wrześniewskim, jestem stanowczo za tym drugim.

Po sali przeleciał cichy śmiech. Powaga wystąpienia Jadźwińskiego była zachwiana...

— Otóż jak wnioskuje Wrześniewski? — Jeśli po każdym bodźcu występuje silniejsza reakcja, a po pewnym czasie i po pewnej ilości zabiegów reakcja ta słabnie, należy sądzić, że występuje tu jakiś system regulacyjny. Ale to jeszcze mało. Skoro bowiem poleliśmy inne części ciała, wystąpiła reakcja w części poprzednio zadrażnianej. Tego już sam system regulacyjny nie wytłumaczy. Musiały się gdzieś zgromadzić zahamowane podniety, które teraz zostały uwolnione. Te zahamowane podniety można chyba nazwać energią nerwową?

Napięcie audytorium wzrastało. Doktor Zanowicz szeptem zwrócił się do docenta Olachowskiego.

— Takich dyskusji trzeba by było jak najwięcej dla sprawy Wrześniewskiego. Wtedy wypłynęłaby wreszcie na wierzch i nie można by jej dłużej chować pod korcem.

Olachowski pokiwał aprobująco głową.

Profesor Jadźwiński ani myślał dawać za wygraną.

— Trzeba przyznać, że Wrześniewski, a za nim kolega, bardzo ciekawie interpretujecie opisane zjawisko. Osobiście jednak trzymałbym się raczej stanowiska dzisiejszej neurofizjologii, a ani Pawłow, ani Scherington i psychosomatycy nie starają się tłumaczyć spotykanych zjawisk z tej dziedziny istnieniem energii nerwowej w tym rozumieniu. Byłbym raczej za tłumaczeniem sprawy zwiększania się reakcji po każdym polewie — co Wrześniewski nazywa sumowaniem się reakcji — zjawiskiem torowania odruchów. Tym tłumaczy się wiele zjawisk, jak choćby nabywanie wprawy we wszelkiego rodzaju czynnościach. Teraz druga część zjawiska, to znaczy osłabienie reakcji, dałaby się tłumaczyć działaniem systemów regulacyjnych. Takie samo źródło może mieć wzmożenie ukrwienia jako celowa kompensacja poprzedniej anemii, które to wzmożenie ukrwienia szanowny kolega nazwał wyładowaniem zahamowanych podniet czyli energii nerwowej.

Jadźwiński podniecał się, mówił teraz szybko, mniej wyraźnie, na twarz wystąpiły mu krwiste wypieki. Zwrócił się bezpośrednio do Drwęckiego:

— A te „stany" hypertonii, ortotonii, hypotonii, kolego?! Czy to nie przedwcześnie użyte? Przecież dziś całkiem inaczej podchodzimy do sprawy napięć w układzie centralnym. Podchodzimy właśnie z punktu widzenia dwóch przeciwdziałających systemów — współczulnego i przywspółczulnego.

Drwęcki zaprotestował dosyć ostro:

— To już proste szukanie dziury w całym, kolego!

Przewodniczący uznał za wskazane skorzystać nareszcie ze swych atrybutów. Zabrzęczał dzwonek. Dyskutanci nie zwrócili nawet na to uwagi. Jadźwiński atakował ostro:

— Przepraszam, teraz ja mówię, kolego! Poproszę o nieprzerywanie! A więc... z punktu widzenia dwóch przeciwdziałających systemów — współczulnego i przywspółczulnego! I tam, mówiąc o napięciach, odważyliśmy się zaledwie na użycie terminu „dystonia". Zresztą jest wielu lekarzy, którzy i tego terminu nie chcą używać, wzdragają się przed nim...

— Jak chociażby profesor Jadźwiński... — zabrzmiał niespodziewanie jakiś głos z sali.

Ogólny śmiech.

Jadźwiński z trudem pohamował pasję. Spojrzał wściekle w kierunku, skąd dobiegły owe słowa, opanował się jednak, mówił dalej.

— Wrześniewski tymczasem już wyróżnił hyper, hypo i ortotonię! Kolego! Przecież to przedwcześnie, czekajmy, co powie nam na to wszystko nauka!

Drwęcki nie ukrywał już teraz swego drwiącego wyrazu twarzy. Wołał głośno, ale panując nad sobą.

— Tak, czekajmy, co powie nauka. Siedźmy z założonymi rękoma! A jeśli sami zechcemy tworzyć tę naukę? To co? Wtedy jesteśmy okrzyczani znachorami i maniakami. Wstyd, wstyd! Zresztą, jeśli chodzi o naukę, właśnie w nauce niemieckiej i angielskiej, w jej bardziej postępowych ośrodkach prace Wrześniewskiego spotkały się przed wojną z entuzjastyczną oceną. Że wspomnę tylko profesora de Gasperiego i londyński kongres fizjologów w 1936 roku! A badania nauki radzieckiej? Czy nie pokrywa się z nimi wrześniewiczowski kierunek badań?

Jeśli zaś chodzi o tych, którzy boją się używać terminu dystonia, to stwierdźmy jednak, że chyba od Wrześniewskiego wzięli oni tę nazwę? On już bowiem w roku 1913 rozróżnił stany hyper, orto, hypotonii, gdy nauce europejskiej nie śniło się jeszcze nawet o napięciach układu nerwowego, ba, gdy dobrze nie rozróżniała jeszcze czynności układu wegetatywnego! Przecież do nas termin dystonia trafił dopiero gdzieś w latach trzydziestych, jeśli nie później jeszcze... A Wrześniewski pojęcia tego używał choćby w swej pracy wydanej w 1913 roku!

Powiódł oczyma po zebranych.

— Tak samo torowanie. Torowanie odruchów jest to, przyznajmy, termin mocno przestarzały, przynajmniej w tym znaczeniu... Zjawisko nabierania wprawy znacznie lepiej i wiarygodniej tłumaczy Pawłow hamowaniem selekcyjnym odruchów warunkowych. Jednak w końcu ani jedno ani drugie tłumaczenie nie dotyczy wcale naszego zagadnienia. Nam przecie chodzi o odruchy bezwarunkowe. Wrześniewski, że się tak wyrażę, pracuje o piętro niżej od Pawłowa — nie w korze mózgowej, a w ośrodkach podkorowych i rdzeniowych. Dlatego też niezaprzeczalnie istniejące zjawisko sumowanych reakcji nie przedstawia sobą żadnej analogii do nabywania wprawy, powiedzmy przykładowo, do gry na fortepianie. Wiemy bowiem, że na to, aby wyjść z wprawy, aby odzwyczaić się, potrzeba stosunkowo długiego czasu. Natomiast zjawisko sumowanej reakcji można wywoływać dowolnie, często nawet w bardzo krótkich odstępach czasu i dowolnie nim kierować.

Urwał, zastanawiał się chwilę, ruchem dłoni powstrzymał podrywającego się do głosu swego interlokutora.

— Wiele jeszcze musiałbym mówić, aby wytłumaczyć, dlaczego doktor Wrześniewski przyjął za fakt istnienie energii nerwowej. Uczyłem się sam tych rzeczy przez długie miesiące i wiem najlepiej, że nie da się ich w żadnym razie poznać w ciągu jednego posiedzenia. Jasną jest rzeczą, że dopóki nauka nie zmierzy i nie zważy energii nerwowej, dopóki namacalnie niejako nie przekona się o jej istnieniu, dopóty będziemy mówili o niej w kategoriach teorii naukowej, teorii jednak noszącej wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Doktor Walicki wyciągnął rękę, głośno zwrócił się do przewodniczącego:

— Czy mogę prosić o głos?

Gruby lekarz za stołem prezydialnym skinął głową.

— Jako marksista pragnąłbym tu dorzucić parę uwag ze swego stanowiska. Otóż teoria doktora Wrześniewskiego jest bliska prawdy. Reguły jej zgodne są z prawami dialektyki. Wrześniewski nieodparcie wykrywa prawa połączeń organizmu ludzkiego z otaczającym go światem zewnętrznym, prawa wykazujące olbrzymią zależność wszystkich czynności łącznie z psychiką od tak niesłusznie lekceważonych bodźców, odkrywa wreszcie wewnętrzne sprzeczności rzeczy, których walka w konsekwencji prowadzi do postępu. W ten sposób Wrześniewskiego można postawić w szeregu ludzi prawdy, ludzi postępu.

Z tego, co słyszałem i wiem, mogę wysnuć wniosek, że nauka Pawłowa potwierdza w całej rozciągłości prace Wrześniewskiego, dowodząc bezspornie zależności wszystkich czynności organizmu od układu nerwowego. Analizując funkcję tego układu, stwierdza Wrześniewski czynności analogiczne do tych, które odkrył Pawłow. Jest to jeszcze jeden dowód potwierdzający prawdziwość teorii Wrześniewskiego.

Stwierdzając to, pragnę jednocześnie ostro, w sposób nam marksistom właściwy skrytykować świat lekarski, który, o ironio! nie znajduje czasu na to, aby poznać gruntownie nową metodę leczenia. Metodę, która, co jest bezsprzeczne, ratuje tysiące roboczogodzin dla społeczeństwa, które dokonuje trudnej, wielkiej budowy naszej przyszłości! O ileż większe mogłyby być efekty naszej pracy, o ile lepsze wyniki dałoby nasze lecznictwo, gdybyśmy się tak nie bali przyjmowania tego wszystkiego, co jest dobre, potrzebne i słuszne!

Jadźwiński nie czekał na przyzwolenie przewodniczącego. Z pasją zaatakował młodego kolegę.

— Przeciwstawiając swoje długoletnie doświadczenie pańskiej młodości, kolego Walicki, stwierdzam, że woda nie od dziś znajduje zastosowanie w medycynie. Bardzo bym się cieszył, gdybym miał w swej klinice wspaniałe urządzenia wodolecznicze z Kudowy na przykład... Taki choćby nasz profesor Gądzikiewicz pisze w swoim ostatnio wydanym podręczniku higieny, jak wielki wpływ uspokajający mają zimne kąpiele wodne. Wodolecznictwo jest w Polsce stosowane od dawna! Nie pierwszy Wrześniewski je odkrył...

Walicki ze zdziwieniem wzruszył ramionami, burknął:

— A czyż ja twierdziłem coś podobnego?

Jadźwiński nie zwrócił na to uwagi, ciągnął dalej:

— Jeżeli zaś chodzi o teorię Wrześniewskiego i te wszystkie sformułowane przezeń prawa, to według mnie trzeba je dopiero sprawdzić, zbadać, obiektywnie ocenić wyniki, z wykluczeniem wszelkich histerii, i wtedy dopiero będziemy mogli kruszyć kopie o pozostałe resztki... Oby wówczas zasługa Wrześniewskiego nie zmalała do minimum!...

Drwęcki był mocno poruszony ostatnimi słowami.

— Panie kolego, to są słowa bez pokrycia! Osłaniają one tylko pana kapitulację. A wracając jeszcze do pana słów! O to chodzi, kochany kolego, o to właśnie chodzi, ażeby zbadać, sprawdzić, obiektywnie ocenić dorobek naukowy wielkiego badacza, jakim jest Wrześniewski, a nie z góry, na podstawie jakiegoś nieuzasadnionego widzimisię odrzucać i zaprzeczać. Jestem osobiście najmocniej przekonany, że prace Wrze-

śniewskiego wytrzymają wszelkie próby doświadczeń. Mało tego! Rozrosną się niepomiernie, staną się może równe pracom Pawłowa, pracom dzisiejszym tej miary, co odkrycie penicyliny. Bo centrum prac Wrześniewskiego, to metoda lecznicza, metoda, którą stosuje ze wspaniałymi wynikami, z nadzwyczajnymi nieraz rezultatami tam, gdzie medycyna opuszcza ręce. Stosuje ją Wrześniewski, i nie tylko on. Również inni lekarze w różnych punktach kraju, jak choćby doktor Łobzowa w Łodzi, stosują jego metodę przynoszącą krajowi olbrzymie korzyści. Cały szkopuł tkwi w tym, że metoda ta jest tak mało znana lekarzom... Nawiasem mówiąc dodam jeszcze, że możliwość dowolnego wywoływania skomplikowanych reakcji i przewidywanie ich skutków na podstawie teorii hydroterapii, co dzieje się przecież co dnia przy stosowaniu metody doktora Wrześniewskiego, jest chyba najlepszym, nieodpartym potwierdzeniem słuszności i prawdy tej teorii!

Przewodniczący podniósł głos, który ginął w powstałym rozgwarze:

— Mówi teraz kolega Staszczuk.

Podniósł się człowiek średniego wieku o jasnym, łagodnym spojrzeniu.

— Pozwolę sobie dorzucić tutaj swój skromny głos prowincjonalnego lekarza-praktyka. Nieraz słyszałem o Wrześniewskim i jego pracach. Niestety, nie miałem możności zapoznać się z nimi bliżej. Uważam, że konieczną jest rzeczą, aby nasi naukowcy jak najprędzej wydali o nich decydującą, autorytatywną opinię. Jeśli sprawa rzeczywiście jest tak wielka, jak to nam przedstawił prelegent i tak przekonywająco poparł profesor Drwęcki, należałoby ją natychmiast bezzwłocznie rozpowszechnić i wprowadzić do podręczników lekarskich, by nadal nie okrywać nauki polskiej hańbą, że nie potrafi właściwie ocenić wielkich własnych osiągnięć!

Na sali rozbrzmiały po tych słowach pojedyncze początkowo, potem już powszechne oklaski. Gdy przebrzmiały, przewodniczący udzielił głosu doktorowi Wińce. Siwy, wysoki lekarz mówił cicho i zebrani wytężali słuch, by dobrze pochwycić jego słowa.

— Popieram w całej rozciągłości zdanie kolegi. Przecież tysiące ludzi chorują ciężko, zajmując zakłady psychiatryczne, cierpiąc. Państwo wydaje ogromne sumy, społeczeństwo ponosi ciężary, a jednocześnie nikt nie stara się, aby rozpatrzyć i upowszechnić teorię Wrześniewskiego, która przecie może przyczynić się w znacznym stopniu do zmniejszenia cierpienia setek ludzi. Sam widziałem wspaniałe wyniki kuracji Wrześniewskiego, lecz, przyznam się, pod naciskiem opinii części miejscowego świata lekarskiego, która częstokroć była bardzo nieprzychylna dla Wrześniewskiego, milczałem... Dziś widzę, że tak mnie jak i innym nie wolno więcej milczeć. Metoda Wrześniewskiego jest pożyteczna, pomaga leczyć albo sama leczy wiele nieuleczalnych schorzeń!

Przewodniczący powstał, ogarnął wzrokiem salę. Nikt więcej nie prosił o głos. Godzina była późna, uczestnicy zjazdu wyraźnie zmęczeni. Profesor Jadźwiński siedział przygryzając wargi. Drwęcki tylko nie wyglądał na zmęczonego. Dobrotliwie uśmiechnięty rozglądał się dokoła. Przewodniczący zwrócił się wobec tego do doktora Kamieńskiego.

— Czy prelegent zabierze głos?

Kamieński podniósł się z miejsca.

— Niewiele właściwie pozostało mi do powiedzenia. Wspaniale wyręczył mnie profesor Drwęcki. — Skłonił się w tym miejscu. — Pragnąłbym jeszcze dorzucić parę słów odnośnie orto, hyper i hypotonii... Są to najbardziej podstawowe pojęcia metody i teorii Wrześniewskiego. Ze zjawiskami tymi mamy do czynienia co dnia — musieliśmy je jakoś określić. Ortotonia jest to wyrównanie poziomu energii lub inaczej — równe a raczej właściwe naładowanie energią układu nerwowego. Wtedy zapanuje wyrównana, celowa innerwacja i sprawność całego organizmu. Stąd we wszystkich chorobach, gdzie równowaga w układzie centralnym nerwowym jest zachwiana, a odchylenia w kierunku hyper i hypotonii znajdujemy prawie zawsze, wywołanie ortotonii zwiększa sprawność organizmu, pomaga do wyrównania zmian chorobowych lub przystosowania się do nich i w konsekwencji następuje poprawa. Uwydatnia się przy tym olbrzymi wpływ i zakres oddziaływania układu nerwowego. Wszystkie niemal czynności organizmu są od niego zależne...

Zatrzymał się, zajrzał do notatek.

— Lecz o tym mówię raczej marginesowo. Przede wszystkim zależy mi na wykazaniu profesorowi Jadźwińskiemu, że użycie pojęć orto, hypo i hipertonii jest w naszej pracy konieczne. Zdaje się, że o właściwości tych właśnie sprecyzowań terminologicznych świadczy najlepiej podkreślony tutaj już zresztą fakt, iż inni uczeni wyobrażali sobie zaburzenia układu nerwowego podobnie jak Wrześniewski, nazywając je w zupełnie innych krajach i niezależnie od doktora Wrześniewskiego dystoniami...

Przerwał, uśmiechnął się nieco złośliwie i zwrócił się bezpośrednio do doktora Tomczaka.

— Jeśli chodzi o zdanie kolegi, to rzeczywiście dobrze przypominam sobie tego pacjenta. Był to jeden z tych przypadków, w których chory nie posłuchawszy po zakończeniu naszej kuracji udzielonych mu wskazówek rozpoczął na powrót mycie się zimną wodą. Właśnie przed kilku dniami tenże chory powrócił do nas bijąc się w piersi...

Ryk wesołości wstrząsnął salą. Tomczak zaczerwienił się, rad byłby zniknąć zebranym z oczu.

Przewodniczący ciężko podniósł się z miejsca.

— Zamykam dzisiejsze nasze posiedzenie. Jutro, w ostatni dzień zjazdu, dalsze obrady zgodnie z programem. Dobrej nocy kolegom!

Zaszurgotało, zatupotało na sali. Warczak trącił Kazimierza w bok.

— Ale się świetnie udało!

Markiewicz chciał mu coś odpowiedzieć, ale Stefana już przy nim nie było. Dostrzegł go dopiero na ulicy, jak prowadził pod rękę Żurkównę.

Uśmiechnął się, nieco złośliwie, nieco zazdrośnie...

Eugeniusz Paukszta

Fragment powieści Pięćdziesiąt lat młodości

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

POCIĄG DO MARSYLII

Dramat w trzech aktach

OSOBY:

MARCEL LEDOUX — emerytowany maszynista kolejowy.
KATARZYNA — jego żona.
MICHELE — jego córka.
ANDRÉ MARTIN — maszynista kolejowy, mąż Michele.
ARBOIS — porucznik, dowódca plutonu.
BREGAIN — kapral, dowódca drużyny.
RIGOGNE
BARTHELEMY
CHARRON — żołnierze korpusu ekspedycyjnego do Indochin.
POIRET
NICOLAS
MATKA POIRET
DOMINIQUE — żona Bregaina.
CROTTIN — fryzjer, agent policji.
ZAWIADOWCA STACJI
DWAJ ŻANDARMI

Rzecz dzieje się współcześnie w niewielkim mieście na południu Francji.

UWAGA: Umundurowanie żołnierzy — zamerykanizowane.
Uzbrojenie — pistolety automatyczne.

AKT PIERWSZY

Mieszkanie emerytowanego maszynisty kolejowego Ledoux. Jest to oddzielny domek, stojący w pobliżu stacji. Pokój urządzony skromnie, ale przytrząśnięty warstewką mieszczańskich ozdób i ukraszeń. Kredens zastawiony fajansowymi talerzami i dzbanuszkami. W kącie pokoju — rozrośnięty filodendron na drewnianym trójnogu. Na lewo dwoje drzwi — do kuchni i do pokoju Martina. Z prawej strony drzwi wejściowe. Za oknami — wieża ciśnień, tarcze sygnalizacyjne, semafor. Wiosenny, pogodny wieczór. Złoto zachodzącego słońca na meblach.

Gdy kurtyna idzie w górę, słychać dźwięki wojskowego marsza i wyraźny tupot przybijającej krok piechoty. Ledoux wygląda przez okno.

Wchodzi Katarzyna z butelką na tacy.

KATARZYNA: Szykować kolację, Marcel?

(Ledoux nie słucha)

Marcel!

LEDOUX: Co?

KATARZYNA: Szykować kolację?

LEDOUX: Kolację? Dobrze, naszykuj.

(Znowu patrzy przez okno)

KATARZYNA: Na co się zagapiłeś?

LEDOUX: Wojsko idzie, nie słyszysz? *(Orkiestra zbliża się i nagle milknie. Dudnią buty maszerującego oddziału.)* Dużo wojska. Na towarowy.

KATARZYNA: Czyś ty dziecko, żeby się oglądać za wojskiem? Siadaj do stołu.

LEDOUX: Zaraz... Tyle wojska... To chyba cały pułk...

(Orkiestra znowu gra)

KATARZYNA: Zamknij okno, Marcel! Od tej muzyki ciarki chodzą mi po plecach...

LEDOUX: *(Zamyka okno)* Ciekawe, co to za pułk...

(Podchodzi do stołu)

No co, Catherine, wypijemy za naszą starość. Dzisiaj przecież zaczyna się nasza starość.

KATARZYNA: Martwisz się?

LEDOUX: Odrobinę. Na świecie wiosna, a na nas powiało zimą. Dzisiaj pierwszy raz czuję zimę w kościach.

KATARZYNA: Powinieneś się cieszyć, że cię przenieśli na emeryturę. Nie będziesz się więcej męczył.

LEDOUX: A wiesz, staruszko, wsiadłbym teraz do parowozu i pojechał, powiedzmy — do Marsylii. Lubię drogę do Marsylii.

KATARZYNA: Źle ci w domu? Tyle lat harowałeś jak wół. Odrobiłeś swoje.

LEDOUX: Nie rozumiesz tego, Catherine... Kolejarskiej duszy nie rozumiesz... Cni się bez roboty...

KATARZYNA: Pierwszy dzień — i już ci się cni?

LEDOUX: Przed godziną pośpieszny szedł do Marsylii...

KATARZYNA: Widziałam, co z tego?

LEDOUX: Nic... Szedł jak diabeł, wszystko tutaj się trzęsło...

KATARZYNA: Uwziąłeś się na mnie dzisiaj... Myślałam, że to będzie najlepszy dzień w naszym życiu...

LEDOUX: Skoro tak sobie ubrdałaś — nic straconego... Napijmy się...

(Wchodzi Crottin z gazetą w ręce)

CROTTIN: Kłaniam się nisko. Czytał pan moją korespondencję, panie Ledoux?

LEDOUX: Nie. Przyzwyczaiłem się do „Huma", innych gazet nie czytuję.

CROTTIN: Szkoda, ładnie napisane. Służąca doktora Morrand otruła się gazem, to głośna sprawa, wie pan? Właśnie. Podejrzewają, że to z miłości... Ale nie przeszkadzam?

KATARZYNA: Napije się pan z nami.

CROTTIN: Z przyjemnością. *(Podsuwa Ledoux przed nos gazetę)* Niech pan chociaż spojrzy. U spodu cyferka „c". Crottin. *(Podsuwa gazetę Katarzynie)* Proszę pani. Cyferka „c". Pełnym nazwiskiem nie chcę podpisywać.

LEDOUX: *(podnosi lampkę)* Babuleńko, niech nam się szczęści!

CROTTIN: O, uroczyście... Gratulować?

LEDOUX: Obejdzie się... Pan same nieszczęścia opisuje, panie Crottin.

CROTTIN: A jednak się czytało. Czytało się. Tak — same nieszczęścia. To teraz bierze. W kinach co puszczają? Jak nie zabójstwa, to samobójstwa, względnie nieszczęśliwe wypadki... Nic tak nie chwyta, jak okropności, mówię panu. Byłem na amerykańskim filmie, przez dziesięć minut duszą kobietę... A po co Ameryka, pytam pana, skoro fryzjer Crottin goli prefekta policji i ma najświeższe wiadomości o każdym zajściu... No, pędzę na stację. Ekspediujemy pułk...

LEDOUX: Dokąd jedzie ten pułk — panie Crottin?

CROTTIN: Nie wie pan? Do Indochin. *(Podchodzi do okna, uchyla je. Wrzawa, kobiece okrzyki)* Dworzec o dwa kroki, a pan nic nie wie... Gdybym ja miał okna na stację, wiedziałbym więcej niż sam prefekt... A może pan udaje? Pańska córka tam jest, a tatuś nie zorientowany...

KATARZYNA: Panu się chyba przywidziało, panie Crottin. Naszej córki tam nie ma, nasza córka dopiero o ósmej kończy pracę w fabryce.

CROTTIN: O nie, madame, wzrok — chwalić Boga — posiadam nienajgorszy! Tydzień temu wyszła za mąż, czego szuka wśród żołnierzy? To nawet niełądnie... A zięć w domu?

KATARZYNA: Śpi. Zeszłą noc przejeździł.

CROTTIN: Właśnie.

LEDOUX: Wynocha.

CROTTIN: To tak?

LEDOUX: Tak... Dziecka mi nie będziesz łżył! Wynocha, hyclu!

CROTTIN: Kłaniam się...

(Szybko wychodzi)

KATARZYNA: *(Po pauzie)* Zwariowałeś, Marcel! Całe miasto trąbi, że on jest na usługach policji, a ty go wyrzucasz z mieszkania!

LEDOUX: Po co tu wścibia swój nochal? Czego węszy? Tutaj nikt się nie otruł gazem.

KATARZYNA: Zwariowałeś, Marcel, zwariowałeś... On się obraził i zacznie nas szczuć donosami, golarz przeklęty... Taki — to jak kocur: komu przeleci drogę, temu się nie powiedzie... A ty go jeszcze zaczepiasz!

LEDOUX: On mnie zaczepił, nie ja jego.

KATARZYNA: Wszystko jedno — takiemu się ustępuje... A jak Michele naprawdę jest na stacji? Po co tam polazła — męża odprowadza, syna? W czternastym roku biegałam za żołnierzami na kolej, wtedy jak ciebie odprawiali... A Michele za kim biega? Biedę na nas ściągnie i tyle...

LEDOUX: Bojaźliwa się stałaś bardziej niż wróbel... To od czasu jak ajanse gromadzisz, talerzyki — im więcej tego w domu, tym większa w tobie strachliwość... Michele już nie maleństwo, warkoczyków nie nosi, odpowiada za siebie...

KATARZYNA: Może powiesz, że mądrzejsza od matki... Wszyscyście nądrzy, tylko ja jedna nie mam rozumu — izbę urządziłam po ludzku, eż ci się nie podoba... Przewróć wszystko do góry nogami, jeśli taka twoja vola, pobij, potłucz, powyrzucaj za okno... będę miała zapłatę za to, że ci posobiłam wygodną starość... Myślałam sobie — dziecko wydam za mąż, y przestaniesz pracować, pożyjemy nareszcie w spokoju... Na dzisiejszy dzień od lat czekałam, ułożyłam sobie co i jak: słońce schowało się za ztrekę, świeci nam w oczy, a my siadamy do kolacji...

(Za oknami wrzawa. Głosy komend, kobiece krzyki)

LEDOUX: *(Podchodzi do okna, patrzy)* Obstawili stację, ludzi kolbami dpychają...

KATARZYNA: Zamknij okno!

Michele wprowadza matkę Poiret — półprzytomną, z potarganymi włosami. Niesie jej koszyk.)

MICHELE: Mamo — wodę, prędko, ręcznik! *(Sadza matkę Poiret na rześle. Katarzyna wychodzi.)* Odpoczniecie tutaj.

MATKA POIRET: A koszyk?

MICHELE: Jest koszyk, nie bójcie się.

MATKA POIRET: Ażeby go pokręciło, chłystka...

LEDOUX: Uderzyli?

MICHELE: Kolbą! Chciała się pożegnać z synem...

(Wraca Katarzyna z miednicą)

KATARZYNA: A ta w kuchni... z dzieckiem... co tu robi?

MICHELE: *(Zwilża ręcznik i wyciera nim twarz matki Poiret)* A, Dominique... *(Głośno)* Wejdź tutaj, Dominique.

DOMINIQUE: *(Zagląda przez drzwi)* No co, popilnują małej?

MICHELE: Popilnują, bądź spokojna.

DOMINIQUE: To dobrze, idę tam z powrotem.

(Cofa się do kuchni)

MICHELE: Zaczekaj, pójdziemy razem.

KATARZYNA: Dziecko niech weźmie z sobą, niańczyć go nie będę.

MICHELE: Mamo...

KATARZYNA: A ty byś lepiej została w domu, pomogłabyś naszykować kolację... Martin zaraz się obudzi, dzisiejszej nocy jedzie znowu... Ja o Marcela w trzydzieści lat po ślubie więcej dbam, niż ty o swojego po tygodniu. W awantury się wdajesz na stacji — po ci to, na co? *(Do męża)* Nie dość, że się plącze, gdzie nie trzeba — jeszcze mi bab naspraszała jak do hotelu: tej wody przynieś, tamtej dziecko zabawiaj...

MICHELE: Mówisz tak, jakbyś nie wiedziała, co się dzieje...

KATARZYNA: Nie wiem i nie chcę wiedzieć... Kiedyś taka gościnna, do swojej izby proś! Do swojej izby!

MICHELE: *(Do matki Poiret)* Chodźcie, matko, położę was...

MATKA POIRET: A jak on odjedzie tymczasem?

MICHELE: Nie odjedzie! *(Wyprowadza matkę Poiret)*

LEDOUX: Gospodarska natura z ciebie wyłazi... Tfu...

KATARZYNA: Łżyj mnie, łżyj — odpowiedni dzień na to... Przeszłam dla ciebie na kolejarski garnuszek, to mnie teraz możesz spotwarzać.

(Wchodzi zawiadowca stacji)

ZAWIADOWCA: Martin u siebie?

KATARZYNA: Śpi. Obudzić?

ZAWIADOWCA: Nie wyciągałbym go z łóżka, gdyby to zależało ode mnie. Ale to ode mnie nie zależy...

KATARZYNA: Coś pilnego?

ZAWIADOWCA: Bardzo!

KATARZYNA: Już go budzę...

(W momencie, gdy rusza ku drzwiom, zjawia się Martin)

ZAWIADOWCA: Wyspałeś się, Martin? To świetnie. Zbieraj się, jedziesz zaraz do Marsylii.

MARTIN: O dziesiątej mam jechać. Do dziesiątej daleko.

ZAWIADOWCA: Ja ci tylko powtarzam, co mi kazano powiedzieć. Widocznie przyśpieszyli odjazd.

MARTIN: A dlaczego przyśpieszyli — nie orientujesz się przypadkiem?

ZAWIADOWCA: Domyślam się.

MARTIN: *(Z wściekłością)* Domyślasz się... A ja wiem — odprowadzających za dużo. Rzadko się zdarza, żeby kogoś na towarowy odprowadzano...

ZAWIADOWCA: Czemu się złościsz — przecież nie jestem ministrem kolonii. Gdyby to ode mnie zależało, nie wywołalibyśmy wojny w Indochinach.

MARTIN: Na co czekasz?

ZAWIADOWCA: Mam odejść?

MARTIN: Pociągu nie poprowadzę!

ZAWIADOWCA: Tak zameldować!

MARTIN: Tak zamelduj... Nie jest mi obojętne, co mi przyczepią do lokomotywy — wagon z mąką, czy z wojskiem... A piechoty, dla zasady, nie wożę... Piechota niech chodzi piechotą...

ZAWIADOWCA: Jak uważasz, ja za ciebie nie decyduję...

(Wychodzi)

KATARZYNA: Sprzysięgliście się wszyscy, czy co? Martin, opamiętaj się! Wkładaj kurtkę i leć do parowozowni, narychtuję ci raz dwa coś do jedzenia...

MARTIN: Słyszeliście, że nie jadę...

KATARZYNA: Pytałeś się kogoś? Póki byłeś kawalerem, mogłeś robić, co się żywnie podobało. Ale teraz masz żonę, dom... Twoja głupota skrupi się na Michele — jak was oboje wyrzucą z pracy, kto wyżywi moją córkę? Ledoux — z renty?

LEDOUX: Ażebyś wiedziała... W razie czego — dwie zupy rozlejesz v cztery talerze...

KATARZYNA: Dobre rady schowaj dla siebie. *(Do Martina)* Od teścia ię ucz — trzydzieści lat tyrał jak święty, głupstwa żadne nie rzucały mu ię na mózg...

LEDOUX: To prawda, skapcaniałem przy tobie na amen...

KATARZYNA: *(Do męża)* Odgryzaj się, niewdzięczniku, ciekawam za o... Krępowałam cię kiedy? Ile razy węzeł strajkował, strajkowałeś i ty innymi. Nie powiesz, że ci zabraniałam, że ci kazałam być gorszym od nnych...

LEDOUX: Nie pozwalałaś mi być lepszym od innych, o to idzie...

KATARZYNA: Chciałam, żebyś był taki jak wszyscy — ani gorszy, ni lepszy... I dobrze chciałam: jakoś chwała Bogu ustrzegłam cię od nieszczęść, a złej sławy sobie przez to nie przysporzyłeś, na odwrót... *(Do zięcia)* A ty, Martin, najmniej masz powodów, żeby się narażać... I chwila nie bardzo po temu — zajrzyj do spiżarki, jeszcze wino weselne nie skwaśniało... Przyniosę ci kurtkę...

MARTIN: Nie trzeba.

KATARZYNA: Pomyśl o Michele, Martin...

MARTIN: Ciągle myślę o Michele. Michele jest odważną dziewczyną.

KATARZYNA: Dla ciebie — odważną dziewczyną, a dla mnie — córką... Córka — rozumiesz? Nie, ty tego nigdy nie pojmiesz, ty nie masz matki...

MARTIN: Nie mam... Ale mój przyjaciel miał matkę. Ile razy jesienią wychodził na akcję, wykłócała się z nim, żeby włożył palto; bała się, że się przeziębi. To były niebezpieczne akcje — z jednej takiej akcji mój przyjaciel nie wrócił.

KATARZYNA: I co?

MARTIN: Nic... Przypomniało mi się... A moja matka umarła przy porodzie... Ona umarła, ja się urodziłem...

KATARZYNA: Idź na stację, Martin! Póki nie za późno — idź na stację! *(Martin milczy)* Bodajbym ciebie była od progu odegnała, ty...

LEDOUX: Wstydź się, Catherine...

KATARZYNA: *(Do Martina)* Na stację!

LEDOUX: Nie przejmuj się, Martin. Ona zawsze tak...

KATARZYNA: *(Do męża)* Z tobą pogadam osobno. *(Do Martina)* Nie dziesz? *(Martin milczy)* A przechwalałeś się, żeś taki szczęśliwy!

MARTIN: To prawda. Jestem szczęśliwy.

KATARZYNA: Nie widać tego. Szczęśliwi siedzą cicho... Szczęśliwi o całym świecie zapominają... A ty... nie możesz jakoś zapomnieć... Przy Michele... Nie możesz...

MARTIN: W błogim zapomnieniu wieźć żołnierzy do Marsylii... Nie, nie mogę... A z Michele — dobrze mi... Bardzo mi dobrze... Tylko, że ustrój we Francji jest zły... A w złym ustroju nie zaznałbym szczęścia, gdybym nie walczył o lepszy...

KATARZYNA: To nie pojedziesz?

MARTIN: Nie. Sprzedawać Francję — to interes dla Crottina, nie dla mnie.

KATARZYNA: Nikt nie mówi o sprzedawaniu Francji — Francja to nie litr oliwy, żeby ją sprzedawać... A ty nie jesteś jej właścicielem, ty najwyżej parę spodni mógłbyś wynieść na targ... Ożeniłeś się, nie wystawiaj się bardziej niż inni żonaci... tylko tego od ciebie żądam, moje matczyne prawo... Zdaje ci się, że ten pociąg będzie stał, jak ty go nie poprowadzisz? Zamiast ciebie pojedzie kto inny i na tym koniec.

MARTIN: Nie wiadomo, czy znajdą innego maszynistę...

KATARZYNA: Znajdą, niech cię o to głowa nie boli... Wystarczy, żeby przyszli do Ledoux, on pierwszy pojedzie...

MARTIN: Kłamstwo — Ledoux nie poprowadzi tego transportu. *(Do Ledoux)* Poprowadzisz?

LEDOUX: Jakim sposobem — przecież od dzisiaj jestem na emeryturze...

MARTIN: A gdyby zapomnieli, że jesteś na emeryturze?

LEDOUX: Widzisz, Martin... Dzisiaj samego diabła bym powiózł, byle mnie wpuścili na parowóz... Samego diabła...

(Wchodzi Michele)

MICHELE: Idziemy, André?

MARTIN: Idziemy, trzeba będzie wyjaśnić żołnierzom, czemu tak nieuprzejmie z nimi postąpiłem... a nuż ktoś się okaże bardziej uprzejmy ode mnie...

MICHELE: Denivelle?

MARTIN: O Denivelle jestem spokojny. Ten chłopak nie nawali.

MICHELE: A kto? *(Po chwili)* Mamo, ty już wiesz?

KATARZYNA: Wiem, że twój mąż oszalał!

MICHELE: Nie bądź niedobra, mamo...

LEDOUX: Catherine nie jest niedobra. Catherine się martwi.

MICHELE: Martwi się — czym?

LEDOUX: O was się martwi.

MICHELE? O nas? Przecież my... Nam jest dobrze... Prawda, André? Gniewasz się na niego, mamusiu, a on zatrzymał pułk... Cały pułk — on jeden!...

KATARZYNA: Pułk zatrzymał... A co dalej?

MICHELE: Najważniejsze, żeby nie puścić pułku, mamusiu... A co potem — zobaczymy... Zobaczymy — co potem... We wtorek... zacząłby się nasz urlop... Rowery już oczyszczone, plecaki się suszą... Powałęsalibyśmy się po kraju, co André? Przez całe dwa tygodnie... Najpierw Avignon, później brzegiem Rodanu na południe...

MARTIN: Lepiej na wschód, Michele... W góry...

MICHELE: Nie upieraj się, moja trasa ładniejsza... Pomyśl — zjeżdżamy z szosy nad rzekę, słońce dopiero wschodzi, cichutko wszędzie... Nie pozwalasz mi się głośno śmiać, mówisz, że spłoszę ryby... A po wioskach tyle kwiatów...

MARTIN: W Alpy, Michele... Nie ma jak wiosna w Alpach... Zostawiamy rowery w jakiejś zagrodzie i drapiemy się pieszo pod górę...

MICHELE: Niech będzie — w Alpy... Kiedy, André? *(Po chwili)* No co — idziemy?... A ty, tatusiu?...

KATARZYNA: Jeszcze czego? Ojca przynajmniej zostawcie w spokoju.

MICHELE: Całe miasto tam jest, mamo... Wszystkie fabryki, samorządowcy, nauczyciele... I ciągle nowi nadchodzą... Wyjrzyj przez okno — jaki tłum.

KATARZYNA: Jest na co patrzeć... *(Za oknami wzmożona wrzawa, kobiece krzyki, pojedynczy wystrzał karabinowy.)* O, proszę! *(Krzyczy)* Martin, zawieź ich, zawieź ich kochany, niech mi tu nie hałasują pod oknami, niech nie strzelają, przecież u nas świąteczna kolacja dzisiaj — uszanuj chociaż nasze rodzinne święto!

MICHELE: Chodź, André!

(Wybiegają oboje)

KATARZYNA: Wypijemy ten kieliszek do końca, Ledoux?

Ledoux podchodzi do okna, wygląda przez chwilę, potem idzie ku drzwiom, wraca od progu)

LEDOUX: Jutro przeczytam o tym wszystkim w „Huma" i będę czuł to samo, co oni teraz czują... Zbuntuję się, zagrodzę drogę pułkowi... Wczorajsze wiadomości umiem przeżywać, zagrzewają mnie... Coś ty ze mną zrobiła?!

KATARZYNA: Nie denerwuj się, stary... Przecież nasz dom stoi, dzięki Bogu, jak stał, możemy sobie powiedzieć, że dokoła jest cicho...

LEDOUX: A w jutrzejszej gazecie?

KATARZYNA: Młodzi są niemądrzy, ale my... Nam się należy... Nie napijesz się?

Ledoux podnosi niedopitą lampkę wina i nagle z rozmachem ciska nią o podłogę. Za oknem zjawiają się żołnierze. Kapral Bregain zagląda do środka.)

BREGAIN: Tutaj. *(Wskazuje przez okno)* Szanowni państwo zechcą się przenieść do kuchni.

KATARZYNA: To nasz dom, panie wojskowy...

BREGAIN: Prędzej, prędzej... Bez gadania!...

KATARZYNA: A ze stołu wolno sprzątnąć?

BREGAIN: Po co? Z przyjemnością pomożemy państwu opróżnić tę butelkę... Prędzej!

KATARZYNA: Co pan... Z własnego domu... jak za Hitlera...

BREGAIN: Prędzej! *(Katarzyna wychodzi zabierając wino, za nią Ledoux.)* Jazda, chłopcy! *(Barthelemy, Nicolas. Charron i Poiret wciągają przez okno karabin maszynowy. Za nimi wskakuje Rigogne.)* Świetne pole obstrzału!...

Bregain rozgląda się po mieszkaniu, podchodzi do trójnogu z filodendronem i strąca ciężką donicę na podłogę.)

RIGOGNE: Zabawiasz się?

BREGAIN: Nie twój interes.

RIGOGNE: Głupio się zabawiasz.

BREGAIN: Jak wchodzę do takiego mieszkania, zawsze mam ochotę coś przewrócić albo stłuc.

BARTHELEMY: Po co ustawiamy karabin, Bregain?

BREGAIN: Na wszelki wypadek.

BARTHELEMY: Co to znaczy „na wszelki wypadek"? Czy będziemy strzelać — tutaj, we Francji?

BREGAIN: Na wszelki wypadek to znaczy — na wszelki wypadek. Zanadtoś ciekawy jak na żołnierza...

CHARRON: Ludność nie chce, żebyśmy jechali do Indochin.

NICOLAS: A pewnie. Akurat nasz pułk — za co, pytam... Do Indochin — za co? Do Indochin posyłają takich, co się urwali ze stryczka. Kryminalistów.

RIGOGNE: Kryminaliści się skończyli, Nicolas, ostatnią dywizję wyrżnięto pod Hanoi.

NICOLAS: A więzienia? Więzienia są pełne. Niech biorą z więzień.

RIGOGNE: Mamry są po to, żeby ktoś w nich gnił. Nie zawsze kryminaliści. Opróżnisz mamry, policję przyjdzie redukować... Jeszcze gliny zastrajkują — i co wtedy? Koniec czwartej Republiki. Strajk bezrobotnych żandarmów — to by było zabawne, co Nicolas? Ty kretynie!

NICOLAS: Ale za co do Indochin? Do dżungli — za co?

CHARRON: Czytałem o dżungli, tam się umiera od byle muchy: człowiek puchnie i adieu...

NICOLAS: Ty Rigogne masz końskie zdrowie, a w dżungli w pół roku wyschniesz na kość, malaria ciebie zeżre. Będziesz się trząsł, szczękał zębami, będziesz rzygał bez przerwy — o ile wyżyjesz pół roku. Bo tam strzelają z przodu i z tyłu, z drzew i diabli wiedzą skąd jeszcze. Tak szybko strzelają, nawet nie zdążysz pomyśleć: zabili mnie.

RIGOGNE: Boisz się jechać pod kule, do dżungli, boisz się czy nie chcesz?

NICOLAS: Jaka różnica?

RIGOGNE: Różnica jest.

NICOLAS: Z ciebie zdrowy byk, Rigogne, jak cię nie kropną, parę miesięcy wytrzymasz. Zżółkniesz, ale wytrzymasz. A ja... serce mam słabe.

RIGOGNE: Mydłek!

POIRET: Tam gorąco jest, Rigogne?

RIGOGNE: Gorąco.

POIRET: A zimą?

RIGOGNE: Gorąco.

POIRET: Szalik i rękawiczki trzeba sprzedać w Marsylii. Nasz pieniądz tam szanują?

RIGOGNE: Mogiłę — kupisz. Półtora metra za jeden.

BREGAIN: Charron, podjedź no bliżej. Chuchnij. Otwórz plecak! *(Charron posłusznie otwiera plecak. Kapral przetrząsając jego zawartość, wyciąga plik fotosów „dziewcząt do przypinania".)*

BREGAIN: Te dziwki z tygodników mógłbyś rozdać kolegom.

CHARRON: Nie.

BREGAIN: Jedna ci wystarczy. W której się kochasz? W tej na plaży? No!... We wszystkich?

CHARRON: W żadnej. One nie do tego... One... Ich nie ma...
BREGAIN: Nie ma? A ja myślałem, że są. Wisiały tak długo nad twoim yrem, to ich użycz kolegom, niech się nie nudzą na morzu.
CHARRON: Takich kobiet nie ma! Kochałem w Arras dziewczynę, nie- rzydka, ale dla tych — rzuciłem... A takich kobiet nie ma. Oszukaństwo.
BREGAIN: Zdrowo sobie golnąłeś, Charron.
CHARRON: To co? Tylko w kinie jest dobrze. Tylko w kinie.
BREGAIN: Gdzie wódka?

Charron wydobywa z kieszeni płaską butelkę z wódką, Bregain odkorkowuje ją i pociąga spory łyk. Za oknem histeryczny krzyk kobiecy: „mój syn! ój syn!" Poiret i Rigogne wychylają się przez parapet. Poiret odskakuje nagle.)

POIRET: Znowu się pcha.
BARTHELEMY: Kto?
POIRET: Moja matka. Już ją raz zdzielili kolbą w brzuch, po co się śnie? Mało jej?
CHARRON: Co za kanalie!
BREGAIN: Kto taki?
CHARRON: Dowództwo!
BREGAIN: Stul pysk!
CHARRON: Rodziny przyjechały, chcą się pożegnać...
POIRET: To ten Godet z trzeciego plutonu jej przyfasował. Przyuważyłem go.
CHARRON: Uderzył kobietę — Francuz? Francuzi nie biją kobiet. Co ę z nami stało?
BARTHELEMY: A ja, myślisz, nie szturknąłem jednej baby? Napierają a kordon, a rozkaz jest nie puszczać. To co? Bierzesz za klapy i tkasz z po- rotem... Tfu... Oddajcie nam dzieci, wołają. Są jakieś dzieci w pułku?
CHARRON: To o nas mówią — dzieci.
RIGOGNE: *(Do Poiret)* Dobrą masz matkę, chłopie. Skąd pochodzi — północy?
POIRET: Z północy.
RIGOGNE: Przyjechała aż z północy, żeby ciebie zobaczyć... ostatni raz... nie pozwalają jej.
BREGAIN: *(Miękko)* Wstydziłbyś się, Rigogne. Chłopak cierpi, po co u wnętrzności przewracasz?
RIGOGNE: *(Przez zęby)* Znalazł się nauczyciel subtelności.
POIRET: Zabiję!
RIGOGNE: Kogo?
POIRET: Tego Godet z trzeciego plutonu.
RIGOGNE: Co ci z tego przyjdzie? Teraz on jest gorszy od ciebie, za hwilę ty okażesz się gorszy od niego. On uderzył, ty strzelisz do cudzej atki.
POIRET: Nigdy.
RIGOGNE: Jak nie ty, strzeli kto inny... Może nie z naszej drużyny... Może z czwartego plutonu, albo z drugiego... Trafi się taki żołnierz, który rzeli p i e r w s z y... A później i wy będziecie strzelać... do cudzych rodzin,

do własnych rodzin... Nie czujecie, jak was zmieniają w zwierzęta? Tylk patrzeć, jak zaczniecie gryźć.

BREGAIN: Bredzisz, Rigogne.

RIGOGNE: Bredzę? A karabin tutaj — na kogo? Stanowisko bojowe cholera!

NICOLAS: *(Do Poiret)* Poszedłbyś do porucznika Arbois, na pewno ci ni zabroni pożegnać się z matką.

RIGOGNE: W pojedynkę łażą gnojki. A jak nasiąść całym plutonem albo kompanią...

BREGAIN: Rigogne, stop. Podkomendnych mi nie buntuj, bo wyplujes zęby, seplenić zaczniesz, gaduło. Za twój pysk od dawna powinieneś sie dzieć, ale póki to jest filozofia, ja się nie wtrącam. Filozofię kapral Bregai toleruje. A podburzać żołnierzy nie radzę, bo marny los faceta. *(Pociąg z butelki)* Co się gapisz, Rigogne, co się gapisz? Znam twoje myśli, ni bój się... Tam na miejscu przy pierwszej sposobności spróbujesz mi wpako wać kulę w kark. Już się ja postaram, żeby ciebie stale mieć przed sobą. Kilku innych też. *(Pauza)* Nie znosicie mnie chłopcy, prawda A dlaczego? Donoszę na was? Jeszcze na nikogo nie doniosłem. Każdy do wódca drużyny sypie — ja nie. Ksiądz spowiednik sypie — ja nie. Ciebi Rigogne, mógłbym jeszcze dzisiaj odprawić do karnej kompanii. „Za nawo ływanie do zbiorowych wystąpień". Ciebie, Nicolas, tak samo... za „defe tyzm", Poiret, opylasz własność armii? No! W zeszłym tygodniu sprzedałe koc.

POIRET: Sprzedałem.

BREGAIN: Ciebie, Charron, za... pijaństwo. Gdybym powtarzał wszyst ko, co mi o was wiadomo, ułatwilibyście mi awans... Byłbym sierżantem. po waszych trupach. Kto do Indochin płynie jako karniak, jest trupem zrozumiano? Byłbym szefem kompanii... Tylko nie nazywałbym się Bregai Cały Bregain jest w tym, co ma do powiedzenia o swoich ludziach, a czeg nie mówi... Cały Bregain — te informacje... Trzymam was w garści, o tak *(Zaciska pięść)*

(Wchodzi porucznik Arbois)

ARBOIS: Kto ustawiał karabin?

BREGAIN: Według rozkazu...

ARBOIS: Milczeć. *(Wyrywa z rąk kaprala butelkę, odkorkowuje, wąch i chowa do kieszeni. Podchodzi do okna.)* Celowniczy!

BARTHELEMY: Ja, panie poruczniku.

ARBOIS: Podejdź tutaj. Co widzisz?

BARTHELEMY: Tory.

ARBOIS: Co jeszcze?

BARTHELEMY: Druty telefoniczne... widzę...

ARBOIS: Dalej!

BARTHELEMY: Budkę zwrotniczego... tak, budkę zwrotniczego...

ARBOIS: A stacja, gamoniu?

BARTHELEMY: Stację także widzę... *(Wychylił się)* Trochę z boku

ARBOIS: Trochę z boku... A rozkaz jaki był, Bregain?

BREGAIN: W celach ćwiczebnych... Ubezpieczenie... Na wszelki wypadek...

ARBOIS: Bałwan!

BARTHELEMY: Panie poruczniku, w razie czego... Tam są ludzie... kobiety...

(Arbois z rozmachu bije Barthelemy pięścią w twarz. Tamten cofa się od okna.)

ARBOIS: Ty chamie! Ty pało kapuściana! Kim ty jesteś? Parobasem zwykłym, kupą łajna, brudasem bez inteligencji... A ja mam z ciebie robić pana! Co za pluton mi dali? Posłuchaj, śmieciarzu! Będziesz władcą, królem prawie, będziesz bił po mordach, jak ja ciebie teraz... Ale człowieka nie udawaj, człowieka nie udawaj... *(Po chwili)* Bregain, natychmiast zmienić stanowisko!

BREGAIN: Tak jest.

ARBOIS: Zameldujesz się u mnie później. *(Wychodzi)*

CHARRON: Wściekły pies.

BREGAIN: *(Do Barthelemy)* Łoju śmierdzący, chcesz żebym wsiąkł przez ciebie? Wystawiam ci opinię — ciemny wieśniak, nawet gazet nie czytuje, a ty gębę otwierasz przy oficerze...

(W drzwiach wiodących z kuchni zjawia się Dominique)

DOMINIQUE: Moje uszanowanie, Bregain. No co, nie uściszkasz żony? Obejdzie się.

BREGAIN: Ty skąd tutaj?

DOMINIQUE: Ciekawyś? W podróż podobno się wybierasz, do obcych krajów... A z dzieckiem co się stanie? A ze mną?

BREGAIN: *(Pijany)* Bóg się wami zaopiekuje...

DOMINIQUE: Już ja ci naraję boską pomoc, zarazo jedna... Do pułkownika pójdę! Do generała samego pójdę! Taki skandal urządzę, że cała Francja usłyszy!

BREGAIN: Zmiataj, Dominique, bo ci wszystkie zęby wybiję. Tutaj nie miejsce na skandale...

DOMINIQUE: Jak ci nie wstyd, Bregain? Jak ci nie wstyd? *(Do wszystkich)* Trzy lata się z nim włóczyłam po suterynach, po garkuchniach... Pracę raz tylko miał, przez tydzień... Brzuch mi już ciążył, a nie wiedziałam, gdzie urodzę — w psiej budzie, czy gdzieś na schodach... Ale się cieszyłam... Tak strasznie się cieszyłam... A kiedy Yvonne przyszła na świat, ten wyrzutek zwiał do wojska...

RIGOGNE: Gdzie trzymasz forsę, Bregain?

DOMINIQUE: Nie trzeba, kochany. *(Do Bregain)* Poczekaj, gaszku, już ja ci wsolę. Do sztabu generalnego pójdę na skargę! Do Ministerstwa Wojny!

BREGAIN: Odczep się, dziwko! Poszukaj sobie kogoś w Paryżu...

(Rigogne uderza go w twarz. Pijany kapral przewraca się na podłogę.)

RIGOGNE: Gdzie jest dziecko?

DOMINIQUE: *(Płacze)* W kuchni. To już spora dziewczynka, dwuletnia, rozumie...

RIGOGNE: Uzbieramy na bilet, chłopcy? Na Nord. *(Bierze hełm i pierwszy wrzuca do niego pieniądze).* Charron, wygrałeś w karty... *(Charron wkłada banknot do hełmu)*

BARTHELEMY: Nie mam gronia przy duszy. *(Wyciąga z kieszeni scyzoryk)* Ale za ten scyzoryk paręset franków kapnie: pięć ostrzy i korkociąg, stal ekstra... *(Wrzuca scyzoryk do hełmu)*

RIGOGNE: Nicolas! *(Nicolas, który od jakiegoś czasu siedzi przy karabinie i czyta list, nie drgnął nawet na dźwięk swego imienia.)* Na ciebie kolej, Nicolas! *(Nicolas udaje, że nie słyszy)*

POIRET: *(Wydobywa z kieszeni garść banknotów)* Za ten koc, co go opchnąłem...

BREGAIN: *(Siada na podłodze)* Co za drużyna! Rigogne, dałeś mi w mordę, ale niech skonam, jeśli jest druga taka drużyna w naszym pułku...

DOMINIQUE: Cicho, ty diable! *(Do wszystkich)* Po co kochani? Po co? Ja nie na żebry przyjechałam... O moją miłość się upominam, nie o pieniądze... moją miłość przeklętą!...

RIGOGNE: Pojedziecie z dzieckiem na Nord, do mojej matki. Jest sortierką w kopalni, sama żyje, zamieszkacie u niej...

BREGAIN: Odeślij ją, Rigogne, odeślij...

RIGOGNE: Glizda, tfu!

DOMINIQUE: Nigdzie nie pojadę, chyba do Indochin... Razem z nim... Tchórz obrzydliwy!... Przed życiem ucieka, przed nędzą...

RIGOGNE: Pojedziecie. Matka was przygarnie, rozejrzy się za jakąś robotą... Zobaczycie, jaka jest moja mama... Nawet nie spyta: skąd, dlaczego? *(Przelicza pieniądze)* Na bilet starczy, scyzoryk możesz wziąć z powrotem, Barthelemy.

(Barthelemy, ociągając się nieco, ale z wyraźną radością bierze scyzoryk.)

POIRET: Zaczekajcie. *(Ogląda scyzoryk)* Trzysta franków. *(Chowa scyzoryk do kieszeni, wyjmuje parę banknotów i wrzuca je do hełmu.)* Przydadzą się w drodze...

RIGOGNE: *(Do Dominique)* Pozdrowicie mamę ode mnie, przyjechać tu nie mogła, nie puścili jej z kopalni.

DOMINIQUE: *(Do męża)* Widzisz, pasożycie? Obcy ludzie mi pomagają, nieznajomi... Śmiejesz się? Ty... ty... Ja ci jeszcze pokażę! Do gazet twoją fotografię zaniosę!...

RIGOGNE: *(Napisał coś na kartce papieru, zawinął w nią pieniądze i wręcza je Dominique)* Macie adres.

DOMINIQUE: Dziękuje, kochani. Pieniądze wezmę, bo dziecko zagłodzone... Inaczej bym nie wzięła... Za żadne skarby nie wzięłabym... *(Do męża, łagodnie)* Nie chcesz popatrzyć na Yvonne? Ona tu stoi za drzwiami...

BREGAIN: Nie.

(Dominique czeka jeszcze chwilę, potem wybucha histerycznym płaczem i wybiega do kuchni.)

CHARRON: Ale świnia!

BREGAIN: Odczep się! Odczepcie się wszyscy, czemu się tak gapicie? Obrzydło mi tamto życie i tyle... Mam dość rynsztoków, po co ta baba je-

szcze tutaj przyłazi, po co mi przypomina, jak chodziłem z bonami po zupkę... Skończyłem z tym... Skończyłem z tym raz na zawsze! W wojsku przynajmniej mam wikt i gacie na zmianę...

BARTHELEMY: A jak ciebie zaciukają w Indochinach?

BREGAIN: To się chociaż nażrę przedtem, „Gauloise'a" wypalę...

RIGOGNE: Nie ma chleba, nie ma pracy, dzielni będą z nas wojacy... Odważny jesteś, Bregain, na pięć orderów i dwanaście medali... Szkoda tylko, że taka szuja...

NICOLAS: Posłuchaj Charron, co wypisuje moja matka... *(Czyta fragment listu)* „Jak twoja cera, Justyn? Poprawiła się? Na pewno dużo przebywasz na powietrzu... Depesza zastała mnie w szpitalu, po operacji — przyjechać nie mogę... Ojczym przesyła ci adres wuja Brissard w Saigonie, odwiedzisz go, jest właścicielem łuszczarni ryżu. Najbogatszy człowiek w naszej rodzinie... Zbudował sobie tam willę".. A ja mam zdychać za tego Brissard... Posłuchaj dalej... „Ojczym interesuje się tobą jak rodzonym... Mówi, że w wojsku zrobią z ciebie człowieka... Pojedziesz do kolonii, obejrzysz kawał świata, poznasz naszą gospodarkę na peryferiach... Przyda ci się na przyszłość"... Drań! Mógł mnie wykupić. Mniej zamożni od niego wykupują swoje dzieci. Ale on mnie chciał spławić, nienawidzi mnie, bo go nie wyręczałem w sklepie, nie stałem cały dzień za ladą. Na subiekta mnie przeznaczył — a czy dzisiaj młodzież zajmuje się handlem? Młodzież ma inne zainteresowania...

CHARRON: Ja też miałem zainteresowania, ale forsy mi na nie zabrakło i popatrz, co ze mnie wyrosło...

NICOLAS: Słuchaj dalej... „Podobno tubylcy urządzają tam stale jakieś rozruchy, ale o ciebie się nie niepokoję, bo przecież tam jest nasza policja, francuska policja"... Na jakim świecie ona żyje — prasy nie czyta, czy co?

CHARRON: W gazetach nic o tym nie ma...

NICOLAS: To niech czyta „Humanité"...

BREGAIN: Komunistyczną gazetę, Nicolas?

NICOLAS: Tylko komuniści piszą prawdę!...

BREGAIN: Nie bądź za mądry... *(Do wszystkich)* No, chłopcy — dość gadania! Przenosimy cekaem... A przede wszystkim trzeba cywilów wytrynić z tego domku, to na pewno oni wpuścili moją babę... Kogoś z was postawię przy furtce... *(Idzie ku drzwiom)* Co znowu?

(W drzwiach z kuchni zjawia się matka Poiret)

MATKA POIRET: On tu jest...

BREGAIN: Madame do kogo? *(Zagradza jej drogę.)*

MATKA POIRET: Poiret, Poiret!

BREGAIN: Aha, mamusia... Poiret, wkładaj hełm! Żywo! Pasek pod brodę... *(Sam zapina ogłupiałemu chłopcu pasek pod brodą)* O tak... Teraz oczyszczaj dom z cywilów...

MATKA POIRET: Synku...

BREGAIN: Do dzieła, Poiret!...

MATKA POIRET: Nie przywitasz się?

BREGAIN: Poiret. Rozpędzisz to zbiegowisko! No!

POIRET: *(Automatycznie)* Rozejść się!

MATKA POIRET: Synku!

POIRET: *(j. w.)* Rozejść się!

MATKA POIRET: Ogłuchłeś, Poiret? Oślepłeś? Rodzonej matki nie poznajesz?

(Poiret niezdecydowany — patrzy na kaprala)

BREGAIN: Na służbie nie wolno rozmawiać!

POIRET: Słyszeliście? Rozejść się!

MATKA POIRET: Do rodzonej matki — rozejść się! Pokaż się no... Czyś ty na pewno Poiret, czy jakiś pajac w garnku na głowie?

POIRET: Teraz jestem posterunek.

MATKA POIRET: Posterunek... Posterunek... Co się dziwić, że mnie obcy kolbą zaprawił? Dożyłam na starość, nie ma co... *(Wyciąga spod chusty koszyk, stawia go na podłodze)* Twarogu ci przyniosłam i jabłek...

(Poiret znowu patrzy pytająco na kaprala)

BREGAIN: Bierz, dożywimy się.

MATKA POIRET: *(Wysupłała z woreczka parę banknotów)* Masz tu pieniądze.

POIRET: Nie trzeba mi pieniędzy. Chcecie, to wam moje własne oddam...

BREGAIN: Bierz, nie bądź głupi...

POIRET: *(Ponuro)* Nie trzeba mi pieniędzy.

MATKA POIRET: Bez pieniędzy zmarniejesz, dziecko.

POIRET: I tak zmarnieję. Zabiją mnie — na co mi pieniądze... Życia sobie nie odkupię.

MATKA POIRET: Kto ciebie zabije, synku?

POIRET: Znajdą się tacy, co zabiją.

MATKA POIRET: Za co mieliby ciebie zabić? Krzywdy nikomu nie wyrządziłeś.

POIRET: Rigogne! Powiedz matce — zabiją mnie, czy nie...

RIGOGNE: Mogą zabić.

POIRET: Zastrzelą w Indochinach.

MATKA POIRET: Zbójem jesteś, wyrodkiem? Za co ciebie mają zastrzelić? Kto by na ciebie rękę podniósł, Boga w sercu by nie żywił, kanalia jakaś. Oczy takiemu wydrapałabym, zadusiłabym własnym rękami. Suka takiego wykarmiła, nie matka.

RIGOGNE: Może on nie taki straszny, ten co strzeli do waszego Poiret? Może lepszy od waszego syna?

MATKA POIRET: Lepszy? Zwariowałeś, chłopcze! Zabójca podły, zbrodniarz bez sumienia, bodaj go ziemia boża nie nosiła. Nie po to dziecko na świat wydałam, żeby mi je jakiś łotr zmarnował. Na porządnego człowieka wychowywałam — ojciec przez całe życie sądy omijał, z policjantami najwyżej wino pił. A tamten lepszy, mówisz? Bandzior przeklęty! Co złego w moim synku zobaczyłeś?

RIGOGNE: Nie ja... Inni zobaczą. W Indochinach zobaczą... Nędzę swoją, niewolę... Tyle złego dostrzegą w waszym Poiret, że jednej kuli za mało, żeby się go pozbyć...

MATKA POIRET: Nieprawda!

RIGOGNE: Prawda... Pókiśmy we Francji, różni z nas ludzie... Jeden

z północy, drugi z południa, jeden kawaler, drugi żonaty... Gęby rozmaite, charaktery... A jak nas przywiozą do Indochin, będziemy wszyscy jednakowi... Plaga... Waszego synalka nikt nie rozpozna... Roztopi się wasz synalek...

BREGAIN: *(Który przez cały czas tej rozmowy wyjadał jabłka z koszyka)* No, staruchо — dosyć! Jazda stąd!

(Wchodzi Michele)

A mademoiselle do kogo?

MICHELE: *(W pierwszej chwili zaskoczona obecnością żołnierzy, szybko odzyskuje panowanie nad sobą)* Do was wszystkich.

BREGAIN: O, szeroka natura... Kwiatów pani przyniosła? Na pogrzeb przychodzi się z kwiatami...

MICHELE: Pan co — karawaniarz czy ksiądz? *(Do żołnierzy)* Nie pojedziecie do Indochin!

NICOLAS: *(Podniósł głowę znad listu, który uparcie studiuje)* Nie pojedziemy?

MICHELE: Martin was nie zawiezie!

BREGAIN: A któż to taki — ten Martin!

MICHELE: Maszynista. On was nie zawiezie!

BARTHELEMY: Mało to maszynistów we Francji?

MICHELE: A my was nie puścimy! Położymy się na szynach.

NICOLAS: *(Z żarem)* Tak, tak — połóżcie się na szynach.

BREGAIN: Proszę, jaki zuch! *(Do Michele)* Precz stąd!

MICHELE: Nie pojedziecie do Indochin!

BREGAIN: Precz — mówię Poiret!

(Poiret z pistoletem w pogotowiu zbliża się ku Michele. Matka Poiret podchodzi do niej szybko, jak gdyby ją chciała zasłonić)

MATKA POIRET: To mój syn... Popatrz, Michele — to mój syn... *(Płacze. Michele ją obejmuje, wychodzą)*

BREGAIN: Na co czekacie? Przenosić karabin, gamonie!

(Barthelemy, Nicolas i Charron wynoszą cekaem. Za nimi wychodzi Rigogne, ostatni — Poiret. Bregain rozgląda się po pokoju, podchodzi do stołu i przewraca go kopnięciem. Następnie kolbą pistoletu zrzuca porcelanę z kredensu, wychodzi, słychać jego wrzask z kuchni: „cywile precz!". Głos Katarzyny: „To nasz dom!" Po sekundzie Katarzyna wpada do pokoju, obrzuca spojrzeniem spustoszone wnętrze. W progu staje Ledoux.)

KATARZYNA: Matko najświętsza — kto to zrobił?!

LEDOUX: *(Ponuro)* Nasza armia tędy przeszła...

Kurtyna

AKT DRUGI

W tym samym pokoju. Słońce już zaszło. W mieszkaniu nie zapalono światła i tylko blask stacyjnych lamp rozjaśnia wnętrze. Białe, zielone i czerwone ognie migocą za oknami. W pokoju — Arbois i Bregain.

ARBOIS: Sytuacja jest ciężka, Bregain... Nowego maszynisty dotychczas nie znaleziono, a tłum coraz bardziej napiera na kordon... Nie wy-

kluczone, że trzeba będzie użyć broni... Jak sądzisz — czy twoi ludzie otworzą ogień?

BREGAIN: Nie zdarzyło się jeszcze, żeby nie strzelali, kiedy wołam ognia!

ARBOIS: Do tarcz, idioto... Ilu masz komunistów w drużynie?

BREGAIN: Ani jednego.

ARBOIS: Jeden jest na pewno... A jak jest jeden, to znaczy, że jutro będzie pięciu, pojutrze cała drużyna... To zaraźliwa idea, Bregain... A może sam zachorowałeś — przyznaj się...

BREGAIN: Pan porucznik chyba żartuje...

ARBOIS: Pomyśl — kiedy na Sorbonie zakładałem „Świetliste miecze", na początku było nas trzech... przez cały czas trzech, do końca trzech. Nikt się nie przyłączył — czemu? Jak mi powiesz — czemu, oddam ci połowę gaży... Dlaczego ty właściwie nienawidzisz komunistów, kapralu?

BREGAIN: Za wiele żądają od człowieka. Chcą, żeby zeskrobać z siebie błoto, w którym się przyszło na świat, żeby być czystszym, niż ci z luksusowych mieszkań... A do mnie to błoto przylipło na fest, dobrze się czuję taki zabłocony...

ARBOIS: Na twoim miejscu poszedłbym za nimi...

BREGAIN: Za późno, panie poruczniku... Pana chętniej dopuściliby do kompanii niż mnie... Oni mną gardzą, a ja im zazdroszczę — wierzy pan teraz, że ich nienawidzę?

ARBOIS: Posłuchaj, Bregain — jeśli w ciągu godziny położenie się nie zmieni, nasze cekaemy będą musiały wygłosić przemówienie do ludu... Ale przedtem trzeba izolować komunistów, ich obecność może zepsuć ten meeting. Masz piętnaście minut na sporządzenie listy...

BREGAIN: Z mojej drużyny — nie mogę...

ARBOIS: Jednego przynajmniej...

BREGAIN: Z mojej drużyny — nie!

ARBOIS: Buntujesz się? Zbyt łagodnie się z tobą obchodzę, powinienem ci skuć mordę za to, że się schlałeś na służbie... Burda z lokatorami tej chałupy też ci uszła na sucho...

BREGAIN: Dowództwo, jak widzę, robi przygotowania do większej burdy...

ARBOIS: Już ci raz powiedziałem, że tu mieszkają kolejarze, a kolejarzy do czasu nie należy drażnić... Za piętnaście minut przedłożysz mi listę...

BREGAIN: Z mojej drużyny — nie!

ARBOIS: Niesubordynacja, Bregain? Pluton egzekucyjny za tobą tęskni...

BREGAIN: Panie poruczniku...

ARBOIS: Czego?

BREGAIN: Z drugiej drużyny: Riviere, Pinot, Dion...

ARBOIS: *(Wyjął notes, zapisuje)* Dalej.

BREGAIN: Z trzeciej drużyny: Eijon, Perrier... zaraz... Leroux... Nie Leroux chyba nie, daleko mu do komunisty... Czwarta drużyna. Tournelle...

ARBOIS: Wszyscy?

BREGAIN: Wszyscy.

ARBOIS: Cudze drużyny znasz lepiej niż ich dowódcy — Pinota na przykład nie wymienili... No... a o twojej drużynie kto mi zda raport?

BREGAIN: Moją drużynę znam wyłącznie ja...

ARBOIS: Rozzuchwaliłeś się, Bregain... Ale pamiętaj — w dniu, w którym mi się znudzi twoje towarzystwo, zdechniesz, nie doczekawszy zachodu słońca... Sam ci właduję kulę w mózg... A teraz marsz na stanowisko, czekać dalszych rozkazów!

BREGAIN: Tak jest!

ARBOIS: Odpowiadasz głową za to, że w razie czego twój karabin się nie zatnie...

BREGAIN: Tak jest!

(Arbois wychodzi. Po chwili zjawia się w pokoju Katarzyna)

KATARZYNA: Można już?

BREGAIN: Proszę bardzo. Ale do kuchni nosa mi nie wsadzać! Kuchnia to strefa działań wojennych, zrozumiano?

KATARZYNA: Zrozumiano, zrozumiano... z własnego domu coraz to wyganiają...

(Bregain wychodzi. W oknie pokazuje się Martin)

MARTIN: *(Wskakuje do środka)* No, matko — już nie jestem lepszy od innych... Denivelle oświadczył, że nie pojedzie, Fouchet i Marchand tak samo...

KATARZYNA: Tym gorzej... Żołnierze hulają mi po mieszkaniu, rządzą się jak szare gęsi... W kuchni karabin maszynowy ustawili... Jak się krew poleje, na twoim sumieniu plamy będą...

MARTIN: Krew, jeśli się poleje, obryzga ministrów w Paryżu... Daleko pryskają krople krwi, matko... *(Wchodzi Crottin)*

CROTTIN: Martin, chciałbym z tobą pogadać. *(Do Katarzyny)* Bardzo mi przykro, madame Ledoux...

KATARZYNA: Idę, panie Crottin... *(Wychodzi)*

CROTTIN: Twój teść mnie obraził, ale nie jestem mściwy. Żal mi ciebie, Martin...

MARTIN: Żałuj głupszych od siebie...

CROTTIN: Widocznie należysz do głupszych, skoro mi ciebie żal... Który jesteś rocznik — dwudziesty? Przychodzi w życiu taki dzień, kiedy trzeba sobie powiedzieć: młodość się skończyła, najwyższy czas, żeby o siebie zadbać... Popatrz na mnie...

MARTIN: Obmierzłą masz gębę, Crottin.

CROTTIN: Możliwe. Ale na moją pięćdziesiątkę nie wyglądam, musisz przyznać. Wszyscy się dziwią, że się tak dobrze trzymam, a ja po prostu uważałem na siebie — z najmniejszą dziurką w zębie biegałem do dentysty... Dziś byle komu się zdaje, że uszczęśliwia ludzkość, a tymczasem zęby mu wypadają, zdrowie traci...

MARTIN: Dużo forsy włożyłeś w uzębienie, Crottin, pilnuj się, żebyś go nie stracił za jednym zamachem... Kto cię tu przysłał?

CROTTIN: Jesteś zanadto podejrzliwy — co najmniej pięciu obywateli naszego miasta uniknęło wizyty żandarmów dzięki temu, że ich odwiedziłem na godzinę przed aresztowaniem... To byli rozsądni ludzie, Martin... Masz trzydzieści lat, ożeniłeś się przed tygodniem, powinieneś zaprzestać

już zabawy w piękne życie... Gdybyś czytywał moje korespondencje, wiedziałbyś, czym się taka zabawa kończy... Uczuciami można się kierować do lat osiemnastu, ale w dojrzałym wieku są one diabelnie niebezpieczne... Nie wolno przeciągać młodości, André... Twoja młodość minęła...

MARTIN: Dajmy temu spokój, kaznodziejo — daremnie się trudzisz... Innych maszynistów też ci kazano obrobić?

CROTTIN: Poniekąd. Tylko że z tamtymi sprawa przedstawia się beznadziejnie, to naśladowcy... Ty jeden jesteś samodzielny, Martin.

MARTIN: Dość! Zameldujesz prefektowi, że młodość jeszcze nie wywietrzała ze mnie, że mi dopiero na całego uderza do głowy...

CROTTIN: Miałeś dosyć czasu, żeby się wyszumieć — wówczas, kiedy wysadzałeś pociągi w powietrze...

MARTIN: Wysadzanie pociągów było piekielnie dorosłym zajęciem, Crottin... Skąpiłem sobie wtedy życia, jak chcesz wiedzieć, miłość znajdowała się obok, tylko ręką sięgnij jak po kwiat — nie sięgałem, bałem się zacząć c o ś n o w e g o... Ale do rzeczy... Powtórz prefektowi, że pomimo moich trzydziestu lat kocham Francję i nie będę woził posiłków dla pana generała De Lattre...

CROTTIN: Widziałem nakaz aresztowania na twoje imię i nazwisko... W tydzień po ślubie, Martin...

MARTIN: Nie troszcz się o moje szczęście, szpicu, ono mnie nie złamie...

CROTTIN: Zastanów się jeszcze...

MARTIN: Wyjdziesz sam, czy cię odprowadzić do drzwi?

CROTTIN: Wolę bez odprowadzenia...

(Wychodzi. Wraca Katarzyna)

KATARZYNA: No, André... *(Po chwili)* Kolację włożyłam ci do torebki...

(Martin milczy. Katarzyna wzrusza ramionami, wychodzi. W drzwiach z kuchni zjawia się Rigogne.)

RIGOGNE: To ty? Widziałem się przez okno, przemawiałeś... Łapa, kolego...

MARTIN: Z obsługi cekaemu?

RIGOGNE: Niestety... W domu mnie uczyli, że wojsko jest przeciwko nam... Więc jestem przeciwko sobie, jeśli cię to interesuje, i jednemu z nas dwóch, możesz śmiało podać rękę... Oberwałeś?

MARTIN: Drzonkiem od saperki...

RIGOGNE: I co — rezygnujesz? Nie rezygnuj, oberwałeś — to znaczy, że pułk się gniewa, a to już dobrze... Teraz ciebie po czuprynie, a za chwilę — oficerów... Okrągły rok świdrowałem chłopcom w dudach, ale byli obojętni, tępi... Dopiero dzisiaj poczułem w nich gniew.

MARTIN: Słuchaj ty... nie podstawili ciebie przypadkiem?

RIGOGNE: Zajrzyj mi do uszu, to się upewnisz... *(Idzie w stronę kuchni)*

MARTIN: Poczekaj!

(Przez okno do pokoju zagląda zawiadowca)

ZAWIADOWCA: Stary jest?

MARTIN: Po co ci stary?

ZAWIADOWCA: Mnie on na diabła potrzebny... Naczelnik stacji go wzywa.

MARTIN: Zmywaj się!

ZAWIADOWCA: Czemu się gniewasz — czy ja tu z własnej woli przyszedłem? Naczelnik mnie przysłał.

MARTIN: Zmywaj się, mówię — pókiś cały! *(Zatrzaskuje mu okno przed nosem)*.

(Wchodzi Ledoux)

LEDOUX: Siedziałem na stryszku, groźnie to z góry wygląda... Karabiny maszynowe ze wszystkich stron... Bogiem a prawdą, Martin — czy twój upór na coś się zda?

MARTIN: Nie ja jeden się upieram... Nikt we Francji nie chce tej wojny...

LEDOUX: No tak... Ale oni na tę wojnę pojadą... Zakotłuje się, a potem pojadą... Nie załadują ich tutaj, to pomaszerują do Aix i tam wsiądą do pociągu...

MARTIN: Im bliżej ciebie cała sprawa, Ledoux, tym bardziej miękniesz, rozłazisz się... Wiedz, że nie ma w mieście człowieka, który by w tej chwili o tobie nie myślał... I radzę ci — zbierz się w kupę, chyba że chcesz zżółknąć na starość...

LEDOUX: Nie gadaj ze mną w ten sposób. Obrazą albo przez przymus nic ze mnie nie wyciśniesz.

MARTIN: Do niczego cię nie przymuszam, do dobrego przymusem się nie dochodzi... Ale widzę, co się w tobie dzieje... Udajesz niewiarę w sens naszego oporu, a w gruncie rzeczy nie dowierzasz tylko sobie, tylko sobie...

LEDOUX: Nie skłamię, André — jakże ja mogę sobie dowierzać, skoro od dawna już nie orientuję się, kim właściwie jestem, na co mnie stać... Moje serce szarpnęło się ostatni raz piętnaście lat temu, w dniach Frontu Ludowego i od tego czasu bije cicho, coraz ciszej, nie daje o sobie znać... Nawet za okupacji nie stuknęło mocniej, żaden lekarz nie dosłuchałby się w nim buntu... Uderza nie głośniej, niż trzeba, żeby mnie utrzymać przy życiu — co począć z takim sercem? Zmienić je? Pamiętasz — przyszedłeś kiedyś za Niemców o świcie, zabłocony i powiedziałeś: De Gaulle oświadczył, że nie ma żadnej armii podziemnej i wiesz, co się stało ubiegłej nocy, dziadku? Tak powiedziałeś — dziadku... Siedemset pociągów wyleciało w powietrze! Ja wtedy jeździłem jak zawsze i przestraszyłem się... kogo? Francji?... Kogo dzisiaj się boję — Francji? Czy mogę bez blagi rzec, że kocham Francję — chyba nie... Kocham tylko to, co widzę dokoła — winnice, miasteczka, tory kolejowe... A to jeszcze nie jest Francja... Parowóz kocham, ale jakoś podle — zdjęli mnie z niego, godność moja się chwieje, po rękach całowałbym dyrekcję, byle jeszcze miesiąc pojeździć... Póki był parowóz, było życie — a teraz co? Ten umeblowany grób, który Katarzyna nazywa naszym domem... Mój największy grzech w tym się zawiera, że mało żądałem od życia, że się przed nim ukorzyłem... Niewiele wymagać od życia — znaczy dokładnie to samo, co myśleć tylko o sobie... I głupi nie jestem, o nie... Czytałem dużo, rozumiem może nawet więcej niż ty... Głowę mam jasną — co z tego? Sumienie przez to bardziej obarczone...

(Do pokoju zagląda zawiadowca)

ZAWIADOWCA: Ale mnie rozżaliłeś, Ledoux... Do łez... Słyszałem wszystko... Ja też... Gdyby to zależało ode mnie...

MARTIN: Znowu ty? Od okna cię odpędziłem, drzwiami się pchasz... Precz stąd!

ZAWIADOWCA: *(Do Ledoux)* Każ mu, żeby się uspokoił... Przecież nie pcham się tutaj z własnej inicjatywy, mam polecenie do ciebie, Ledoux...

MARTIN: A ja ci radzę — zmiataj!

ZAWIADOWCA: *(Wycofawszy się ku drzwiom)* Pohamuj go, Ledoux — słyszysz? Niech mi wymyśla w sobotę wieczór, jak idę do knajpy — wtedy jestem zależny tylko od siebie. Ale nie w tej chwili...

LEDOUX: *(Do Martina)* Zostaw go w spokoju. *(Do zawiadowcy)* O co chodzi?

ZAWIADOWCA: Naczelnik stacji cię wzywa.

MARTIN: *(Do zawiadowcy)* Powtórzyłeś, co ci kazano — ulatniaj się!

ZAWIADOWCA: Teraz co innego. Teraz mogę się ulotnić. *(Wychodzi)*

MARTIN: No, Ledoux?

LEDOUX: Nie pójdę. *(Po chwili)* Albo pójdę i sam powiem naczelnikowi, że nie jadę.

MARTIN: Jeśli pójdziesz tam — ugadają cię. Nie śmiesz tam iść!

(Wchodzi Katarzyna)

KATARZYNA: Kto tu był?

MARTIN: Nikogo nie było.

KATARZYNA: Kłamiesz, ktoś tu był. Słyszałam. Kto tu był Ledoux?

LEDOUX: Zawiadowca.

KATARZYNA: Po ciebie?

LEDOUX: Po mnie.

KATARZYNA: Nareszcie się skończy cała awantura... Weźmiesz kolację, którą naszykowałam dla Martina...

MARTIN: On nie pojedzie, matko.

KATARZYNA: Nie wtrącaj się przybłędo! Nigdy nie miałeś własnego domu, a do naszego wpuszczono cię przed tygodniem... Ale ty, Ledoux powinieneś rozumieć, co to jest dom, rodzina... U nas na Nordzie domy są z kamienia, za wysokim ogrodzeniem, zły pies na każdym podwórzu... Zabrałeś mnie z takiego domu, więc chyba pamiętasz, jak on wyglądał... Mur wysoki dookoła... I kiedy niepokój nadciąga, ludzie z mojej wsi przede wszystkim zabezpieczają swoje domy... Ratuj dom, Ledoux!

LEDOUX: Idę.

KATARZYNA: Chwała Bogu.

LEDOUX: *(Powoli)* Idę oświadczyć naczelnikowi, że nie jadę... *(Wychodzi)*

KATARZYNA: Zaczekaj... Kolacji nie wziął, zgłodnieje biedak po drodze... No, Martin... Czy cię nie przestrzegałam, że kto inny poprowadzi pociąg?... Było się po co wystawiać!... *(Wychodzi. Wchodzi Michele)*

MICHELE: Wróciłeś? A ja usypiałam tę małą Dominique... Jestem dzisiaj na zmianę gaitatorem i niańką... *(Po chwili)* Co z tobą, André?

MARTIN: Nic.
MICHELE: *(Po pauzie)* Ojciec?...
MARTIN: Wezwali go... Poszedł...
MICHELE: Idę, André...
MARTIN: Zaczekaj... Pożegnamy się...
MICHELE: *(Po pauzie)* To już?...
MARTIN: Crottin tu był... Ręcznik mi przygotowałaś?
MICHELE: Tak.
MARTIN: Pamiętaj o jabłonce, trzeba pobielić pień...
MICHELE: Tak, André...
MARTIN: Jak przyjedzie Tillard, pożycz mu moją wędkę na niedzielę...
MICHELE: Tak, André...
MARTIN: No, uściśnij mnie...
MICHELE: Nie jadłeś kolacji, André...
MARTIN: Głupstwo, nie jestem głodny...
MICHELE: Ale zjedz coś...
MARTIN: Dobrze, zjem...
MICHELE: Może ja tu zaczekam z tobą?
MARTIN: Nie, Michele... Idź, rób swoje...
MICHELE: A ty? Musisz tu zostać?...
MARTIN: Muszę — trzeba jeszcze pogadać z tym od cekaemu. *(Obejmuje Michele).* Trzymaj się, mała... (Michele czeka) No idź, idź...

(Michele wychodzi, w chwilę po niej Martin. Wchodzą z kuchni Nicolas i Charron)

NICOLAS: Czemu akurat ja mam zdechnąć? Tylu głupszych, mniej zdolnych ode mnie mężczyzn chadza po Francji... Piją aperitify, kochają się...
CHARRON: *(Ciągle pijany)* Właściwie do czego ty jesteś zdolny, Nicolas?
NICOLAS: Bo ja wiem? Nie zastanawiałem się...
CHARRON: *(Podchodzi do okna).* No to pomóż, bracie. Przytrzymaj mi głowę. *(Wychyla się przez parapet i wymiotuje. Nicolas podtrzymuje go. Po dłuższej chwili podnosi się i chwiejnym krokiem idzie przez pokój. Siada na krześle).* Taki młody chłopiec jak ja nie powinien się upijać. Jak myślisz?
NICOLAS: Nie powinien.
CHARRON: A ja się upijam. Powiedzieć ci prawdę, Nicolas? Zdaje ci się tylko, że jesteś zdolny... Mniej ciekawego osobnika od ciebie nie spotkałem, jak długo żyję... W cywilu nosiłbyś chociaż kolorowy krawat, a tak... I w dodatku jesteś bezczelny — z całej drużyny ty najgłośniej jęczysz...
NICOLAS: Wam wszystko jedno, a ja chcę żyć...
CHARRON: Po co?
NICOLAS: Głupie pytanie. Chcę żyć i już...
CHARRON: No dobrze, ale co po twojemu znaczy — żyć... Budzić się co rano, zasypiać co wieczór... to wiem... Co jeszcze?
NICOLAS: Mieć kobiety...
CHARRON: Wiadomo. A cóż ponadto?
NICOLAS: Grać w tenisa... Kupić sobie auto... I w ogóle — Paryż...
CHARRON: A poezja?

NICOLAS: Co takiego?

CHARRON: Mówię, że jest także poezja... Verlaine, Baudelaire...

NICOLAS: To się przerabiało w szkole. Dla dorosłych są rewi w teatrzykach.

CHARRON: A ja, brachu, kradłem... Na kino... Dwa razy dom poprawczy... Lubisz kino?

NICOLAS: Lubię.

CHARRON: Nie trzeba chodzić do kina... potem mdli...

NICOLAS: Sam chodzisz za każdą przepustką.

CHARRON: A dokąd iść? Dawniej czytałem... Teraz nie czytam, ni pozwalają mi.

NICOLAS: Kto ci nie pozwala?

CHARRON: Te... z filmów — nie umiem już myśleć o czym innym Ledwie przymknę oczy, tłoczą mi się pod powiekami... Fotografie gro madzę... A mnie po prostu ciągnęło w świat, do wiedzy ciągnęło...

NICOLAS: Gdyby tak zachorować... Przeleżałby się człowiek parę mie sięcy w szpitalu, później zwolnienie... Mój Boże...

CHARRON: Ty znowu swoje...

NICOLAS: Bo nie chcę umrzeć...

CHARRON: Słyszałem już. Innym, uważasz, życia nie szkoda? Mni chociażby? Nie rozumiem dlaczego, bo zmarnowane doszczętnie, ale mi g żal... A tobie szczerze radzę — przestań skomleć... Na nic to skomlenie Gdybyś był przynajmniej psem, to by się nad tobą zlitowano... A mę czyźnie, który skomli, ma się ochotę nadepnąć na gardło...

NICOLAS: Okrutny jesteś... wszyscy jesteście okrutni...

CHARRON: Nikt nas nie lubi dlatego... Byłem czuły i smutny jak nied rozwinięta róża, a czy ktoś mnie za to polubił? I przeszło mi... Samotność Nicolas... Kim my jesteśmy dla siebie — przyjaciółmi? Nie ma przyjaźni w tym wojsku... A jak obco Francja na nas patrzy... Jak na wrogów... Cz można się temu dziwić? Francuzi są wesołym narodem, a my... Ponur z nas towarzystwo... Śpiewaliśmy kiedy? Nie zdarzyło się... Orkiestra na tylko przygrywa trzy, cztery, trzy, cztery, w nogę panowie, równo w prawo...

(Wchodzi Poiret)

POIRET: Bregain chrapie aż miło...

CHARRON: Bodajby się nie obudził!

NICOLAS: Arbois może nadejść...

CHARRON: Znowu się trzęsiesz? Poczekałbyś, aż cię chwyci malaria

POIRET: Tak po prawdzie — jacy oni są?

CHARRON: Kto?

POIRET: Ci, z którymi mamy się bić.

CHARRON: Widywałem ich w Paryżu — drobni jak dzieci... oczy ma skośne, skórę ciemną jak wypalona glina... Sympatyczni...

POIRET: Sympatyczni, mówisz? To po co się z nimi bić...

NICOLAS: Głupiś, Poiret... *(Do Charron)* Opowiadał mi pewien ofic marokańskiej legii, że Annamici to potwornie zawzięty narodek.

POIRET: Zawzięty — na kogo?
NICOLAS: *(Zniecierpliwiony)* Specjalnie na ciebie!
POIRET: A za co? Ja ani trochę nie jestem na nich zawzięty... Nie wiem przecież nawet, jak wyglądają... Ich kraj — daleko, do naszego ponoć zupełnie niepodobny... A wy — czujecie do nich złość?
NICOLAS: Durny!
POIRET: Czujecie czy nie?
CHARRON: Nie czujemy.
POIRET: To i oni do nas chyba nie czują...
CHARRON: Jak ich rozeźlimy, poczują... Potem oni nas rozeźlą...
POIRET: Znaczy, że my ich pierwsi rozeźlimy...
CHARRON: My pierwsi...
POIRET: Nie na mój rozum to wszystko...

(Wchodzi Barthelemy)

BARTHELEMY: Nie mogę już... Nie mogę dłużej... W celowniku — ludzie ze sztandarami, kobiety, staruszkowie... Popatrzysz — i mrowie cię obłazi... Kiedy nas stąd zabiorą nareszcie...
NICOLAS: Tak ci się śpieszy do Indochin?
BARTHELEMY: Tobie łatwo gadać, tyś taśmowy... Jak do czego dojdzie, nie ty naciśniesz spust... Ja nacisnę! Ja się po nich serią przejadę! Później co — do klasztoru na pokutę?

(Wchodzi Rigogne)

RIGOGNE: Ciszej, padalcy... Zbudzicie kaprala...
NICOLAS: Nowe przezwisko? Wymyśl bardziej dowcipne, jeśli łaska...
RIGOGNE: A to czemu? Przezwisko jak ulał, inne by do was tak nie pasowało. Jedziecie na stracenie, więc warto wam jeszcze za życia wbić w łepetyny, kim się staniecie po śmierci...
NICOLAS: Mało mnie to obchodzi...
RIGOGNE: Ciebie nie obchodzi, a resztę może obejdzie...
CHARRON: Po śmierci kim się jest — umrzykiem...
RIGOGNE: Wy będziecie padalcami... Na tej wojnie ludzie będą ginąć po obu stronach, ale po tamtej stronie będą polegli, a po naszej — padalcy...
BARTHELEMY: Nie wszystko jedno?
RIGOGNE: Nie. Poległym ludy stawiają pomniki, a padalcy nie mają cmentarzy, ziemia zaciera ich ślady... Poległym, kiedy ich matek ani żon ani dzieci nie ma w pobliżu, obcy ludzie przynoszą kwiaty na grób — a groby padalców tylko dzika trawa zarasta, robaki tylko je odwiedzają...
CHARRON: To z nami tak?
RIGOGNE: O poległych śpiewa się pieśni, książki się o nich układa, a padalcy tylko w złych snach nachodzą żywych... Poległym — wieczna pamięć, nieśmiertelna sława, a padalcom po prostu — śmierć! Wy będziecie padalcami, chłopaki... padalcami!
(Moment posępnej ciszy. Za oknami coraz głośniejszy pomruk tłumu. Pojedyncze okrzyki. Słowa komend. W oknie zjawia się Dominique. Wsuwa głowę do pokoju)
DOMINIQUE: Nie ma go?

RIGOGNE: Urżnął się i śpi.

DOMINIQUE: Bóg z nim. Chce nawiewać — krzyżyk na drogę. Ja to przeżyję, pod brudnymi łachami cierpienia nie widać... Niech sobie jedzie... Ale was szkoda, kochani... Wy nie macie od czego uciekać... Nie dajcie się wodzić za nos takim jak on — mnie wykierował, was wykieruje... *(Nagle ciska w głąb pokoju paczkę ulotek)* Przeczytajcie...

NICOLAS: *(Przerażony)* Co to?

DOMINIQUE: Przeczytajcie! Sam jeden niech wojuje, ulicznik! Nie idźcie za nim, zostańcie we Francji! *(Znika)*

NICOLAS: *(Czyta jak echo)* Zostańcie we Francji!

CHARRON: *(Czyta)* Dosyć trumien!... *(Do Rigogne)* Nas przecież bez trumien pochowają... Hurtem... A przykro tak bez trumny — pełno piasku w oczach, w nosie, w ustach... Jeszcze kiedy grób za płytki, ręka albo noga sterczy na zewnątrz... Smutno, co? Gdybym umiał grać na organkach, zagrałbym wam teraz, chłopcy... Tak bym zagrał, że popłakalibyście się wszyscy... Wy przecież nawet płakać nie potraficie...

(Znowu chwila ponurego milczenia. Poiret i Barthelemy czytają ulotki.

(Nicolas nerwowo zbiera rozsypane papierki)

NICOLAS: *(Do Poiret i Barthelemy)* Dawajcie! Lepiej wyrzucić te świstki!...

POIRET: Zaraz.

NICOLAS: Szybciej — chcecie, żeby Arbois was przyłapał?

RIGOGNE: Sam przeczytałeś!

NICOLAS: Ale ja prędzej czytam od nich.

(Wchodzi Bregain)

BREGAIN: A to co — bunt? Zebranie towarzyskie? Ja wam pokażę — marsz na stanowiska! Nicolas, co to za druczki? *(Wyrywa z jego rąk plik ulotek, ogląda je)* O, interesujące... Nie doceniałem ciebie, kupczyku!

NICOLAS: Ja je tylko pozbierałem, Bregain... Słowo honoru...

BREGAIN: Twoja robota Rigogne?...

RIGOGNE: Mylisz się. Tym razem — twojej żony...

BREGAIN: Dominique?

RIGOGNE: Jak najbardziej. Czemu gębę rozdziawiłeś?

BREGAIN: Proszę, proszę... Ścierwo już ulotki rozrzuca! Kto ją tego nauczył?

RIGOGNE: Ty sam.

BREGAIN: Ja ją uczyłem pełzać po ziemi. A ciskanie ulotek wymaga, bądź co bądź, pewnej dumy. Skąd do niej duma — do tej wywłoki?

RIGOGNE: Drażni cię to, widzę...

BREGAIN: Ciebie także duma rozpiera... Rozdyma cię jak kiszkę... Strzeż się, Rigogne. Nie znoszę dumnych typasów koło siebie... *(Drze ulotki. Za oknami ruch, prowadzą kogoś. Czyjś pojedynczy głos intonuje pieśń i prawie natychmiast urywa, zdławiony. Bregain podchodzi do okna, patrzy. Do Rigogne)*. Podejdź no, spójrz. Może ci mina zrzednie...

RIGOGNE: *(Podszedł do okna, krzyczy)* Perrier! Dion! Dion! *(Ktoś odpowiada z zewnątrz. Wszyscy żołnierze zbliżają się do okna. Rigogne wychyla się, spogląda za prowadzonymi, potem cofa się i chwyta kaprala za klapy)* Co to znaczy?

BREGAIN: Polowanie na ptaszki... Jak się czujesz?

RIGOGNE: Perrier, Dion, Tournelle... No, chłopaki... Wspomnicie kiedy o Rigogne? Nikt wam tyle nie naubliżał, co ja... A wiecie czemu? Bo was kocham, gówniarze!...

BREGAIN: Nie rozczulaj się, ciebie nie wezmą...

RIGOGNE: Łżesz!

BREGAIN: Nie wezmą ciebie... *(Śmieje się)* Podziękuj...

(Rigogne pluje mu w twarz)

BREGAIN: Ot wdzięczność ludzka... Nie szkodzi... To przecież ja ci naplułem w gębę... Nie tak łatwo wydostać się spod mojej władzy, kochasiu... *(Do wszystkich)* Przyjrzyjcie mu się — ostatni komunista w plutonie, wszyscy inni pomaszerowali do karniaka... Ostatni okaz — szeregowy Rigogne...

RIGOGNE: Przeliczyłeś się, Judaszu — żyjesz na klęczkach, nie tobie stojących kopać...

BREGAIN: Powiedzieć ci prawdę? Dla Dominique forsę na drogę uzbierałeś, dla mojej córki... Za to ja ciebie... Czy mi już dobrym nie wolno być, do cholery...

RIGOGNE: Takiej wszy jak ty — nie wolno... *(Do wszystkich)* Posnęliście, gamonie, czy co? Trzeba ich odbić!

(Milczenie)

Słyszycie — trzeba ich odbić!

(Milczenie)

Nie słyszycie, padalcy...

BREGAIN: A mnie usłyszą... O co zakład, że mnie usłyszą? Na stanowisko — biegiem!

(Ostry przeciągły gwizd parowozu)

NICOLAS: Pociąg?

BREGAIN: Hurra, chłopcy! Jest maszynista!

(Wszyscy rzucają się do okien)

BARTHELEMY: Bogu dzięki...

RIGOGNE: Za co dziękujesz?...

BARTHELEMY: Upiekło się... Jeszcze trochę, a kazaliby strzelać...

RIGOGNE: A tam?

BARTHELEMY: *(Posępnie)*: Tam — obcy kraj...

CHARRON: Tutaj też — obcy kraj... Nie widzisz?

RIGOGNE: Za wcześnie dziękujesz Bogu, Barthelemy.

(Słychać dudnienie zbliżającego się pociągu)

BARTHELEMY: Niech się stanie co chce, ale stąd wyjeżdżamy... Duszno tutaj...

(Wpada matka Poiret)

MATKA POIRET: Nie dam go! Nie dam syna!
BREGAIN: Znowu ta starucha?
MATKA POIRET: Chodź, Poiret! Pociąg już jedzie... *(Ciągnie syna za rękaw)*
POIRET: Zostawcie mamo...
MATKA POIRET: Nie zostawię! Chodź prędko!...
CHARRON: A jak pójdzie, to co? Schwytają go i zastrzelą.
MATKA POIRET: Kto kogo zastrzeli?
BREGAIN: Ja, madame.
POIRET: Oni wszyscy.
MATKA POIRET: Wy — za co?
CHARRON: Dezercja, mateczko... Dlatego jedziemy strzelać do innych żebyśmy nie musieli strzelać do siebie...
MATKA POIRET: A ja go nie dam! Nie dam go!
BREGAIN: Poszła precz, starucho! *(Wypycha ją za drzwi, przekręca klucz).* Natrętne babsko! Wszystkich by pożałowała — a ona nie... Ciebie jednego...
POIRET: Poczekaj, ty... *(Wybucha płaczem)*
BREGAIN: Czymś ty lepszy od nas? Że masz matkę?
POIRET: Poczekaj, poczekaj...
BARTHELEMY: Podjeżdża.

(Za oknami przeleciał parowóz)

NICOLAS: Co to?
RIGOGNE: To tylko lokomotywa.
BARTHELEMY: Przejechała? *(Podchodzi do okna, patrzy)*

(Z zewnątrz dobiega głośny gwar)

NICOLAS: Krzyczą coś.
BARTHELEMY: Co krzyczą?
RIGOGNE: Ciszej, nie słychać.
BARTHELEMY: Co krzyczą?
BREGAIN: Chłopcy, do karabinu!

(W progu staje Martin. Na piersi Croix de Guerre)

MARTIN: Zatrzymajcie się!
BREGAIN: Od rozkazywania ja tutaj jestem! Tyś co za jeden? Croix de-Guerre? To co innego... Wylałbym cię od razu za drzwi. gdyby nie Croix de Guerre... Bohatera narodowego przykro byłoby wylewać... Czego sobie życzysz?
MARTIN: Pogadać z wami.
BREGAIN: Innym razem.
MARTIN: Odwal się.

BREGAIN: Czego chcesz?
MARTIN: Przeprosić was.
CHARRON: Za co?
MARTIN: Za to, że was nie powiozłem do Marsylii.
BARTHELEMY: To tyś jest maszynista?
MARTIN: Ja.
BARTHELEMY: Żeby cię pokręciło!
MARTIN: A to czemu?
BARTHELEMY: Wrobiłeś nas... Wybraliśmy się stąd, nie byłoby draki — a tak nie wiadomo, co się przydarzy.
MARTIN: Wiadomo. Każą ci wojować z Francją... Nie chcesz, co?
BARTHELEMY: Ja jestem celowniczy, kolego...
MARTIN: A w Indochinach co — ryby będziesz łowił?
BARTHELEMY: To nie to samo...
MARTIN: Dokładnie to samo... I tu i tam będziesz się bił przeciw Francji!
BREGAIN: Za obszerną masz gębę, przyjacielu... Wynoś się!
CHARRON: Odczep się od niego, zuch kolejarz... W przedsiębiorstwie pogrzebowym nie pracuje, żeby nas wozić...
BREGAIN: *(Do Martina)* Tu nie ambona, zjeżdżaj — powiadam!
RIGOGNE: Spokojnie, Bregain... Nie chcesz słuchać, to wyjdź...
MARTIN: *(Do Barthelemy)* Myślałem, że cię nie ciągnie do Indochin...
NICOLAS: Nikogo z nas nie ciągnie... Co z tego? Jeden może by się wykręcił, ale taki tłum... Za dużo nas jest, żeby się opierać...
RIGOGNE: Cielak!
BARTHELEMY: Jakby naszą drużynę tak z osobna wziąć, nikt by się na wojnę nie pchał. Ale na naszą drużynę jest cały pułk...
MARTIN: A gdyby tak cały pułk poderwać...
BARTHELEMY: Na nasz pułk jest czterdzieści innych pułków...
MARTIN: A w tych pułkach kto służy? — Robotnicy, chłopi — tak jak wy... Bracia wasi w nich służą!
NICOLAS: Zanim ich uświadomicie, że są waszymi braćmi, wysieką was z cekaemów!
RIGOGNE: *(Do Martina)* Daj grabę, bracie... Przedtem nie chciałeś, teraz daj... Wystawiłeś się dla tych jołopów, niech przynajmniej ja ci rękę uścisnę...

(Znowu gwizd parowozu)

BREGAIN: No, teraz już naprawdę jedzie... Masz zastępstwo, bohaterze...

(Znowu wszyscy gromadzą się przy oknach)

CHARRON: To ta sama lokomotywa...

(Parowóz przelatuje za oknami)

BARTHELEMY: Znowu przejechała...

(Wrzawa na stacji)

MARTIN: Co krzyczą?

RIGOGNE: Nie słychać, nic nie słychać...

MARTIN: *(Do Barthelemy)* A jeśli... jeśli podstawią pociąg — wsiądzies bez słowa, co? Dasz się wpakować do wagonu jak bydło i jeszcze będzies przekonany, że ocaliłeś swoje sumienie... Ach ty, celowniczy, zdajesz sobi chociaż sprawę, co cię czeka w Indochinach? Pomyśl dobrze — wysadzaj ciebie na ląd, maszerujesz w głąb kraju i nagle przychodzi ci na myśl że słuszność mają tamci, że napadłeś na ich dom... A wtedy dostajesz kul w brzuch i pytasz siebie, umierając, skąd ta kula... I odpowiadasz — o człowieka, który broni swej wolności... Gorzko umierać z takim uczuciem. Oczy ci już zachodzą mgłą, a ty dopiero zaczynasz widzieć... Dopiero poj mujesz, że stałeś się katem, esesmanem...

BARTHELEMY: Esesmani spalili moją wioskę, wymordowali mi rodzi nę. Ja — esesmanem? Czarnym diabłem, zwierzęciem — ja?

MARTIN: To, co esesmani we Francji, ty uczynisz w Vietnamie. Pod palisz włoskę...

BARTHELEMY: Podpalę wioskę — ja?

MARTIN: *(Pokazuje na Nicolas)* A ten wymorduje czyjąś rodzinę. *(Po kazuje na Poiret)* Ten ograbi czyjś dom. *(Pokazuje na Charron)* A te nikogo nie zarżnie, nie złupi, może nawet wyrzyga się na widok waszyc bezeceństw... Ale wystarczy, że będzie żołnierzem tej samej armii... Wy starczy, że w jakiejś zasadzce wystrzeli parę razy, tylko po to, żeby rato wać siebie... Nawet własnego życia nie będziecie mieli prawa bronić!

BARTHELEMY: Łżesz, nie podpalę wioski! Spytaj chłopców, jaki je stem — ognia pod niczyją stodołę nie podkładam, nie dla mnie robota. A esesmanów nienawidzę, już ich dawno nie ma, a nienawidzę, do same śmierci będę nienawidził!

MARTIN: Ciebie tak samo znienawidzą — tam w Vietnamie. Wlezies w cudzy ogród jak nieproszony gość i znienawidzą ciebie, przeklną... Dzieck przed tobą ucieknie z płaczem, psy zawyją na twój zapach... I pewneg dnia podpalisz wieś — ze strachu... Bo po tamtej stronie będzie prawda po tamtej stronie gniew ludu, a ty poszukasz w sobie, poszukasz i ni znajdziesz nic, oprócz złości... Rozłoży cię ta złość...

BARTHELEMY: Gadać nie trudno... A jak się wymigać od tego?

MARTIN: Nie iść na wojnę!

BREGAIN: No, no... Bohater narodowy opowiada takie rzeczy... Kawale Krzyża Wojennego...

CHARRON: Nie iść? Tak zwyczajnie — nie iść? Można tak?

MARTIN: Trzeba walczyć.

NICOLAS: Walczyć? Przecież idzie o to, żeby nie walczyć... Walczy żeby nie walczyć...

RIGOGNE: Tchórz!

BREGAIN: Kto tutaj jest tchórzem, a kto bohaterem... Nie kapuję. Tchórze jadą na wojnę, bohaterowie zostają w domu... Dziwna wojna...

MARTIN: Brudna wojna... Nasza wojna była czysta, a ta jest brudn jak łajno!

(Gwizd parowozu)

BREGAIN: Co do cholery!
POIRET: Znowu jedzie.

(Przejechał parowóz. Wrzawa).

NICOLAS: Co wołają?
RIGOGNE: Nie słychać.

(Dobijanie się do drzwi. Bregain odkręca klucz. Wchodzą dwaj żandarmi).

ŻANDARMI: André Martin, maszynista.
MARTIN: *(Do Rigogne)* Co wołają?
ŻANDARMI: André Martin, maszynista.
BREGAIN: *(Pokazuje na Martina)* Ten z krzyżem... Bohater narodowy...

KONIEC AKTU DRUGIEGO

Krzysztof Gruszczyński

(Dalszy ciąg nastąpi)

JAN SZELĄG

Zygmunt Podfilipski i jego pan

1

Porozmawiajmy o jednej z ciekawszych i zabawniejszych przygód literatury polskiej.

Nikt się czegoś podobnego po twórcy tej przygody nie spodziewał dlatego, że...

Ale zacznijmy od początku i po porządku. Baron Józef Weyssenhoff urodził się w roku 1860 (zmarł w roku 1932). Dziadek jego był napoleońskim generałem, matka z domu hrabianka Łubieńska. Młody baron gimnazjum ukończył w Warszawie, a uniwersytet w Dorpacie. Ożenił się bogato z córką warszawskiego bankiera. Tłumaczy Heinego ogłasza artykuł o symbolistach, sam pisze wiersze, dużo podróżuje, jest redaktorem Biblioteki Warszawskiej i wiceprezesem Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Jednym słowem wszystko zapowiadało się normalnie. Arystokratyczne towarzystwo bankierskie pieniądze, trochę zabawy w literaturę, trochę zabawy w znawstwo sztuki i poezji.

Aż tu nagle — grom z jasnego nieba! W początku roku 1898 ukazuje się większy utwór Weyssenhoffa pt. Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Pierwszy nakład w fantastycznej na owe czasy ilości 1500 egzemplarzy zostaje rozchwytany w kilka tygodni. W tymże roku ukazuje się wydanie drugie. Sypią się recenzje, polemiki; w warszawskim światku literackim i arystokratycznym burza co się zowie. Fikcyjne dzieło niemniej fikcyjnego Jacka Ligęzy, opisującego fikcyjną postać Podfilipskiego, wzburzyło opinię publiczną, opinię salonów i pism dobrze myślących.

W luźnej formie powieściowej słowami Jacka Ligęzy opowiedział Weyssenhoff pewne fragmenty z życia stworzonego przez siebie bohatera, bywalca tychże wyżej wspomnianych salonów, toru wyścigowego, polowań, zabawy, knajp, tudzież kasyna w Monte Carlo, wielbiciela Paryża i zachodniej cywilizacji. Opowiedział tak, że wzburzenie było niemałe. Opinia świata arystokratycznego, jak i w ogóle tzw. wyższych sfer warszawskich, uznała książkę za niedopuszczalną, za oskarżenie całej klasy społecznej.

2

Jakże to się stało, jakże to się stać mogło, że dojrzały już, a nie młokos, stateczny zdawałoby się baron Weyssenhoff tak wielkie oburzenie wywołał i srogie gromy na głowę swoją ściągnął? W pisanym pod koniec życia Pamiętniku Literackim twórca Podfilipskiego tak charakteryzuje okoliczności poprzedzające napisanie i wydanie Podfilipskiego:

„Redagowanie pisma zatrzymywało mnie na stalszy, niż dotychczas pobyt w Warszawie. Nie będę udawał, że tylko to poważne zajęcie więziło mnie w murach. Owszem, mnóstwo pobudek lekkomyślniejszych. Tylko już moje życie, rozrzucone w wielu kierunkach, opromieniała pewność, że będę — prędzej czy później — pisarzem niepoślednim. Ten promień nadziei uszlachetniał nieco wędrówki przez różne sfery i różne zabawy, w których towarzyszyli mi ludzie przeważnie dość mierni. W ostatnim dziesiątku przeszłego stulecia spotykałem się najczęściej z tzw. ongi „wielkim światem"... Nie walczyłem zasadniczo z arystokracją — najprzód zapewne dlatego, że miałem wśród niej krewnych i przyjaciół — ale bardziej jeszcze z przekonania, że zwalczać jej nie należy... Nie miałem dla arystokracji złych uczuć. Główny do niej czułem żal, że nie umiała potwierdzić swych tytułów i pretensji jakimś nowożytnym działaniem, świetnym i pożytecznym, że zbyt mało dbała o czynny udział w życiu narodowym, że stawała się niby egzotyczną, cieplarnianą florą nie zanurzoną w grunt swojski, jakąś koterią iluzorycznie wywyższoną ponad własną ojczyznę, grupą grawitującą raczej do podobnych grup obcych i łączącą się z nimi dla wspólnych interesów klasowych. Hasło „arystokraci wszystkich krajów łączcie się" — nie zostało wypowiedziane, ale istniało w instynktach, w porozumieniach międzynarodowych. To hasło, oprócz, że mi było wstrętne, uważałem za zgubne dla samej arystokracji polskiej, która tracąc swój charakter narodowy rychło mogła się przerodzić w ordynarną plutokrację".

Jak widzimy, Weyssenhoff patrzał trzeźwo, rozumował rozsądnie — do pewnych oczywiście granic — i zapragnął ratować, jak mógł, piórem swoją warstwę. Nie on, jak twierdzi, szukał tematu, ale temat jego znalazł:

„Ciągłe obracanie się w tych sferach — pisze dalej Weyssenhoff — zaprowadziło mnie naturalnie i do arystokratycznego klubu, którego członkiem byłem przez lat kilkanaście. Ale przymiotnik „arystokratyczny" nie tylko nie wyczerpywał charakteru klubu, lecz był wcale niestosowny. Spotykało się tam sporo członków rodzin historycznych. Lecz i bardzo wielu znanych zaledwie z historii tegoż klubu. Towarzystwo miało być doborowe. Przyjęcie na członka było trudne, jednak namnożyło się typów ogromnie szarych i parweniuszów nieco śmiesznych. Klub nazywał się „Myśliwski", ale nie miał polowania i nie mieścił w swoich murach organizacji łowieckiej. Można powiedzieć, że klub nigdy nie był tym, czym się czuł, ani czym się nazywał. Czuł się zaś w owych czasach czymś wybitnie wyższym, niż dom gry, a którym był istotnie. Przykrą jego cechą była duża domieszka Rosjan, gdyż klub założony został niegdyś przez namiestnika Berga dla zaprzyjaźnienia towarzystwa polskiego z rosyjskim i ponosił konsekwencje tego wstydliwego założenia; roiło się tam od wielkich i małych książąt rosyjskich, generał-gubernatorów, wyższych urzędników i oficerów.

Stąd też i polityka klubu, ograniczona na szczęście do gawęd, musiała być ugodowa" *).

Co do tych gawęd, to zgłosić musimy zastrzeżenie. Władze carskie nie po to chyba ów klub przy ulicy Kredytowej zakładały, aby tylko gawędzić z polskimi arystokratami. W istocie kształtowała się tam polityka sojuszu polskich klas posiadających z caratem, kształtowała się myśl polityczna, którą tak sformułował Podfilipski:

„Niech każdy z nas — mówię naturalnie o warstwach wyższych — stanie się bogatszym, wytworniejszym, oświeceńszym, a gdyby to się dokonywało, mamy przed sobą bardzo piękną rolę: tę, którą Grecy mieli w państwie rzymskim".

To znaczy, że Polacy pozostać mają niewolnikami caratu. Z tym klubem nie była tak prosta i jasna sprawa, jeśli Weyssenhoff szeroko ze swojej tam przynależności się tłumaczy:

„Zapytać mnie kto może, dlaczegom ja się zapisał do klubu, tak mało pokrewnego z duchowymi potrzebami polskiego pisarza. Odpowiem bardzo szczerze: gdym się zapisywał, nie byłem jeszcze *de facto*

---

*) W tygodniku Przyjaźń z dn. 13 maja 1951 r. ukazała się rozmowa z byłym portierem Klubu Myśliwskiego, rzucająca ciekawe światło na kulisy tej instytucji. W rozmowie tej czytamy między innymi:

„Panowie byli nie byle jacy. Obok Wielopolskiego (potomka tego, który w 1863 roku branki urządzał dla cara), generał-gubernator, „kniaź" Imertyński, autor słynnego planu przymusowej rusyfikacji Polaków. Obok Potockiego, który Rzeczpospolitę w hurcie i detalu sprzedawał — Mikołaj Mikołajewicz, na którego ręce arystokraci polscy, między innymi ci najwybitniejsi z Klubu Myśliwskiego, w 1914 r. składali zapewnienia o swym niezłomnym wiernopoddaństwie dla „carabatiuszki".

W Klubie przy Kredytowej — w luksusowej siedzibie „panów" — jak to po dziś dzień nazywa ich mój rozmówca — byli mile widziani generał-gubernator Hurko (nawet przez burżuazyjnego historyka polskiego Lewickiego nazywany polakożercą), Bezobrazow, słynny aferzysta i awanturnik i inni „szlachetnie urodzeni" carscy siepacze, „przyjaciele naszych panów"— jak to mówi stary portier.

— A w ogóle — wtrąca obecna przy rozmowie żona portiera — był to dom schadzek.....

Stary pąsowieje, wali pięścią w stół i każe „babie" wynieść się z pokoju.

— Dom schadzek! — woła z oburzeniem. — Słyszał pan. Plecie baba, co ślina na język przyniesie! To był porządny dom. Wiadomo, panowie fantazję mieli, niekiedy się upili do nieprzytomności, panie tego, czasami lia fam, czyli kobieta, ale — dom był porządny, a nie jakiś dom schadzek....

I jeszcze chwila, a wydaje się, że stary, zdziecinniały portier wyciągnie się na baczność, a potem skłoni się nisko do ziemi i wykształtusi obowiązkowo, dobrze wyuczone w Klubie: „Padam do nóg jego ekscelencji". Potoccy i Jezierscy umieli musztrować swe sługi — oddzielać, odgradzać od mas, z których ci ludzie pochodzili, napiwkiem i liberią przywiązywać do siebie, uczynić powolnymi, deprawować dusze.

A stary portier roztkliwia się:

— Dobrze tam jeść dawali — szepce niemal — 12 kucharzy, 19 kelnerów, marszałek, bridż, poker, preferans... Czasami muzyka. A wina... Lepiej nie gadać. Same zagraniczne — wyborowe. Pili panowie, oj pili.

I pokonawszy zdenerwowanie, wywołane uwagą żony, opowiada, że Jaroszewicz, ten komisarz rządu, wie pan — umiał dobrze pociągnąć z butelki. Beck również niezgorzej, a Mościcki, prezydent — tak sobie.

— Więc i oni tu przychodzili?

— Jako goście — odpowiada z godnością. — Tylko jako goście. Członkami mogli być jedynie panowie — arystokracja... "

polskim pisarzem. Zapisałem się przez sybarytyzm, dla zyskania wesołej kompanii, udziału w komforcie i zabawach; także przez leniwe naśladownictwo, gdyż wielu moich bliskich znajomych uczyniło to samo. Dodać muszę, że byłem stale fronderem przeciwko ogólnemu charakterowi instytucji. Ale ten mój krok nieopatrzny udał mi się kapitalnie pod pewnym względem. W tym bowiem klubie zebrałem główne materiały do książki o Zygmuncie Podfilipskim. Nie potrzebuję dodawać, że zamiar pisarski przyszedł mi *a contrario*, nie z umiłowania przedmiotu, lecz z oburzenia na przedmiot. Dzieło literackie, które powoli we mnie się składało, wcale różne było od oburzonej reprymandy lub kaznodziejskiej rozprawy. Z lubością artystyczną przyglądałem się niektórym wyrazistym typom klubowców, chwytałem ich na gorących uczynkach miernoty, zbierałem miody z chwastów. I zasadnicze oburzenie przerabiałem w sobie na rozkosz tworzenia satyry".

3.

Zapytywano wielokrotnie Weyssenhoffa o nazwiska osób, które posłużyły za wzór dla jego bohaterów. Zgodnie z prawdą, szczerze, Weyssenhoff odmawiał zadośćuczynienia tym żądaniom. Niewątpliwie postać Podfilipskiego ma znaczenie ogólniejsze niż sportretowanie jednego jakiegoś członka Klubu Myśliwskiego. Podobnie z postaciami powieści, które go otaczają. Jacek Ligęza pisze:

„Podfilipski był typowo taki, jacy my jesteśmy w Warszawie na pewnych wyżynach społecznych; dlatego nazywam go człowiekiem doby obecnej".

A kim jest ten typowy człowiek z ówczesnych wyżyn społecznych? Ligęza powiada, iż Podfilipski zrodził się z „atmosfery subtelnych półtonów moralnych". W rzeczywistości jest to kanalia, łajdak, oszust, szuler, cynik, obłudnik i międzynarodowy hochsztapler. Majątek jego powstał i rośnie w związku z podejrzanymi aferami. Jego honor polega na tym, że powoduje usunięcie z posady człowieka, z którym powinien się pojedynkować, gdyby, tchórz, miał stosować w życiu swoje zasady szlacheckiego honoru. Bratu swemu okaże pomoc finansową, ale po to tylko, by uwieść mu lub próbować uwieść żonę. Samotnej kobiecie obieca małżeństwo, a w rezultacie doprowadzi ją do ruiny. Należy do klasy ludzi, którzy głosili dewizę życiową rzekomo uczciwą i pogodną: „kobieta, wino, śpiew", a zamienili ją na inną: sport, kokota, paradoks, przy czym przez słowo sport rozumieli nie to, co my dzisiaj, ale po prostu wyścigowe afery.

Na czym polega owa realistyczna typowość Podfilipskiego? Na tym, iż jest postacią wyrażającą dokonywający się proces społeczny: związywanie się szlachty i arystokracji z kapitalizmem. Jedyne towarzystwo, w którym Podfilipski nie poucza, ale sam się uczy, jest to towarzystwo fabrykantów i bankierów.

Uczy się kapitalizmu, uczy także kapitalizmu swojego wiernego towarzysza — Ligęzę.

Przez pomyłkę zaproponowano nie Podfilipskiemu, ale jego bratu pośrednictwo w sprzedaży pewnych akcji. Tomasz Podfilipski, tkwiący jeszcze w pojęciach przeszłości, odmawia. Podfilipski opowiada o nauce, jaką dał bratu:

„Tłumaczyłem mu, że im kto rozumniejszy, tym prędzej zyskuje. Że te pieniądze, które on (za mnie) odmówił, weźmie dzisiaj (może już wziął) książę taki to, lub najczcigodniejsza matrona, że interes jest najuczciwszy i zasługujący na poparcie, że wreszcie każdy procent od kapitału, każde wzięcie spadku albo posagu nie jest niczym innym, jak zabraniem na swoją korzyść pieniędzy nie zarobionych przecie pracą rąk własnych".

W notatkach do swego „filozoficznego" dzieła Podfilipski pisze: „Sposoby walki. Pieniądze. Istota zysku. Kierowanie pracą tych, którzy stworzeni są do pracy".

Oto Podfilipski stoi w okolicy gmachu, który najbardziej lubi ze wszystkich na świecie, a mianowicie przed kasynem gry w Monte Carlo, Ligęza pisze:

„Pan Zygmunt przystanął, podniósł palce do ucha i nasłuchując, jak brzęczy złoto, szepnął do mnie: „Słyszy pan ten ciągły plus — to tętni krew świata".

Z tego podłoża wyrasta owa specyficzna, ironicznie przez Weyssenhoffa podana filozofia Podfilipskiego, będąca niewątpliwie filozofią ówczesnych wyższych sfer:

„Myślę nawet — mówi Podfilipski — że cała mądrość życiowa zależy na liczeniu się z wadami i ułomnościami bliźnich. Poznać je — to nie studium bezowocne. jak astronomia, to daje siłę i panowanie. Nigdy kombinacje, oparte na próżności, na zmysłowości, na chciwości ludzkiej nikogo nie zawiodły. Weź pan chociażby za przykład przedsiębiorstwa, które się udają: wydawanie pochlebnych herbarzów, restauracje nocne, loterie. A spróbuj pan założyć z ofiar szkołę, szpital, albo wydawać pismo, poświęcone sztukom pięknym. Świat jest z gruntu zły, trzeba go znać i — o ile kto może — opanować, wyzyskując tę złość, czyli mówiąc dokładniej — pospolitą, bieżącą naturę ludzką".

4.

Pan Podfilipski jest kosmopolitą, Europejczykiem, wielbicielem Zachodu. Czuje się źle w kraju, ale przyjeżdża często, w rzeczywistości dla robienia i tutaj podejrzanych interesów, głosząc, iż ma do wypełnienia w Polsce „misję cywilizacyjną". W rzeczywistości w swoim środowisku, w swojej klasie społecznej jest osobnikiem przodującym. Lepiej od innych może zrozumiał kapitalizm i pogardza ludźmi swojej klasy, tkwiącymi jeszcze w pojęciach szlacheckich. Jest on jeszcze szlachcicem, jeszcze przyjacielem arystokratów, a już międzynarodowym aferzystą. Ligęza wyprowadza następujący rodowód swego mistrza:

„Nie znam ascedentów pana Zygmunta, przypuszczając jednak pewne podobieństwo z nim, zgaduję, że byli to ci, którzy w wieku XV-tym

i XVI-tym stoczyli zwycięską walkę z miastami i pognębili ten rozrastający się, niebezpieczny element; ci, którzy uważają, jak pan Zygmunt, społeczeństwo za zbiór wybitnych indywiduów, wprowadzili elekcję i wszechwładztwo szlacheckich sejmów; ci, którzy zasnęli potem na jakie sto lat, nie podzielali zapału do reform wewnętrznych XVIII-go wieku, a obudzili się dzisiaj dopiero ze swym programem cywilizacyjnym, wcielonym w wymowną postać pana Zygmunta. Tak — rasa ta historyczna, odrębna, posiadająca odwieczne znaczenie".

Stara się Weyssenhoff przedstawić poglądy Podfilipskiego, jako karykaturalne. Jest arystokratą i pragnie bronić arystokracji, by cała nie poddała się ideologii podfilipszczyzny. Wyśmiewa poglądy Podfilipskiego, a jakże często bohater powieści zwycięża swego twórcę, jakże często staje się rzecznikiem na serio idei kapitalistycznego świata.

„Świat — głosi bowiem Podfilipski — dzieli się na pożerających i pożeranych... Wszystkie teorie oparte na miłości są mrzonkami, a mają kurs dlatego, że łagodzą pierwotną i wieczną walkę. Walka ta bowiem znacznie się przekształciła od przedpotopowych czasów. Nie polujemy na siebie otwarcie, bo nie jadamy się nawzajem. Nie wyrywamy sobie leśnych owoców i zwierzyny, tylko pieniądze, wszechmocne pieniądze. Ustanowiliśmy też różne konwencje ku wzajemnej wygodzie, jak państwa, kościoły, kodeksy prawne i moralne. Ogłosiliśmy różne idee społeczne, humanitarne, religijne, honorowe. To dla tłumu, dla nie wiedzących, czym jest życie; to dla osłonięcia walki, która stała się skomplikowaną, grzeczną, płynącą pod powierzchnią życia, jak krew pod skórą... Rządzić — to nie jest pełnić funkcje prefekta departamentu lub prezesa sądu, lecz utrzymać się własną potęgą na stanowisku naczelnym, mieć w ręku wszystkie sposoby i środki użyte".

Wydaje nam się, że w tej olśniewającej chwili szczerości, odsłaniającej istotę kapitalizmu, Podfilipski dopowie jeszcze: „środki produkcji".

5

Nic więc dziwnego, że ta przygoda literatury polskiej z Podfilipskim polegała na tym, iż pewna część czytelników i krytyków wzięła satyrę Weyssenhoffa na serio. Byli oni wówczas wyśmiewani i Weyssenhoff potem wyśmiał ich w swoim pamiętniku. Rzecz zaś polegała na tym, że co dla jednych było kpiną, spiętrzeniem rzekomych nonsensów, to dla drugich stanowiło nieprzyzwoite ujawnienie ich własnych myśli, poglądów i pobudek działania. Książka Weyssenhoffa, wbrew oczywiście zamierzeniu autora, ukazała całą głęboką przepaść nicości, całą głębię cynizmu ówczesnej epoki. Czyniąc swego bohatera rzekomym filozofem, mówiącym po prostu praktyczne prawdy kapitalizmu, zdemaskował autor w rzeczywistości, oczywiście nie pierwszy, całą nędzę jego filozofii. Nic dziwnego, że właśnie profesor filozofii, Wincenty Lutosławski, oskarżał nieopatrznego pisarza:

„Tak jak Sienkiewicz w Quo vadis filozofem nazwał oszusta, pochlebcę, wydrwigrosza Chilona — tak Weyssenhoff wciąż nazywa filo-

zofią poglądy Podfilipskiego. Nie można tego brać za ironię — i owszem widać, że autor całkiem na serio pozostaje na stanowisku zupełnego sceptycyzmu co do filozofii, tak samo jak autor Bez dogmatu. Jednak ta doczesność życia, na którą Podfilipski taki nacisk kładzie nie jest bynajmniej ostatnim wyrazem nauki".

Biedny profesor filozofii nie mogący dać sobie rady z Podfilipskim, filozofującym hochsztaplerem!

Weyssenhoff w swoim Pamiętniku opowiada, iż postacie powieści i jej pomysł przyszły do niego niejako same. Rozumiemy to. Zrodziły się one z Podfilipskim na czele z własnych jego przeżyć, z bystrej i czujnej niewątpliwie obserwacji pisarskiej. Ale przecież powieść satyryczna, czy też opowieść satyryczna nie może powstać wyłącznie z realistycznego odtworzenia i artystycznego przetworzenia rzeczywistości. Prócz tego konieczny jest świadomy zamiar satyryka, świadome nadanie kierunku i sformułowanie opinii. Nie jest Żywot Podfilipskiego satyrą mimowoli, jak to się czasami wydarza utworom pisanym na serio. W tym wszystkim, co napisałem o poglądach Podfilipskiego i o źródłach tych poglądów, mieści się oczywiście zamiar nowego, szerszego spojrzenia na książkę. Węższe spojrzenie to jest to, które miał autor. Sam powiada, do czego dąży. Jest to niejako utwór dydaktyczny mający pouczyć arystokrację, by nie zeszła na płaszczyznę podfilipszczyzny. Ale można by powiedzieć, że cały utwór jest satyrą nie tylko potępiającą Podfilipskiego, nie tylko ostrzegającą arystokrację Kostków i Zbarazkich, ale i jest satyrą na takiego na przykład Ligęzę, poddającego się fałszywym urokom swego mistrza, nie umiejącego przejrzeć go do końca. W tym to Ligęzie mieści się dobry kawałek autora.

Ale niemniej uzasadnione byłyby podejrzenia, że spory kawał Weyssenhoffa kryje się w samym Podfilipskim. Gdy Podfilipski mówi o Chełmońskim, że to „najbardziej mazowiecki z naszych malarzy", czujemy w tym osobistą opinię byłego wiceprezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Ale są oczywiście poszlaki poważniejsze. Życie swoje w okresie po wydaniu Podfilipskiego Weyssenhoff w Pamiętniku tak opisuje:

„Parę lat następnych upłynęło mi w towarzystwie ludzi bogatych i rozbawionych, dużo poza granicami kraju. W Paryżu („na prawym brzegu") i na francuskim wybrzeżu Morza Śródziemnego, w hotelach, klubach, pałacach. Z kompanią tą byłem zgrany, jednomyślny w wyzyskiwaniu uciech, a choć przypatrywałem się jej czujnie, nie brano mnie za detektywa, wiedziano bowiem, że nikomu nie wytoczę procesu, bo byłbym w nim zamieszany jako współwinny".

Jak Podfilipski, wraca Weyssenhoff do kraju, aby znów podjąć wędrówkę kosmopolity, i dla odmiany na lat kilka osiąść w Berlinie. Jego dzieło posiada więc wielorakie znaczenie i różnorodne nurty. Jeden z nich to niewątpliwie nurt liryczny. Wiele w nim jest osobistych wyznań, tyle, że zaprawionych autoironią, autosatyrą, autokrytycyzmem.

Po wydaniu książki i po zorientowaniu się w reakcji publiczności Weyssenhoff zrozumiał, że się nieco zapędził. Nigdy już nie zdobędzie się na takie spojrzenie na swoją klasę i na siebie samego. Cała dalsza jego twórczość jest niejako pokutą, zadośćuczynieniem za te kilkaset stron szczerości. W jednej z następnych powieści Zbarazki, ten sam, którego poznajemy w Podfilipskim, wspólnik Podfilipskiego do wdzięków Falbanki, miłośnik ekscentrycznych zabaw i kokot całej Europy, przeżyje przełom duchowy i zostanie pasowany niemal na wodza narodu. To nawrócenie Zbarazkiego charakterystyczne jest dla nawrócenia się Weyssenhoffa, służącego w swej dalszej twórczości już bez zbytecznej ironii i satyry swoim hrabiom i książętom.

Raz jeszcze tylko wena satyryczna ponieść miała pisarza, a stało się to w krytycznych latach 1905 — 1906.

Napisane wówczas dwa tomiki Dni politycznych (seria I — Narodziny działacza, seria II — W ogniu), dają obraz politycznej krzątaniny narodowej demokracji i jej wodzów z Dmowskim na czele, pragnących zorganizować obóz polskiej burżuazji celem przeciwstawienia jej klasie robotniczej. Na zabiegi te spogląda Weyssenhoff okiem wielkiego pana, pewnego, że rządzenie w Polsce może być udziałem tylko tych, którzy dawniej rządzili Rzeczpospolitą. Z tego punktu widzenia, pełen nienawiści do ruchu robotniczego Weyssenhoff wykpiwa niemiłosiernie endecki sojusz montujący związek burżuazji ze średnią szlachtą i jeszcze innymi reakcyjnymi żywiołami. O nowonarodzonym działaczu, takim właśnie średnim obszarniku, panu Apolinarym i o jego działalności, autor pisze między innymi:

„Dojeżdżał do domu ze zwykłym przychylnym dla penatów i ogniska uczuciem. Jednak bez pragnienia miękkiego odpoczynku. Jeszcze działać, jeszcze kojarzyć, niezmordowanym pochodem przez zasługę do laurów. Słusznie przyznawał sobie zasługi niepowszednie: pozyskanie na przykład Wapowskiego było dziełem trudnym, a przecie dokonanym. W mieście wymowny prałat okazał się wprawdzie już uprzednio stowarzyszonym i działającym na wszystkie cztery strony świata, ale za to Pan Delegat złapał do swej sieci apostolskiej dwie nowe ryby: jeszcze wymowniejszego niż prałat, kanonika, który zwątpił o możliwości zostania kardynałem i poszukiwał zajęcia trybuna, oraz grubego przemysłowca, odpornego dotychczas na wszelkie wołania kraju".

A o tych ówczesnych zabiegach endeckich, o konferencjach z kadetami, o ugodzie z burżuazją rosyjską, mówi obrazek, którego trudno nie przytoczyć. Oto ów Apolinary Budzisz przyjeżdża do Warszawy celem zorientowania się w sytuacji politycznej i spotyka jednego z czołowych przywódców swego stronnictwa. Wywiązuje się na ulicy następująca rozmowa:

„— Może pomówimy idąc razem, szanowny kolego, bo wyznam, że śpieszę nadzwyczajnie. Mam sesję, która trwa już trzydzieści godzin bez ustanku, z małymi przerwami na posiłek. Niektórzy śpią nawet na miejscu.

— Mężowie pełni poświęcenia — nie mógł nie przyznać pan Apolinary.

— Bo to, panie, ogromne rzeczy się dzieją, po prostu ogromne....

Apolinary zdążał, sapiąc, za swym szybkonogim towarzyszem. Ale dopadłszy raz jednego ze skarbników wielkich tajemnic, nie chciał go puścić, zanim czegoś nie pochwyci z upragnionych autentycznych powiadomień.

— Mówi Pan Prezes: ogromne. Może załatwiliście sprawę szkoły, bo rzeczywiście ogromnie na to czekamy?

— Załatwiamy zasadniczo kwestię, obejmującą wszystkie inne. Mówimy z panami, którzy do nas specjalnie przyjechali z Moskwy.

— Czytałem, czytałem. Bawi u nas Pomorcew.

— I kilku innych. Wyobraź pan sobie, Panie Delegacie, że gdyśmy wczoraj odczytali Pomorcewowi nasz akt, podpisany u Gniazdowskiego — wie pan...

— A jakże, i ja podpisałem.

— Więc gdy Pomorcew objął treść naszego programu, po prostu zdumiał się.

— Wierzę, bardzo wierzę.

— I odrzekł: ...tylko to jest tajemnica.

— Nie jedną ja już przechowuję, Panie Prezesie.

— Odrzekł mniej więcej tak: ...to bardzo wymowny człowiek.

— I w to wierzę. Cóż wtedy powiedział?

— Powiedział: „Jeżeli panowie stoicie na stanowisku potencji niezależnej, mogę tylko przyklasnąć Waszemu programowi". Oni muszą stać oczywiście na innym gruncie, ale jaka doniosła wymiana zdań, co?

— Bez wątpienia. Więc jednak pozostaliście przy swoich zdaniach?

— Zgadzamy się coraz bardziej — a jaki to miły człowiek, Pomorcew. Wyobraź pan sobie...

Tu dopiero Prezes przystanął, aby opowiedzieć zdarzenie. Pan Apolinary miał czas odsapnąć w swej pogoni za światłem centralnym.

— Wyobraź Pan sobie — byłem u niego w hotelu. Przyjął mnie, choć to człowiek tak zajęty, że doprawdy godziny, które nam poświęca kradnie po prostu swej szerokiej działalności. Listów, telegramów od instytucji, od redakcji — całe stosy, nawet tutaj. Więc przegadaliśmy kwadrans, a ja wychodząc zostawiłem w jego numerze książkę i rękawiczki — rozumie pan — przypadkiem.

— Rozumiem.

— Na drugi dzień przed dwunastą zjawia się u mnie pan Pomorcew, ekstazuje się, że o tak wczesnej godzinie ze względu na ścisłe zajęcie godzin następnych — no — i odnosi mi książkę i rękawiczki. Jakie to uprzejme!

— Należało się, Panie Prezesie.

— Należało się, czy nie, ale człowiek tak zajęty... pojmuje pan.

— Rzeczywiście".

Tak wyglądał rezultat endeckich zabiegów o autonomię dla Królestwa Polskiego. I jako interesujący przytoczymy ostatni fragment z na-

rad endeckich przez Weyssenhoffa opisywanych. Jeden z mówców na naradzie takiej oświadcza:

„Pozwolą panowie, że wyjawię przed nimi pewne konfidencje, które otrzymałem wczoraj z pozwoleniem, abym uczynił z nich użytek, nie wymieniając osoby. Muszę tylko nadmienić, że jest to ktoś wtajemniczony w stosunki dyplomatyczne międzynarodowe, a szczególnie angielskie.Mówiliśmy dość wyczerpująco o tym, czy Anglia miałaby swój interes w popieraniu naszych aspiracji narodowych. Bo tak tylko można kwestię stawiać. Liczyć na sprzyjanie czyjekolwiek nam z zasady etycznej, byłoby chyba niewłaściwe. Otóż ten pan, przyznając oczywiście słuszność naszym wymaganiom, dowodzi, że w obecnej konstelacji politycznej można uważać sprawę naszej autonomii za obojętną dla Anglii. Zapewnia przy tym, że wzmianki dziennikarskie w przedmiocie popierania naszej sprawy u rządu rosyjskiego nie były nigdy insynuowane przez poważne sfery dyplomatyczne.

Wiadomość ważna i sprzeczna z wielu niedawno wyrażonymi nadziejami przyjęta została z dziwną obojętnością przez słuchaczów".

7

Rodowód literacki Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego został dokładnie określony przez współczesnych krytyków i historyków literatury. Wskazywali oni na takie wzory, jak Renan, Hipolit Taine, a przede wszystkim na Anatola France'a i jego Żywot i myśli księdza Hieronima Coignarda oraz Gospodę pod Królową Gęsią Nóżką.

Utwory te oparte są na tej samej zasadzie, na której Weyssenhoff oparł Podfilipskiego. Oto życiorys skreślony przez naiwnego ucznia, przedstawiającego swego mistrza jako wzór cnót i mądrości, podczas gdy cnót wszystkich jest on zaprzeczeniem. Stwierdzić trzeba, iż do wzorów tych wniósł Weyssenhoff swój znakomity talent satyryczny, świetny styl i język, dzięki czemu książka jego stała się wybitny dziełem satyrycznym literatury polskiej. Są powody, które skłaniają dziś do wznowienia tego dzieła. Interesuje ono nie tylko historyków literatury, ale interesować może każdego myślącego czytelnika współczesnego.

Utwór pochodzi z epoki, w której kapitalizm umiał i mógł jeszcze maskować istotne swoje oblicze. Żyjemy dziś w epoce, gdy wszystkie maski ideowe, humanitarne, religijne, z oblicza kapitalizmu zostały zdarte. Widzimy go dziś takim, jakim go przedstawiał Podfilipski w najtajniejszych swych rozmowach z Ligęzą. Podfilipszczyzna — to była niewątpliwie epoka, która imieniem bohatera Weyssenhoffa może być nazwana. Dziś Podfilipscy z życia naszego tutaj w Polsce zniknęli. Ale jakże łatwo wyobrazić nam sobie Podfilipskiego, albo jego syna, gdyby go miał, filozofującego na tarasach paryskich kawiarni na temat Sartre'a i egzystencjalizmu, zachwycającego się amerykańską polityką współczesną, robiącego dobre interesy na amerykańskich dostawach, i zwolennika bomby atomowej, gdyż pamiętać o tym musimy,

że podstawą filozofii Podfilipskiego był egoizm i nienawiść do ludzi. Ma więc Podfilipski, choć już nie między nami, swoje życie dalsze w swoich potomków, tych, którzy wolą zawsze obczyznę od ojczyzny i którzy także posługują się frazesem o swej „misji cywilizacyjnej".

Ligęza proponuje, by na pomniku Podfilipskiego położyć napis „Umiał sobie życie urządzić". My rozumiemy, czyim kosztem tacy Podfilipscy życie sobie urządzali. Rozszyfrowanie pod każdym względem tego nagrobkowego napisu, to odczytanie na nowo książki Weyssenhoffa przed pół wiekiem przeszło napisanej.

Jan Szeląg

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

FRAGMENTY PAMIĘTNIKA

Nie żegnając się z nikim, ze smutnym sercem, żalem ścieśnionym, wyjechałem z Warszawy. Jakaś tylko nadzieja, że jeszcze ujrzę przyjaciół i Polskę, wspierała mnie, i wyjechałem w towarzystwie młodego Michała Węgierskiego, wspólnym kosztem, koczykiem, trzema furmańskimi końmi, z jednym służącym.

Drogi mieliśmy najgorsze, jakie tylko wystawić sobie można. Najprzód zatrzymał nas Nieborów, mieszkanie Radziwiłła [1]), wojewody wileńskiego. Nie można nieuczciwiej jak ten człowiek zebrać majątku, ani go też pyszniej i rozkoszniej (ale tylko dla siebie) używać. Dom zawiera w sobie drogie sprzęty, kosztowne obrazy, między innymi Pawła Potersa, najrzadsze i najpiękniejsze ksiąg edycye. Oranżerya olbrzymia, na 180 stóp długa, zawiera w sobie 120 ogromnych i rodzących drzew pomarańczowych, kupionych w Holandii (po Stathuderze); przywiezienie jej samo kosztowało 40.000 i kilka *serres chaudes*.

O pół mili Arkadya, miejsce stworzone przez samą księżnę [2]), w którą przyrodzenie wlało gust i imaginacje, jakich rzadko udziela. Bujność tej imaginacji i sposobność jej dogadzania są przyczyną, iż Arkadya od lat tylu zaczęta [3]), dotąd dokończoną nie jest; stawiają nieustannie cuda, lecz dzisiejsze lato wali to, co przeszłe zrobiło i znowu budują. Dom ma kształt świątyni, pyszny zewnątrz, gustowny we środku; na nim napis: *Dove pace trovai d'ogni mia guerra.* Są i *basreliefy*, wyrażające Chimerę, karmiącą Nadzieję, z napisem: *La Chimere nourrit l'Espèrence et la vie se passe.* Świątynia ta stoi nad czystym i rozciągłym jeziorem; malowania we środku Norblina, są przysionki, kolumnady. Buduje się cyrkus, gdzie kolumny, obeliski, głazy z granitów i marmurów, przez Moskali na Archipelagu zebrane, miejsce to zdobić będą. Jest kościół Nocy w guście egipskim; kopuła do niego z jednego wypukłego szkła, 7 stóp dyametru mająca, dęta w Petersburgu, a Moskal, który ją dął z rozkazu Katrzyny, w dęciu tym duszę wyzionął. Ściany wszystkie z kryształu. Na wyspie kopia statuy św. Cecylii par Madore, mająca wyrażać księżnę; grób jej zdobi napis: *Y'ai fait Arcadie et j'y repose.* Na tej samej wyspie był monument dla J. J. Rousseau, ale ten niegdyś faworyt kobiet, od czasu rewolucji francuskiej wpadł w niełaskę, i z buduarów i bukietów haniebnie wygnany został. — Widziałem to miejsce w największym nieładzie, w najgorszej porze roku; latem urządzone jest jedno zapewnie z najpiękniejszych w Europie. Nb. wieś mizerna, bez karczmy nawet dla gości.

---

[1]) Michała.
[2]) Helenę z Przeździeckich, małżonkę ks. Michała Radziwiłła.
[3]) Od roku 1777.

Przedniejsze publiczne budowle są: pałac królewski, arsenał, dwa teatra, kościół katolicki, Akademia, statua W. elektora, mosty ozdobne, pałace książąt, szpitale, bramy, mennice, giełda, Wszystko to ozdobne w rzeźby i posągi. Widziałem przez laty, co było w materyalności ciekawym tak w Berlinie i Poczdamie; dziś mniej mię to interesuje. Wspomnę cokolwiek o towarzystwie. U dawnych tylko bywałem znajomości. U księżnej Louise de Brandenbourg, żony księcia Antoniego Radziwiłła, częste wieczory i dobrze dobrane towarzystwo. Poznałem tam Gołowkina z żoną, która choć Moskiewka, pisze romansy francuskie. Konwersacya podług zbioru osób dowcipna lub potoczna; pokoje w koperszty-chy, portrety, porcelany, lampy ozdobne. Osoba z gipsu z wyciągnionymi rękami trzyma w nich alabastrową lampę, która goreje i sprawia widok smętnie przyjemny. Mała oranżerya, stykająca się z kompanii pokojem, w wonne kwiaty, krzewy, nadobnie ułożona, oświecona lampami, wśród zimy lubą przypomina wiosnę. Każdy cokolwiek majętny człowiek łatwo zbytek ten mógłby sobie pozwolić. Księżna kurlandzka de Recke i Pignatelli były takie osoby, których z uczuciem niezmiennym dla siebie oglądałem. W apartamentach większe jeszcze przepychy, a zbiór obcych wytworów dochodzi, że rząd każąc opłacać chętkę zbytków i wymysłu, nie hamuje w nich woli mieszkańców. Familia Pignatellich dobry w tym domu znalazła przytułek, a średni Azarenza bogatą żonę. U pani de Recke, siostry księżnej kurlandzkiej, poznałem uczonych tutejszych, jako to: Nicolai i Tiedge. Ten ostatni, jak mówią, jeden z najlepszych poetów niemieckich, sławny przez swe poema Urania, o nieśmiertelności duszy, i elegią na pobojowisko pod Kunersdorf.

Starałem się poznać panią de Staël, która przez dzieła swoje tak głośną się stała: słuszna, w rumieńcach bez wdzięku i delikatności niewieściej, usta i zęby niepiękne, płci czarnej, ale za to oczy duże, czarne i pełne ognia, a kiedy chce, to i słodyczy; pierś, ręka i noga dość ładne, a nade wszystko żywość dowcipu i trafność rozsądku rzadka. Mówi wiele i dobrze, tłumacząc się z nadzwyczajną jasnością i dokładnością; w myślach chce być zawsze nową i głęboką, lubi zapędzać się w dyskusyach. Dla cudzoziemca jest prawdziwie zadziwiającą, ale uważywszy, że mówi własnym językiem, i że jest córką głębokiego pisarza [1]), że z dzieciństwa widziała w domu ojca zbiór ludzi najuczeńszych i najdowcipniejszych, że będąc ambasadorką [2]) zbierała w domu swoim i uczonych i co w wyższym świecie było najgrzeczniejszego, że w ciągu rewolucyi w tylu burzach, w sporze namiętności, w tylu ważnych zdarzeniach, pasye ludzkie z bliska i doskonale poznać mogła, nie dziw, że urodzona z dowcipem, gorącą imaginacyą, silną duszą, i pisze rzeczy często wyniosłe, nigdy niepospolite, i jest taką, jaką ją widzimy. Dość jest takiej kobiety, żeby ożywić całe towarzystwo, bo ma wszystkie rodzaje dowcipu i grzeczności. Słyszałem ją deklamującą *le songe*

[1]) Jakuba Neckera, ministra za Ludwika XVI.
[2]) Była żoną barona Staël-Holstein, posła szwedzkiego przy dworze francuskim

d'Atalie, et la declaration de Phedre — obydwa kawałki wybornie. Gdy mówiono o deklamacyi, jeden z kompanii zapewniał, iż było dwóch oficerów w Berlinie, w wielkiej ze sobą żyjących przyjaźni, którzy dziennie po dwie godziny przechadzali się ze sobą, nic więcej nie mówiąc tylko słowa: *Ja, ja Herr Major;* ale te słowa, podług modulacyi głosu rozmaicie wyrzeczone, wszystkie myśli, wszystkie wyrażały uczucia.

Pani Staël pisze teraz o literaturze niemieckiej, ucząc się na gwałt tego języka; zamyśla potem pisać romans, którego scena będzie we Włoszech. Widywaliśmy się i mówili często ze sobą, i była dla mnie bardzo grzeczną.

Siedziałem przy pani de Staël. Fałsz jest, jak powiadają, że pije; i w jedzeniu i napoju wielce jest skromną, mówiła mi nawet, iż gdy pisze, dla ochłodzenia się pije orszadę. Mimo tego mówi zawsze jak natchniona; miłość własna, chęć błyszczenia i górowania, za najmocniejszy staną trunek. Kobieta ta z całą swoją wyższością jest kobietą: chęć podobania się i bycia młodą jest zawsze w niej jak w innych. Byłem u niej na obiedzie z samymi profesorami niemieckimi. Wiele w nich jest nauki, z przyjemniejszą formą jak przedtem w Niemcach, wiele przywiązania do wolności. Był Fichte, głębszy jeszcze jeśli można metafizyk od Kanta, Schlegel, tłumacz Shakespeara, d'Ancillon, kapłan kalwiński *des Français refugiés,* wyborny kaznodzieja, człek uczony i grzeczny. Moliera także *refugié;* ten mi powiadał iż liczba *des refugiés* za Ludwika XIV tu przybyłych wynosi do 6.000, że się raczej zmniejsza dlatego, że wiele osobliwie z uboższych niemczeje. Księża po 600 talarów mają od rządu. Elektor W. sprowadził ich i wielkie przywileje nadał. Rozmawiano o niemożności tłumaczenia dzieł na francuski, o liczbie Niemców piszących, która do 10 tysięcy wynosi.

Byłem razy kilka na teatrum; budowa piękna i obszerna, przez dzisiejszego króla wystawiona. Między aktorami Iffland, sam aktor i dyrektor, najwięcej osobliwie w komedyi posiada talentu. Widziałem hrabiego Wallenstein i Maryą Stuart sławnego Schillera, sztuki pełne największych piękności i błędów: charakter Wallensteina słaby, Maryа Stuart klęcząca przed swoją rywalką poniża wielkość i godność. Długości niezmierne, głos aktorów gubi się w teatrum, które lubo jedyne w tak niezmiernym mieście, zwyczajnie jest puste, co raczej jest dowodem oszczędności i pracy, jak brakiem światła i smaku w mieszkańcach. Gdy w Wiedniu pospólstwo nawet codziennie bywa na teatrach lub na praterze na pieczonych kurczętach, gdy w Warszawie młodzież nasyca się na teatrze ponczem i wyborem sztuk Bogusławskiego, tu po pracy Niemiec czyta i tytoń pali. Lulka zdaje się ma wielką cnotę, to jest że zatrzymuje w domu. Chodzenie za krzewami do Wilanowa wiele mi czasu zajęło.

Zresztą czy chodząc czy siedząc u siebie, zawsze jeden widok od rana do wieczora, to jest żołnierzy męczonych, mustrowanych. I wojsko i rząd cały przez Fryderyka i przodków jego są tak systematycznie, tak

regularnie urządzone, iż zdaje się być machiną, która raz nakręcon idzie sama. Zły nawet król wiele złego uczynićby tu nie mógł. Nie po trzeba tu już nic tworzyć, nic odmieniać, a każdy krok nadzwyczajny nieprawny lub gwałtowny, żywo przez naród oświecony byłby uczuty Najlepszy dziś przymiot dla króla pruskiego jest mieć tylko *l'espr conservateur*, i takim jest dzisiejszy.

Z okna mego od rana do wieczora nie widzę, jak tylko mustrowanyc żołnierzy; gdyby nie zwyczaj, co to za życie!

Dnia 23-go kwietnia ostatnia moja przechadzka była do bramy bran denburskiej.

WEIMAR

Dnia 3-go maja. — Dziś jest rocznica ustawienia konstytucyi nasze Trzynaście lat temu, gdy w niej całe przyszłe szczęście nasze upatrywa liśmy, nikt nie mniemał, że pod obalinami kraju zagrzebie się może i n wieki. Smutny zbieg okoliczności, niezdatność i słabość wodzów, którym się naród poruczył, przyprawił nas do zguby. Dziś są także imienin jednej z najlepszych przyjaciółek moich, pani Stanisławowej Potc ckiej, — kiedy w Wilanowie obdarzają ją darami, ja choć z dalek czynię śluby za zdrowie i pomyślność tej wybornej kobiety.

Weimar, stolica księstwa tegoż imienia, 16 mil długości a 8 szerokoś mającego, leży w dolinie. Park czyli ogród angielski, przez dzisiejszeg księcia założony, jest ładny, przyjemny i dla wszystkich otwarty. T jedna rzecz jest tu godna widzenia, zresztą miasteczko szczupłe i n ciekawego nie zawierające. Rękodzieł żadnych, przemysłem i rolnictwe kraj ten utrzymuje się w mierności. Największym jego skarbem s Goethe, Wieland, Schiller i niedawno zeszły Herder. Chciałem tyc wielkich ludzi oglądać. Pierwszy, który jest razem i ministrem, wy szedł na przechadzkę, drugi nie był jeszcze ubrany, trzeci pojechał n jarmarek. Wielanda starca widziałem tylko przez okno. Zbiór pierw szych w Niemczech geniuszów na rządzącym więcej, niż się zdaje, po winienby mieć wpływu. Ile z zapytywań dowiedzieć się mogłem, po datki wielkie, wojska porządne, ale w próbkach utrzymywanego nie potrzebnie trzyma do tysiąca. Służba pruska, w której jest generałe inspektorem, przez całe prawie lato trzyma go oddalonym od kraj i powinności. W takich szczupłych państwach, gdzie nie ma ambicy gdzie nie ma wojny, gdzie rządzący wszystko sam i wiedzieć i naw widzieć może, wzór dobrego rządu i szczęśliwość mieszkańców zna dawaćby się powinny. Niech to jednak nie będzie krytyką panującego księcia Weimaru, ma on wiele dobrych przymiotów: protekcya i za chęcenie, które daje uczonym, niepośrednią przynosi mu sławę.

Universitas Jena, o dwie mile stąd, w kwitnącym znajduje się stani

Konie furmańskie jeszcze nie pojadły, poszliśmy więc jeszcze raz d Goethego, który przestawszy być autorem, został teraz ministre i excellencyą, i wymówił się konferencyą. Wieland nas przyjął. Jest

starzec przyjemnej postaci, więcej jak miernego wzrostu, oczy nie- pieskie, mimo lat błyszczące dowcipem, konwersacya jego słodka, interesująca i uczona; ma czysty i porządny domek z ogrodem, mieszka o kilka kroków od Schillera i Goethego. Co za zbiór!

Tegoż dnia przyjechaliśmy na noc do Gotha, drogą robioną i sadzoną po obu stronach owocowymi drzewami. Co za ochłoda dla podróżnych! Jak przyjemnie tak bitymi jeździć gościńcami! Nie można, jak bić czołem tyle pracy ludzkiej, wspomniawszy, że w tylu milach tej drogi nie masz nie tylko kamienia, ale nawet piaseczku, który by ręką ludzką przewróconym i kilkakroć dźwiganym nie był. O jak wiele, jak wiele bogaci winni są ubogim, a jak mało ostatni pierwszym. Bokami dróg w najcięższy upał rolnicy z pługami, kobiety z oskardami porząc ziemię rozbijają jej bryły.

Przejeżdżaliśmy przez Erfurt. Miasto i dystrykt, należące niegdyś do elektora Moguncyi, dziś, nie wiem za co, za pomocą Lucchesini'ego darowane królowi pruskiemu; widać to zaraz po mnóstwie żołnierstwa, które tam stoi, choć z mniej okrutnym obejściem. Handlują nimi jak Murzynami. Lucchesini powinienby mieć *une statue colossale*, — wieleż to on miast i narodów darował królowi swemu! [1])

MOGUNCJA

Lubo deszcz lał przez dzień cały wyszedłem z *parapluie* [2]) dla oglądania miasta. To znać, że było i ludne i piękne; dziś przez okropną wojnę, najbardziej zaś przez oblężenie Prusaków gruzami okryte. Katedra i inne świątynie, budowle gotyckie, nad którymi tyle uleciało wieków, podziurawione, zwalone, zapadłe, sterczą smutne. Gmachy najmożniejszych obywateli bez okien, bez dachów, potrzaskane na poły, porosłe krzewami i zielskiem, podobno wiecznymi zostaną ruiny. Pałac elektora mogunckiego obrócony na szpital, wszędzie nieukontentowanie i smutek. Taki lub podobny wystawiać będzie obraz każda podbita kraina, bo przywodzi na myśl nieszczęścia, gwałty i niesprawiedliwości, bo naród podbity, którego gwałtem przerodzić nie można, będąc niepodległym i udzielnym, nie lubi stać się prowincyą, bo językiem, zwyczajami i skłonnościami różniący się od nowych panów, za obcych uznawany, niechętnie na nich patrzyć będzie. Czemuż rymotwórcy i piszący dzieje ludzkie do podbić przywiązali sławę, jak gdyby niesprawiedliwość mogła być chwalebną.

Przez dwa dni i pół czekając na dyligencyą [3]), siedzieć musieliśmy w smutnej Moguncyi. Mieliśmy wizytę jednego celnika Polaka. Nie

---

[1]) Luschesini Girolamo, minister pruski. W r. 1788 był posłem w Warszawie, podniecał stronnictwo patryotyczne przeciw Rossyi, i doprowadził do skutku przymierze Polski z Prusami. W r. 1792 przybywszy powtórnie do Warszawy, pierwszy był za zerwaniem tego traktatu, i wpłynął czynnie na nowy rozbiór Polski.

[2]) Z parasolem.

[3]) Z francuskiego *diligence* — dyliżans, szybkowóz.

był on w bramie, gdzie mnie rewidowano; służył w legiach, dwakro ranny, rodem z Krakowskiego. Poczciwość ludu naszego i jego przy mioty obtarł cokolwiek o pokost francuski, gada pół z mazowiecka p polsku a połowę po francusku.

PARYŻ

Widziałem sławną Mselle Duchenois, aktorkę tragiczną na teatrz francuskim, w roli Fedry. Wysoka, sucha, twarz prawie brzydka, al talent, jakiego prócz pani Siddons jeszcze nie widziałem: deklamacya czułość niezmierna, może że słowa czasem nadto przeciąga i śpiewa może iż czasem nienaturalna, ale też najlepsze sztuki francuskie tra giczne wystawiają czyny, mowę i ludzi wyższych nad pospolitą nature znajdują się w nich półbogowie, bohatery, ale ludzie rzadko. Talma suchy i dość pięknej figury, jest także wybornym aktorem, ale nie m ani postaci ani organu Delarira. *Parterre* równie burzliwe jak dawniej krzyki, gwizdania niepojęte; straciwszy wolność Francuzi, choć tu re wolucyjnej używają swywoli. Ubiory nieskończenie zyskały od la 18-stu, kostiumy są największej dokładności, części nagie obleczon w *tricot* koloru cielistego, płaszcze królewskie lite od bogactw, hełm i miecze takie, jakie widzimy na dawnych posągach. Widziałem Msell George, więcej jeszcze sławną ze swojej piękności jak talentu, lub tego ma dosyć, ale widać naśladowczynię Mselle Reaucourt. Głowa naj piękniejsza, najwspanialsza figura (miała szczęście być przyjętą d łoża konsula pierwszego, dawszy się wprzódy Sapieże za 2.000 luido rów), grała razem z Mselle Duchenois, która z bliska prawie jes brzydką, ale co za uczucie, jakie gracye!

Talma w tejże sztuce Ifigenii grał Achillesa, ubiór grecki, prawdziw hełm ze spływającą kitą. Na mnie to wszystko największą sprawił illuzyą. Widziałem pannę George w Klitemnestrze. La Tond, Msell Mars, Contat—baryła z piękną głową, Monvel, Fleury, St. Fal są w licz bie pierwszych aktorów. Do zachwycenia zmysłów opera, osobliwi balety są w najwyższym stopniu. To, co nam poeci wystawiają w zmy śleniach swoich, tu się w rzeczywistości znajduje: Psiche latając w obłokach, Kupidyny, wszyscy bogowie ukazują się w swojej moc i postaciach. W Hero i Leandrze, Sądzie Parysa, taniec przez trzy bo ginie a osobliwie Pallas z tarczą i dzirytem, gołębie latające po powie trzu, wzburzone morze, pływający Leander. Przydać do tego dekoracyę tańce, kształt lubieżny ubiorów tancerek, a każdy wyzna z doświad czenia, że nie ma wieku, nie ma stanu, który by się nie zachwycił i ni zachwiał, patrząc na te cudowne widowiska. Mme Gardel, Clotilda Vestris, nowy rywal jego Duport, celują. Śpiewacy wrzeszczą więce niż kiedy. *Le théâtre* dawniej *italien* przyjemny i zabawny, sztuk ładne, śpiewanie dobre; Mme Aubin najpierwsza co do głosu. Teatr drugiego stopnia dają razem po kilka sztuk. Teatry i widowiska ścią gają moc cudzoziemców z zagranicy i z prowincyi, a jeżeli z jedne strony zbogacają miasto, z drugiej miękczą obyczaje i roztargnienie zabaw odwodzą umysł od czynów ważnych. Są także wielkim hamu

cem dla panujących, — opinia publiczna na nich się odkrywa głośno, na nich klaskają i świszczą.

Stamtąd udaliśmy się do Luxembourg. Pałac ten należał do brata nieszczęśliwego króla. Dyrektoryat potem w nim zamieszkał, dziś senat się zgromadza. Byłem w tej sali właśnie, gdy postawiono tron dla nowego cesarza, obok taborety dla książąt krwi, a u spodu tronu, który się na sześciu stopniach wznosi, stołki dla czterech dygnitarzy. Robią wspaniałą nową salę dla senatu, i ta wkrótce będzie ukończoną z największą wspaniałością. W tym pałacu znajdują się obrazy Rubensa reprezentujące dzieci Henryka IV i Maryi de Medicis. W kompozycyi ogień, w pędzlu krew i życie. Obok nich dwa obrazy Davida, przysięgi Horacyusza i Brutusa. Nie można było większej Davidowi wyrządzić psoty, jak obrazy jego, pełne najczystszego i najdoskonalszego rysunku ale z martwym i fałszywym kolorem, umieścić obok najżywszych kolorów Rubensa. W drugim pokoju są obrazy Le Sueur pięknej kompozycyi i rysunku, ale niezmiernie szare w kolorycie; wystawiają całe życie św. Brunona. W pobocznych pokojach są porty francuskie, malowane przez Verneta etc.

Dzień 6-go czerwca straciłem prawie cały w ogrodzie Plant. Jest to ustanowienie jakiego równego nie ma podobno w świecie. Ogród roślin najwspanialszych, wszystkie zbiory do historii naturalnej, wszystkie ściągające się do jej nauki, są tam zebrane. Ogród zasadzony drzewami, podzielony na kwatery, w których planty sadzone są podług systemu Jussieu, to jest, że klasy nie są podzielone według mnogości *staminów* i *pistillów* ale na *monocotyledones* i *decandrocotyledones*, planty z jednym liściem nasiennym i dziesięciu. Oranżerye czyli gorące domy obszerne i gęste. Zbiór zwierząt rzadki, około dziesięciu lwów i lwic, niektóre dla kompanii mają psy, jedna lwica miała dwoje lwiątek, nie większych jak małe koty a równie zabawnych i swywolnych. Tygrysy także się mnożą. Wszystkie te płody rzadko się wychowują. Niedźwiedź biały z Nowej Zemli, omdlewający z gorąca, hyeny, lamparty, orły, sępy, małpy etc. W osobnej obszernej przegrodzie są dwa słonie, samic i samica. Samic ma wielką chęć do małżonkowania, lecz samica nie jest mu powolna; często jednak zbijają się zdania naturalistów, jakoby zwierzęta te tak były wstydliwe w czynie generacyi, iż nikt dotąd nie zszedł ich na nim, gdyż tu ile razy samica się zniży, samic bez wstydu na przytomnych gości włazi na nią, lecz ona znać od niego skromniejsza, zaraz go zrzuca ze siebie, być może iż sądzi małżonka zbyt dla siebie ciężkim. Są to podobno najogromniejsze z żyjących tworów w naturze, jeden Mamouth, którego rodzaj zniknął ze ziemi i którego szkielet jedynie widziałem w Ameryce, przechodzi je we wielkości. *Le gnu*, zwierzę małe, podobne do konia i wołu, i wiele innych.

Sam pałac jest największym skarbem. W salach obszernych i wybornie oświeconych są zbiory najporządniej ułożone ciekawości naturalnych we wszystkich rodzajach. Profesorowie dają lekcye publiczne, a to darmo każdy swojej części w sali, gdzie dla nauki ich znajdują się zbiory. I tak mineralogista w sali kruszców, tam ma pod ręką wzory

potrzebne do demonstracyi; profesor innych części historyi naturalnej w salach zwierząt, ptactwa, muszli, gadów etc. Grecy i Rzymianie nie znali tych zbiorów, wyjąwszy chyba ten, który nakładem Alexandra zebrany był przez Aristotelesa. Sale czworonożnych zwierząt, ptactwa, ryb, gadów, muszli, motylów, ułożone są podług systematu *des animeaux sans vertebres* i są wspaniałe. Co za zachwycenie, gdy myśl i oko obejmują razem od ekwatora do obydwóch polów wszystkie natury płody, gdy w małym obrębie człek widzi *giraffę* i słonia, a spod linii białego niedźwiedzia, tułającego się po wiecznych lodach, złotopióre ptactwo rajskie, ptaszynę, muchę, i ogromne orły, sępy, kazuary, dowcipne małpy i polipy, u których w kształcie krzewu zwierzęce zaczyna się życie. Wszystko to człowiek pracą i przemysłem zebrał razem, i stojąc na jednym punkcie ziemi, widzi przed sobą, a jednym rzutem oka obejmuje wszystkie Stwórcy świata twory.

Byłem na lekcyi mineralogii, dawanej przez pana..., historyi naturalnej przez p. Lucas'a i chemii przez p. Fouveroi; wszyscy a osobliwie ostatni tłumaczą się z największą dokładnością i jasnością.

Paryż jedynym jest miejscem do nabrania wszystkich wiadomości wszelkich rodzajów. Rok chodzenia na kursy w ogrodzie Plant jeżeli nie zupełną naukę, przynajmniej znajomość ich potrzebną dałby człowiekowi. Rzecz uderzająca, że jak wszędzie tak i w miejscach spokojnych stoją żołnierze z bagnetami.

Całe to ustanowienie kosztuje tylko 250.000 liwrów. Suma ta wyznaczona przez Konwencyą, dziś administracya jej jest kolejno przez jednego z profesorów prezydowana. Desfontaines uczy botaniki.

Wynalazek drukarni stereotypowej jest jeden z najdowcipniejszych i najpożyteczniejszych, dlatego, że taniej daleko drukując, rozszerza światło i nauki w większej masie ludzi. Rżną się najprzód maciczki z miedzi, na końcu tych stalowym narzędziem wybija się litera wklęsło, i te litery składają się jak pospolite. Ułożona tym sposobem karta, ściśnięta w prasę u góry, na spodzie nalewa się roztopionym ołowiem z antimonium, wierzchnie miedziane karty złożone *en creux*, wybijają na ołowiu kartę *en relevé*, na której potem drukują. Zysk w tym się znajduje, iż pospolity drukarz, żeby kilkakroć nie nakładać liter, 10.000 najmniej wybija exemplarzy, które dziesięć lat i więcej leżą, nim je wyprzedadzą. Stereotyp zaś, mając ulane nierozdzielne karty, wybija tyle, ile wyprzedać może, a wyprzedawszy, z tychże samych znowu bije. Większa część autorów dawnych i teraźniejszych klasycznych, już tak jest drukowana za trzecią część ceny; szkoda tylko, że nadto małym drukiem. Prócz tego edycye te są bardzo poprawne, najmniejszy błąd zaraz się poprawia, fałszywa litera lub słowo ołowiem się wytapia, i inne na to miejsce wpuszcza.

Dolina Montmorency, jedno z najżyźniejszych i najpiękniejszych miejsc we Francji, podzielona jest na małe własności. Kompozytor Gretry, sławny aktor Larive i wielu innych mają w niej swoje domy, ogrody i pola. Gretry mieszka właśnie w tym samym domku, gdzie

niegdyś pani d'Epinay, który wystawiła dla J. J. Rousseau. Widziałem salę i sypialny jego pokój, krzesła, lichtarze i małe inne meble i drobiazgi, które służyły wielkiemu temu i dziwacznemu człowiekowi. Piękniejszego ustronia widzieć nie można. Niezmierne kasztanowe drzewa, łąki i doliny, oraz wzgórki ozdobne, a wokoło szczęśliwa postać ludnego, obfitego i dobrze uprawnego kraju. Zaiste mieszkanie takie z przyjacielem, książkami a nade wszystko z przyjaciółką, która by do dobroci serca i oświeconego umysłu łączyła głos i umiejętność muzyki, byłaby rajem na ziemi. Przecież Rousseau z nieszczęśliwym swoim humorem, a stąd poróżnieniem się z panią d Epinay, w pół roku wyniósł się z tego miłego zacisza.

Ustanowienie szkoły dla ślepych jest wynalazkiem, przynoszącym tej nieszczęsnej klasie ludzi korzyści wielkie i słodką ulgę. Uczą ich robót, czytać pisać, muzyki, rachunków. Z ręcznych działań robią pasamony, worki, biczyki, oplatane laski etc. Największa sztuka jest w pisaniu, czytaniu i rachunkach: pozbawieni światła, dotknięciem wszystkiego dochodzą. Alfabet ich złożony jest z *des signes palpables*, które przynoszą w otwartym pudle. I tak, gdy słowo dane im jest do złożenia, choć w obcym języku, gdy potrzebują litery A, biorą haftkę *(Agrafe)*, literę B oznacza pierścionek *(Bague)*, literę O pomarańcza *(Orange)*, literę N orzech *(Noisette)*, literę P pióro *(Plume)*, literę V szkło (*Verre)* etc. Wszystkie te rzeczy, w małym objęciu wyrobione są takie, że ślepy namacaniem zaraz je poznać może. Prócz tego rachunki i pismo składają, macając litery, duże wypukło rznięte. Tymże sposobem drukowane są ich książki, to jest, że wybite litery na papierze, póki atrament drukarski świeży, posypane drobnym piaskiem, stają się wypukłe, a ślepi macając je palcami czytają. Karta z jednej tylko strony jest drukowana, co sprawia, że ich książki są ogromne, a zatem liczna biblioteka być nie może. Są między nimi tak dowcipni, iż wiersze i inne prozą dzieła komponują ze smakiem, czułością, a najczęściej pełne wesołości. Wykonywali dla nas sonetę muzyki przez siebie skomponowanej, ma się rozumieć na pamięć, na dętych i innych instrumentach. Widok tych nieszczęśliwych więcej wzbudza smutku w patrzących, niżeli w nich samych. W tej szkole, rzetelnie pożytecznej dla ślepych i społeczeństwa, nauka zdaje się być tym, jak ją w rękodzielniach odbierają. Po skończonym popisie ślepi sprzedają swoje roboty.

Była to ostatnia rzecz ciekawa, którą widziałem w Paryżu po 17-letniej niebytności.

Bonaparte jest mały i szczupły, dziś atoli już tyć zaczyna, głowa prawdziwie rzymska, oczy duże wklęsłe i wskroś przenikające. Skład jego fizyczny, ważny na moralność wpływ mający, jest mocny i tęgi, złożony z samych nerwów: taka jest w nim siła i moc życia, iż podług wyrazu z bliska go znającego, gdyby go zrzucono z piątego piętra, jak kot upadłby na nogi, — nie dość jednej śmierci, żeby mu życie odebrała. Z dzieciństwa okazywał znaki nadzwyczajnego człowieka, zamyślony, odludny, śmiały, ulubione jego nauki były matematyka i historya.

Ostatnia dała mu poznać ludzi, ich namiętności i obroty, jakimi dzieje narodów się toczą, pierwsza nauczyła porządnie rzeczy układać, zdrowo sądzić o nich; pamięć, pojęcie, rozsądek nadzwyczajne. Natura w tym człowieku wszystkie swe siły w jedno skupiła miejsce, to jest w mózgu, a że głowa przeznaczonej wielkości zmieścić nie mogła, zbywająca reszta zamiast w sercu umieściła się w piersiach. Jakoż człowiek ten zawsze myśli, a nigdy nie czuje, wszystkie jego kroki nie czułością lecz rozwagą są kierowane. Do popędliwości i odwagi francuskiej łączy włoską chytrość i podstęp. Nic wyrównać nie może wzgardzie, którą ma dla plemienia ludzkiego, przekonany, iż rządzące ludźmi sprężyny są próżność i chęć zysku, a ten, co ma wiele urzędów i wiele pieniędzy do rozdania, będzie panem i wszystko śmieć może. Rozmyślanie jest jego odpoczynkiem a ciągłym życiem praca: ośm i dziewięć godzin pracuje z ministrami, wszystkich zmęczy i znuży, sam świeży i czerstwy. Nie zna on ani słodyczy przyjaźni ani rozkoszy miłości, czyli to fizycznie czyli przez nałóg nieskłonny do kobiet i obejść się bez nich może; z rozkazu (jak mówią) doktorów przesypia się czasem z panną George, najpiękniejszą w Paryżu kobietą. Gdyby mu się przyśniło podobać jakiej kobiecie, tęż samę w niepozyskaniu jej pokazałby gwałtowność, jaką w innych zamiarach okazuje. Gdy umyślił pojąć za żonę panią Beauharnais, pisał do niej w tych oryginalnych i jemu tylko właściwych wyrazach: *„Je suis né avec une âme forte, la votre n'est composée, que des graces et des dentelles"*. W drugim liście, gdy miał podejrzenie, że na innego łaskawie spoglądała: *„Malheur à celui, qui me causerait de l'inquietude, j'arracherais plus tot mon coeur avec mes propres dents, que d'avoir un rival prèfere"*. — Czyta bez ustanku *Il principe Macchiavelli* i uwagi tegoż autora nad *Decadami* Liviusa. W odpowiedziach, w pismach, wszędzie styl jego się znajduje, mniejsza gdyby styl ale w postępkach wykonywane wszelkie prawidła. Moralność jest u niego głupstwem, co tylko jest pożytecznego, potrzebnego, uzna, czy własnej ambicyi, czy wielkości narodu, nad którym dziś panuje i mniejsza czy trucizną, mieczem, zdradą dopiąć musi, — dopnie. Jest to Tamerlan, Gingischan, z światłem, polorem i nauką XIX wieku. Smutne doświadczenie, smutna dla plemienia ludzkiego uwaga, że przez ekonomię tyranii królowie stali się potrzebnymi, że lepiej mieć jednego jak tysiące, że w nich zdolność, przymioty z umysłu potrzebniejsze, niżeli dobroć serca, że Bonaparte z nadzwyczajnym swoim geniuszem, w dzisiejszym położeniu Francyi jest potrzebnym, że rączki panujących w Europie nadto są słabe, nadto niedołężne, żeby berła dźwigać mogły, że on jeden berłem świata całego mógłby władać. Czemuż zamiast Stanisława Augusta w trudnych zapasach naszych on berłem naszym nie władał?

Odmalowawszy z jednej strony niemoralność Bonapartego, powiedziawszy, jakimi krokami przyszedł do tronu i utrzymywać się na nim będzie, powiedziawszy o nim złe, słusznie jest powiedzieć i dobre.

Niepohamowana żądza panowania od zwycięstw we Włoszech w 1796 roku i pokoju w Campo-Formio duszę jego pożerać zaczęła. Nie widząc podobieństwa osiągnienia naówczas berła we Francji, uwa

żając zawiść Dyrektoryatu a nawet niebezpieczeństwo dla siebie, zamyślił wyprawę do Egiptu. Wielkie jest podobieństwo, że wtedy nie tylko podbicie kraju tego, ale Syryi, a nawet i Indyów, utworzenie dla siebie nowej monarchii, potężnie umysł jego zajmowały. Klęska pod St. Jean d'Acre, wiadomość o niepomyślnościach wojsk francuskich we Włoszech i Niemczech, o słabości i niedołężności Dyrektoryatu, wzbudziły w nim nadzieję. Sieyès, wówczas dyrektor, wysłał tajemnego posłańca z przełożeniem opłakanego stanu Rzeczypospolitej i zaproszeniem, by powrócił wyrwać ją z ostatniej przepaści. Natychmiast Bonaparte Kleberowi zostawiwszy komendę, tajemnie porzuca i wojsko i Egipt, puszcza się na fregacie, przybywa do Korsyki, potem do Frejus. Wielu jest, co twierdzi, iż powrót ten, tak szczęśliwy wśród licznej Anglików floty, za zmową z tymiż Anglikami, którym Bonaparte pokój obiecał, uskutecznił się. We trzy dni po przyjeździe do Paryża obala Dyrektoryat, rozpędza Ciało Prawodawcze, ogłasza się konsulem czyli raczej dyktatorem. Natychmiast rozpuszczone rządu ogniwa silnie spaja, urządza dawne wojsko, tworzy nowe, uspokaja dotąd zbuntowaną Vandée, odciąga od koalicji Pawła, bije Austryaków, zawiera pokój z Anglią, wprowadza w podatkach porządek, nadaje nowy wyborny kodex, podnosi zniszczoną monarchią, zachęca nauki i sztuki, wywraca wolność i lew — Francyą ocala.

Po uśmierzeniu wszystkich frakcyi, po zawarciu pokoju, gdy naród po tylu odetchnął klęskach, granice swe rozszerzone, powagę wszędzie ugruntowaną ujrzał, imię Bonapartego najżywsze wszędzie wzbudzało uniesienie. Lecz wkrótce ogłoszenie się konsulem dożywotnim, porwanie na obcej ziemi księcia d'Enghien, w kilku godzinach osądzenie go i rozstrzelanie przy pochodniach z latarnią na piersiach, ogłoszenie się monarchą, potworzenie książąt krwi i obsypanie ich bogactwy, naśladowanie niepotrzebne dworów okazałości i pychy, nade wszystko zaś zgładzenie Pichegru, bardziej jeszcze tortury mniemanych sprzysiężonych, zażarte prześladowanie generała Moreau, obudziły przeciw niemu najżywszą nienawiść. Czuł ją podobno, i przez niedziel sześć oprócz osób rządowych, krył się w St. Cloud. Na koniec widząc, iż trzeba się pokazać, ukazał się w uroczystości okazałej i ujmującej imaginacyą i serce, w uroczystości mówię ustanowienia Legii Honorowej. Wybrano do tego kaplicę czyli Kościół Inwalidów i otoczono zewsząd chorągwiami, na licznych Francyi nieprzyjaciołach zdobytymi. Przyjęty u drzwi przez kardynała arcybiskupa, który na czele duchowieństwa podał mu wodę święconą, wszedł otoczony wodzami i pierwszymi dworu urzędnikami, i zasiadł na tronie. Jakie musiało być uczucie człowieka tego? Przed laty 10-ciu lichy artyleryi porucznik, dziś monarchą najpierwszego w świecie państwa! Wokoło widział znaki po większej części swoich zwycięstw, roty liczne inwalidów skaleczonych, którzy też przypominali zwycięstwa, przed nimi orszak młodzieńców Szkoły Rycerskiej, pompę religii, wpośród milczenia i uszanowania głos bohatera wzywający wybranych legionistów do przysięgi. Czemuż bohater ten splamiony zbrodnią? Maż to być nieoddzielne od najwyższej władzy, i bez niej do niej nie możnaż przystąpić?

Czyli to wiek czyli sprawiał umysł nieszczęściami posępny, Paryż nie miał dla mnie powabu, które w nim dawniej znajdowałem. Z tym wszystkim dla Polaka, który stracił ojczyznę. który lubił sztuki, nauki i towarzystwo, nie widzę miejsca, gdzie przyjemniej czas swój mógłby przepędzić.

PAIMBOEUF

Już siódmy dzień jak jestem w Paimboeuf, w miejscu bez żadnego towarzystwa, bez żadnej rozrywki; na dopełnienie przykrości odjęta nawet przechadzka, bo czas jak zwykle w kanikule tak burzliwy, tak dżdżysty, tak błotnisty, iż z domu wyruszyć nie można. Książka i pióro jedyną jest ucieczką, ale te bez przerwy towarzystwa mordują i tępią umysł, co smutnie dowodzi, iż człowiek z nimi samymi żyć nie może. Nie miałem w Ameryce wiele zabawy, ale zatrudnienia domowe, gospodarskie, a najczęściej prace ręczne nieraz bez żadnego towarzystwa prędko dzień za dniem pędziły, — tutaj nieraz go opieszałym znajduję. O godzinie 9-tej już jestem w łóżku, rano pracuję koło nowego poema lub czytam, i choć w deszcz lejący wychodzę. Lenistwo mieszkańców i ubóstwo miejsca tego zasmuca, domy nikczemnie zbudowane, żadne okna, żadne drzwi się nie zamykają, wiele sklepików, składających się z pół tuzina jaj i tyluż jabłek, a nad tym kobieta dzień cały siedzi. Co za różnica od Anglii, — tam miasteczko w podobnym położeniu byłoby najpiękniejsze. W porcie żadnego ruchu: *les bateaux plats* stoją zawsze na jednym miejscu, i w nocy tylko przeraźliwymi krzykami niby to przed nieprzyjacielem, budzą zasypiających. Po obiedzie znowu taż sama przechadzka i też same widoki.

Byłem dwa razy w kościele: tłok ludu tak wielki, iż się we środek nie można było docisnąć. Dnia 15-go sierpnia w święto Najświętszej Panny odprawiano precesyą po całem miasteczku. Ksiądz niósł drewnianą figurkę w towarzystwie niezmiernego ludu, osobliwie też kobiet, których dwadzieścia było na jednego mężczyznę. Niestałość ludu francuskiego jest prawdziwie rzeczą zadziwiającą: przed laty ośmiu w kościele stały konie, leżały mąki na prowiant wojskowy po ołtarzach, i tenże sam lud, który wtenczas śmiejąc się i tryumfując patrzał na to, dziś znowu z największą skruchą śpiewa litanie, bije się w piersi i biega za procesyami.

Aż do 14-go posuwaliśmy się z wiatrami miernymi. Odkryliśmy na koniec najprzód wyspę Corvo a potem Flores, obydwie w liczbie dziewięciu wysp Azorskich, należących do Portugalii. Znudzonym podróżą morską każdy widok lądu jest prawdziwą rozkoszą; imaginacya lubi przenosić się nań, w jednostajnym widoku pienistych i hucznych bałwanów orzeźwia się obraźnia żyjącej natury. Powaby te imaginacya moja widziała okiem o mil dwanaście, widząc jedynie skalisty kształt wysp tych, tak jak nam się wystawiały. Terceira i St. Miguel są dwie z dziewięciu wysp, które są najludniejsze i najżyżniejsze. Ludność na wszystkich wynosi do 80.000 dusz. Obfite są w zboże i owoce; wady

rządu sprawują, iż nie są ani przez połowę uprawne i zaludnione, jakby być mogły, i rządowi mimo podatków nie przynoszą korzyści oprócz tego, że okręty do i z Brazylii płynące znajdują tam przyjemny odpoczynek i zapasy w żywności. W każdym zdarzeniu myśl moja cofając się do ojczyzny, życzyła nieraz, aby w zagubieniu dzisiejszym narodu polskiego grono poczciwych wygnańców otrzymać mogło jednę z tych wysp, utworzyć na niej osadę, a tak na oddalonym i oblanym dokoła morzem punkcie ziemi ocalić szczątki narodu polskiego, i wydrzeć go zatarciu wieków następnych. Słodkie wysp tych klima, żyzność ziemi byłyby rękojmią przyszłej pomyślności, szczupłość jej nie wzbudzałaby chciwości podbijaczów, niepodobieństwo nierównych i niezmiernych nie rodziłoby pychy, zazdrości i niezgód między spokojnymi wyspy mieszkańcami. Szkoda, że życzenia te w liczbie snów nocnych zapisać należy.

Wpośród jednostajności morskiej każdy obcy widok, każdy twór mający ruch, zastanawia i bawi. Poranku jednego niepomału byliśmy zadziwieni, spostrzegłszy latającego koło okrętu żółtego motyla. Rzecz ani do podobieństwa ani do wiary, aby tak mdłe stworzenie przez tyle tysięcy mil wiatrem od lądu mogło być uniesione; rzecz najpodobniejsza, iż motyl ten, gdy okręt odbijał od brzegu, był gąsienicą i jak maszkarka przylgnął do niego, a wykluł się na morzu i dopiero co wyleciał, gdyśmy go spostrzegli. Ciekawy był kanarek zielony, który długą znużony podróżą, już nie miał siły unosić się nad bałwanami, ale często odpoczywając na nich podnosił się, leciał za okrętem naszym, znowu wpadał w wodę, i gdyśmy go już za utopionego mieli, postrzegliśmy go wkrótce siedzącego na linie; spuścił się potem na pomost, ale nie chciał ani jeść ani pić, a w nocy wicher zwiać go musiał znowu na morze, gdyż już nie znaleźliśmy go więcej. Oddalenie nasze od wysp Kanaryjskich było najmniej o mil 500, a zatem tak daleko przypłynąć nie mógł i najpodobniejsza jest, iż ptaszek ten z klatki na okręcie jakim będącej musiał się wydobyć.

FILADELFIA

Przez pięć lat niebytności mojej w Filadelfii nie znalazłem, żeby miasto to znacznie się powiększyło. Choć jest smutne, atoli regularne i piękne, a budowlami wspaniałymi celuje nad innymi. Pompa parowa, która wody rzeki Schuylkill prowadzi po całym mieście, świadczy i o możności miasta i jak umysł publiczny do użytecznych lubi się zwracać nakładów. Dom pana Bingham napełnił mnie smutkiem. Przed pięciu laty był najokazalszym i najprzyjemniejszym w Filadelfii: mąż bogaty i gościnny, żona piękna i zalotna, córki pełne wdzięków. Młodsza nieszczęśliwie przez pana Tilly uwiedziona, dziś rodzice w obcej ziemi mogiłę znaleźli, dzieci rozproszone, dom stoi pustkami, ofiarowany na mieszkanie, kto by tylko chciał należące z niego opłacać podatki. I w tym więc nowym kraju już są okropne zmiennej fortuny przykłady!

Jedliśmy obiad w Trenton, nocowali w Brunświku. Nazajutrz o pięć mil polskich tylko od nowoprzysposobionego domu mego. Zbliżając się do niego, co za różnica w uczuciach, które serce me poruszały, gdym po niedługiej niebytności, po długich frasunkach, po ciężkich nieszczęściach do ojczystej wstępował ziemi. W tej każde miejsce przywodziło mi na pamięć wiek mój dziecinny, wychowanie, młodość moję, pierwsze myśli, wspomnienia, pierwsze przyjaźni, pierwsze miłości, dalej publiczne trudy, świetne i zawiedzione nadzieje, okropne klęski, ostatni zgon ojczyzny, widok jej na koniec z obcym kształtem, obcym rządem, obcym nawet imieniem, — wszystko to słodkim smutkiem, żywym rozrzewnieniem duszę moję poruszało. Lecz tu, — wszystko obce, wszystko spokojne i mało obchodzące!

Nastąpiła zima i wczesna i tęga. Zasklepiony w domu jak ślimak w skorupie, przez tydzień czasem nie wychodziłem, ani widziałem obcej twarzy oprócz żony cierpiącej, nudzącej się i w spazmach nieustannych kwikającej. Nieraz nawet nie schodziłem z mojej izdebki na dół: ranek przy kominku w mojej izdebce, resztę dnia w pokoju i przy łóżku mojej żony trawiłem. Rano, jeżeli myśl była po temu, pracowałem nad moim Poema cztery wieki życia ludzkiego, lecz nigdy bardziej nie przekonałem się, że samotność i zupełne od świata i towarzystwa usunięcie się tępi imaginacyą, ocięża umysł i do prac literackich piszącego niezdatnym czyni. Rzadko bardzo kontent byłem z tego, com pisał, a z dzieła mego bynajmniej. Jeżeli się okoliczności zmienią, potrzeba będzie je całkiem przelać. Tymczasem wiek do prac poetycznych zdolny już prawie upłynął, a rodzaj dzieła nawet i w młodszym nad siły moje nie będzie nigdy takim, jakim bym go ziomkom zostawić żądał.

Od jesieni aż do wiosny czas mój trawiąc w domu, nie odwiedzałem New Yorku; lecz wtenczas dla interesów żony mojej i odprowadzenia pani Arnold, siostry pani Armstrong, popłynąwszy do miasta tego, odebrałem wiadomość o olbrzymich po bitwie pod Jeną [1]) wojsk francuskich postępach, a co więcej, co radośniej dla mnie, o żywych nadziejach dla ojczyzny mojej i wróconej istności: Napoleon był w Poznaniu, wojska jego w Warszawie i Toruniu! Witanie onego na granicy przez najlepszych obywateli, deputacya z Warszawy, z przyjaciół i dawnych kolegów moich na sejmie złożona, ich przyjęcie, choć niezupełne zaręczenia, pochlebne dane im obietnice, — wszystko to wzbudziło we mnie poruszenie w uczuciu, które ci tylko pojąć potrafią, którym ojczyzna długo uciskana, równie jest drogą jak sercu mojemu.

Polotem ptaka chciałbym się był przenieść na miejsce, serce, krew nawet wszystka zburzone były radością i niespokojnością uniesienia po tylu dla nas zawiedzionych nadziejach. Czekałem niecierpliwie listów z Polski od przyjaciół moich, lecz od wyjazdu mego do Ameryki ostatni, którym odebrał, był 2-go listopada. Milczenie to powiększyło

[1]) Dnia 14 października roku 1806.

niespokojność i cierpienia moje, i ten to stan okrutny, niczym z innej strony nieosłodzony, przywiódł mnie do przedsięwzięcia puszczenia się raz jeszcze do Europy. Postanowienie to nie było bez rozwagi i pasowania się, ale tak rozbierałem sam z sobą: każdego obywatela pierwszą jest powinnością być pożytecznym społeczeństwu, w którym się urodził. Póki trwała Polska, starałem się powinności tej zadosyć uczynić, gdy rozszarpaną została i ja stałem się wygnańcem; mniej było ważnym, gdziem wlókł smutne me życie. Lecz dziś, gdy tak silnie zajaśniały nadzieje, gdy ciągnąc z szczęśliwymi i zwycięskimi chorągwiami Francyi powstały z popiołów i łączyły się orły polskie, gdy ziomkowie znani z cnót i obywatelstwa swego, prace i majątki swe tym świetnym poświęcali nadziejom, — zostawać odległym, obojętnym, gnuśnym, choć już w wieku podeszłym, jeżeli nie występkiem, szpetną byłoby zakałą.

Julian Ursyn Niemcewicz

Wybór z Pamiętników Juliana Ursyna Niemcewicza.

MASKARADA

AKT II

SCENA PIERWSZA

Wejście pierwsze

(Baronowa siedzi w fotelu zmęczona)
(odrzuca książkę)

BARONOWA:

Pomyśleć: po co my żyjemy? Chyba po to,
Żeby dogadzać cudzym wciąż humorom
I służyć innym! Ma George Sand słuszności sporo!
Czymże kobieta dziś — bezwolną jest istotą,
Igraszką jest zachcianek cudzych, oszołomień!
Świat sądzi ją, lecz jej nie broni; całe życie
Ukrywać musi swoich uczuć płomień
Lub w pełnym zdławić go rozkwicie:
Kobieta... cóż? Od wczesnych lat
Na sprzedaż jest strojona jak ofiara,
O samolubstwo ją oskarża świat,
Ale jej innych kochać wara,
Namiętność czasem w piersi wre szalona,
Odpędza myśli lęk, rozsądek,
A gdy zapomni, jaki świata jest porządek
I spadnie z uczuć jej zasłona.
I odda im się całą duszą,
Szczęście i spokój zniknąć muszą!
Nie pyta świat, co każdy w sobie skrywa!
Cnotę i grzech osądzą po pozorze —
Obrazy przystojności znieść nie może
A w karach swych okrutny bywa!...

(próbuje czytać)

Nie, czytać już nie mogę.. spokój mi zmąciło
To całe rozmyślanie, — bojaźń żywię
Jakby był wrogiem... i gdy wspomnę to, co było,
Sama się sobie jeszcze dziwię.

(wchodzi Nina)

Wejście drugie

NINA:

W saneczkach na spacerze przyszło mi do głowy
Do ciebie zajrzeć, *mon amour.*

BARONOWA:

C'est une idée charmante, vous en avez toujours. *)

(siadają)

Coś dzisiaj jesteś znowu bledsza
I to pomimo mrozu i powietrza,
Czerwone oczy? — chyba nie płakałaś znowu?

NINA:

Tej nocy kiepsko spałam, teraz źle się czuję.

BARONOWA:

Doktora złego masz — innego weź, współczuję.

Wejście trzecie

(Wchodzi książę Zwiezdicz)

BARONOWA *(chłodno)*:

A, książę!

KSIĄŻĘ:

Wczoraj już tu byłem
Z wieścią, że piknik nasz się nie odbędzie.

BARONOWA:

Niech książę siada.

KSIĄŻĘ:

Byłem przekonany święcie
Że panią zmartwię — widzę, że nie zasmuciłem.

BARONOWA:

Doprawdy, wielka szkoda —

KSIĄŻĘ:

Mnie tam wszystko jedno,
Pikników dałbym sto za maskaradę jedną.

NINA:

Był wczoraj pan na maskaradzie może?

KSIĄŻĘ:

Byłem.

BARONOWA:

A w jakimże ubiorze?

NINA:

Tam było wielu...

KSIĄŻĘ:

Tak, i tam
Pod maską rozpoznałem kilka naszych dam.
No cóż, wy często się przebierać chcecie.

(śmieje się)

---

*) Jak zawsze masz świetne pomysły (franc.)

BARONOWA *(gorzko)*:

Powinnabym oświadczyć księciu z żalem,
Że to oszczerstwo nie jest śmieszne wcale.
Jak mogłoby do głowy godnej przyjść kobiecie
Pójść tam, gdzie bawi się hołota,
Gdzie wietrznik, śmiejąc się, zniewagi miota;
Narazić na poznanie? — Pan powinien przecie
Wstydzić się, wyrzec się słów owych.

KSIĄŻĘ:

Wyrzec się trudno; wstydzić — jam gotowy.

(wchodzi urzędnik)

Wejście czwarte

(Ci sami i urzędnik)

BARONOWA:

Skąd pan?

URZĘDNIK:

Z urzędu właśnie,
Chciałbym pomówić w pani sprawie.

BARONOWA:

Czy jest już załatwiona?

URZĘDNIK:

Jeszcze nie, lecz prawie...
Może przeszkadzam?...

BARONOWA:

Nie.

(odchodzi z nim w stronę okna i rozmawia)

KSIĄŻĘ *(na stronie)*:

Okazja, rzecz wyjaśnię!

(do Niny)

Widziałem panią w sklepie, oczy mnie nie mylą.

NINA:

W jakim?

KSIĄŻĘ:

W angielskim.

NINA:

Dawno?

KSIĄŻĘ:

Nie, przed chwilą.

NINA:

To dziwne, że tam pana nie poznałam.

KSIĄŻĘ:

Zbyt czymś zajęta...

NINA *(szybko)*:

Bransoletkę dobierałam

(wyjmuje z torebki)

Do tej...

KSIĄŻĘ:

Ta bransoletka mnie zachwyca.
Lecz gdzież jest druga?

NINA:

Gdzieś zgubiłam!

KSIĄŻĘ:

Czy istotnie?...

NINA:

Cóż w tym dziwnego?

KSIĄŻĘ:

Czy to tajemnica,
Kiedy?

NINA:

Przedwczoraj, wczoraj, czy w tygodniu.
Na cóż to panu, kiedy?

KSIĄŻĘ:

Mam w tym myśl.
Dość osobliwa wprawdzie.

(na stronie)

Zmieszała się — pytaniem zatrwożyła!
Och, te skromnisie!

(do niej)

Chcę zaofiarować dziś
Usługi swoje... może się odnajdzie.

NINA:

Doprawdy?... ale gdzie?

KSIĄŻĘ:

A pani gdzie zgubiła?

NINA:

Już nie pamiętam.

KSIĄŻĘ:

A czy nie na balu czasem?

NINA:

Możliwe.

KSIĄŻĘ:

Ktoś ją na pamiątkę może dostał?

NINA:

Skąd takie wnioski? To rzecz prosta,
Że mógłby dostać ją mąż tylko własny.

KSIĄŻĘ:

Czyż jest na świecie tylko mąż? — nawiasem
To przyjaciółek pani ma tłum cały. Jasny
Stąd wywód. Lecz przypuśmy, że zgubiona — ten,
Kto by odnalazł ją, wszelako
Czy może liczyć na nagrodę jaką?

NINA *(uśmiechając się)*:

Zależy.

KSIĄŻĘ:

Ale jeśli
On panią kocha, jeśli dawny sen
Jej uśmiech znowu w jego duszy kreśli —
I oddałby świat cały za wyznanie owe!
Jeżeli pani sama okazała łaskę
I dała mu do zrozumienia
O przyszłej chwili upojenia —
Nie rozpoznaną, kryjąc twarz pod maską
Musnęła go miłosnym słowem...
O! Zrozum pani.

NINA:

Zrozumiałam to, że śmiałkiem
Pan jest, i że się pan zapomniał całkiem...
Uprzejmie teraz pierwszy i ostatni raz
Proszę już przerwać ze mną tę rozmowę.

KSIĄŻĘ:

A ja marzyłem... Gniewam panią?... To okropne!...

(do siebie)

Wymknęłaś się! — no dobrze... ale przyjdzie czas
Że jeszcze swego celu dopnę.

(Nina odchodzi ku baronowej. Urzędnik kłania si
i wychodzi)

NINA:

Adieu, à demain — już muszę iść, kochana.

BARONOWA:

Mon ange, do powiedzenia tobie miałam tyle,
A ty wychodzisz?

(całują się)

NINA *(odchodząc)*:

Czekam jutro z rana.

(wychodzi)

BARONOWA:

Ogromnie mi się będą dłużyć teraz chwile.

Wejście piąte

(Ci sami prócz Niny i urzędnika)

KSIĄŻĘ *(na stronie)*:

Jeszcze się zemszczę! Też znalazła się skromnisia!
Być może jestem durniem — być może zaprzeczy,
Lecz bransoletka...

BARONOWA:

Książę zamyślony dzisiaj?

KSIĄŻĘ:

O tak, przemyśleć będę musiał wiele rzeczy.

BARONOWA:

Rozmowa, zdaje się, troszeczkę
Była burzliwa — i cóż wywołało sprzeczkę?

KSIĄŻĘ:

Twierdziłem, że na maskaradzie w tłumie
Spotkałem

BARONOWA:

Kogo?

KSIĄŻĘ:

Ją.

BARONOWA:

Co, Ninę?

KSIĄŻĘ:

Tak!...
Dowiodłem tego nawet.

BARONOWA:

Wstydu panu brak.
Widzę że ludzi w oczy pan spotwarzać umie.

KSIĄŻĘ:

Czasem się ważę. Ma to osobliwy smak.

BARONOWA:

Więc oszczędź pan ją choć zaocznie.
Na dowód czekałbyś zbyt długo.

KSIĄŻĘ:

Dostałem wczoraj bransoletkę... jej widocznie,
Bo ona taką samą nosi drugą.

BARONOWA:

Otóż logika... Pan dowodzić poczynie,
A takie same są tu w każdym magazynie!

KSIĄŻĘ:

Właśnie we wszystkich dzisiaj byłem
I, że są takie tylko dwie, sprawdziłem.

(chwila milczenia)

BARONOWA:

Dam jutro radę pożyteczną Ninie:
Mniej ufać temu, co z paplania słynie.

KSIĄŻĘ:

A mnie dasz pani jaką radę?

BARONOWA:

Tobie?
Być śmielszym, kiedy sprzyja powodzenie,
I honor kobiet w większej trzymać cenie.

KSIĄŻĘ:

Podwójna wdzięczność za te rady obie.

(wychodzi)

Wejście szóste

BARONOWA:

Jak lekkomyślnie igrać można czcią kobiety!
Gdybym zdradziła się, to samo ze mną może
Stałoby się! Więc, żegnaj, książę, zgaduj sam,
Nie ja cię z błędu wyprowadzę, broń mię Boże.
Jedno mnie dziwi, znalezienie bransolety
Na tej zabawie, — wiem już! Nina była tam —
Więc rozwiązanie mam szarady.
Nie wiem dlaczego, ale mi jest miły,
Może to z nudów, smutku, może jady
Zazdrości... i miłosne żary to sprawiły...
Nie znajdę ulgi, ani rady! —
Już słyszę, zda mi się, pustego tłumu śmiech
I szepty współczuć jadowitych!
Nie, siebie uratuję przed tym wstydem... Niech
Rachunek inna płaci, — ceną cierpień skrytych
Okupić muszę nowy grzech!...

(zamyśla się)

Cóż za straszliwy łańcuch intryg w ręce biorę.

Wejście siódme

(Baronowa i Szprich)

SZPRICH *(wchodzi, kłania się):*

BARONOWA:

Ach, Szprich, ty zawsze w samą porę.

SZPRICH:

Pozwoli pani — byłbym bardzo rad,
Gdybym mógł być w czymś pożyteczny —
Zmarły pani małżonek...

BARONOWA:

Zawsześ taki grzeczny!

SZPRICH:

Świętej pamięci baron...

BARONOWA:

Wiem, pięć temu lat.

SZPRICH:

Pożyczył u mnie coś tysięcy...

BARONOWA:

Pomnę, ale
Dziś ci procenty oddam za lat pięć z naddatkiem.

SZPRICH:

Pieniądze nie są mi potrzebne wcale,
Wspomniałem, wybacz pani, tak, przypadkiem.

BARONOWA:

Słyszałeś coś nowego?

SZPRICH:

Mnóstwo plotek mam, —
Przed chwilą byłem u hrabiego na przyjęciu,
Historie krążą w świecie.

BARONOWA:

O Zwiezdiczu księciu
I żonie Arbienina czy słyszałeś tam?

SZPRICH *(zaskoczony)*:

Nie... czy słyszałem... jakto... nie —
Przebrzmiała sprawa, każdy wie.

(na stronie)

Jak na złość nie wiem, co to było!...

BARONOWA:

Jeśli aż tak się rozgłosiło,
To nie ma o czym mówić nawet.

SZPRICH:

Ale ja chciałbym wiedzieć jak też ową
Osądza pani sprawę?

BARONOWA:

Ich świat osądził już surowo;
A zresztą, gdybym mogła radę dać jakową —
Jemu bym o kobietach mogła przysiądz,
Że cenię tego, który wytrwałością słynie,
Chcę, by mężczyzna poprzez przeszkód tysiąc
Ku swojej dążył heroinie.
A jej życzyłabym, by mniej surowa, ostra,
A skromna była więcej, co też jest zaletą!
Żegnaj monsieur Szprich, czeka mnie z obiadem siostra—
Zostałabym tu z panem dłużej, gdyby nie to.

(wychodząc, na stronie)

Uratowana jestem — pożyteczna lekcja przytem.

Wejście ósme

SZPRICH *(sam)*:

Nie bój się pani: w lot aluzję chwytam,
Od razu pojmę każdą nowość!
Cóż to za bystry umysł, jaka pomysłowość!
Jest w tym intryga... tak, ja też się nie wiążę —
Wdzięczny mi będzie książę.
Zostanę jego wnet agentem...
Potem z raportem tu przylecę. Świetnie!
Wtedy, kto wie, te długi pięcioletnie
Odbiorę sobie już z procentem.

SCENA DRUGA

Wejście pierwsze

(Gabinet Arbienina)

(Arbienin sam, potem służący)

ARBIENIN:

Zazdrość dokładnie widzi — a dowodów brak!
Pomyłki lękam się — a nie mam siły cierpieć —
Zapomnieć majak chwili, zostawić sprawę tak?
Straszniejsze byłoby od śmierci!
Są ludzie, widywałem, z wystygłą duszą, którzy
Rozkoszy zażywają, spokojnie śpią w czas burzy —
Zazdrości godne życie!

SŁUŻĄCY *(wchodzi)*:

Czeka pół godziny
Na dole ktoś. Do pani liścik ma nieduży
Od księżnej.

ARBIENIN:

Jakiej?

SŁUŻĄCY:

Nie wiem.

ARBIENIN:

Liścik ma? Do Niny!

(wychodzi, służący zostaje)

Wejście drugie

(Afanasij Pawłowicz Kazarin i służący)

SŁUŻĄCY:

Właśnie pan wyszedł, proszę chwilę
Zaczekać.

KAZARIN:

Dobrze.

SŁUŻĄCY:

Zaraz powiem.

(wychodzi)

KAZARIN:

Rok mogę czekać, jeśli trzeba tyle,
Monsieur Arbienin, a doczekam się, albowiem
Źle moje sprawy stoją, że aż smutek bierze!
Towarzysz mi potrzebny szczwany,
Nieźle, jeżeli, mówiąc szczerze,
Z wielkoduszności dobrze znany,
Ma trzy tysiące dusz poddanych
I opiekunów w wyższej sferze.
Arbienina by warto znowu wciągnąć w grę;
Wart dwóch jest stary druch, gdy masz go obok siebie,
Podtrzyma przyjaciela on w potrzebie,
Młokosów nie ulęknie się.
A tamta młodzież, cóż? —
Wbija mi w serce nóż!
Na nic tu tłumaczenia. Bractwo nazbyt skore.
Ni zacząć nie potrafią, ani skończyć w porę,
Uczciwość w czas nad zysk przełożyć,
Ani szlachetnie kart podłożyć!
Nie to co starsi przyjaciele!
Liczni z nich grą do rang dochodzą,
Choć z nizin się wywodzą,
Z arystokracją weszli w parantele.
A wszystko w jaki sposób? — Potrafili z cnotą
Skojarzyć umiejętność swoich praw obrony,
Zasad trzymali się... i oto
Mają i honor, i miliony!...

Wejście trzecie

(Kazarin i Szprich)

(wchodzi Szprich)

SZPRICH:

Ach! Afanasij Pawłowicz! — więc tu jesteśmy
Obaj. Nie przypuszczałem. Dobry znak.

KAZARIN:

Ja też nie przypuszczałem. — Ty z wizytą?

SZPRICH:

Tak,
A pan?

KAZARIN:

Ja także!

SZPRICH:

Czyżby? A to świetnie, żeśmy
Spotkali się, — bo w ważnej sprawie teraz
Chciałbym pogadać z panem nieco.

KAZARIN:

Sprawami pochłonięty byłeś nieraz,
Raz wreszcie sprawę masz...

SZPRICH:

Bons mots *) z ust panu lecą

A to rzecz ważna...

KAZARIN:

Ja też muszę z tobą
Pomówić.

SZPRICH:

Dogadamy się ze sobą. —

KAZARIN:

Nie wiem... mów!

SZPRICH:

Odpowiedzieć będzie pan mi grzeczny
Czy słyszał pan, że pański druh serdeczny
Arbienin...

(czyni palcami wyobrażenie rogów)

KAZARIN:

Co?... To być nie może.
Na pewno wiesz to...

SZPRICH:

O mój Boże!
Maczałem palce w tym—**któż miałby** wiedzieć wszystko?
Pięć minut nie minęło...

KAZARIN:

Diabeł zawsze blisko.

SZPRICH:

Widzi pan; jego żonę, mija dni niewiele,
Nie pomnę czy na balu, czy w cerkwi w niedzielę,
Czy też na maskaradzie, pewien książę spotkał.
Wywarła na książątku duże dość wrażenie,
I wkrótce on szczęśliwy czuł się nieskończenie.
Nagle cofnęła względy swe ślicznotka
I omal że nie padło z ust jej zaprzeczenie.

---

*) Dowcipne powiedzonka (franc.).

Książę się wściekł, — i wnet poleciał wszędzie
Rozgłaszać — tylko patrzeć, bieda z tego będzie!
Prosili mnie, bym załagodził sprawę ładnie...
Do rzeczy wziąłem się — wnet wszystko poszło składnie;
Książę obiecał milczeć... List nabazgrał. Sługa
Pokorny pański nie poskąpił już retuszu
I list dostarczył niezadługo.

KAZARIN:

Uważaj, żeby mąż ci nie oberwał uszu.

SZPRICH:

Dość sprawek przez te ręce przeszło,
Bez pojedynku się obeszło...

KAZARIN:

I nawet ciebie nie obito?

SZPRICH:

W żart i śmiech
Obraca wszystko pan... A mówią, że bez celu
Nie wolno igrać życiem.

KAZARIN:

Racja, przyjacielu!
Życie bezcenne dla tak wielu
Na szwank wystawiać byłby wielki grzech.

SZPRICH:

Zostawmy to. Czymś ważnym, pan doceni,
Chcę się podzielić.

KAZARIN:

Czymże?

SZPRICH:

Anegdotą!
A sprawa w tym.

KAZARIN:

Uciekaj ze sprawami, oto
Zdaje się, idzie już Arbienin.

SZPRICH:

Nie ma nikogo. — Hrabia Wrutti mi niedawno
Przysłał pięć chartów.

KAZARIN:

Twa anegdota, daje słowo, jest zabawną.

SZPRICH:

Brat pański jest myśliwym, kupić warto.

KAZARIN:

Zatem Arbienin — niby głupiec...

SZPRICH:

Proszę posłuchać.

KAZARIN:

Dał się upiec —
I jest przedmiotem jawnych żartów!
Żeńcie się potem.

SZPRICH:

Pański brat
Okazji takiej byłby rad.

KAZARIN:

W małżeństwie wierność, szczęście — wszystko kłam!
Ej, nie żeń się, mój Szprich.

SZPRICH:

Ja dawno już mam żonę...
Słyszy pan, jedno zwłaszcza jest nieocenione.

KAZARIN:

Żona?

SZPRICH:

Pies.

KAZARIN:

Ciągle psy, do licha tam!
Posłuchaj, przyjacielu, nie wiem, jak tam będzie
Z żoną — wyroki boskie trudno jest uprzedzić,
Lecz psów nie prędko się pozbędziesz.

(Arbienin wchodzi z listem w ręku, oni stoją na lewo za biurkiem. Nie spostrzegł ich)

Z listem i zamyślony. O czym? Warto wiedzieć.

Wejście czwarte

(Ci sami i Arbienin)

ARBIENIN *(nie spostrzegając ich):*

O wdzięczność!... Nie tak wiele czasu mija,
Jak ocaliłem jego honor, życie prawie,
Nie wiedząc, kim on jest, — i cóż! — o! żmija!
To niesłychana podłość!... On, w zabawie,
Jak złodziej wtargnął do mojego domu,
Naraził mnie na hańbę i wstyd po kryjomu!
A ja swym oczom nie wierzyłem i niebaczny
Na gorzkich dni nauki dane mi dowodnie
Jak dziecko, które ma o ludziach sąd opaczny,
Nie śmiałem podejrzewać go o taką zbrodnię.
Sądziłem: ona winna... on o tej kobiecie
Na pewno nie wie nic... i, jak sen niezwykły
Będą wspomnienia owej nocy nikły!
On nie zapomniał, szukał i odnalazł wreszcie,
I tu — już nie mógł się zatrzymać, przecie...
Ot, wdzięczność!... Wiele już na świecie
Widziałem, lecz się dziwić przyszło jeszcze.

(odczytuje list)

„Ja panią odszukałem, lecz nie chciała pani
Przyznać się." Nadzwyczajna skromność, ani słowa!

„Ma pani rację... Cóż straszniejsze niż obmowa?
Mogliśmy być przypadkiem podsłuchani.
Więc nie pogardzę, lecz niepokój
W płomiennym pani wyczytałem oku.
Ty lubisz tajemnicę — więc będziesz ją miała!
Lecz nie wyrzeknę się już pani, raczej zginę".

SZPRICH:

List! Tak, tak, ten — przepadła kombinacja cała.

ARBIENIN:

Oho! to, widzę, uwodziciel z wprawą.
Należy posłać mu odpowiedź krwawą.

(do Kazarina)

Byłeś tu?

KAZARIN:

Czekam całą już godzinę.

SZPRICH *(na stronie):*

Do baronowej teraz mknę
Niech się wykręca tak jak chce.

(przybliża się do drzwi)

Wejście piąte

(Ci sami prócz Szpricha)
(Szprich wychodzi nie zauważony)

KAZARIN:

My z Szprichem... Gdzież jest Szprich? Masz tobie,
Znikł.

(na stronie)

List! Rozumiem, otóż to!

(do niego)

Tyś zamyślony...

ARBIENIN:

Tak, rozmyślam sobie.

KAZARIN:

O tym, jakie zawodne ziemskie dobra są?

ARBIENIN:

Bez mała! O wdzięczności.

KAZARIN:

Mogą
Bywać przeróżne na ten temat zdania,
Lecz co ktokolwiek myśli swoją drogą,
To przedmiot godny rozmyślania.

ARBIENIN:

A ty jak sądzisz?

KAZARIN:

Myślę, że wdzięczności długi —
To coś, co jak najbardziej zawsze się pokrywa
Z ceną usługi,
Skoro nie zawsze dobro z zamiaru wypływa!
Na przykład, — wczoraj, od Słukina, wiesz, na nowo
Wygrałem pięć tysięcy. Daję słowo
Że moja wdzięczność go nie minie,
Bo: kiedy piję, jem czy śpię,
Wciąż o nim myślę.

ARBIENIN:

Wciąż żartujesz, Kazarinie —

KAZARIN:

Posłuchaj, ja cię lubię
I teraz serio mówić chcę.
Lecz zrób mi łaskę, bracie, porzuć groźną minę,
A ja przed tobą wnet rozwinę
Wszystko, czym ziemska wiedza dziś się chlubi.
Chcesz słyszeć moje zdanie o wdzięczności?...
Pozwól: chwileczka cierpliwości.
Cokolwiek powiesz: Wolter czy Descartes —
Świat cały jest jak talia kart,
Życie jest bankiem: los rozdaje, gram,
Do ludzi grę stosuję, a reguły znam.
A teraz przykład mały
Na wyjaśnienie owych reguł:
Przypuśćmy, że na asa tysiąc stawiam cały,
Z przeczucia, w grze przesądny jestem; jeszcze szczegół:
Gra będzie czysta, nie pobłądzę —
As wygra — będę się radować,
Ale nie zacznę mu dziękować
I milcząc zgarnę swe pieniądze.
I będę zwiększał stawki, póki starczy sił;
A kiedy bilans zamkną na ostatku,
Pod stół pomiętą kartę rzucę — w pył!
A teraz — ale ty nie słuchasz, bratku?

ARBIENIN *(w zadumie):*

Zło wszędzie — wszędzie oszukaństwo śliskie,
I ja niedawno tak, jak bałwan niemy
Milcząc słuchałem o tym wszystkim!

KAZARIN *(na stronie):*

Zamyślił się.

(do niego)

Przejdziemy
Do drugiej kwestii; weźmy rzecz takową:
Lecz zwolna, żeby wątku nie wypuścić.

Załóżmy, że na przykład grze, rozpuście
Zechciałbyś oddać się na nowo,
A tu nawinie się przyjaciel
I rzeknie: „Pilnuj się, mój bracie".
I inne mądre rady doda,
O których nawet gadać szkoda.
Wysłuchaj przy okazji, co on powie,
Niechaj mu będzie to na zdrowie
I jeśli cię powstrzymał od pijaństwa,
To daj mu pić bezzwłocznie bez wymówki
I w karty ograj w zamian za wskazówki.
A gdy od gry uchronił... na bal, proszę państwa,
Pójdź, w jego żonie się zakochaj... albo nie,
Lecz uwiedź ją i tak mężowi odpłać się.
W obu wypadkach będziesz słuszność miał, kochanie,
A za nauczkę on nauczkę też dostanie.

ARBIENIN:

Tyś słynny moralista!

(na stronie)

Tak, to wszystko znane...
A książę... Za naukę się rozliczę z panem.

KAZARIN *(nie zwraca uwagi):*

Ostatni punkt wyjaśnić pozostało:
Kobietę kochasz... godność składasz jej w ofierze,
Bogactwo, przyjaźń, życie, tak by się zdawało;
Otaczasz zabawami, schlebiasz jej niemało,
Lecz za cóż ona ma być wdzięczna, mówiąc szczerze?
Czyniłeś to powolny namiętnościom
I z egoizmu też po części —
Wszystkoś poświęcił, by ją posiąść,
Ale nie myśląc o jej szczęściu.
Na zimno porozmyślaj sobie na ten temat,
A przyznasz, że na świecie pewnych rzeczy nie ma.

ARBIENIN *(poirytowany):*

Tak, racja: miłość dla kobiety nic nie znaczy,
Codziennie pragnie nowe mieć podboje.
Proszę: płacz, dręcz się, błagaj ją w rozpaczy —
Śmieszny jest wygląd i błaganie twoje.
Masz rację, głupiec, komu się wydaje,
Że mu kobieta ziemskim będzie rajem.

KAZARIN:

Rozważasz dość sensownie,
Choć żonę masz i szczęście.

ARBIENIN:

Takżeś to ocenił?

KAZARIN:

A może nie?

ARBIENIN:

Mam szczęście... tak... tak...

KAZARIN:

Niewymownie
Się cieszę. Ale wciąż mi żal, żeś się ożenił!

ARBIENIN:

Cóż to?

KAZARIN:

Wspominam dawny czas
Hulanek... W czyjej się rodziły
Głowie projekty, — nie wiem; każdy z nas
Był chłopcem z głową!... To ci czasy były...
Nad ranem odpoczynek, wśród rozleniwienia
I miłej nocy przypomnienia...
Potem na obiad! Wino — Raulowi chwała... *)
W kryształach napój mieni się i pała,
Biesiada huczna, koncept coraz nowy lśni,
A potem teatr — serce drży
Na myśl, jak za kulisy myśmy zaglądali,
Tancerki i aktorki wywabiali...
Nieprawda, że za dawnych lat
Był lepszy, dostępniejszy świat?
Oto skończona sztuka... konie strzałą niosą
Do przyjaciela... my wchodzimy... gra u szczytu;
Na kartach złoto rośnie stosem:
Ten rozpłomienia się... tamtemu mina
Rzednie i widać jak go trupia bladość chwyta.
Siadamy... Bój się rozpoczyna!...
Już, już poczułeś w swojej duszy
Pasji i wrażeń silnych chmarę,
I często myśl na gigantyczną miarę
Żywe sprężyny mózgu ci poruszy...
I jeśliś przeciwnika swą zręcznością zmógł,
Zniewolisz los, by padł pokornie do twych nóg —
Natenczas nawet Bonaparta
Sława się wyda śmiechu warta!...

ARBIENIN *(odwraca się):*

O, któż mi wróci... was, nadzieje niespełnione
I was, okrutne, lecz namiętne dni! —
Oddałbym za was szczęście nieuczone,
Cisza i spokój — to nie dla mnie sny!
Ja mam małżonka, ojca znać uczucia?
Ja, ja, co spróbowałem

*) W stolicy nad Newą piwnice Raula były tak sławne jak piwnice Fukier w Warszawie. (Tłum.)

Wszystkich uroków zbrodni i zepsucia,
I ani razu wobec nich nie drżałem?
Precz, cnoto: ja cię nie przyzywam,
Mamił mnie kiedyś zdradny strój,
Więc krótki związek nasz od chwili tej rozrywam —
Żegnaj mi — żegnaj!...

(pada na krzesło i zakrywa twarz)

KAZARIN:

Teraz on już mój!...

Przełożył **Jerzy Zagórski**

WACŁAW ROGOWICZ

Na marginesie „Zmartwychwstania"

Z trzech słynnych na cały świat powieści Lwa Tołstoja Zmartwychwstanie jest chronologicznie ostatnią — pierwszą była Wojna i Pokój, drugą Anna Karenina.

Badacze jego twórczości podają, że pomysł tej powieści nasunęło mu rzeczywiste zdarzenie z praktyki znanego za panowania Aleksandra III działacza sądowego, senatora Koni. W roku 1887 opowiedział on Tołstojowi, jak pewnego razu zgłosił się do niego młody człowiek ze sfery arystokratycznej, który biorąc udział w rozprawie sądowej w charakterze ławnika przysięgłego poznał w oskarżonej o zabójstwo podsądnej uwiedzioną i porzuconą przez niego w latach młodzieńczych dziewczynę, która potem została prostytutką. Uznając, że on stał się pierwszą przyczyną jej upadku, postanowił okupić swoją winę i ożenić się z nią. Gorliwie o to zabiegał, ale dziewczyna nie doczekała tej ekspiacji uwodziciela: zmarła w więzieniu na tyfus plamisty. O dalszych losach tego człowieka Koni nie miał wiadomości. Wstrząśnięty tą historią, Tołstoj użył zasadniczych jej momentów — z wyjątkiem dramatycznego zakończenia — za kanwę do fabuły Zmartwychwstania, z nie zmienionym motywem kierowniczym (ekspiacja) w postępowaniu bohatera powieści, Niechludowa, wobec uwiedzionej przez niego przed dziesięciu laty młodej dziewczyny z ludu, Katiuszy Masłowej.

O wielkiej skrupulatności Tołstoja w korzystaniu z tworzywa fabularnego zdobytego przez inną osobę chlubnie świadczy fakt, że radził Koniemu, by sam opracował do druku tę opowieść, i dopiero, gdy Koni zwlekał, za jego zgodą, w dwa lata po usłyszeniu ni zwykłej historii arystokraty i prost tutki wziął ją na swój warsztat art styczny.

Praca nad Zmartwychwst niem ciągnęła się dziesięć lat, od ko ca r. 1889 do końca r. 1899, z długi przerwami. Ostatni jej etap trwał z g rą dwa lata, do lipca 1898 r. W owy czasie Tołstoj szukał funduszów na zo ganizowanie pomocy dla sekciarzy-d choborców, którzy wobec prześladow rządu i najwyższych władz kościo postanowili przesiedlić się do Kanad Wrogo usposobiony wobec tych czy ników w Rosji carskiej, pisarz zdec dował się dokończyć dawno rozpoczę powieść i, wbrew swoim zasadom (To stoj nie brał za swe utwory honor riów), sprzedać ją ultraprawomyśln mu tygodnikowi Niwa oraz wydaw com zagranicznym i całe honorariu literackie przekazać duchoborco Wznowioną pracę nad Zmartwych wstaniem prowadził Tołstoj z wie kim zapałem i przez półtora roku n pisał pięć pełnych redakc powieści. Sam mówił, że od cza Wojny i Pokoju nie był w t świetnym nastroju twórczym, że je cały pochłonięty swą ulubioną prac działalnością artystyczn Odbiło się to nader korzystnie na osta niej, trzeciej części Zmartwych wstania, rozgrywającej się na S beri, głównie w środowisku idący na katorgę i zesłanie więźniów pol tycznych, do których Niechludow wi przez stosunki i łapówki udało włączyć i „kryminalną" Masłową. najkrótsza a najdłużej pisana ostat część dzieła, w której widzimy, j dzięki stałemu obcowaniu z rewolucj

nistami obojga płci dokonywa się ostateczne odrodzenie moralne tej kobiety, uwieńczone ambitną rezygnacją z dalszej opieki księcia Niechludowa, zawiera bodaj najwięcej wspaniałych, niezapomnianych kart.

Jako datę ukończenia powieści podał Tołstoj 16 grudnia 1899 roku. Tymczasem Zmartwychwstanie zaczęło się ukazywać w druku — jako tygodniowy dodatek książkowy „Niwy" — już od połowy marca tegoż roku i do końca roku druk był ukończony. To dowodzi, że autor bądź dopisywał w ciągu tych 9 miesięcy brakujący tekst 3-ej części, bądź gotowe rozdziały raz jeszcze przerabiał. Wiadomo zresztą, że robił mnóstwo uzupełnień i poprawek jeszcze na odbitkach korektowych: dlatego wyjście w świat dzieła zbiega się z datą ukończenia rękopisu. Pomimo takiego trudu pisarskiego zanotował Tołstoj w swoim dzienniku pod datą 18 grudnia 1899 roku, a więc w dwa dni po ostatecznym ukończeniu pracy: „Skończyłem Zmartwychwstanie. Niedobre, nie poprawione, pośpieszne; ale odwaliłem i nie interesuję się więcej".

Jednocześnie z opublikowaniem w Rosji Zmartwychwstanie było drukowane i za granicą — po angielsku, po francusku i po niemiecku, a również po rosyjsku w Anglii, w wydawnictwie ucznia i przyjaciela Tołstoja, Czertkowa, Swobodnoje Słowo. W ciągu 1899—1900 roku Swobodnoje Słowo wypuściło 5 wydań Zmartwychwstania. Te dane stanowią wymowną ilustrację światowej sławy i rezonansu dzieł autora Wojny i Pokoju i Anny Kareniny w oświeconych środowiskach Europy i Ameryki sprzed pół wieku.

W wydaniu Niwy powieść ukazała się z mnóstwem zniekształceń autentycznego tekstu, które redakcja wprowadzała jeszcze przed oddaniem skryptu do cenzury. Usuwano całe rozdziały (na przykład opis nabożeństwa w cerkwi więziennej i inne) lub znaczne części rozdziałów, całe ustępy i zdania; słowa Tołstoja zamieniano na inne. W rezultacie takich operacji chirurgicznych ze 129 rozdziałów powieści wydrukowano bez zniekształceń tylko 25. Pewien cierpliwy bibliograf obliczył, że różnego rodzaju skreśleń cenzury było 550, spaczono 11 158 słów autora. Redakcja Niwy „poprawiła" tekst Zmartwychwstania nie tylko dla dogodzenia wymogom carskiej cenzury, lecz również kierując się własnym smakiem literackim, podejrzanie blisko spokrewnionym z handlowym interesem wydawcy: ówcześni adiustatorzy, mimo że autor był literacką znakomitością, pozwalali sobie w wielu wypadkach na poprawianie stylu Tołstoja. Do Angli posyłano Czertkowowi zazwyczaj złożony nietknięty tekst autorski, dzięki czemu wydania Wolnego Słowa miały skażeń stosunkowo niewiele.

Liczne wydania Zmartwychwstania do r. 1913 były przedrukiem edycji Niwy. Potem przez lat 20 drukowano skombinowany tekst wydania Niwy i angielskich wydań Czertkowa.

Po raz pierwszy sprawdzony krytycznie z rękopisami i korektami Tołstoja, oczyszczony z wszelkich skażeń, tekst Zmartwychwstania ukazał się w Związku Radzieckim w r. 1933 i odtąd na podstawie tej redakcji jest przedrukowywany.

Ten integralny tekst Tołstoja został użyty do wydanego obecnie przez Państwowy Instytut Wydawniczy nowego polskiego przekładu słynnej powieści.

Historia polskich przekładów Zmartwychwstania świadczy, jak żywe zainteresowanie wywołało to dzieło Toł-

stoja w naszym społeczeństwie. Już w roku 1899, czyli w tym samym czasie, gdy oryginalny tekst powieści wychodził w Niwie, ukazał się w odcinku petersburskiego Kraju przekład polski pod błędnym tytułem Wskrzeszenie. Powieść była tu drukowana w wyjątkach, niektóre fragmenty streszczone. Pierwsze książkowe wydanie pod tytułem Zmartwychwstanie ukazało się w Warszawie w roku 1900, nakładem Biblioteki Dzieł Wyborowych, w przekładzie Gustawa Dolińskiego. W tym samym roku, również w Warszawie, ukazał się przekład Stanisława Stempowskiego. W roku 1901 we Lwowie nakładem Kuriera Lwowskiego powieść ukazała się pod tytułem Odrodzenie. W roku 1903 w Krakowie grano przeróbkę Zmartwychwstania dokonaną przez autora dramatycznego Henri Bataille. Sztukę przełożono oczywiście z francuskiego. Grano ją we Lwowie, w Poznaniu, w Warszawie i w Wilnie.

W r. 1900—1901 w czasopismach polskich ukazały się artykuły i recenzje książkowych wydań przekładu polskiego. Wśród nich należy przede wszystkim wymienić artykuł Stanisława Stempowskiego „Zmartwychwstanie" Tołstoja w czołowym organie postępowców polskich, tygodniku Prawda. Jedną ze swych Kronik Tygodniowych w Kurierze Codziennym poświęcił w 1900 r. Zmartwychwstaniu Bolesław Prus, który pisze między innymi: „Chwilami zdaje mi się, że powieść ta należy do najwznioślejszych utworów, na jakie zdobył się duch ludzki, pomimo że jest pisana jakby na przekór ulubionym teoriom estetycznym... Zmartwychwstanie stoi na granicy, na której kończy się literatura, zaczynają się ogromnej doniosłości czyny..."

W okresie między I-ą a II-ą wojną światową ukazało się kilka przekładów Zmartwychwstania, między innymi Mariana Piechala. Ostatnie wydanie przypada na rok 1939 i jest przedrukiem edycji Biblioteki Groszowej z 1927 roku w przekładzie bezimiennym.

Zmartwychwstanie odegrało niemałą rolę w rozstrzygającej fazie walki Tołstoja z hierarchią oficjalnego kościoła w Rosji. Tołstoj uważał wyższy kler za narzędzie wiernie służące caratowi do utrzymywania mas ludowych w ciemnocie i nędzy. Kierowniczym organem tej służby było zgromadzenie najwyższego duchowieństwa, noszące nazwę Najświętszego Synodu, z dygnitarzem świeckim, oberprokuratorem na czele. Był nim w ciągu 25 lat, przez całe panowanie Aleksandra III i 10 lat rządów Mikołaja II, aż do wstrząsu rewolucyjnego 1905 roku, osławiony Pobiedonoscew, o którym — pamiętam — krążył w Rosji taki czterowiersz:

Pobiedonoscew — dla Sinoda,
Biedonoscew — dla naroda,
Donoscew — dla caria,
Noscew — dla siebia.

Tę złowrogą postać polityczną carskiej Rosji w drugiej połowie ubiegłego stulecia Tołstoj wprowadził epizodycznie do swej ostatniej powieści, pod przejrzystym nazwiskiem Toporowa, po mistrzowsku obnażając w krótkiej scenie z Niechludowem cały cynizm moralny i dyplomatyczną chytrość okrutnego prześladowcy podlaskich unitów i sekt prawosławnych w rosyjskim imperium. Pobiedonoscew — choć urząd jego nie został wymieniony — bez trudu mógł poznać siebie w sylwecie z sarkazmem nakreślonej przez nienawistnego mu pisarza; zresztą Tołstoj zachował i fizyczne rysy swego wroga. Niewątpliwie ów motyw natury osobistej, łącznie z antyklerykalnym i antyrządowymi momentami powieści stał się kroplą przepełniającą czarę roz-

jątrzenia Synodu. W kilkanaście miesięcy po wyjściu z druku Zmartwychwstania, w początkach 1901 roku, Lew Tołstoj został wyklęty z kościoła prawosławnego.

Centralna postać powieści, książę Dymitr Niechludow — podobnie jak Pierre Bezuchow w Wojnie i Pokoju i Lewin w Annie Kareninie, jest wyrazicielem społeczno-etycznych poszukiwań Tołstoja i filozofii „tołstojowszczyzny", z ich uderzającymi sprzecznościami, które już w r. 1908 tak przenikliwie odsłonił Lenin pisząc z okazji 80 rocznicy urodzin pisarza artykuł w nielegalnym piśmie Proletarij pt. Lew Tołstoj jako zwierciadło rewolucji rosyjskiej. Mówi tam swym jasnym, jędrnym, chwilami dosadnym stylem: „Z jednej strony — zachwycająco mocny, bezpośredni i szczery protest przeciwko społecznej obłudzie i fałszowi, z drugiej — „tołstojowiec", tj. zużyty, rozhisteryzowany mazgaj, zwany rosyjskim inteligentem, który publicznie bijąc się w piersi oświadcza: „...jestem wstrętny, jestem ohydny, ale zajmuję się samodoskonaleniem moralnym: nie jadam już mięsa i odżywianiem się teraz kotlecikami z ryżu". Z jednej strony — bezlitosna krytyka wyzysku kapitalistycznego, demaskowanie przemocy rządu, komedii sądownictwa i administracji państwowej, ujawnianie całej głębi sprzeczności między wzrostem bogactwa i zdobyczami cywilizacji a wzrostem nędzy, zdziczenia i męczarni mas robotniczych; z drugiej strony — obłąkana w Bogu doktryna „niesprzeciwiania się złu" przemocą. Ta, tak dobitnie przez Lenina określona podstawowa doktryna tołstojowskiej filozofii, wycisnęła piętno bezsiły na idealizmie Tołstoja, a Niechludowa w zakończeniu powieści zawiesiła w próżni. Autor zdawał się to odczuwać, skoro już w pół roku po wyjściu dzieła notuje w czerwcu 1900 r. w swym dzienniku: „Strasznie chce mi się pisać artystyczny i nie dramatyczny, lecz epicki dalszy ciąg Zmartwychwstania: chłopskie życie Niechludowa. Zamiar ten, powtórzony w notatkach z listopada tegoż 1900 r., nawiedza Tołstoja po raz trzeci i ostatni w cztery lata potem, w postaci nakreślonego w dzienniku planu tej nowej powieści, której akcja miała rozgrywać się na Syberii w środowisku chłopów - przesiedleńców. Innych śladów literackich pomysł ten nie pozostawił.

Właściwym bohaterem Zmartwychwstania — podobnie jak u Dostojewskiego w Zbrodni i karze — jest zbudzone sumienie błądzącej, lecz nie zdeprawowanej jednostki. Ono jest motorem wszystkich ekspiacyjnych poczynań Niechludowa wobec uwiedzionej Katiuszy, od chwili poznania na rozprawie sądowej obiektu swej pierwszej miłości w niewinnie oskarżonej o otrucie i rabunek prostytutce Masłowej. Świadectwem głębokiej rzetelności Tołstoja, zarówno moralnej jak artystycznej, jest jego stosunek do tych dwóch postaci, na których spoczywa w powieści cały problem duchowego odrodzenia jednostki (konkretnie, tutaj dwóch jednostek: Niechludowa i Masłowej). Czytając uważnie Zmartwychwstanie, które Prus stawia tak wysoko w hierachii utworów literatury światowej, nie trudno dostrzec, iż, mimo że Niechludow jest tubą poglądów społeczno-etycznych autora, Tołstoj nie obdarza go taką sympatią (nie w utartym, lecz w istotnym sensie tego słowa, oznaczającego: współcierpienie, współczucie), z jaką opiekuńczo zawsze otacza — mimo swego społecznego upadku piękniejszą moralnie — Katiuszę. Na wszystkich etapach dramatycz-

nego życia cechują ją niezmiennie miłość do ludzi i płynąca stąd dobroć, gorliwa uczynność i uderzająca bezinteresowność, nie oglądająca się na żadne nagrody ani w tym, ani w przyszłym życiu. Bezinteresowność stwarzać może ambicję najwyższego etycznie gatunku: dawać wszystko, nie brać nic poza życiowym minimum. Taką ambicję reprezentuje Katiusza. Jest przy tym, mimo swego niskiego poziomu umysłowego, przenikliwsza od wykształconego księcia Niechludowa i po ciężkich od 18 roku życia kolejach losu, ma więcej od niego zdrowego rozsądku. Dlatego tylko tolerując opiekę człowieka, który był jej pierwszą i jedyną miłością, stale, aż do ostatecznego pogodnego rozstania na Syberii, odrzuca jego ofertę ożenienia się z nią i w pewnym momencie, podczas widzenia w więzieniu, po wyroku, demaskuje Niechludowa, twardo rzucając mu w oczy prawdę: przed dziesięciu laty wykorzystał ją dla cielesnej rozkoszy, a teraz chce ją powtórnie wykorzystać dla zbawienia swej duszy. „Idź do swoich księżniczek! — woła w podnieceniu alkoholem — ja jestem... — brutalnym krótkim słowem określa swój zawód. — Niepotrzebna mi cena twego poświęcenia. Moja cena — czerwony papierek (10 rubli). — Jesteś mi wstrętny! Zostaw mnie w spokoju!" Oszołomiony tym nagłym wykryciem przez „upadłą kobietę" wzniośle-egoistycznych motywów jego ratownictwa, Niechludow milczy.

Milczał widać w tym drastycznym momencie i Tołstoj, skoro odmówił sukursu swemu bohaterowi w takiej moralnej opresji.

Jakże wygląda w jaskrawym świetle tej sceny konfrontacja głoszonej przez tołstojowców moralności samodoskonalenia się z życiem prostego cierpiącego człowieka?...

Masłowa, przez proceduralne niedopatrzenie w werdykcie przysięgłych skazana została w pierwszej instancji na 4 lata katorgi. Do ławy przysięgłych należał i Niechludow. On również ów ważny punkt przegapił. Tym gorliwiej robi wszystko, co może, by uzyskać kasację wyroku w Senacie, a gdy to się nie udało, zamianę, w drodze łaski monarszej, ciężkich robót na osiedlenie. To uzyskał, i niewinnie skazana Masłowa, wysłana na Syberię jako katorżnica, po przybyciu na ostatni etap drogi żegna się z nim, jako zesłanka i łączy swe dalsze życie z poznanym w drodze zesłańcem politycznym, który ją pokochał po prostu, bez żadnych wobec niej długów.

W toku swych zabiegów o poprawę losu Katiuszy Niechludow staje się patronem więźniów kryminalnych, a potem i politycznych, ale zapoczątkowała tę akcję Masłowa wskazując mu osoby spośród swych towarzyszek więzienia, których losem szczególnie była przejęta. Odnosi się też wrażenie, że ten patronat Niechludowa jest dla niego uzupełnieniem oczyszczenia się z winy wobec Katiuszy.

Z chwilą, gdy jej osoba znika z widnokręgu jego ekspiacyjnego działania, Niechludow czuje w sobie pustkę, którą doraźnie zasłania przed sobą tekstami z Ewangelii. Tym kończy się powieść.

Poznawszy go gruntownie w Zmartwychwstaniu, nie bardzo możemy sobie wyobrazić, co, mówiąc po prostu, będzie teraz ze sobą robił. I... Tołstoj nie napisał dalszego ciągu jego dziejów — choć żył jeszcze i pracował 10 lat.

W każdym razie mamy pewność, że Niechludow nie wstąpi w szeregi walczących o obalenie ustroju, który z taką siłą oskarżycielskiego patosu potępił w swym dziele Tołstoj. Nie będzie sprzeciwiał się złu — przemocą.

Z mojej biblioteki, spalonej lub rozgrabionej w czasie najazdu hitlerowskiego, ocalał biały kruk, niewielka książka, pod dziwnym tytułem O d o s o b n i o n e, myśliciela i religiologa rosyjskiego, Wasilija Rozanowa. W tym zbiorze myśli, wspomnień i refleksji, pisanych w sposób przypominający aforystyczny styl Nietzschego znajduje się taka notatka w związku ze śmiercią Lwa Tołstoja:

„Niesprzeciwianię się złu" to nie jest ani chrystianizm ani buddyzm: ale to jest rzeczywiście r o s y j s k i ż y w i o ł (*russkaja stichija*) — „przyroda bez porywu" wschodnio-europejskiej równiny. Jedyni rosyjscy buntownicy to „nihiliści", i jest niezmiernie ciekawe, czym to się skończy, tj. czym się skończy jedyny rosyjski b u n t."

Rozanow, umierając osamotniony w r. 1919, nie dostrzegał w Rewolucji Październikowej świtu epoki, gdy ludzie negacji ustąpią miejsca ludziom sprzeciwiającym się złu zorganizowanym rewolucyjnym c z y n e m, gdy dojdą do głosu siły woli i wiedzy, które nie tylko zmienią fizyczne oblicze wschodnioeuropejskiej równiny, odbierając jej charakter „przyrody bez porywu", lecz przeobrażą również psychikę jej mieszkańców i stworzą z byłego imperium rosyjskiego olbrzymią kuźnię nowego życia, którego refleksy wstrząsają światem.

Wacław Rogowicz

Charaktery i anegdoty XIX wieku

ROK 1853

— Gavarni mówi nam dziś: „Nauka co dzień zjada kawałek Boga... Gdzież jest piorun starego Jowisza? Czyż nie wsadzono go do butelki lejdejskiej?... Tak, tak: wytłumaczyć naukowo, co to jest myśl, jak wytłumaczono już piorun, wydaje się któregoś dnia zupełnie możliwe i będzie się to wytłumaczenie przyjmowało jak pewnik... Czymże jest to niematerialne, na które można podziałać jednym kopnięciem w d... Nie, nie. O, nie ma żadnego rozdziału między duszą a ciałem!"

ROK 1855

Poniedziałek, 26 marca. — Gavarni mówi nam, że ujrzał po raz pierwszy Balzaka u Pawła de Girardin, w redakcji MODE. Zobaczył małego człowieczka, okrąglutkiego, o ładnych czarnych oczach, nosie złamanym nieco i zadartym; mówiącego dużo i bardzo głośno. Wziął go za subiekta z księgarni.

Gavarni powiedział nam jeszcze, że z profilu Balzak wygląda tak, iż od tyłu głowy do pięt jest linia prosta z jednym tylko wygięciem na łydki. Z przodu zaś nasz powieściopisarz — to w samej rzeczy as pik.

To mówiąc, zabrał się do wycinania kawałka kartonu, żeby dokładnie pokazać wierną sylwetkę rzeczonego ciała.

ROK 1856

21 listopada. — Pójdziemy dzisiaj do niejakiego Chambe, rodem z Auwernii, handlarza szmelcem, który mieszka na Politechnicznej.

Czarna jaskinia: szczątki powozów, zgniłe uprzęże, żelazne piecyki, fajansowe dzbanki z obtłuczonymi dzióbkami i ostatki wojskowego munduru. Pośród tego wszystkiego kręci się ten tandeciarz, malutki garbusek o grubym zmysłowym nosie, ciągle uśmiechnięty, w niebieskiej bluzie i o szelmowskim spojrzeniu spod czarnego cylindra.

A więc ten nędzny tandeciarz kupił zeszłego roku bibliotekę pewnego stróża i zarobił na tym 12.000 franków. Zyskał i Lefebvre, bo zdobył w tej cichej transakcji rękopis Odczytów Królewskiej Akademii Malarstwa, gdzie myśmy odnaleźli, uważany dotąd za przepadły, życiorys Watteau, pióra hr. Caylusa.

Teraz znów spadł tu z nieba nowy skarb: cudowne ryciny i osiemnastowieczne rysunki, 20 Boucherów i wspaniałe Watteau. Nic nie chce oddzielnie, tylko razem. Zgadza się wszakże pokazać mi 5 czy 6 Boucherów przyczepionych gwoździem do ściany: Boucher najbujniejszego okresu. A reszta pod łóżkiem, byłym kokocim łóżkiem w najgorszym guście.

A na strychu między schnącą na sznurkach bielizną wszystkie papiery Montigny'ego: cały stos.

ROK 1859

11 maja. — Dzwonek. To Flaubert. Jest to człowiek wysokiego wzrostu, szeroki w ramionach. Nieco wydęte powieki od nabrzmiałych oczu, wielkich i pięknych. Pełne policzki, wąs silny i opadający, cera posiekana, naszpikowana czerwonymi plamkami. Czter do pięciu miesięcy na rok nigdzie nie chodzi, widuje tylko kilku przyjaciół

wiodąc w Paryżu życie niedźwiedzie, które prowadzimy po trosze wszyscy, Saint-Victor jak i Flaubert, i my jak Saint-Victor.

Ta niedźwiedziowatość pisarza w XIX wieku jest zastanawiająca, skoro ją zestawić z życiem światowym literata XVIII stulecia, czy to Diderota, czy to Marmontela. Dzisiejsi mieszczanie nie szukają literata, chyba że zdecyduje się on na rolę dziwnego zwierzęcia, błazna, albo czciczerona w zagranicznej podróży.

ROK 1862

15 lutego. — Kiedy byłem w księgarni France'a, na wybrzeżu Woltera, wszedł jakiś jegomość. Chciał kupić książkę, targował się, wychodził, wracał, targował się znowu. Był to gruby człowiek z twarzą w kwadrat, przestępował z nogi na nogę, jak handlarz koni. Podał adres, żeby mu odesłano do domu: M*** w Rambouillet.

— O! — rzekł księgarz, nie odrywając pióra — byłem tam w 1830 roku z Karolem X.

— Także i ja — odpowiedział grubas. — I mnie ostatniemu się podpisał. Byłem tam na dwadzieścia minut przed delegacją Rządu Tymczasowego. Zajeżdżam kabrioletem... Karol X... O, jak mu były wtedy potrzebne pieniądze! Wyprzedawał się... srebra... Nawet niedrogo... Zarobiłem 25 000 na dwudziestu trzech. Kiedy przyjechałem, nasprzedawał już tych sreber za 200 000. Ach, gdybym był wcześniej wiedział... nie moja wina... miałem 15 000 gąb do wyżywienia... Właśnie gwardii Karola X byłem dostawcą.

— No, to ładnie nas pan żywił — zawołał księgarz. — Musieliśmy krowę zarżnąć na wsi.

Przypadek postawił oko w oko starego gwardzistę Karola X i wojskowego dostawcę, który rozdrapywał resztki królewskiej ongiś fortuny i kupował srebra od króla w opałach.

Z żołnierza zrobił się biedny księgarz, z liweranta gruby, rozpościerający się mieszczuch, kapiący od złota i buchający pewnością siebie.

Miałem ochotę zobaczyć co kupował: była to Historia zbrodni rzymskich papieży.

ROK 1863

23 lutego. — Obiad w restauracji Magny. Chojecki przyprowadza nam Turgieniewa, zagranicznego pisarza o talencie wielkiej delikatności, autora Hamleta rosyjskiego i Opowiadań rosyjskiego szlachcica.

Zachwycający kolos. Łagodny olbrzym o białych włosach. Wygląda niczym duch opiekuńczy lasu czy góry. Jest bardzo a bardzo piękny, niesłychanie piękny: lazur nieba w oczach, wdzięk śpiewnej rosyjskiej wymowy, tej kantyleny, która zatrąca czymś dziecinnym i murzyńskim.

Wzruszony, a jednocześnie ośmielony owacyjnym przyjęciem, mówi ciekawe rzeczy o literaturze rosyjskiej, ogłasza nam, że literatura rosyjska, począwszy od powieści a skończywszy na teatrze, posuwa się pełną parą po drodze realizmu. Dowiadujemy się, że publika rosyjska — to zapalony czytelnik czasopism. W tym miejscu Turgieniew czerwieniąc się wyznaje, że on i jeszcze dziesięciu innych biorą po 600 franków od arkusza; ale książki prawie nic nie przynoszą: co najwyżej 4 000 franków.

Zjawia się pan szczupły, chudy, chropowaty, o rzadkiej brodzie, oko nieprzejrzyste, zasłonięte okularami. Twarz ożywia się jednak, bo zaczął mówić, a spojrzenie nabiera wdzięku,

kiedy słucha, jak ty mówisz. Głos przyjemny dobywa się z ust o długich zębach leciwej Angielki. To Taine, uosobienie krytyki nowoczesnej, krytyki bardzo uczonej, bardzo wymyślnej i bardzo często ponad wszelkie wyobrażenie fałszywej. Pokutuje w nim nauczyciel pouczający klasę. Z tego to się człowiek nie wyzwala! Ale od piętna uniwersyteckiego wybawia go wielka prostota, łagodność w obejściu i to, że zwraca się do ciebie z uwagą człowieka dobrze wychowanego i tak uprzejmego, że poświęcającego się innym.

Wieczorem przy obiedzie mowa o darowiznach na rzecz kleru. Przechodzą one z rączki do rączki i umykają prawu. Rejent, pan Tresse, mówił Claudinowi, że w 1852 roku, kiedy pan Binneau był ministrem skarbu, rzecz zbadano i okazało się z całą pewnością, że dziewiętnaście dwudziestych papierów 3 od sta na okaziciela było w rękach kleru. Skromne siostry miłosierdzia, które zaczęły z siedmioma frankami, miałyby dzisiaj 80 milionów!

— Cóż to za świetny interes to Piekło! — zawołał Saint-Victor.

Byłoby ciekawe wyliczyć, ile pieniędzy do tej pory ludzie wydali na Niebo.

ROK 1865

Wtorek 1 lutego. — Dumas-ojciec rodzaj wielkoluda o siwiejących włosach Murzyna, o jasnym, małym, chytrym oku hipopotama, czuwającego nawet wówczas, gdy bystro nie spogląda. W twarzy ogromnej rysy — z grubsza biorąc — hemisferyczne, takie, jakie karykaturzyści dorabiają ludziom, którzy mieliby uosabiać księżyc.

Nie bardzo wiem, ale coś w nim jest z magika pokazującego cuda i komiwojażera z Tysiąca i Jednej Nocy.

Nie bardzo bryluje, ale potop wymowy i do cna wyzuty z gryzącego dowcipu i kolorowych słów. Tylko fakty, fakty ciekawe, paradoksalne, fakty niespodziewane, które wydobywa z zadziwiającej pamięci, dobywa głosem zardzewiałym. I ciągle, ciągle mówi o sobie, mówi z próżnością dużego dziecka, ale o dziwo w tym nie ma nic drażniącego. Opowiada np. że jego artykuł o górze Karmel przyniósł klasztorowi 700 000 franków.

8 lutego. — Obiad u Chojeckich z Herzenem.

Czaszka Sokratesa jak na portretach Rubensa, i czerwone znamię między brwiami jak wypalone żelazem; szarzejąca broda i włosy.

Rozmawia i tik nerwowy jak grymas ironiczny przebiega mu po twarzy, powraca znowu i spływa aż do gardła. Głos łagodny, melancholijnie muzykalny nic nie ma z tej dźwięczności brutalnej, której można by oczekiwać po człowieku o potężnym, grubym karku. Przeciwnie znamionuje go cienkość inteligencji, uwaga niekiedy subtelna, myśl dobitna, zawsze porządnie wyłożona słowami, na które trzeba trochę poczekać, a wtedy: olśniewający zmysł tego cudzoziemca mówiącego po francusku znajdzie zawsze szczęśliwe słowo.

9 kwietnia. — U Gavarniego. Z przyjaciela naszego zrobił się stary niedźwiedź. Nie wyłazi już z nory. Nie chce się ubrać. Nie włoży nowych butów, krochmalona koszula rani mu szyję. Niesposób wyrwać go z samotności i zdziczenia. Zawsze jednak w słowie, w zdaniu o sprawach i ludziach określa ich i streszcza jednym zdaniem krótkim i szybkim jak napisy pod jego litografiami. Dziś powiedział na przykład, iż jedna rzecz jest godna uwagi

w Proudhonie: „jasność słowa i ciemność myśli".

1 listopada. — U księżniczki Matyldy. Wieczorem, po obiedzie przychodzi Mérimée i po raz pierwszy słyszymy, jak rozmawia. Mówi wsłuchując się we własny głos, zaprowadza jakieś śmiertelne pauzy, cedzi każde słowo kropelka po kropelce, jakby destylował wrażenia, którymi chce nas uraczyć. Tymczasem spuszcza lodowate zimno na wszystko to, co mówi. Ani trochę dowcipu i nic charakterystycznego, tylko bardzo wypracowana kombinacja. Jakiś fason starego aktora, który robi fermaty, a w gruncie rzeczy bezczelność psutego bawidamka, jawna pogarda do wszystkiego, co jest iluzją, wstydem, konwenansem towarzyskim. Już nie wiem co, ale jest w nim coś raniącego ludzi normalnych, zdrowych i uczciwych i co wymyka się z jego suchej i złośliwej ironii, żeby zadziwić i opanować kobietę i ludzi słabych na ciele i umyśle.

Właśnie w ten sposób opowiada, jak tępa piła uniwersytecka, która sili się na lekkość, opowiada tę starą historię ze Stu nowel o morowej zarazie w Grenobli i o tej pięknej dziewczynie, która na łożu śmierci żałowała, iż odtrąciła miłość siedmiu, czy ośmiu wzdychających i błagała ich o przebaczenie tak gwałtownie, że oni umarli, a ona ozdrowiała.

ROK 1868

14 grudnia. — Zola był dziś u nas na śniadaniu. Jest on gorącym miłośnikiem naszego talentu.

Nie widzieliśmy go przed tym. Na pierwsze wrażenie to typowy wychowanek Szkoły Głównej tzw. Normalnej, słowem „znać kopytko Sarcey'a", teraz jest na pewno trochę za nudny, ale jak mu się przyjrzeć bliżej — to ten przesadnie rozrośnięty młody człowiek ma pewną cienkość, modelunek delikatnej porcelany, jak patrzeć na rysy, rzeźbione powieki. I ciekawa rzecz: nos grubszy z jednej strony. Słowem figura ciosana na sposób żyjących w jego książkach istot skomplikowanych, nieco kobiecych w swej męskości.

Przy tym co cię w nim uderza, to człowiek chorowity, słabujący, ultranerwowy, chwilami nawet masz wrażenie, że czuwasz przy melancholijnej i buntującej się ofierze choroby serca.

W sumie to człowiek zadrażniony, niespokojny, zatroskany, głęboki, skomplikowany, wymykający się, nieczytelny.

Mówi o trudnościach swego życia. Że pragnąłby, że trzeba mu wydawcy, który by go kupił na 6 lat za 30 000 franków i zapewnił mu tym sposobem 6 000 franków rocznie: chleb dla niego i dla jego matki. Wtedy mógłby zrobić Historię jednej rodziny, powieść w ośmiu tomach, bo chciałby robić takie duże maszyny.

A po chwili: „I to, że tylu mam wrogów... To tak ciężko mówić o sobie!"

I od czasu do czasu pośród tych gorzkich wyrzutów mówi nam i powtarza sobie, że ma dopiero 28 lat, wtedy wibrująca struna zrywa się. To wybuch cierpkiej woli i szaleńczej energii.

Kończy słowami: „Tak, wy macie rację, moja powieść się wykoleja. Trzeba było tam pakować tylko trzy osoby. Tak, posłucham was. Zrobię moją sztuczkę w ten sposób... No i cóż jeszcze, jesteśmy ostatni... i wy jesteście tylko starsi, Flaubert i wy. Wy! Wasi wrogowie to przyznają, że zrobiliście wynalazek w swojej sztuce. Oni myślą, że to nic nie jest, a to wszystko..."

ROK 1869

11 stycznia. — Malarz koni Brown opowiada nam taką anegdotę. Redaktor ilustrowanego pisma katolickiego, pan Pointel, wzywa go, żeby zaproponować mu robienie drzeworytów. Wypytuje się o jego specjalność.

— „No, konie..."

— „Konie?"

I Pointel jak w gorączce zaczyna biegać po gabinecie, biegnie dwa razy w kółko. Po czym powraca do Browna:

— „Konie! Od koni prosta droga do dziwki... Dziwka prowadzi do zguby R-o-d-z-i-n-y... Nie puszczę koni do mojego pisma..."

3 marca. — U księżniczki Matyldy. Viollet-le-Duc mówi, że Mérimée jest ciężko chory. Umiera na serce. Viollet-le-Duc, który jest jego przyjacielem twierdzi na przekór wszystkim, że ta choroba pochodzi z powrotnej niejako uczuciowości tego znakomitego pisarza, który pod maską egoizmu i cynizmu chował czułość. Należał do tego pokolenia pozerów i udającego silnych, do pokolenia Beyle'a, Jacquemonta, jadącego do Indii i opuszczającego swych rodziców z beztroskim pożegnaniem, jak gdyby się wybierał do Saint-Cloud.

Smutny koniec, może jeden z najbardziej smutnych na tym świecie — koniec komedianta nieczułości, wtłoczonego między dwie stare *governess*, wydzielające mu jedzenie i picie.

7 kwietnia. — Obiad u Magny.

Mowa o tym, że Berthelot powiedział, iż sto lat naukowego rozwoju fizyki i chemii — a będzie wiadomo, co to jest atom. Ta wiedza pozwoli człowiekowi przygaszać i zapalać słońce, zupełnie tak samo jak przykręca się lampę naftową. Klaudiusz Bernard ze swej strony miał zapowiedzieć, że sto lat naukowej fizjologii pozwoli opanować prawo organiczne i konkurować ze Stwórcą, tworząc życie ludzkie.

Nie mamy co do tego żadnych zastrzeżeń, ale wydaje się nam, że kiedy nauka już dojdzie do tego wszystkiego, to wówczas Pan Bóg z siwą brodą zejdzie na ziemię i potrząsając kluczami powie zebranej ludzkości te same słowa, które o godzinie piątej słyszy się na wystawie obrazów: „Panowie, zamykamy!"

Przełożył: **Adam Mauersberger**

WŚRÓD KSIĄŻEK

TADEUSZ RÓŻEWICZ: *Czas który idzie*, Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 34

Nowy zbiór Różewicza Czas który idzie ze względu na swoją szczupłą objętość (zawiera tylko 18 krótkich utworów o rozmaitym ładunku ideowo-artystycznym) stanowi jak gdyby szkic do właściwej książki, którą powinien wydać poeta. Szkicowy charakter tomu utrudnia tak czytelnikowi jak i krytykowi ocenę tego zbiorku. Trudno dopatrzeć się jakiejś wyraźnej kompozycji czy też ogólnej tonacji książki. Pod względem tematycznym rozróżnić można kilka grup wierszy: utwory walczące o pokój jak np. W ciszy tak drogo okupionej, Rozmowa z matką i Trzydziesty ósmy równoleżnik. W pierwszym wierszu: W ciszy tak drogo okupionej, wierszu o szczęściu zdobytym w walce, przewijająca się jako motyw zasadniczy metafora zawarta w tytule jest bardzo ciekawie wyzyskana. Wiersz drugi ze swoim sugestywnym opisem postaci matki i podżegaczy wojennych, którzy znaczą mapy, ażeby zniszczyć szczęście i dobrobyt ludzki, stanowi konsekwentne rozszerzenie poprzedniego tematu. Szkoda tylko, że utwory te oddzielone są od siebie innymi wierszami, niekiedy znacznie słabszymi. Wreszcie trzeci wiersz jest opisem wojny, którą przeciwko Korei prowadzą imperialiści amerykańscy. Te antywojenne, walczące o pokój wiersze, są pod względem ideologicznym jednoznaczne i jasno wyrażone. Drugą grupę stanowią wiersze o socjalistycznym budownictwie u nas i na Węgrzech, poruszające również zagadnienie nowej socjalistycznej moralności. Wymieniłbym tu następujące utwory: Szedłem Nowym Światem (bodajże najsłabszy utwór w niniejszym zbiorze), oraz Troskliwość robotnicza o wspólne, Szybciej niż marzenie, Gwiazdy Budapesztu i Dunaföldvar. Zasadniczą cechą tych wierszy jest ich opisowo-narracyjny charakter, przechodzący niekiedy, jak w wypadku Szedłem Nowym Światem, w suchą, lakoniczną notatkę dziennikarską. W żadnym z wymienionych utworów nie wprowadza autor postaci, co najwyżej zarysowuje, umiejętnie zresztą, jakąś sytuację. Wiersz Troskliwość robotnicza o wspólne, ciekawy w swoim założeniu, o logicznie rozbudowanym pomyśle, nie przekonuje, nie wzrusza.

Rozumiem, że Różewicz dla celów artystycznych dyskretnie przysłania wzruszenie w swoich utworach, ale chowając je już nazbyt głęboko, wprowadza w zakłopotanie czytelnika, który czuje się jak gdyby zawiedziony. Przecież typ wiersza politycznego, jaki chce poeta uprawiać, nie może ograniczyć się nawet do bardzo ciekawego opisu albo relacji. Zamiast utworu dynamicznego, bo taka jest treść tego, o czym opowiada poeta, powstaje wdzięczny fresk albo raczej miniatura malarska. W zbiorze znajdujemy również wiersze typu Nie śmiem albo Obietnica będące dalszym porachunkiem ze sobą, uświadomieniem swoich dotychczasowych wad i błędów. Niejeden krytyk zarzuci Różewiczowi, że tak długo jeszcze ciągnie porachunki ze sobą, że czas byłoby o nich zapomnieć i przestawić się całkowicie na inną tematykę. To prawda, ale wtedy nie byłby Różewicz takim, jakim jest. Mam wrażenie, że to uparte powraca-

nie do tego tematu potrzebne mu jest do całkowitego przełamania się, a tymczasem stanowi dla obserwatora drogę inteligenta przechodzącego coraz bardziej bezkompromisowo na drogę rewolucyjnej i politycznej poezji. Rzecz ciekawa: kiedy Różewicz podejmuje tematykę antyimperialistyczną, styl jego oczyszcza się i przybiera nuty tradycji poezji staropolskiej, w wypadku zaś tych wierszy „porachunkowych" dostrzegamy jeszcze wyraźnie wpływy międzywojennej tzw. „awangardy". Wpływy te dają się zauważyć tak w gatunku używanych przez niego metafor jak i w ogólnym graficznym rysunku całego wiersza. Mówiąc o sobie, o swoich wojennych przejściach, przywołując raz jeszcze koszmar minionej wojny, Różewicz ścisza głos, mówi szeptem. W tym wypadku ta dyskrecja jest jasna, wytłumaczalna. Wiersze te podobne są do utworów z poprzednich jego zbiorków, tylko że podobieństwo nie jest całkowite. Każdy z tych wierszy zawierając akcenty smutku i słabości przynosi już jednak wyraz wiary w siebie, zapowiedź innych radosnych, optymistycznych utworów.

Stworzę dla was obraz nowy
potężny i pełen ciepła

mówi w wierszu Obietnica, który zaczyna się tak bardzo surowym porachunkiem ze sobą:

Ja człowiek pobity w tej wojnie
jak drzewo i trawa
ja wyziębiony
jak podziemia kościołów
ja dół pełen wspomnień
a jedne leżą na drugich...

Optymistyczna zapowiedź skierowana jest do dzieci, które żyją już w innych czasach

wy z twarzami w słońcu
dzieci moje...

Optymistyczna zapowiedź wynik
także z wiersza O maleństwi
piosenka będącego wyrazem przy
jaźni polsko-radzieckiej. A kiedy ro
czytując się w staropolskiej poezji jes
cze raz powróci do tematu gorzkic
wspomnień okupacyjnych, napisze je
den z najpiękniejszych swoich wie
szy Odwróćmy od przeszło
ści... Ten tak bardzo dojrzały poety
ki porachunek ze sobą zadziwia pre
cyzją poetyckiego wyrazu. Zacytuje
my dla przykładu zakończenie teg
wiersza

Nad nami gołąb biały
w świetle pióra moczy

Otrząsa z piórek cienie
i z gałązką w dziobie
zieloną
frunie w niebo ogromne

Czysty i piękny wiersz, głębok
tkwiący w tradycji poezji polskie
Drugim, niemniej pięknym wierszer
jest Czas który idzie. Poważny
głęboko ludzki, nawiązuje do tak pięk
nej tradycji jak liryki lozańskie Mic
kiewicza. Optymizm tego wiersza ni
jest sztucznie wykoncypowany, al
wynika konsekwentnie z całości utwo
ru. Pamiętając lata walki i ciężki
przeżycia wojenne poeta ma prawo pi
sać:

Czas który idzie jest piękniejszy
ludzie nie będą umierali jak larw
komunizm ludzi podniesie
obmyje z czasów pogardy

Na przykładzie tych dwu wiersz
i wspomnianych powyżej utworów
Szedłem Nowym Światem al
bo nawet Troskliwość robot
nicza o wspólne można prześle
dzić dążenie Różewicza do prostoty ar
tystycznej.

Dla pełniejszego obrazu wspomnie
należy o ostatniej grupie wierszy, któr
określić można jako krajobrazowo-opi

sowe. Do tej grupy zaliczyłbym wiersz: Wodzę oczami, Powrót z lasu, Odkrycie pierwotnych barw w ołtarzu Wita Stwosza, Wodospad i Pejzaż. Wiersze te z wyjątkiem bodajże utworu Odkrycie pierwotnych barw w ołtarzu Wita Stwosza i do pewnego stopnia Powrót z lasu, sprawiają wrażenie migawek poetyckich albo wysublimowanych notatek ze szkicownika poety.

Różewicz pracuje z trudem ale świadomie. Kiedy jego tom był wyrazem twórczych poszukiwań, był wynikiem rozmyślań i przeżyć artystyczno-ideowych. Dlatego też niemalże każdy jego tom wywoływał ożywioną dyskusję. Nowa tematyka, nowa treść powstaje u Różewicza w walce z sobą samym, ze swoimi nawykami, z całą niemal artystyczną przeszłością. Zdarzały mu się utwory albo nieprzemyślane albo przekombinowane jak np. poemat o Walterze. Różewicz stara się zatrzymać to, co jest jego zdaniem najbardziej wartościowe w jego poezji. Nawiązywanie w wierszach do wybitnych twórców nie zawsze przynosiło Różewiczowi dobre rezultaty. Kiedy Różewicz chce włączyć w sposób mechaniczny cytaty z klasyków literatury światowej do swej techniki przystosowanej do małych form, jak to czyni w wyżej wspomnianym poemacie, ponosi uroczystą klęskę. Lepiej natomiast kiedy cytat wynika konsekwentnie z całości utworu jak np. w wierszu Rozmowa o matce. Czy jednakże i w tym wypadku to użycie cytatu było konieczne? Czy podpieranie się autorytetem Nerudy podnosi wartość utworu? Czy też nie jest to swego rodzaju dyskretne efekciarstwo? Co innego, gdy nawiązanie jest dialektyczne, a przez to głębsze, jak np. w wierszu Czas który idzie albo Odwróćmy od przeszłości. Tu tradycja wiersza polskiego zastosowana została szczęśliwie i twórczo.

Różewicz dąży do prostoty bodajże od pierwszych swoich książek. Tylko że w każdym wypadku były to różne poszukiwania. Przesublimowana prostota obrazków, złożonych z drobnych na pozór niezłączonych szczegółów i szczególików, prostota drobnych wzruszeń, prostota poetyckiej spowiedzi, jakże odmienna być musi od prostoty szeroko tematycznie zakreślonych utworów przeznaczonych już dla innego kręgu odbiorców. I w tym wypadku poszukiwania Różewicza są wielorakie. Próbuje on najpierw w mechaniczny sposób połączyć swoją technikę poetycką z obcymi wmontowanymi w tekst własny cytatami, albo też wychodząc z pozycji własnego stylu upraszcza go do maksimum stając na granicy zwykłej notatki dziennikarskiej. Utwór staje się „czytelny, ale cóż z tego? Jakie są jego istotne walory? Tego rodzaju prostota zapewne wynika także z niedomagań ideologicznych, z odczuwalnej jeszcze obcości tematu, do którego poeta dojrzał intelektualnie, ale nie uczuciowo. Tego rodzaju, że się tak wyrażę, „jednowarstwowe“ utwory mogą być dla krytyka ciekawe chyba jako sygnał pogłębiania się ideowego poety.

Zbiorek Czas który idzie zawiera kilka wartościowych utworów. Czy jednakże na podstawie tak bardzo szczupłej książki można wysnuć konkretne wnioski chociażby o pewnym etapie pracy twórczej Różewicza? Mam wrażenie, że wydawnictwo, które w ostatnim roku wydało dość dużo mikrotomików, wyrządziło wątpliwą przysługę swoim autorom. Ukazując tak bardzo wąski fragment czyjejś twórczości, czyichś możliwości twórczych, nie pomaga się pisarzom w ich twórczej drodze. Tym bardziej od tak bardzo utalentowanego poety, jakim jest

Różewicz, zwłaszcza po Pięciu poematach, które nasuwały szereg wątpliwości, wymagalibyśmy książki pełnej, pozwalającej mówić o niej szerzej. Toteż zbiór traktować należy jako wstęp do tego rodzaju szerzej zakrojonego tomu wierszy.

Jan Śpiewak

JAN KOPROWSKI: *Nowa ziemia*, wiersze i poematy, Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 75

Jan Koprowski nie jest debiutantem; przed wojną zamieszczał swoje utwory poetyckie w czasopismach, bezpośrednio zaś po wojnie wydał tom wierszy będących echem przeżyć okupacyjnych i wojennych. Ostatni tom Nowa Ziemia w porównaniu z tym wszystkim, co pisał poprzednio, stanowi dużą i zasadniczą zmianę w jego twórczości. Wiersze w części pierwszej mówią o nowej spółdzielczej wsi, o zmianach, jakie się tam dokonały, o nowych ludziach (Nowa wieś, Pieśń o traktorach), o miłości do ziemi, do narzędzi pracy. Inne utwory służą sprawie pokoju (Petycja dziecinna), próbują wyjaśnić zadania poezji politycznej (Odpowiedź na pytanie, co to jest poezja) mówią o awansie społecznym, o dzieciństwie pisarza, o drodze, jaką przebył, agitują, poruszają wiele zagadnień istotnych dla nas i ważnych. Druga część książki składa się z szeregu utworów o charakterze liryczno-opisowym.

Spróbujmy odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Czy poezja ta jest konsekwentna ideologicznie? Jakimi środkami artystycznymi posługuje się poeta? Do jakiej tradycji literackiej stara się nawiązać i co z niej wydobywa?

Poemat Nowa Ziemia, który posiada wiele ciekawych momentów i przekonywających zwrotek, optymistyczny w swoim wydźwięku, zeszpecony został niezbyt przemyślanymi obrazami poetyckimi. Zamiast realistycznego — opis biologiczny przyrody. Oto przykłady: „Mokra trawa zaleca się pyskom" albo „Snopie z zapola, na rękach wyskocz, maszyna łaknie twojego ciała" lub: „Pokos pod noże idzie szczęśliwy" (itd.).

Wada tego poematu między innymi polega na tym, że Koprowski dużo mówi o ludziach, ale nie ukazuje ani jednego z nich w działaniu, tak że właściwie nic o nich nie wiemy. Powstaje pytanie, dlaczego pomimo najlepszej chęci autora poemat rozpływa się jako całość? Brak realiów? Zapewne. Ale brak również jakiejś zdecydowanej koncepcji artystycznej. Czytając te zwrotki czytelnik wchodzi w gąszcz nie przetrawionych przeróżnych stylów i tradycji literackich od postromantyzmu Konopnickiej, Pola, do epigonów Skamandrytów i Czartaka. Wiersze płyną niewstrzymaną strugą, nie zawsze uchwytną dla samego autora. Warto byłoby w tym miejscu przypomnieć autorowi wypowiedzi wielkich rewolucyjnych pisarzy o trudzie pisania wierszy. Wspomnijmy chociażby znakomity artykuł Majakowskiego Jak pisać wiersze. Dla poety realisty i polityka w żadnym wypadku nie może być obojętny wybór stylu i gatunku słownictwa. Źle się stało, że Koprowski zbyt mało zwraca na to uwagi. A szkoda, bo poszczególne fragmenty świadczą o tym, że autor mógłby, jak to się mówi, wyjść obronną ręką.

Niekonsekwentnie przemyślany jako całość jest wiersz Pieśń o traktorach, niekonsekwentny jest również w drobnostkach, poeta opisuje traktor raz jako konia, innym razem jako wołu i psa, by wreszcie zdecydować się:

> A traktor — bydlę po prostu żywe —
> zarży radośnie — czuły siwek...

Inny błąd Koprowskiego polega na ym, że autor nie zawsze umie rozróżnić rzeczy wielkie od błahych, drugorzędnych. Stawiając wszystko na jednym poziomie Koprowski dochodzi do fałszywych pod względem ideologicznym obrazów, do fałszywej retoryki. Opisując muzeum Lenina w Poroninie poeta pisze takie niedorzeczności:

Izba była góralska, zwyczajna —
w niej ni biurka, ni szaf mahoniowych.
Takich ludzi, Historio, daj nam,
i ten stołek i stół sosnowy.

Niesłuszne również próby udziwniania i „upolitycznia" przyrody jak np. w wierszu Czerwony klon.

Dla kogo barwa ta i liście,
na zejście czyje, na czyje przyjście?
Komu uścisnąć pragniesz dłonie,
Czerwony, robotniczy klonie.

Próbą nadmiernego udziwniania jest również tego rodzaju opis (Pochwała istonosza wiejskiego)

Twoja torba nie jest torbą.
To jest oddech ziemi i wiersz.
W niej i radość i miłość i groźba...

Niesłuszna jest również próba „umowienia" słownictwa; owe „znachodzi", „buja", „bluzgasz" itd. sprawiają przykre wrażenie. Koprowski chce mówić jak naprościej, jak najjaśniej, ale równocześnie wprowadza takie obrazy poetyckie, które utrudniają czytelność utworu. Wymieńmy dla przykładu: „Świat całuje ustami zmierzchu", „tokarnio, podaj łapę", „krowy z wzdętymi żaglami wymion". Te oraz inne podobne obrazy bynajmniej nie uczą „prostoty ojczystej mowy". Zacytujemy opis Ranka w Warszawie:

Tramwaje brzęczą — pszczoły syte,
dzień się podnosi — jasnym żytem
i obsypuje blaskiem domy...

Skąd te porównania tramwaju do pszczół i podnoszącego się dnia w Warszawie — do żyta? Brak obserwacji i w tym wypadku poeta zastępuje sztucznie wykoncypowanymi metaforami.

Łatwość pisania nie jest zaletą. Większość utworów zawartych w tym tomie sprawia wrażenie szkiców do wierszy pisanych pośpiesznie, a nie gotowych utworów. Pośpiech, szkicowość oraz eklektyzm stylu — oto zasadnicze cechy tych wierszy. Wydaje mi się, że poeta musi gruntownie przetrząsnąć swój bagaż artystyczny i wyrzucić to wszystko, co jest nieprzydatne i co nie wyraża ideologicznych założeń.

Wysuwając tego rodzaju zarzuty, które z łatwością można mnożyć, musimy pamiętać o tym, że ewolucja ideologiczna, jaką przeszedł Koprowski, powinna była wpłynąć również na zmianę sposobu pisania. Nowa tematyka, nowa postawa ideologiczna wymagały rewizji dotychczasowych środków artystycznych. Rzeczywiście, zmiany widzimy w bardziej wartościowych utworach jak Genealogia, Chodzi o to, Wezwanie lub Petycja dziecinna. Tam, gdzie poeta jest raczej bezpretensjonalny, gdzie stara się mówić rzeczywiście jak najprościej, osiąga znacznie lepsze wyniki. Gdzie komplikuje, gdzie stara się upiększać swoje utwory, osiąga tylko efekt sztucznej literackości, grzęźnie w secesyjnych smaczkach.

Koprowski jest ambitnym poetą. Wiersze jego mają w sobie dużo szczerego liryzmu, mogą wzruszać i często wzruszają. Tymczasem jednak jest to potok rwący, który niesie z sobą drzazgi i muł, prawdziwa zaś twórczość zacznie się wówczas, kiedy poeta pozna „tajemnicę kondensacji". Spodziewam się, że nowa książka Koprowskiego będzie pod tym względem dojrzalsza.

Jan Śpiewak

JANUSZ MINKIEWICZ: *Pigułki*. Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 95

Janusz Minkiewicz należy do tych satyryków, którzy ostrość widzenia potrafili połączyć z dużym poczuciem humoru i z poetycką tradycją satyry.

Przed wojną satyra Minkiewicza atakowała drobne odcinki życia, ośmieszała pewne przywary ludzkie, stosunki artystyczno-teatralne lub też łagodnie krytykowała sanację w szopkach, które Minkiewicz pisał wespół ze Światopełkiem Karpińskim. Humor w przedwojennej twórczości Minkiewicza był niemalże zasadniczym elementem jego utworów. Nie mając charakteru demaskatorskiego, nie będąc rewolucyjny nadawał on utworom Minkiewicza funkcje satyry wewnętrzno-ustrojowej. Była to typowa dla pewnego odłamu ówczesnej inteligencji tzw. „łagodna opozycja". Duży kunszt artystyczny Minkiewicza i znakomite zdolności wersyfikacyjne kazały krytyce zwrócić uwagę już na pierwsze jego utwory jak np. Reduta Kadena, które pisał jeszcze na szkolnej ławie i umieszczał w satyrycznych tygodnikach. Nie mogąc, względnie nie chcąc ostro krytykować, nie wychodząc poza zgryźliwe personalne zaczepki, poeta szukał dróg, które pozwoliłyby mu wykazać mistrzostwo formy artystycznej. Rozweselać swoje środowisko znaczyło — znaleźć oddźwięk przede wszystkim tam, gdzie owe „środowisko" przebywało. Rozweselać — znaczyło odzwierciedlać gusty swych czytelników, odbiorców i zarazem bohaterów tego rodzaju satyry. Dowcip wymierzony przeciwko czytelnikom stawał się nieraz ich ulubioną „strawą duchową". Minkiewicz wychodząc od satyry na ogół obyczajowo-środowiskowej zaczynał powoli rozwijać w swej twórczości element humoru słownego, tworząc dowcipne kalambury, którymi żonglował znakomicie („Haha i A. H."), zbaczając przez tego rodzaju utwory jak Dwa bary, Lis, Witalis i Klarysa, Otomana, które zbudowane są na kalamburze i dla kalamburu, kończąc na limerykach i rymerykach, które już są wyłącznie zabawą dla zabawy przeznaczoną dla całkowicie zamkniętego kręgu odbiorców. Dopiero szybko zbliżająca się wojna i ostatnie lata okupacji zaostrzyły satyryczne pióro Minkiewicza i kazały mu głębiej zastanowić się nad tym wszystkim, co działo się dokoła niego. Rzepka, Wierszyk historiozoficzny i mosty — oto utwory, które wskazywały, że autor ich zaczyna stopniowo pogłębiać swoją twórczość. Dopiero lata powojenne wyzwoliły w Minkiewiczu ostrego politycznego satyryka. Doświadczenia twórcze połączone z pogłębiającą się świadomością społeczno-polityczną zaczęły ukonkretniać jego tematykę odcinając go tym samym od dotychczasowych odbiorców jego wierszy i kierując ku innym czytelnikom. Oczywiście proces przestawiania się na nowego szerokiego odbiorcę nie był ani szybki ani lekki i ulegał rozmaitym wahaniom.

Pierwszy wybór wierszy Minkiewicza wydany po wojnie nazywał się Kazania i skargi i zawierał utwory pisane przed wojną, podczas wojny i po wojnie. Powojenne utwory Minkiewicza stawały się antyfaszystowskie, antysanacyjne, równocześnie walczyły z przerostem biurokratyzmu, uderzały w nadgorliwców, w lizusów. Pojawiła się idea polityczna, znikała beztroska. Bystra obserwacja pozwoliła Minkiewiczowi dostrzec i utrwalić literacki szereg bardzo trafnie podpatrzonych postaci np. Ciotka z sanacji

Utwory jego krytykowały sanacyjno-
ozonową orientację rozmaitych typków
w sposób twórczy próbowały ujmować
narastające zjawiska. Zmieniając w ten
posób tematykę Minkiewicz nie zrywał
więzów z poprzednim czytelnikiem. Ko-
zietował go nadal dowcipem i ploteczkami ze środowiska literacko-artystycznego. Oceniając z grubsza utwory pierwszych lat powojennych, określić e musimy jako postępowe, włączające ię pomimo błędów w ogólny nurt twoczącej się literatury. Rewolucyjności ednakże w nich nie było. Satyra Minkiewicza zanadto śmieszyła i bawiła, ie próbując wybiegać naprzód, nazbyt nało była walcząca i postulatywna. Gdybyśmy chcieli odpowiedzieć sobie na pytania, jaki był program tej satyry, o co walczyła, jakie wysuwała żądania pod adresem społeczeństwa i dokąd je kierowała, to należałoby stwierdzić, że poza ogólnikową deklaratywną postępowość — nie wychodziła. Na tym też zasadniczo polegała ej słabość i niezbyt wielka możliwość dotarcia do nowego czytelnika, który domagał się czegoś więcej od satyryka o tak dużych możliwościach twórczych jak Minkiewicz. Należy jednak dodać, że błędy Minkiewicza między nnymi wynikały ze słabości całej ówczesnej satyry, która z bardzo, bardzo nielicznymi wyjątkami wlokła się w nurgardzie życia. Nazbyt mało było w ówczesnych utworach Minkiewicza sarkazmu, gorzkiej ironii, skierowanej pod adresem wrogów. Minkiewiczowi jednak udało się uniknąć pewnych błędów, w które niekiedy wpadali inni satyrycy. Nie wysuwał błędnych tez o ogólnym charakterze satyry ani też nie głosił, że satyra może rozwijać się tylko w opozycji do każdego ustroju.

Nowa książka Minkiewicza, Pigułki, zawiera utwory nowe z wyjątkiem wiersza Daj pyska zamieszczonego w poprzednim zbiorze. Utwory te drukowane poprzednio w tygodnikach i dziennikach znane są szerszej publiczności i cieszą się dużą popularnością. Jeśli w poprzednich książkach dostrzegliśmy zbyt mało utworów politycznych, jednoznacznych pod względem ideologicznym, to ostatnia książka stanowi przełom w twórczości Minkiewicza. Tym razem poeta wypowiada się bez ogródek. Walczy o pokój, ostro atakuje i ośmiesza imperialistów, walczy z tzw. „atlantycką kulturą", przypomina podżegaczom losy eksfürerów, ośmiesza emigrantów, atakuje wrogów, staje się agitatorem nowych socjalistycznych treści.

Tematyka w stosunku do poprzednich utworów została znacznie rozszerzona i pogłębiona. Minkiewicz aktualizuje swoje wiersze i ukonkretnia je tematycznie wysuwając często istotne zagadnienia. Znajdujemy więc utwory poświęcone Planowi Sześcioletniemu, wiersze o Warszawie, Nowej Hucie, wiersze walczące z różnymi przedstawicielami obskurantyzmu czyli z rozmaitymi Muzealnymi typami, jak ich nazywa poeta, dowcipne literackie polemiki i zaczepki. Niekiedy jednak trafiają się utwory ideologicznie zapóźnione jak np. Z cierpień bywalca kawiarnianego, gdzie naszkicowana sytuacja jest absolutnie nietypowa, czy też wiersze niesłuszne jak np. Trójgłos o poezji, utwór płytki i nieprzemyślany. Nie ma przecież już u nas ani takiego poety hermetycznego, ani proletkultowca — jak ich opisuje Minkiewicz. Poza tym niektóre utwory mogły powstać czery albo pięć lat temu i znaleźć się w poprzedniej książce, jak np. Głos, List z Sopot, Opinia, Madonna sleepingu. Minkiewicz chce aktualizować swą tematykę, w dużym stopniu udaje mu się to, a jednak nie widzi

jeszcze szeregu zagadnień na wsi i w mieście, na budowach i fabrykach, zagadnień, które wymagają dla siebie artystycznego wyrazu, zwłaszcza że inni satyrycy tego rodzaju tematykę podjęli pomagając tym samym niejednej brygadzie w jej pracy. W pierwszym okresie po wojnie poeta dostrzegł tak malowniczą postać jak np. „Ciotka z sanacji", obecnie niestety nie potrafił zaobserwować ani jednej nowej postaci, chociaż samo życie wciąż je wysuwa. Poza tym dostrzec można jeszcze niekiedy dawną ogólnikowość i nie zawsze pogłębioną dydaktykę. Jednakże mimo wszystko książka ta jest twórcza i odkrywcza. Jest twórcza, ponieważ stawia szereg nowych zagadnień, jest odkrywcza, ponieważ autor potrafił wielokrotnie słusznie i twórczo nie tylko ustawić tematykę ale też znaleźć dla niej odpowiedni wyraz artystyczny. Minkiewicz uprościł swoją formę, odrzucił świadomie to, co miało cechy prestidigitatorskie skupiając uwagę czytelnika na zasadniczym temacie. Czytając wiersze zawarte w tej książce można prześledzić niezwykłą celowość w doborze środków artystycznych. Rytmika, dobór zwrotki, dobór rymów, w których tak bardzo celuje Minkiewicz zależny jest od każdorazowego tematu. Jakże inaczej zbudowany jest chociażby wiersz Rozmowa z Ehrenburgiem czy też wiersz O agresjach, od wiersza Muzealne zabytki. W pierwszym wypadku Minkiewicz umiejętnie dobiera i stopniuje argumenty zostawiając pointę na koniec utworu, w drugim wypadku każda zwrotka stanowi zamkniętą i wypointowaną całość. Minkiewicz doskonale operuje tak czterowierszem jak i dystychem, czy też wolnym wierszem. Lubi używać formy kupletu oraz przyśpiewek nawiązujących do krakowiaka. Pod względem wersyfikacyjnym utwory Minkiewicza tkwią w tradycji wiersza polskiego. Dygresyjnie chciałbym w tym miejscu zaznaczyć, że ogół większość poetów uprawiających ten tak odpowiedzialny rodzaj literacki jak satyra więcej zwraca uwagi na stronę wersyfikacyjną wiersza i staranniej rymuje niż poeci tzw. liryczni. Kto wie, czy satyra, która przechowuje i kultywuje tego rodzaju tradycję i rygory nie mogłaby wpłynąć dodatnio pod tym względem na naszą lirykę.

Satyra Minkiewicza spoważniała, nabrała sarkazmu, ostrego, demaskatorskiego śmiechu. Humor Minkiewicza pogłębił się, stał się twórczym elementem optymistycznej satyry.

Zarówno pierwszą jak i drugą książkę Minkiewicza trafnie i dowcipnie zilustrował Jerzy Zaruba.

Jan Śpiewak

STANISŁAW ZIELIŃSKI: *Ostatni w Ogniu*, powieść, część pierwsza. Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 308.

Maniera naturalistycznej fotografii nie tylko daje zazwyczaj obraz nietypowy, ale odbiera również pisarzowi możność wartościowania. „Artysta — uczył Zola — powinien zniknąć, zachować dla siebie swoje wzruszenia — do niego należy jedynie proste wyrażenie tego, co widział". Recenzent Odrodzenia, który sądził, że „czystość rysunku kompozycyjnego Zielińskiego przypomina Maupassanta" — szkoda że nie zwrócił uwagi na łączący ich również indyferentyzm moralny. Ten nihilizm moralny, przechodzący częstowręcz w cynizm, występował wyraźnie w opowiadaniach O siemnaście Cameli (sucha relacja o polskiej dziewczynie oddającej się żołnierzowi amerykańskiemu za osiemnaście papierosów) czy Blizny (ironiczne wykpie-

nie moralności obozowej). Zieliński zdawał sobie sprawę z fałszywości tych opowiadań. Najlepszy dowód, że przedrukowując skrupulatnie wszystkie opowiadania drukowane w prasie pominął artystycznie niemniej doskonałą nowelę pt. Fotografia drukowaną w nr 185 Kuźnicy, będącą nadzwyczaj jaskrawym dowodem niebezpiecznych manowców, na jakich znalazł się pisarz. Była to opowieść o kochankach leżących na plaży podmiejskiej w któreś powojenne lato, gdzie mężczyzna przeglądając zbiór fotografii partnerki, przypomina sobie, iż zastrzelił jej narzeczonego w czasie kampanii wrześniowej, kiedy tamten rabował żywność. Cyniczna konkluzja bohatera, że „każdy jest kowalem własnego szczęścia", oraz stwierdzenie: „Klementyna zaś myślała o dniu spędzonym na plaży, a nie o tym, co stało się tak dawno, w ubogiej wiosce, gdzie chleb był świątecznym ciastem" — dostatecznie chyba charakteryzują ogólny wydźwięk tej noweli.

Jeśli przypominamy te potknięcia Zielińskiego, to dlatego, że chodzi nam po prostu o ukazanie drogi rozwojowej pisarza, o pokazanie, jakie były jego punkty wyjścia, a dokąd zdołał przejść do chwili obecnej, ściślej zaś mówiąc, do momentu ukończenia pisania pierwszej części swego szeroko zakrojonego cyklu, zatytułowanej Ostatnie Ognie — czyli, jak nas informuje data postawiona w zakończeniu tomu, do sierpnia 1950 r. Zieliński nienawidził sanacji i starał się ją demaskować, ale demaskatorstwo to stało w dwóch tomach jego nowel na poziomie wiedzy przeciętnego mieszczańskiego inteligenta. Zieliński odsłonił dryl panujący w przedwojennym wojsku, ukazał i ośmieszył romans Kasprzyckiego z Kajzerówną (opowiadanie Maison Wimplowa), miał wiele ciętych uwag do powiedzenia pod adresem wyższych oficerów sanacyjnych siedzących w obozach jenieckich, a po wojnie znalazł przedstawiciela tej kasty nawet na dalekiej ziemi włoskiej. Cóż szczególnego robi tam — według autora — pułkownik Byczotupski (nowela Daleko od morza z tomu Przed świtem) i po jakich cechach specyficznych można poznać jego rodowód? Pułkownik Byczotupski forsownymi ćwiczeniami wybija żołnierzom z głów myśl o powrocie do ojczyzny, a prócz tego ciuła pieniądze handlując wraz z włoskim burmistrzem solą i żarówkami na czarnym rynku. To wszystko, a to naprawdę nie było wszystko... Zieliński zrozumiał ową prawdę po latach. Bratanek owego pułkownika, Jerzy Byczotupski, były NSZ-owiec z Brygady Świętokrzyskiej, a potem rzecznik „Międzymorza" i agent amerykański — pojawi się na kartach Ostatnich ogni ujawniając w pełni swe oblicze...

Nie uprzedzajmy jednak wypadków i otwórzmy Ostatnie Ognie. Rozdział pierwszy. „Czwartego dnia rozprawy toczącej się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie przeciwko Antoniemu Szulawce oskarżony odpowiadał na pytania prokuratora." I dalej padają wyjaśnienia i odpowiedzi: wywiad niemiecki, firma „Lorenz", koncern „Auto-Union", sanacyjna „dwójka", BBWR, „Dzwonek Legionowy", Abwehra, wywiad amerykański... Znamy te sprawy. Pamiętamy je z procesu Adama Doboszyńskiego, który odbył się w czerwcu 1949 r. Wtedy spoza pleców Kajzerówny i ułańskiego gestu Wieniawy-Długoszowskiego wyjrzała prawda: powiązanie „dwójki" z wywiadem niemieckim, potem wysługiwanie się wywiadowi anglo-amerykańskiemu, morderstwa polityczne, łańcuszkowe powiązania, kontakty, dzieje zdrady, zaprzaństwa i szpiegostwa. Mieszczański inteligent

zdumiony przetarł oczy. Zresztą nie on tylko. Cały naród dowiedział się wstrząsającej i sensacyjnej prawdy. „Proces Adama Doboszyńskiego — mówił wówczas na rozprawie prokurator — jest procesem historycznym. Nie osoba oskarżonego przyczyniła się do tego. Znamy większych szpiegów i prowokatorów aniżeli Adam Doboszyński. Jeśli mimo to proces określamy w ten sposób, czynimy to dlatego, że jest to pierwszy w dziejach Polski proces, który ujawnia część prawdy o ostatnich dziesięcioleciach naszych dziejów, wskazuje na niektóre źródła naszych klęsk narodowych, obnaża tragedię narodu, oszukiwanego przez obcych najmitów, którzy wyrzekli się ojczyzny. Proces ten jest historyczny, albowiem wykazuje rzeczywistą rolę tych warstw społecznych, które w imię prywatnych interesów zaprzedawały naszą ojczyznę, naród i kraj obcym siłom, obcym potęgom". Proces Antoniego Szulawki w Ostatnich ogniach nie jest kopią rzeczywistego procesu Adama Doboszyńskiego; jest on tylko odtworzeniem tych faktów, które wyszły wówczas na jaw. Antoni Szulawka, syn fabrykanta i obszarnika, adwokat z wykształcenia, już przed wojną pozostawał w kontaktach z rezydentem niemieckiego wywiadu Mayerem, z oficerem sanacyjnej „dwójki" — kapitanem Dankiem i nadkomisarzem Banko z Komendy Głównej Policji. W zamian za zatuszowanie kompromitującej go afery podejmuje się współpracy z pismem Dzwonek Legionowy, nawiązuje również w tym samym celu znajomość z Jerzym Byczotupskim, jednym z kierowników faszystowskiej grupy Legia. W ten sposób nawiązują się misterne oczka: Mayer pomaga Szulawce w jenieckim obozie, gdzie ten przebywał w czasie wojny, a Banko i Byczotupski przerzucają go po wojnie do kraju zaopatrując w radiostację. Tutaj Szulawka wkręca się na wysokie stanowisko i „działa" aż do chwili zdemaskowania. Wraz z tłumem osób siedzi na sali sądowej Jan Masłowiec, były oficer, który lata wojny spędził w oflagu, a powojenne — na Zachodzie. Jan Masłowiec, typowy mieszczański inteligent, do tego „apolityczny" oficer, miał w swym krótkim życiu wątpliwy zaszczyt stykania się z większością owych ludzi wymienionych w czasie procesu, jak również z samym Szulawką. Masłowiec słucha i dopiero teraz otwierają mu się oczy na wiele spraw. „Widzę Szulawkę i wielu innych tak wyraźnie, jak gdyby działo się to wczoraj — mówi w czasie przerwy do jednego z przyjaciół — Przyznaję, nie zdawałem sobie sprawy, że droga Szulawki wiedzie wprost na ławę oskarżonych... Domyślasz się, że mimo woli powracam myślą do mojej ścieżki z tamtych lat. Była dziwaczna, pełna niespodziewanych i ostrych skrętów. Częściej biegła nad urwiskami niż przez kwitnące sady. Kierunek gubiło się łatwo, jakże łatwo! Wewnętrzne kompasy przestawały działać, drogowskazy poprzestawiano... Ludzie ginęli, błądzili, z trudem niejednokrotnie odnajdywali właściwy trop. Nie, nie mówię o Szulawce. On trzymał się wytkniętego z dawna kierunku. Dziś to rozumiem... Lecz iluż ludzi zwiedzionych blaskiem zachodzącego słońca wydeptywało ścieżki po tamtej stronie Łaby. Wydawało się, że krążąc w gęstej mgle szukają po omacku domu. Odchodzili nieraz daleko nie rozeznając, czy własną idą drogą, czy już obcą. A jednak powracali..."

I teraz cofamy się wraz z autorem w przeszłość. Jest koniec kwietnia albo początek maja 1945 r. Miejsce: niemieckie miasteczko na pograniczu Sudetów. Z jednej strony nadchodzą Amerykanie, z drugiej armia radziecka. W środku miotają się resztki rozbitej

armii hitlerowskiej. W tym ogólnym rozgardiaszu garść Polaków obejmuje władzę w małym miasteczku. Piją, bawią się i śpiewają: „Rozbiła się kałamaszka, wpadła ciocia pod wujaszka!" Nie ma się co dziwić, niektórzy z nich po raz pierwszy po pięciu latach stali się ludźmi wolnymi, przestali być numerami obozowymi. Ale wśród tej gromady — gdzie jest i nasz znajomy Masłowiec — są ludzie, którzy myślą już o dalszym prowadzeniu zwykłej swej roboty: Antoni Szulawka, noszący obecnie nazwisko kapitana Antoniego Dahomejskiego, oraz Alfred Kit, dawny Jerzy Byczotupski, obecnie rotmistrz Brygady Świętokrzyskiej, która w porozumieniu z Niemcami uszła na teren Czech przed Armią Czerwoną. Byczotupski został przez Niemców „uprawniony" do odwiedzania obozów polskich jeńców wojennych celem „przeprowadzenia rozmów". Tutaj właśnie zastał go koniec wojny. Między Byczotupskim a Masłowcem toczy się znamienny dialog. „Zrozum — mówi pierwszy — Niemcy pokonane, ale została Rosja! Rosja! Staraj się myśleć rozsądnie! Co nastąpi teraz, po klęsce Niemiec? Wciągnięcie Niemców w szeregi amerykańskie i tym kułakiem rozbijemy Kreml. Niemcy, a przynajmniej żołnierze z SS i innych oddziałów wartościowych, zechcą powrócić pod Stalingrad! Niech wracają! To oszczędność naszej krwi i przesunięcie granic! Nie ma sentymentów w polityce! Każdy jest dobry, z kim można przejść kawałek drogi razem." Na to odpowiada Masłowiec: „Więc znowu wojna?! Kołatają się resztki tej, a ty mi grozisz nową? Uderz łbem o ścianę! Tobie klepki pospadały z półek!"

I odtąd jak sensacyjny film — w najlepszym tego słowa znaczeniu — przed naszymi oczyma rozwija się akcja powieści. Z jednej strony grupa zdecydowanych na wszystko szpiegów i zbankrutowanych polityków reakcyjnych, z drugiej zaś gromada otumanionych, zdezorientowanych oficerów. Trzeba powiedzieć od razu, że dzieje tej pierwszej grupy zostały ujęte prawdziwiej w sensie artystycznym niż losy i przemiany drugiej. Zawiniła tutaj metoda pisarska Zielińskiego. Zieliński trzyma się opisu — opisu faktów i zdarzeń. Dzięki swemu talentowi narracyjnemu udaje mu się to znakomicie i jest to — przy pogłębieniu problematyki — najlepsza droga do napisania dobrej powieści politycznej, powieści, w której losy ludzi w pełni ukazują się w działaniu. Realizacja tego zamiaru udała się też autorowi zupełnie dobrze. Trudno wyczerpać chociażby zarysowaną przez niego problematykę. Zieliński ukazuje i rolę Brygady Świętokrzyskiej, i przechodzenie wywiadu niemieckiego na służbę amerykańską, ukazuje powojenną działalność dawnych „dwójkarzy", montowanie wywiadu na kraj, morderstwa polityczne, które są wynikiem wewnętrznych sprzeczności. Byczotupski, Szulawka, Bohun, Banko, majorowa Sobierzyska, anglo-amerykańscy dyspozytorzy — wszystkie te postacie w swej brudnej robocie ujawniają właściwe oblicze. Szpiegostwo, prowokacja, walka z działalnością przedstawicieli Polski Ludowej na Zachodzie, nie cofająca się nawet przed skrytobójstwem, aranżowanie prowokacji antyradzieckich, szantaż i przekupstwo — oto przykłady „działalności" tych ludzi. I tu Zieliński jest najmocniejszy. Może nie ukazuje całej politycznej podszewki tej działalności, może zarzucić mu trzeba zbytnią „sensacyjność" w ujęciu tematu. Mimo to jednak Zieliński dał trafną politycznie, wartką jak potok, napisaną inteligentnie powieść polityczno-szpiegowską. Sensacyjność jej odbija najzupełniej od typu bujd w stylu Nasielskiego. Książkę Zielińskiego

śmiało zestawić można z podobnym typem powieści w literaturze radzieckiej, chociażby z Klęską mister Clarka Michała Maklarskiego.

Gorzej natomiast wypadły u Zielińskiego peregrynacje zdezorientowanych emigrantów, których losy w powieści reprezentuje trójca muszkieterów: nasz znajomy Masłowiec, stary oficer podporucznik Tomasz Poczehaj i młody, hrabicz bodaj, Poldek Gałandzki. Wszyscy oni znajdują się na terenie zdobytym przez Armię Czerwoną. Że Byczotupski ucieka stąd do Amerykanów w okolicę Pilzna, gdzie stacjonuje brygada Bohuna — to zrozumiałe, jasne również, dlaczego czyni to samo Szulawka, czy niemieccy SS-mani i Mayer — ale po co uciekają nasi muszkieterowie, tego nie wiedzą ani oni sami, ani autor. Może Zieliński chciał w ten sposób pokazać ich zdezorientowanie w przeciwieństwie do kilku podoficerów, którzy wracają do kraju? Grunt, że dostają się do Czech, potem zaś do Niemiec, Holandii, Belgii, Francji, Włoch, Austrii i znowu do Niemiec. Miasta, ludzie, zdarzenia, dialogi — wszystko to przesuwa się nam przed oczyma jak w zbyt szybko wyświetlanym filmie. „Razem z benzyną upływał czas. Przemierzyliśmy Niemcy wszerz, z południa ku wybrzeżom Morza Północnego, z uporem i wytrwałością wędrownego ptactwa pędzonego instynktem do cieplejszych krajów. Mijaliśmy miasta wyburzone do piwnic. Błądziliśmy wśród ulic wytyczonych ułamkami murów, by po wielu godzinach stanąć bezradnie i czekać, aż nadejdzie mieszkaniec — przewodnik. Każdy dzień, nawet każda godzina dostarczały nowych wrażeń. Obrazy przesuwały się szybko jak taśma ciągnącego się w nieskończoność filmu. Coraz więcej kilometrów mieliśmy poza sobą i coraz dotkliwiej doskwierało znużenie. Napełnialiśmy zbiornik, rozcieraliśmy olej w palcach, sprawdzając czy jeszcze dobry, dolewaliśmy wody do chłodnicy, naprawialiśmy przebite gumy. Staliśmy się niewolnikami poniemieckiego samochodu. Opuściły nas i humor, i spokój. Tomasz wpatrzony w mapę odzywał się dopiero, gdy zwalniałem przed skrzyżowaniem dróg. Mruczał: „Jedź w prawo albo w lewo." I znów tylko jednostajny szum silnika." Wszystko zaczyna migać przed oczyma. Handel na trasie Niemcy — Bruksela, emigrant rosyjski i jego smętne piosenki, wizyta na cmentarzu Père Łachaise, obóz ekshumacyjny gdzieś pod Tulonem, gonitwa za kobietą, która jechała do Ugandy, a zajechała na Lazurowe Wybrzeże, wreszcie jezioro Como i miłość, szybka, gwałtowna, jakby świat się miał lada chwila zawalić. Wszystko to zaś trwa pięć miesięcy, kiedy żegnamy bowiem Masłowca jest koniec 1945 roku. Może przygody te są prawdziwe, ale w szalonym filmie, natłoku zdarzeń ginie obraz naszych bohaterów. Tyle wiemy o Masłowcu, jego kochance Marii, Poczehaju i Gałandzkim — co wiedzieliśmy na początku. Czyli prawie nic. W ten sposób próba ukazania przemian zachodzących wśród „zwykłej" emigracji w dużym stopniu spaliła na panewce. Zieliński zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw swej metody pisarskiej. W pewnym miejscu wyznaje: „Przesunął się obok nas tłum obcych żołnierzy. Po odznakach i mundurach odróżnialiśmy Belgów od Francuzów, Anglików od Amerykanów i Kanadyjczyków. Poznałeś choć jednego z tych ludzi? Na pewno nie! Dotykaliśmy tylko naskórka..." Ten sam naskórek niestety daje i autor; widzimy błyskawiczne podróże, słyszymy np. o uznaniu Rządu Jedności Narodowej i zastanawiamy się, czy działalność takich Byczotupskich nie dawała nic do

myślenia Masłowcowi czy Poczehajowi. Autor jakby spostrzegł się na końcu książki i dodał w zakończeniu rozdział, gdzie między Poczehajem i Masłowcem dochodzi do zasadniczej rozmowy, w której przychodzą wreszcie do głosu nie tylko zmysły, ale i rozum bohaterów, gdzie objawia się ich zdolność do refleksji i wnioskowania — ale rozdział ten jest wyraźnym „łataniem" popełnionych uprzednio błędów.

Nie znaczy to bynajmniej, aby podniesiony przez nas zarzut godził w wartość powieści. Zielińskiemu wiele dano, stąd też wolno krytykom i czytelnikom wiele wymagać. Zdolny nowelista okazał się rasowym powieściopisarzem, a choć nadal brak mu politycznego spojrzenia, pokazał żywych, prawdziwych ludzi. Akcja następnego tomu powieści — jak wskazuje tytuł Andrzej Kieszek — będzie się toczyła na innym terenie i w innym środowisku — ukaże zapewne budowę naszego kraju i zdemaskowanie „roboty" Szulawki.

Ludwik Grzeniewski

ANTONIO GRAMSCI: *Listy z więzienia*, Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 331.

Listy z więzienia Gramsciego zdobyły w roku 1947 nagrodę Viareggio. We Włoszech jest to najwyższe odznaczenie, jakie pisarz może otrzymać.

Przez dziesięć lat pobytu w więzieniu Gramsci pisywał listy do swych najbliższych, wiedząc, że poza adresatami będzie je czytał cenzor; nie przypuszczał, że staną się one własnością setek tysięcy czytelników we Włoszech i na całym świecie. Przez myśl mu nie przeszło, że listy zostaną zebrane, wydane i nagrodzone jako znakomite dzieło, dzieło, które stało się bodaj najważniejszym wydarzeniem literackim Włoch powojennych.

Listy te, od pierwszego do ostatniego, czyta się jak znakomitą opowieść autobiograficzną, tym bardziej pasjonującą, że nie zamierzoną. Rośnie, rozwija się ta opowieść, uczestniczymy jak w dramacie w przeżyciach i przemianach całej galerii postaci żywych dla nas podwójnie: jako osoby, o których wiemy, że to żona, matka, syn Gramsciego, a więc osoby rzeczywiste, oraz jako postaci odtworzone siłą talentu pisarskiego. Zarysowuje się przed nami kryształowo czysty autoportret autora, nieugiętego rewolucjonisty, „pierwszego prawdziwego integralnego, konsekwentnego marksisty" — jak Gramsciego nazwał Togliatti. Przeżywamy jeden z najbardziej wstrząsających dramatów walki więźnia faszyzmu, zdającego sobie sprawę, jaki los został mu zgotowany przez katów Mussoliniego, więźnia nie żywiącego żadnych iluzji co do faszystowskiej machiny zagłady. Pozbawiony możliwości walki, Gramsci, człowiek czynu, zrodzony do kierowania walką masową, musi ograniczyć się do wysiłku obrony swej myśli, którą zabić chciał wyrok Trybunału Specjalnego. Prokurator oświadczył na rozprawie, że należy „przeszkodzić funkcjonowaniu tego mózgu przez dwadzieścia lat", przyznając mimo woli, że wyrok ten dyktuje mu strach przed ideą, której ucieleśnieniem przed sądem faszystowskim był Gramsci. Gramsci nie odsiedział całej kary; umarł 27 kwietnia 1937 roku, złamany fizycznie, w dziesięć lat po aresztowaniu. Ale mózg jego funkcjonował z precyzją i jasnością do ostatniego tchnienia, umożliwiając zachowanie niezłomności myśli i woli temu nieugiętemu bojownikowi, który wyrwany z szeregów walczących towarzyszy toczył bój dalej.

Była to postawa świadoma od początku do końca. W jednym z pierwszych listów czytamy: „Dla mnie jest ono (więzienie — przyp. J. S.) epizodem wal-

ki politycznej, która toczyła się, i w dalszym ciągu toczyć się będzie nie tylko we Włoszech ale w całym świecie, nie wiadomo jak długo jeszcze. Zostałem wzięty, tak jak w czasie wojny można dostać się do niewoli, wiedząc, że to przydarzyć się mogło, i że przydarzyć się mogło coś jeszcze gorszego." A w drugim liście (do żony), jednym z ostatnich, czytamy: „Czy przypominasz sobie, jak mówiłem, „że idę na wojnę"? Nie było to może z mojej strony bardzo poważne, ale to była prawda, tak rzeczywiście odczuwałem". Między obu listami upłynęło prawie dziesięć lat.

Nie zmieniły go ani osłabiły lata cierpień moralnych i fizycznych.

„Jestem i będę silny" pisał do żony z więzienia rzymskiego nazajutrz po aresztowaniu. Znał swą siłę i był jej pewien. Do ostatniej chwili był żołnierzem rewolucji bez strachu i skazy. Obronił swą czystość człowieka i humanisty. Jest sam, ale z idei czerpie swą siłę. U kresu wyczerpania potrafił odrzucić pokusę prośby o ułaskawienie. „To, co mi proponują, jest równoznaczne z samobójstwem. Nie mam wcale zamiaru popełniać samobójstwa."

Ze względu na cenzurę Gramsci nauczył się „więziennego sposobu pisania", jak sam to określił. Musiał wyeliminować z listów to, co było dlań najdroższe, walkę partii z faszyzmem. O tym nie mogło być ani słowa. Pod tym względem jeniec wojenny jest szczęśliwszy. Dochodzą go wieści o klęskach lub zwycięstwach na froncie. Wokół więzienia w Turi wzniesiony został głuchy mur, nie przepuszczający żadnych wieści o działalności towarzyszy w podziemiu. A więc w walce o „funkcjonowanie mózgu" cały wysiłek musiał skupiać się na tym, żeby pisać o sprawach, które cenzorowi będą się wydawały „apolityczne", niegroźne dla systemu faszystowskiej przemocy. Ale dla marksisty nie ma takiej tematyki. To- też wszystko, co Gramsci pisze do żony, matki, przyjaciółki Tatiany, do swych dwóch synów, owiane jest tchnieniem wielkiego reformatora społecznego, wychowawcy, myśliciela, humanisty ogarniającego szerokie horyzonty wiedzy ludzkiej, człowieka, któremu nic co ludzkie nie jest obce. I mimo że uwagi mają z konieczności charakter fragmentaryczny, marginesowy i apokryficzny (marksizm nazywa się w Listach filozofią „praktyczną") dają one dostateczne pojęcie o sądach Gramsciego dotyczących wielu zagadnień, dają one plastyczny wizerunek marksisty i dialektyka.

Nie ma wprost dziedziny, której by nie tknęło pióra więźnia z Turi. Poza Listami zostawił on duży dorobek marksistowskich dociekań wypełniających 32 zeszyty, rozstrząsających tematy historyczne, kulturalne, filozoficzne, krytyki literackie. Jest to materiał na sześć dużych tomów, z których pięć już zostało wydanych. W Listach znajdujemy echa tej pracy, pracy w warunkach najtrudniejszych, bez źródeł i książek. Gramsci pokonywał te braki dzięki swej ogromnej, wszechstronnej wiedzy i erudycji.

W jednym z pierwszych listów, jeszcze z więzienia mediolańskiego, mając przed sobą perspektywę długich lat odosobnienia, kiedy z braku przestrzeni czas staje się dla więźnia wymiarem najbardziej realnym, domagającym się wypełnienia, Gramsci układa plany pracy naukowej, podniecony myślą, „że należałoby dokonać czegoś *fuer ewig* wedle złożonej koncepcji Goethego". Wyrażenie *fuer ewig* powraca jak refren przy każdym projekcie. A więc planuje studium na temat „kształtowania się opinii publicznej we Włoszech ubiegłego stulecia" — idzie o krytykę intelektualistów włoskich przede wszystkim filozofii Crocego. Pierwszy tom zeszytów więziennych

wydany w roku 1948 nosi właśnie tytuł: Materializm historyczny a filozofia Benedetto Crocego. Myśli także o pracy z dziedziny językoznawstwa porównawczego; Gramsci studiował filologię i profesor jego widział w nim przyszłą chlubę Włoch na polu językoznawstwa. Miał zamiar również napisać studium o teatrze Pirandella. Gramsci pierwszy, jeszcze przed znanym krytykiem Adriano Tilgherem, pisał o teatrze Pirandella. Wreszcie planował szkic o powieściach sensacyjnych i upodobaniach ludowych w literaturze. Jaka skala zainteresowań!

Fuer ewig znaczyło dla Gramsciego oparcie do jądra prawdy, stawiając zagadnienia w dialektycznym ich rozwoju, umiejscowiając w historycznym łańcuchu walk o postęp.

Dlatego potrafił już wówczas nie mając naszych doświadczeń historycznych docenić słusznie Crocego jako „świeckiego papieża", przyczyniającego się do konsolidacji faszyzmu; faszyzm bowiem wykorzystywał spekulacje myślowe neapolitańskiego filozofa jako „soki żołądkowe" przyśpieszające pochłonięcie intelektualistów włoskich. W liście do Tatiany Gramsci przestrzega przed pozorami postępowości Crocego i rzekomych przeciwieństw istniejących między nim a reżymem faszystowskim.

„Kiedy do kotła — pisze Gramsci — wrzuca się różne ciała, z których pragnie się uzyskać stop, wrzenie na powierzchni wskazuje właśnie, że stop dokonuje się — a nie przeciwnie. Zresztą w takich sprawach ludzkich zgoda występuje zawsze jako *concordia discors*, jako walka i potykanie się, a nie jako teatralne padanie sobie w objęcia. Niemniej jednak jest zgoda i to najbardziej intymna i faktyczna."

Dlatego potrafi on spojrzeć obiektywnym okiem na wiele przejawów zakrzepłych w ciągu wieków w dogmaty ukazać ich treść prawdziwą; wydając na przykład sąd o Machiavellim, nazywa go pierwszy jakobinem włoskim. Dantego analizuje najtrafniej odrzuciwszy uprzednio balast profesorskiej krytyki. Dla Gramsciego marksizm i dialektyka są kluczem do rozwiązywania problemów z wszystkich dziedzin życia. A jak np. wygląda dialektyczna apercepcja dzieła sztuki? Gramsci oddziela wartości estetyczne od ideologicznych. Za przykład bierze Wojnę i pokój Tołstoja. Stwierdza on, że może oddzielić „entuzjastyczny stan ducha wobec dzieła sztuki jako takiego od entuzjazmu moralnego czyli od współudziału w ideologicznym świecie artysty, rozróżnienie, które wydaje mi się krytycznie słuszne i konieczne. Mogę podziwiać artyzm Wojny i pokoju, a pozostać obcym ideologicznie istocie książki; gdyby obie te rzeczy łączyły się ze sobą, Tołstoj byłby moim *vademecum, le livre de chevet*. To samo powiedzieć można o Szekspirze, Goethem, a także o Dantem". (Cytat ten wydaje mi się, nabiera szczególnego znaczenia w Polsce, dziś, gdy rozwinęła się dyskusja na temat sztuki w związku z dyskusją o bazie i nadbudowie.)

Fuer ewig — to postawa Gramsciego nie tylko w obliczu wielkich problemów filozoficznych, kulturalnych i społecznych. To jest postawa wobec całokształtu życia w jego różnorodności przejawów wielkich i „małych". Gramsci jest humanistą, któremu nic co ludzkie nie jest obce. Obejmuje on miłością rewolucjonisty wszystko, co służy człowiekowi, co zostało stworzone dla jego radości i szczęścia. Stąd tyle ciepła w jego listach. Sam cierpiący stara się nieść otuchę innym. Stara się budzić uśmiech swoimi wspomnieniami z dzieciństwa, przepojonymi optymizmem i humorem, wkładając w każde opowiadanie sens głęboki. Jest w nich mądrość życiowa, głębia i optymizm ludowy pomagający przetrwać, walczyć i zwycię-

żyć. Jest to właśnie postawa *fuer evig.* Z każdej opowieści - wspomnienia Gramsciego, czy to będzie opowiadanie o jeżach kradnących w świetle księżyca jabłka, czy opowiadanie o człowieku leżącym w rowie, z którego nie może się dźwignąć, wynika — dyskretnie jak z bajki ludowej — nauka. Gramsci nie przestaje być wychowawcą, społecznym reformatorem. A przy tym jest w tych powiastkach intymny, nieprzeparty czar autentyzmu i świeżości.

Gramsci nigdy się nie skarży. To on z więzienia czuwa jakby nad zdrowiem i szczęściem swoich bliskich. Napomina, daje wskazówki, podnosi na duchu. Szczególnym urokiem owiane są jego listy do obu synów przybywających z matką w ZSRR. Uczestniczy w ich świecie zabaw, trosk i nauki. Każe sobie szczegółowo pisać, czego się uczą w szkołach, co czytają i nie daje się zbywać ogólnikami. Domaga się konkretnych odpowiedzi, radzi im w wyborze lektury, chce ich wychować na synów godnych Gramsciego - rewolucjonisty, którego portret Julik i Delio widzieli w Moskwie w Parku Kultury i Wypoczynku im. Gorkiego. Komponuje dla nich bajki, a zarazem wpaja w nich poczucie konkretnej rzeczywistości i z lekka podrwiwa ze swego starszego syna Delia, skłonnego do bezpłodnego i jałowego fantazjowania na temat, co by było, gdyby... słonie chodziły na dwóch nogach.

Pogoda w jego listach trwa, mimo że mięśnie są już tak zwiotczałe, iż nie potrafi pióra utrzymać w palcach. Na kilka dni przed śmiercią pisze do Delia, że.. czuje się nieco zmęczony: „Jestem i będę silny" — odnosiło się tylko do duchowej strony więźnia faszyzmu. Pod względem fizycznym jest ruiną. Od dziesięciu lat cierpiał na bezsenność. Były miesiące, kiedy w ciągu doby sypiał najwyżej godzinę, a były noce, które przeleżał z otwartymi oczyma. Wypadły mu zęby, niszczyły go rozmaite choroby. Tracił przytomność z osłabienia.

Podczas jazdy pociągiem z więzienia do kliniki w Formii (było już za późno — wiedzieli o tym faszyści), cztery miesiące przed śmiercią ujrzał po latach swoją twarz w lustrze.

„Od dziesięciu lat — pisał o tym do żony — jestem odcięty od świata... Jakież miałem wrażenie, ujrzawszy się w lustrze po tak długim czasie! Powróciłem natychmiast pod opiekę karabinierów."

Powrócił pod opiekę karabinierów. Głębiej swego tragizmu rewolucjonista Gramsci nie mógł wyrazić. Cóż on, ruina fizyczna, mógł zrobić innego? Jest to jedyny wyraz rozpaczy, jaki można znaleźć w jego dziesięcioletniej korespondencji.

Ale zwycięstwo jest jego. Mózg, który miał z wyroku Mussoliniego przestać funkcjonować, stworzył wartości nieśmiertelne. Dziś miliony komunistów włoskich widzą w Gramscim swego duchowego przywódcę, walczą w imię ideałów, które więzień z Turi, aby je ukryć przed faszystowskim cenzorem określał Goethowskim „na zawsze". W imię tych ideałów bezrolni chłopi na głodnym i półfeudalnym południu Włoch stworzyli na zdobytej ziemi latyfundium, osadę, i nazwali ją Gramsci.

Listy z więzienia stały się słusznie zdarzeniem literackim. Dla nas jest to przede wszystkim dokument wielkości idei, która przezwycięża śmierć.

Julian Stryjkowski

PO FESTIWALU POLSKICH SZTUK WSPÓŁCZESNYCH

Na konkurs festiwalu polskich sztuk współczesnych nadesłano 70 utworów. Wszystkie były dokumentem procesu porządkowania w świadomości pisarza i na jego warsztacie autorskim problemów ideologicznych i zagadnień metody realizmu socjalistycznego — i przyniosły obfity materiał doświadczalny. Udowodniły przede wszystkim, że nowy bohater dramatu socjalistycznego, proletariusz, człowiek pracy, jeżeli ma być postacią żywą, oddziaływującą na widza, musi żyć pełnią codziennych zagadnień. Ukazywanie go tylko przy warsztacie produkcyjnym w wielu utworach zubożyło prawdę psychologiczną postaci, odzierając ją z konkretnego życia osobistego, rodzinnego, społecznego, które kształtuje nową moralność i postawę ideową.

Tylko niektóre postaci główne czy epizodyczne sztuk festiwalowych (dla przykładu: Matusiak w A w a n s i e Żółkiewskiej, Czaplicki w T y s i ą c u w a l e c z n y c h Rojewskiego, Malley w Z w y k ł e j s p r a w i e Tarna, Matuszczak w S t o c z n i Rybarskiego, Antonina Pietrzak i Zajączkowscy w Z w y c i ę s t w i e Warmińskiego), przy wszystkich swoich brakach zbliżały się do właściwej pełni wyrazu. W tej dziedzinie warsztatu dramaturgicznego nauka płynąca z realizacji scenicznych była olbrzymia.

Osiągnięcia festiwalu tkwią przede wszystkim w jego p e r s p e k t y w a c h. W tym, że nie był odświętnym pokazem, ale meldunkiem z etapu, który trwa nadal. Nie wszystkie sztuki z konkursu, zakwalifikowane przez jury i Kolegium Programowe Generalnej Dyrekcji TOF (a był ich odsetek niespotykanie duży, bo wynoszący 40% nadesłanych), zdołano wprowadzić już do repertuaru. Albo autorzy nie pospieszyli się z poprawkami, albo teatry nie zdążyły w terminie. Auderska, Korcelli, Żuławski czekają na swe prapremiery; Świrszczyńska czy Łomnicki na stołeczne spektakle; kilku z Iwaszkiewiczem na czele na dalsze zapowiedziane realizacje w innych teatrach; druga sztuka Lutowskiego zdążyła zaledwie na ostatni dzień festiwalu; Tarn, Pasternak, Gruszczyński i inni kończą już nowe utwory, które wejdą do repertuaru jesienią i zimą. A więc autorzy, których festiwal niejednokrotnie dopiero odkrył jako dramaturgów, piszą nadal. Doświadczenia będą narastały i będą wykorzystywane.

Dlatego konieczne jest gruntowne przedyskutowanie festiwalowego bilansu w sekcjach ZLP, w prasie literackiej i na festiwalowej naradzie teatralnej. W kronice niniejszej pragnę zamieścić na gorąco jedynie kilka spostrzeżeń z przeglądu całości festiwalu.

Jak już wynika z dotychczasowych uwag, sztuki festiwalowe mogły niepokoić niebezpiecznym zwężeniem tematycznym. Zarówno jeśli idzie o wybór środowisk jak i zagadnień.

Na styczniowym rozszerzonym Plenum Zarządu Głównego ZLP Jerzy Putrament, charakteryzując bogactwo tematyki realizmu socjalistycznego, zwrócił szczególną uwagę na znaczenie sprawy obronności naszego kraju w dzisiejszej epoce walki o pokój. Niestety, ani jedna ze sztuk festiwalowych nie dotyka bezpośrednio tak istotnego zagadnienia. A sierpniowy proces oficerów sanacyjnych, szpiegów i dywersantów, którzy zdołali się przedostać do Wojska Ludowego, jakże zaostrzył aktualność tych spraw i polityczną ko-

niecznośc podjęcia ich przez dramaturgów!

Nie została też w dostatecznym stopniu podjęta tematyka historyczna (poza sztuką Świrszczyńskiej i nową sztuką Lutowskiego), nie rozwinięto we właściwy sposób problematyki młodzieżowej. Poza wspaniale wydobytym przez aktorstwo Wojciecha Brydzińskiego z roli profesora Czaplickiego (T y s i ą c w a l e c z n y c h Rojewskiego) — zagadnieniem postępowej inteligencji pracującej, i ten temat nie jest również dostatecznie pogłębiony.

Zaniedbaniem też, na które już kilkakrotnie zwrócono w dyskusjach uwagę, ale które nie zostało jeszcze naprawione, jest niedocenianie i pomniejszenie roli kobiety. Ten sam błąd popełniała w swych początkach literatura radziecka i wówczas Maksym Gorki tak pouczał (na Zjeździe Pisarzy Radzieckich w r. 1934): „Daje się zauważyć, że dramaturgowie starają się tworzyć jak najmniej ról kobiecych. Trudno wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. A przy tym, chociaż kobieta u nas jest społecznie równouprawniona z mężczyzną i chociaż daje dostateczne dowody szerokiej skali swej zdolności do pracy, jednak równouprawnienie bardzo często i w wielu wypadkach jest jedynie zewnętrzne, jedynie formalne..."

Jest rzeczą konieczną, żeby za przykładem literatury radzieckiej i nasza dramaturgia zrewidowała swój stosunek do „problemu" kobiety. Kilka postaci kobiecych naszej młodej dramaturgii (Kolasowa w A w a n s i e Żółkiewskiej, Anna Danielak w T r z e b a b y ł o i s k r y Pasternaka, a przede wszystkim Antonina Pietrzak w Z w y c i ę s t w i e Warmińskiego) to pierwsze udane próby.

Wytyczne nagród państwowych (N i e m c y Kruczkowskiego, Z w y k ł a s p r a w a Tarna i Z w y c i ę s t w o Warmińskiego) i wyniki dyskusji w ZLP — przeobrażają i rozszerzają już tematykę na warsztatach autorskich, jak o tym świadczą nowe prace złożone w Generalnej Dyrekcji TOF oraz głosy z pracowni autorskich. Obok sztuk rejestrujących i deklaratywnych przechodzi dramaturgia do pozycji walczących poprzez jakościowe wzbogacenie człowieka, człowieka rosnącego, rozwiązującego konflikty świadomością i działaniem.

Te perspektywy rozwojowe naszej dramaturgii łączą się z coraz głębszym rozumieniem zagadnienia partyjności literatury. Zagadnienie to, ideologicznie należycie przyswojone przez zdecydowaną większość autorów, przecież sprawiło im szczególną trudność, gdy przyszło je rozwiązywać praktycznie w dziele scenicznym, w konkretnym działaniu, na konkretnych ludziach.

Tematyka produkcyjna — umiejscowiająca akcję sztuki w zakładach pracy czy na wsiach walczących z kułakami przy tworzeniu spółdzielni produkcyjnych — narzucała konieczność wprowadzenia jako jednej z głównych *dramatis personae* kolektywu partyjnego. I tu nasi autorzy napotykali trudności rzemiosła dramaturgicznego nie doświadczonego jeszcze w tej zupełnie nowej dziedzinie, nie umiejącego jeszcze dostatecznie inwidualizować ludzi w zespole, ani uruchamiać zdyscyplinowanej zbiorowości. Rola kierownicza partii ograniczała się skutkiem tego często do deklaracji i działań mechanicznych w stylu *deus ex machina*. Bodaj najlepiej z udramatyzowaniem roli egzekutywy partyjnej poradził sobie Żółkiewska w A w a n s i e.

Interesujące doświadczenia dały przeróbki Warmińskiego, który ze Z w y c i ę s t w a, znanego czytelnikom T w ó r c z o ś c i w pierwszej wersji, w czasie łódzkich przedstawień usunął zupełnie Zankowicza, delegata KW, jako postać zbędną, bo martwą

w sztuce. Przed premierą, w trakcie ostatnich prób, dokonał jeszcze innych przeróbek. Pozbawił Świszcza roli sekretarza gromadzkiej organizacji partyjnej i rolę tę przydał Antoninie Pietrzak. Nie wdając się w tej chwili w dyskusję, czy tego rodzaju decyzja była słuszna merytorycznie oraz jakie nieporozumienia w powiązaniach i kontrakcjach tekstowych musiała wywołać, trzeba stwierdzić, że sam fakt możliwości tego rodzaju skreśleń i przeinaczeń, bez poprawek sięgających w głąb problematyki sztuki, budzić może zrozumiałe zastrzeżenia.

Trudności upartyjnienia sztuki były rozważane w dyskusjach literatów i ludzi teatru. Ich dotychczasowym podsumowaniem jest sformułowanie Włodzimierza Sokorskiego (W i e d z a i Ż y c i e nr 6 — 7 br.):

„Co oznacza termin — partyjność sztuki? Oznacza zrozumienie tej prawdy, że partia jest przodowniczką narodu, że partia jest nosicielką naukowej metody myślenia, która daje człowiekowi naukową broń do ręki, broń, pozwalającą zrozumieć prawdę życia i tę prawdę wcielić w dzieło sztuki".

W festiwalu wzięło udział 38 teatrów, które grały 23 sztuki z konkursu i 6 będących już uprzednio w repertuarze lub nadesłanych po zamknięciu konkursu.

Niektóre teatry wystawiły po kilka sztuk festiwalowych. Tu na pierwsze miejsce wysunął się Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, który zorganizował lokalny festiwal, wystawił sześć sztuk, dając w tym pięć prapremier. Za tę inicjatywę i pasję w pracy został słusznie wyróżniony specjalną nagrodą. Nie przesądza ona jednak oceny rezultatów artystycznych, które nie idą w parze z inicjatywą i wysiłkiem, a są następstwem specyficznego stylu tego teatru.

Sześć sztuk wystawiły także Katowice, ale więcej dbały o statystykę niż o opiekę nad nową twórczością. Znalazło to wyraz w orzeczeniu Głównej Komisji Oceny, która stwierdziła, że „...braki i niedociągnięcia wykonawstwa teatralnego powodowane były w znacznym stopniu — podobnie jak w sferze twórczości autorskiej — trudnościami pracy nad nowym materiałem. Ale zdarzały się również wypadki niewłaściwego, niedostatecznie starannego stosunku teatrów do sztuk, jak w teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach i w Teatrze Powszechnym w Łodzi".

Zdecydowana większość autorów konkursu — to debiutanci w dziedzinie dramaturgii. Spory procent uczestników festiwalu po raz pierwszy sięgnęło po pióro. Rzemiosło, jeżeli nawet było podparte doświadczeniami życia i techniki dramaturgicznej literatury radzieckiej, przecież nie było opanowane należycie, zwłaszcza jeżeli — i słusznie — szukało nawiązań do polskich tradycji realizmu. Liczono na wielką pomoc i doświadczenie teatru również w dziedzinie dramaturgicznej. Praca nad sztukami zmienić się miała — i często tak było — na laboratorium doświadczalne współpracujących z sobą warsztatów: autorskiego i teatralnego.

Uczciwy wyraz dał temu Leon Pasternak, który ogłosił T r z e b a b y ł o i s k r y (jeszcze przed ostatecznymi poprawkami po premierze warszawskiej) wraz z uwagami inscenizacyjnymi reżysera Lidii Zamkow (Czytelnik, 1951). Natomiast Lutowski w książkowym wydaniu P r ó b y s i ł niepotrzebnie przywrócił te błędy kompozycji artystycznej i techniki teatralnej, z których oczyścił mu sztukę przy warszawskim przedstawieniu reżyser Bardini. Główna Komisja Oceny wyróżniła wysokimi nagrodami kie-

rowników literackich: Jerzego Jędrzejewicza za opracowanie sztuki Łomnickiego Kąkol i pszenica w teatrze kieleckim oraz Adama Grzymałę-Siedleckiego za opracowanie sztuki Krzywickiej Dr Anna Leśna w teatrze bydgoskim. Za opracowanie reżyserskie i dramaturgiczne tejże sztuki w Teatrze Żydowskim w Łodzi nagrodzono Idę Kamińską. W ten sposób podkreślono doniosłe znaczenie współpracy z autorem kierownictw literackich i artystycznych przy ustalaniu scenicznego kształtu tekstu sztuki, oraz przeciwstawiono się ostro sobiepańskim poczynaniom w rodzaju wybryku Teatru Powszechnego w Łodzi, który Yacht Paradise Lema i Hussarskiego przerobił bez wiedzy autorów, zmieniając sens i charakter sztuki. Autorów wpuszczono dopiero na próbę generalną.

Na marcowej naradzie dramaturgów w Warszawie pewien niepokój wywołały niektóre sformułowania Leona Schillera, ostrzegającego autorów przed poprawkami i uzupełnieniami technicznymi sztuk na próbach wespół z aktorami „w atmosferze zakłóconej tysiącem spraw ważnych i nieważnych oraz komicznych trosk i kłopotów". Nie negując słuszności tezy podstawowej, że błędem jest improwizacja i niecelowe byłoby pisanie kolektywne sztuk w trakcie prób, przecież wydaje się, że pewien wyraźny zakres współpracy autorów z aktorami — przy obustronnej umiejętności ułożenia i wykorzystywania tej współpracy — przyczyniłby się do udoskonalenia rzemiosła obu stron.

Przedstawienia festiwalowe wchodziły na scenę przez z górą rok. A mimo to niektórzy czołowi nasi reżyserzy nie znaleźli sposobności i czasu na zajęcie się polską sztuką współczesną. Na przykład Schiller, Korzeniewski, Dąbrowski, Wierciński i inni. Teatry terenowe nie znalazły pomocy u wybitnych reżyserów scen przodujących. Nieobecność na festiwalu czołowych reżyserów zubożyła sumę doświadczeń. Jeden tylko Axer wyjechał do Białegostoku, by i tam przygotować Zwykłą sprawę. Ale to był niestety wyjątek.

Zamykając festiwal powiedział v-minister Sokorski: „Dla sztuki współczesnej więcej serca, więcej troski i scenicznego wysiłku niż dla każdej innej pozycji scenicznej!"

Pod tym hasłem podpisują się gorąco — autorzy i krytyka.

Stanisław Witold Balicki

SPOTKANIE 100 NARODÓW

Po powrocie do kraju dziesiątki towarzyszy, kolegów i znajomych zadawało mi pytania. Połowa tych pytań brzmiała: „Jak było na berlińskim zlocie?"

Czy usłyszeliście kiedykolwiek z ust żołnierza odpowiedź na pytanie: „Jak było na froncie?" — Odpowiedź zawarta w kilku zdaniach, a jednocześnie wyczerpującą, taką, która dawałaby wyraz olbrzymiemu splotowi wszystkich spraw zawartych w krótkim słowie „front". Jeśli usłyszeliście taką odpowiedź, żołnierz ten był mędrcem wielkiej miary lub genialnym poetą.

Druga połowa pytań brzmiała: „Jak wypadł Berliński Zlot? — czy lepiej niż budapeszteński?" Na to pytanie należałoby odpowiedzieć: „Zlot Berliński był inny niż poprzedni festiwal. Wtedy, kiedy odbywał się Zlot Budapeszteński nie padał jeszcze na ziemię Korei stalowy deszcz amerykańskich bomb. W rok później dopiero dolarowi magnaci postanowili, że ziemia Kerei będzie „ziemią spaloną", że wiele setek tysięcy dzieci, kobiet i mężczyzn spośród 20 milionów zamieszkujących półwysep na Dalekim Wschodzie będzie zabitych dla dobra dolara, w imię byznesu.

Ich zbrodnie, ich knownia, przez nich rozpętana histeria wojenna, zatruwająca wzrostą radość życia właściwą każdemu człowiekowi, budzą coraz silniejszy gniew i czynny sprzeciw miliarda ludzi zjednoczonych w obozie postępu i pokoju.

W ciągu dwu lat dzielących oba zloty bojowników o pokój wielu młodym ludziom na całym świecie otworzyły się oczy. W tym czasie Raymonde Dien zatrzymała swym ciałem pociąg wiozący broń, a Henri Martin skazany został na wiele lat więzienia, ponieważ nie chciał walczyć przeciw ludowi Vietnamu, w tym czasie policja Scelby zamordowała dziesiątki młodych komunistów włoskich, a w Niemczech zachodnich Adenauer zdelegalizował na rozkaz swych mocodawców organizację FDJ, popierając jednocześnie powstawanie neohitlerowskich organizacji młodzieżowych.

Amerykańscy handlarze broni, producenci stali, gumy i konserw swą bandycką działalnością, polityką nędzy i strachu pomogli niezdecydowanym wybrać drogę właściwą — drogę walki o pokój, pomogli im zrozumieć oczywistą prawdę, że jedynie Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej są ostoją pokoju, że każda ich działalność podjęta w każdej dziedzinie jest wyrazem woli zachowania i utrwalenia pokoju na całym świecie.

Oto przyczyny, dla których Berliński Zlot Młodych Bojowników o Pokój stał się manifestacją tak masową i dynamiczną.

To, że odbywała się ona w Berlinie, w tym punkcie globu, gdzie wznosi się wyimaginowana przez neohitlerowskich ideologów „żelazna kurtyna", to, że uczestniczyła w nim młodzież z ponad 100 krajów na świecie... przydało goryczy jadowi nienawiści, jaki sączyły w eter „wolne" radiostacje i wylewała na papier „wolna prasa".

Byłem na Potsdamer Platz, gdzie zbiegają się granice sektorów Berlina; nie widziałem żadnej kurtyny, widziałem natomiast knechtów ze *Sturmpolizei* z gumowymi pałkami u pasa.

*

Dla delegatów, którzy przybyli na Zlot Berliński i dla młodzieży, którą reprezentują — pojęcia Walka o Pokój

i Związek Radziecki stały się nierozłączne. Jest to przyczyna, dla której z takim szacunkiem i serdecznością witano w Berlinie młodzież Komsomołu i młodzież krajów demokracji ludowych.

Każdorazowe pojawienie się delegacji młodzieży radzieckiej na stadionach i placach Berlina przeistaczało się w burzliwą demonstrację uczuć miłości i braterstwa.

Delegaci polscy nie zapomną wiecu, który odbył się w dzielnicy Köpenick dnia 10 sierpnia. Park Ludowy wypełniała wielotysięczna rzesza gęsto przetykana niebieskimi bluzami FDJ-otowców. Niebieskie morze ludzkie oblewało estradę. Mówił Max Reiman. Mówił z potężną, sugestywną siłą. Sterany walką, pochylony wiekiem człowiek o głowie przypominającej głowę sędziwego orła oskarżał Adenauera o zbrodnie popełnione na młodych Niemcach — członkach FDJ, zastrzelonych w drodze do Berlina, na granicy stref — zabitych na ziemi niemieckiej przez Niemców. Mówił o przyjaźni ludu polskiego i niemieckiego, o granicy na Odrze i Nysie, której obrona znaczy to samo, co obrona pokoju.

Każde zdanie jego przemówienia eksplodowało, każde wyrywało z piersi zgromadzonych ludzi krzyk uderzający o estradę jak poryw burzy. Znieśli z trybuny Maxa Reimana chłopcy z ZMP i FDJ. Ponad tłumem w ulewie kwiatów płynęła jego srebrna głowa.

Obok mnie stojąca dziewczyna, przodownica pracy, koleżanka z ZMP, płakała nie wstydząc się łez.

Wokoło wszystkie twarze rozświetlał wyraz radosnego uniesienia. Na granatowym, ciemniejącym o zachodzie tle nieba, ponad głowami ludzi powiewały setki sztandarów, niebieskich, złotoczerwono-czarnych, czerwonych, biało-czerwonych. Później pamiętam jedynie bezustanny deszcze kwiatów, sypiących się na nasze głowy i setki rąk wyciągniętych, aby uściskiem przekazać to, czego nie można wypowiedzieć słowami, które zdusiło w krtani wzruszenie. Nic nie widziałem więcej, być może przeszkadzał mi gęstniejący mrok, być może opadająca mgła i tuman kurzu nad placem, być może, że nazbyt często pochylałem głowę, by ukryć oczy. Bądź co bądź partyzantowi nie wypada...

*

W ostatnim dniu Zlotu przybyliśmy wieczorem na plac Marksa i Engelsa, aby złożyć przysięgę na wierność sprawie pokoju. Opodal grupy delegatów, do której należałem, przystanęła gromadka młodych czerwonoarmistów. Oczekiwali jak i my na otwarcie wiecu. Mijały ich delegacje z krajów kolonialnych, z krajów Ameryki Łacińskiej, przechodzili Anglicy i Włosi, Vietnamczycy. W świetle reflektorów przewijały się twarze czarne, białe, śniade, żółte, kiedy mijali młodych żołnierzy uśmiechali się przyjaźnie i z ufnością, uśmiechały się oczy skośne, uśmiechały się grube wargi, uśmiechały się oczy żarzące się jak czarne diamenty i oczy koloru wody morskiej, wyciągały się do uścisku dłonie białe, żółte i czarne, podnosiły się w górę pięści czarne, żółte i białe, uderzając w mrok nocy, oddając pozdrowienie.

Wołali słowo: przyjaźń, wołali imię: Stalin, wołali je tak żarliwie, że wystarczyło za wszystko, co pragnęliby powiedzieć żołnierzom - przedstawicielom narodu, którego języka nie znają.

Pomyślałem wtedy, że to jest najpiękniejsze i największe zwycięstwo jakie można odnieść: zdobyć przyjaźń, miłość i szacunek wszystkich prostych, miłujących pokój, sprawiedliwych ludzi. Zwycięstwo, o które tylu komsomolców — naszych starszych braci, biło się na polach wielu bitew, na budowach

pięciolatek, o które walczyli zawsze i walczą teraz na gigantycznych budowlach komunizmu, prowadzeni przez genialnego wodza — Stalina.

*

Nad placem Marksa i Engelsa w Berlinie wzniosły się w górę setki tysięcy rąk młodych ludzi ślubujących swą nieustępliwą wolę walki o pokój. Zagrzmiała salwa pokoju, trysnęły wysoko w czarnym niebie fontanny kolorowych ogni. Wysoko ponad granicami sektorów przepłynął olbrzymi biały gołąb — symbol pokoju.

Za Bramą Brandenburską, za spalonym teraz naprawdę przez komunistów Reichstagiem, ozdobionym żelaznymi szkieletami koni, leżała nieprzenikniona wroga ciemność. Komunista czeski, Fucik, zabity przez hitlerowców, wołał spod szubienicy: „Ludzie, miłuję was, bądźcie czujni".

Przypomniałem sobie te słowa ostatniego wieczoru, kiedy patrzyłem w mrok leżący za Bramą Brandenburską.

Bohdan Czeszko

ZAGADNIENIA LITERATUROZNAWCZE W ZSRR W ŚWIETLE PRACY J. STALINA O JĘZYKOZNAWSTWIE

Zagadnienia teorii techniki, kunsztu pisarskiego — zwłaszcza od czasu ogłoszenia przełomowej pracy J. Stalina Marksizm a zagadnienie językoznawstwa — są stale dyskutowane. Wypowiadają się poeci i prozaicy, dramaturgowie i scenarzyści, krytycy i badacze literatury, filozofowie i estetyci, wreszcie — czytelnicy, świadomi i współodpowiedzialni odbiorcy literatury socjalistycznej.

W n-rze 55 *Litieraturnej Gazety* ukazał się artykuł W. Smirnowej O kilku problemach kunsztu pisarskiego, poświęcony głównie kilku zagadnieniom kompozycji powieściowej. Autorka wychodzi z założenia, że idea przyświecająca autorowi oraz jej tematyczne rozwinięcie przejawiają się przede wszystkim w kompozycji powieści. Fabuła powieści pcha wyobraźnię, myśl i świadomość czytelnika w pewnym, nadanym przez pisarza kierunku. „Plan tego posuwania się, montaż rozdziałów, rozmieszczenie sił, kierunek — oto, co stanowi kompozycję utworu" — pisze Smirnowa. Kompozycję utworu można jednak analizować tylko w układzie pierwiastków powieściowych — współzależnych od siebie i współdziałających ze sobą; są nimi: idea, obraz, kompozycja, słowo. „Bez idei — wywodzi Smirnowa — nie ma kompozycji, poza kompozycją obraz traci sens, słowo pozbawione obrazu — to pusty dźwięk." Na poparcie swojej tezy autorka artykułu przeprowadziła analizę porównawczą dwóch znakomitych powieści, które powstały niemal jednocześnie, oparte są na tym samym materiale (wieś radziecka) i służą tej samej sprawie ideologiczno-wychowawczej (przemiany psychiczno-moralne ludzi radzieckich w procesie budownictwa komunizmu), między Jasnym brzegiem W. Panowej a Żniwami H. Nikołajewej.

Zagadnieniem kompozycji powieściowej zajął się również krytyk B. Riurikow w artykule Uwagi literackie (*Litieraturnaja Gazieta* Nr 59 z 19/V br.). Na przykładzie drugiego tomu Światła nad ziemią S. Babajewskiego autor wykazuje, w jakim stopniu błędy kompozycyjne obniżają artystyczną wartość powieści. W końcu artykułu Riurikow apeluje do pisarzy, by drogą uporczywej pracy i ofiarnego wysiłku zmierzali do stworzenia dobrze skomponowanych, klasycznych utworów literatury realizmu socjalistycznego. Podobna myśl przyświeca czytelnikom zabierającym głos na łamach *Litieraturnej Gaziety* między in-

nymi w sprawach kompozycji powieściowej (materiały te opublikowano np. w N-rze 67 z dn. 7/VI br.). Czytelnicy poruszyli zagadnienie ilości postaci powieściowych, stosunku autora do głównego bohatera i postaci drugoplanowych. „Artystyczna doskonałość utworu — pisze czytelnik P. Jeszukow — nie zależy od ilości postaci... Wytyczenie granicy między postaciami głównymi a drugoplanowymi — to sprawa kunsztu pisarza". W podobnym duchu wypowiada się czytelniczka N. Kononczuk: „Jeżeli idea (utworu — J. S.) jest dojrzała, jeżeli autor nią się przejmuje, jeżeli nią żyje, to właśnie ta idea podpowie mu, jaka ma być ilość postaci, jakie to mają być osoby, jaki ma być wątek, bowiem — jak pisał Bieliński — bieg wydarzeń rozwija się z idei jak roślina z ziarna".

Zagadnienia literaturoznawcze były szeroko i wszechstronnie omawiane na sesji naukowej, zorganizowanej (15—19 V. br.) przez Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR oraz Instytut Literatury Rosyjskiej (tzw. Dom Puszkinowski) z udziałem Związku Pisarzy Radzieckich — na temat Zagadnienia literaturoznawstwa w świetle prac J. W. Stalina o językoznawstwie. W przemówieniu wstępnym akademik W. Winogradow uwydatnił przełomowe znaczenie pracy Stalina dla wszystkich gałęzi nauk społecznych i humanistycznych, a szczególnie dla literatury, tak ściśle związanej z językiem i językoznawstwem. Referent podkreślił dobroczynny i decydujący wpływ, jaki wywiera na literaturoznawstwo oświetlenie tych problemów przez Stalina reflektorem twórczego marksizmu. Parafrazując znane powiedzenie Pawłowa: dla nauki — fakty są powietrzem, teoria — jej skrzydłami, Winogradow powiedział:

„Powietrzem literatury jest język ogólnonarodowy, nierozerwalnie powiązany z życiem i historią narodu. Skrzydłami pisarza — jego światopogląd, zaś wysokość wzlotu zależy od kunsztu artystycznego, od wysokiej formy artystycznej w odtworzeniu „prawdy życia" (*Litieraturnaja Gazieta* Nr 59 z dn. 19/V br.).

Podkreślić należy specyficzne właściwości literatury tkwiące w jej więzi z rozwojem języka narodowego. Z tego uznania swoistości literatury wypływa dla badaczy literatury konieczność pogłębiania studiów nad specyficznymi, wewnętrznymi prawami rozwojowymi literatury w zależności od warunków historycznych i społecznych. W ramach tych studiów nieodzowne jest właściwe zbadanie historycznego znaczenia narodowego dorobku literackiego, dokładne określenie miejsca literatury w systemie kultury narodowej, ustalenie pierwiastka ludowości w literaturze pięknej, odtworzenie dziejów języka literackiego i wzajemnego oddziaływania na siebie języka ogólnonarodowego i literackiego na poszczególnych etapach rozwojowych. Omawiając znaczenie języka narodowego jako formy i jako środka w literaturze pięknej — akademik Winogradow zdefiniował ten związek w ten sposób:

„Literatura piękna wznosi się na fundamencie języka narodowego dzięki jego obrazowo-estetycznej transformacji".

W literaturze pięknej język spełnia nie tylko normalne zadanie porozumiewawcze — tu funkcje języka rozszerzają się i pogłębiają. Na podwalinach języka ogólnonarodowego, przy pomocy środków językowych, powstają formy artystyczne, podstawy słowno-opisowej konstrukcji postaci i charakteru, spo-

soby typizowania i indywidualizowania mowy postaci, skomplikowane metody prowadzenia dialogów, bogata frazeologia, cały arsenał środków artystycznych. Wnosząc do literatury pięknej słowo-budulec, język narodowy — jako forma kultury narodowej — nasyca literaturę piękną cechami charakteru narodowego. W rozwojowej prawidłowości środków plastyki słowno-artystycznej — konkluduje Winogradow — przejawia się narodowa swoistość literatury.

Dużo uwagi sesja poświęciła sprawie spuścizny literackiej, co — jak widzieliśmy — wiąże się z poprzednim zagadnieniem. Polemikę na sesji wywołała wysunięta przez A. Ławrieckiego koncepcja „realizmu rewolucyjno-demokratycznego" (Czernyszewski) wydzielonego z ogólnego pojęcia realizmu krytycznego.

Inną grupę zagadnień literaturoznawczych ujęły referaty: D. Błagoja O narodowej specyfice literatury pięknej oraz A. Iwaszczenki pt. Problem ludowości w literaturze. Opierając się na znanej wypowiedzi J. Stalina w sprawie wkładu każdego narodu do kultury światowej,*) D. Błagoj sprecyzował pojęcie narodowej swoistości i jej odbicia w literaturze. W ustroju klasowym — wywodzi Błagoj — prawdziwym nasicielem narodowej specyfiki w określonym momencie historycznym jest przede wszystkim klasa przodująca, postępowa. Klasa ta reprezentuje w narodzie to, co jest w nim najbardziej wartościowe, co naród ten wnosi do skarbnicy kultury ogólnoludzkiej. W tym znaczeniu twórczość pisarza postępowego wzbogaca literaturę światową, staje się własnością wszystkich narodów w tym większym stopniu, im bardziej dany pisarz jest narodowy w prawdziwym znaczeniu tego słowa, im pełniej, głębiej i artystyczniej daje wyraz specyfice narodowej. Wielcy pisarze światowej sławy byli pisarzami narodowymi. Ważnym zadaniem stojącym przed badaczami literatury — konkluduje Błagoj — jest ustalenie i zanalizowanie w utworach literatury pięknej swoistości narodowej w ścisłym związku z narodowym podłożem, na którym wyrosła, w związku z historycznymi właściwościami bytu narodowego w danym okresie (układ sił społecznych, walka klasowa), w związku z postępowymi tradycjami narodowymi, kulturalnymi i literackimi.

Wywody Iwaszczenki na temat ludowości w literaturze można ująć krótko w sposób następujący: o żywotności literatury decyduje fakt, czy broni ona interesów ludu, szerzy idee postępowe, czerpie z twórczości ludowej. Przy określaniu ludowości pisarza epoki minionej badacz literatury powinien określić nie tylko znaczenie tego pisarza dla jego współczesnych, lecz również powinien ująć te cechy jego twórczości, które czynią ją żywą i dziś, te właściwości, które przekształcają ją w żywą, aktywną siłę społeczno-kulturalną dla pracujących mas ludowych naszej epoki". (Cyt. z artykułu w *Litieraturnej Gaziecie* Nr 63 z dn. 20/V br.). Na przykładzie Balzaka i L. Tołstoja Iwaszczenko udowodnił, że wielcy pisarze realistyczni, którzy zdolni byli do spojrzenia na pewne, najważniejsze z punktu społecznego sprawy oczyma

*) Na obiedzie wydanym na cześć bawiącej w Moskwie w kwietniu 1948 r. delegacji fińskiej J. Stalin powiedział: „Ludzie radzieccy uważają, że każdy naród — obojętne czy duży, czy mały — ma swoje charakterystyczne cechy, swoją specyfikę, która właściwa jest tylko jemu i która nie występuje u innych narodów. Te swoiste właściwości są wkładem, jaki każdy naród wnosi do ogólnej skarbnicy światowej kultury i uzupełnia ją, wzbogaca". (Cyt. z artykułu wstępnego w czasopiśmie „Bolszewik" Nr 9/1948).

ludu — a więc w sposób demaskatorski — wnieśli do literatury pierwiastki ludowości, jakkolwiek bezpośrednio o życiu i sprawach ludu niewiele napisali. Prawdziwa ludowość, patrzenie na rzeczywistość oczami narodu — mogła zapanować w literaturze społeczeństwa, które dzięki zniesieniu klas antagonistycznych postawiło znak równości między pojęciami naród i lud w literaturze radzieckiej.

Zagadnieniu realizmu socjalistycznego poświęcony był na sesji referat W. Jermiłowa Kilka zagadnień teorii realizmu socjalistycznego. Referent przeprowadził paralelę między wulgaryzatorami marksizmu w dziedzinie językoznawstwa a wulgaryzatorami w literaturoznawstwie. Wulgaryzacja ta powoduje przede wszystkim wypaczenie zasad realizmu socjalistycznego. Podstawowe zasady realizmu socjalistycznego, takie jak: prawdziwe odtwarzanie rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju, bolszewicka partyjność, ludowość, aktywna i przekształcająca rola sztuki i literatury, ogólnonarodowy język literacki, kontynuowanie i rozwój najlepszych tradycji literackich na nowej, historycznej podstawie — są jak najściślej wewnętrznie powiązane. Zadaniem badaczy literatury — wywodzi Jermiłow — jest pogłębienie studiów celem zanalizowania nierozerwalnego związku zachodzącego między podstawowymi zasadami realizmu socjalistycznego. Wulgaryzatorzy lat 20-tych i 30-tych, rappowcy i proletkultowcy, zwalczali naczelną z tych zasad: zasadę prawdy życiowej, bądź tępiąc realizm — rzekomo w imię rewolucyjnego romantyzmu, bądź też występując przeciwko rewolucyjnemu romantyzmowi — rzekomo w imię realizmu. To przeciwstawianie realizmu romantyzmowi było podważaniem głoszonej przez Gorkiego metody literatury radzieckiej, odtwarzającej prawdziwie rzeczywistość radziecką z właściwym jej romantyzmem rewolucyjnym. Błędność innej tezy o rzekomym istnieniu w realizmie socjalistycznym dwóch odrębnych pierwiastków, realistycznego i romantycznego — potwierdza samo życie.

„Im bardziej — powiada Jermiłow — zbliżamy się do komunizmu, tym widoczniejszy staje się bohaterski romantyzm naszej rzeczywistości... Nasze marzenie stale prześciga rzeczywistość dlatego, że fantazję naszą uskrzydla nasze życie ziszczające nasze najśmielsze marzenia. Realne i romantyczne w naszym życiu — nie stanowi dwóch „pierwiastków", lecz jedną nierozerwalną całość". (Cyt. z artykułu będącego rozwinięciem omawianego referatu Jermiłowa — *Litieraturnaja Gazieta* Nr 68 i 69 1951). Jermiłow słusznie uważa, że

„romantyka w estetyce realizmu socjalistycznego, marzenie o jeszcze piękniejszej przyszłości, walka o tę przyszłość — stanowią nieodłączny składnik ideału estetycznego".

Od zasady pełnego odbicia w literaturze radzieckiej bohaterskiej rzeczywistości — w jej rewolucyjnym rozwoju na drodze do komunizmu — nie można wyodrębniać zasady bolszewickiej partyjności, podobnie jak — z kolei — zasady partyjności literatury nie należy traktować w oderwaniu od ludowości, od marksistowsko-leninowskiego stosunku do tradycji narodowych. Wulgaryzacja zasad realizmu socjalistycznego w rodzaju tej, jaką zaprezentował w roku ubiegłym A. Bialik*) prowadzi do osłabienia aktywnej, przekształcającej życie roli literatury. Ten aktywny,

*) Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w Nr 7/1950 Twórczości dział: Na widnokręgu — Zagadnienie radzieckiej krytyki literackiej.

przekształcający wpływ literatury należy do podstawowych tradycji realizmu socjalistycznego: wyrazem jego jest odtwarzanie aktywnego, bojowego charakteru bohatera naszej epoki.

Ostatnim referatem wygłoszonym na omawianej sesji była praca B. Tomaszewskiego Język pisarza poświęcona szczegółowej analizie języka literackiego i zagadnieniom stylu literackiego.

Mówiąc o stylistyce Tomaszewski postawił przed badaczami literatury zagadnienie analizy stylistycznej, która w równym stopniu musi interesować badaczy literatury jak i językoznawców. Ponieważ stylistyczna budowa języka utworu literackiego stanowi bardzo istotny i ważny środek konstrukcji obrazów i postaci literackich, do dziedziny stylistyki zaliczamy te pierwiastki mowy, które rozszerzając dosłowną, przedmioto-logiczną treść wypowiedzi, okresu, zdania — nadają im swoistą cechę wymowną, czynią ten język „obrazowym", pełnym nowych skojarzeń i wyobrażeń, zabarwiają go emocjonalnie. Tu należy wymienić cały arsenał środków i możliwości synonimicznych (tak swoiście właściwych każdemu językowi narodowemu), nieskończoną ilość przenośni, porównań, figur i tropów, niesłychane bogactwo i różnorodność w dziedzinie syntaktycznej, frazeologicznej itd.

„Konieczna jest — konkluduje Tomaszewski — stała współpraca lingwistów z badaczami literatury, ażeby likwidować lekceważący stosunek do zagadnień stylistyki, popularyzować jej studiowanie, wprowadzać do naukowego użytku filologów". (Cyt. z artykułu Tomaszewskiego Język a literatura, *Oktiabr* Nr 7/1951).

Naszkicowane wyżej wielkie twórcze zadania, stojące przed radzieckimi badaczami literatury, omawiane są nadal na konferencjach naukowych, w prasie fachowej i literackiej. Ta swobodna i nie skrępowana dyskusja wniosła już bardzo wiele; niewątpliwie też przyczyni się do dalszego rozwoju i rozkwitu literatury realizmu socjalistycznego.

Józef Spinc

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Filozofia „bezinteresownych" zysków

„Nie dążymy do żadnej ekspansji terytorialnej, ani samolubnych korzyści... Nie planujemy agresji przeciw żadnemu państwu, wielkiemu czy małemu. Nie mamy żadnego celu, który byłby sprzeczny z pokojowymi celami jakiegokolwiek narodu. Sądzimy, że wszystkie ludy dojrzałe do rządzenia sobą powinny mieć możność obrania własnej formy rządów bez wtrącania się żadnego obcego czynnika. Jest to słuszne zarówno w Europie jak i Azji i Afryce oraz na Półkuli Zachodniej... Działając wspólnie z naszymi sojusznikami czasu wojny... będziemy starali się zorganizować taki świat, w którym nazizm, faszyzm i agresja wojskowa nie mogą istnieć... Sądzimy, że wszystkie państwa przyjęte do społeczności narodów powinny mieć dostęp do handlu światowego i surowców świata. Sądzimy, że pełna współpraca gospodarcza wszystkich narodów, wielkich i małych, jest istotna dla poprawy warunków bytowania i ustanowienia wolności od strachu i wolności od niedostatku w całym świecie..."

Tak mówił Truman w New Yorku 10 października 1945. Dwa miesiące od zakończenia konferencji poczdamskiej, pięć miesięcy od zakończenia wojny, a pół roku od śmierci Roosevelta.

Ale dokładnie dwa tygodnie później, w tym samym mieście na nieco bardziej zamkniętym zebraniu Truman nazwał ideę przewodnią społeczeństwa

amerykańskiego „naszą filozofią zysku" — *our profit-making philosophy*. I dlatego — wbrew swemu wzniosłemu *credo* — Stany Zjednoczone zagarnęły obszerne terytoria na Pacyfiku i liczne bazy wojskowe we wszystkich częściach świata. Z każdego swego kroku w polityce międzynarodowej ciągną lub starają się ciągnąć jak największe korzyści materialne. Prowadzą krwawą wojnę najeźdźczą na Korei, nie licząc pośrednich i sporadycznych aktów agresji, których dopuściły się i dopuszczają wobec większości wielkich i małych państw świata. Cele ich polityki są sprzeczne z celami pokojowymi wszystkich narodów, nie wyłączając narodu amerykańskiego. Podtrzymują chwiejącą się władzę faszystowskiego kacyka i prokonsula kapitalizmu w Jugosławii oraz hitlerowskiego samowładcy Hiszpanii. Wspierają reakcyjne rządy Francji i Włoch, ludowi Niemiec zachodnich narzucają władzę monopoli finansowych i esmanów, narzucili faszyzm ludowi Grecji, starają się umocnić jarzmo kolonialne uciskające ludy Bliskiego i Dalekiego Wschodu, ludy Indonezji, ludy Afryki, a państwa Ameryki Południowej i Środkowej przekształciły na falanstery pracujące dla bankierów Wall Street. A wszystko to w imię filozofii zysku, która stanowi filozofię życiową oligarchii finansowej USA.

„Amerykanie przybyli do Niemiec nie po to, aby gładzić po głowie morderców dzieci lub odkarmiać łajdaków z SS. Amerykanie przybyli tu w tym celu, aby wymierzyć sprawiedliwość gangsterom i zbrodniarzom" — głosił w swoim czasie artykuł wstępny organu armii Stanów Zjednoczonych, *Stars and Stripes*. Dziś amerykańskie władze okupacyjne z p. McCloy na czele uprawiają politykę „ułaskawień", która nawet wśród najgorliwszych ich zwolenników europejskich wywołuje obrzydzenie i gwałtowne sprzeciwy. Związany ze stronnictwem rządzącym W. Brytanią, labourzystowski tygodnik *New Statesman and Nation* omawiając program polityczny McCloya pisał 7.IV.1951: „Innymi słowy — zaprzeć się wszystkich swych zasad, plunąć sobie samemu w twarz, a można liczyć na współudział gen. von Falkenhausena. Dobitnie ilustruje to ślepy zaułek, w jaki polityka zachodnia w Niemczech zagnała świat Zachodu. Angielscy i amerykańscy politycy nawołują ostatnio Niemców do dokonania wyboru pomiędzy Wschodem a Zachodem. Dobrze by było, aby McCloy i inni przywódcy amerykańscy dokonali wyboru pomiędzy reakcją niemiecką a resztą Europy... Albowiem z całą pewnością, w miarę zdobywania sobie partnerów spośród pogardy godnych dawniejszych wrogów — utracą swych obecnych sprzymierzeńców".

Podany przykład świadczy o tym, iż ostro krytyczną postawę przybierają nawet najżarliwsi entuzjaści amerykańskiej „demokracji".

Co mówi encyklopedia?

„Kapitalizm oznacza rządy kapitalistów czyli właścicieli kapitału. Są oni potęgą rządzącą w obecnym ustroju przemysłowym i przejęli miejsce zajmowane dawniej przez arystokrację ziemiańską jako czynnik osiowy w układzie społecznym i politycznym". Tyle powiada *British Universities Encyclopaedia* (edycja z r. 1936), czyli wydawnictwo wcale nie lewicowe i zdecydowanie z tak przez siebie zdefiniowanym kapitalizmem sympatyzujące. Otóż, pomijając całą prymitywność tej definicji, przyznać trzeba, że jest to nader trafny, choć szkicowy autoportret stosunków brytyjskich, a już zwłaszcza amerykańskich. Głębokie przeświadczenie, że tak właśnie jest

tak być powinno, całkowicie odpowiada trumanowskiej „filozofii zysku". Nie jest to zresztą filozofia nowa. Już nazajutrz po zwycięstwie rewolucji amerykańskiej, bo w roku 1785, ze szczytów hierarchii rządowej padły znamienne słowa — „krajem powinni rządzić jego właściciele..." Właściciele, w wąskim, kapitalistycznym, formalnoprawnym sensie prywatnego tytułu własności.

Tuż po ostatniej wojnie z górą dwie trzecie produkcji Stanów Zjednoczonych należało do jednej setnej ogółu przedsiębiorstw. USA liczyły wówczas 43 „firmy" dysponujące kapitałem ponad 1 miliard dolarów i 14 „firm" — dysponujących kapitałem przekraczającym 2 miliardy. A trzeba pamiętać, że olbrzymy te powiązane są między sobą bardzo ścisłymi węzłami. W okresie powojennym zagęszczenie kapitału wzrosło jeszcze bardziej. Jeden z badaczy stosunków amerykańskich, John Seldes, do władców USA zalicza 1000 osób, zaś Ferdynand Landbergh — 60 rodzin. Prawdziwi właściciele „wielkiej demokracji"!

Stany Zjednoczone pragną za wszelką cenę eksportować kapitał, dusząc się z jego nadmiaru, a jednocześnie dławią istniejący przemysł swoich wasali i przeciwstawiają się powstawaniu nowych jego gałęzi. Toteż eksportując tandetę i kapitał, USA eksportują zarazem bezrobocie i śmierć gospodarczą. Zabieg zwany pomocą marshallowską sprowadza się do przepompowywania resztek żywej krwi wykrwawionej Europy do nienasyconego cielska atlantyckiego wampira.

Ani taka transfuzja, ani drenowanie własnego rynku nie stanowi ratunku, nie wskazuje wyjścia z zaczarowanego koła sprzeczności. Wielkie koncerny szukają więc środków uzdrawiających w zbrojeniach i myślą o *panaceum* mającym przywrócić rumieńce zdrowia gnijącemu kapitalizmowi — myślą o wojnie. Buta i agresywność współczesnej polityki USA wcale nie jest przejawem siły. Przeciwnie, są to dowody głębokich pęknięć w masywnej strukturze tego gmachu, dowody wielkiej, nieuleczalnej słabości.

Paradoks pozornych niekonsekwencji

Ostatnia wojna światowa przyniosła kapitalistom amerykańskim astronomiczne zyski. Nie po raz pierwszy bogacą się w ten sposób. Nic dziwnego, że byznesmeni identyfikują dziś wojnę z dobrą koniunkturą. Wojna rewolucyjna była dla ludu amerykańskiego walką o wyzwolenie z jarzma kolonialnego; natomiast dla plantatorów i kupców „Trzynastu Kolonii" — rozgrywką handlową z potężną metropolią brytyjską o swobodny dostęp do rynków zbytu dla towarów amerykańskich. O zniesienie niewolnictwa walczyli Murzyni, robotnicy biali, w których budząca się solidarność klasowa zaczynała już brać górę nad przesądami rasowymi. Ale zachłannym Yankesom, fabrykantom i przedsiębiorcom, przedstawicielom burżuazji stanów północnych chodziło o wyzbycie się konkurentów operujących robocizną niewolną, a przede wszystkim o zwalenie przestarzałej struktury feudalnej, hamującej rozwój współistniejącego z nią, szybko narastającego, prężnego i drapieżnego kapitalizmu przemysłowego. Ekonomiczna treść obu „wojen rewolucyjnych" jest aż nazbyt wyraźna i ona właśnie zadecydowała o dalszym kierunku rozwojowym Stanów Zjednoczonych. Ekspansja i zachłanność kapitalistyczna była źródłem i przyczyną wytępienia Indian, stanowiła prawdziwy sens zakupu Luizjany i Alaski, tworzyła istotę i właściwą treść deklaracji Monroe, wojny z Meksykiem w połowie ubiegłego wieku,

wojny z Hiszpanią pod koniec zeszłego stulecia i wszystkich w ogóle wojen prowadzonych przez ojczyznę Jeffersona i Roosevelta — zawsze w imię najszczytniejszych haseł wolności i demokracji.

Powiązanie tych haseł z penetracją gospodarczą i zaborczością terytorialną, fałszywe utożsamianie wojny z dynamizmem, postępem i dobrobytem, pokoju zaś z marazmem, zastojem i bezrobociem, wytworzyło dotąd jeszcze trwający zamęt w pojęciach opinii publicznej, w zapatrywaniach szerokiego ogółu. Większość Amerykanów pamięta jeszcze tragiczny kryzys powstały za czasów rządów Hoovera, niewypłacalność banków, krach giełdowy, niezliczone bankructwa i bezrobocie. Roosevelt dzięki bardzo zresztą umiarkowanym reformom demokratycznym zapoczątkował okres poprawy o pozorach rozkwitu i dobrobytu, przeprowadził zręcznie swój kraj przez wiry zalewającego cały świat faszyzmu i zawarł szereg układów gwarantujących możność ustanowienia trwałego pokoju. Mimo to wkrótce po jego śmierci wybory dały walne zwycięstwo stronnictwu zwalczającemu go na każdym kroku, a w jego własnym obozie uzyskali zdecydowaną przewagę przedstawiciele trzymanej przezeń na wodzy skrajnej reakcji.

Żniwa w roku 1946, pierwszym roku po wojnie, były najlepsze w całej historii USA. A właśnie po tych żniwach dał się tam odczuć ostry brak szeregu artykułów żywnościowych. Dochód społeczny w tym roku pokoju i urodzaju sięgnął zawrotnej sumy 200 miliardów dolarów. Mimo to ponad 50 proc. ludności miało dochód niższy niż minimum kosztów utrzymania.

Dwukrotnie w ciągu pokolenia Ameryka skwapliwie, zdawało by się, podjęła myśl utworzenia organizacji pokojowego współżycia ludów i dwakroć pierwsza zaczęła burzyć ledwo wznoszony gmach. Wiemy, dlaczego tak się stało. Ani Liga Narodów, ani nawet ONZ nie dawały pełnej gwarancji hegemonii amerykańskiej.

„Uważamy to za prawdy oczywiste, że wszyscy ludzie są stworzeni jako równi, że obdarzeni zostali przez swego Stwórcę szeregiem niepozbywalnych Praw, a wśród nich — prawem do Życia, do Wolności i Szczęśliwości. Że dla zabezpieczenia tych praw Ludzie ustanawiają Rządy, których władza pochodzi z pospólnej zgody rządzonych. Że ilekroć jakiś Rząd spełnieniu tych celów staje na zawadzie — prawem jest Ludu taki Rząd zmienić lub usunąć..." Są to słowa uchwalonej 4 lipca 1776 Deklaracji Niepodległości — prawnego punktu wyjścia istnienia Stanów Zjednoczonych. Ale dzisiaj rząd państwa zrodzonego z rewolucji, państwa, którego prawo fundamentalne stawia na miejscu naczelnym prawo ludu do rewolucji, rząd tego państwa wydaje miliardy na utrzymanie i działalność otwarcie faszystowskiej policji — FBI — zamykającej w więzieniu każdego, kto choćby słowem napomknie o zasadzie równości, kto domaga się poszanowania praw ludu amerykańskiego do życia, wolności i szczęścia, których nie ma bez zapewnienia trwałego pokoju.

Nie ma chyba kraju, gdzie tak bardzo nadużywanoby słowa, i nie ma zarazem kraju, gdzie konieczność głoszenia wzniosłych haseł, konieczność udzielania zapewnień słownych, byłaby tak zupełna, miałaby taką doniosłość polityczną. Albowiem ani Truman, ani ci, których jest kreaturą — byznesmeni i gangsterzy, „robiący" w polityce — nie mają cienia złudzeń (mimo odmiennych a cynicznych wyznań), że prędzej czy później za rzucane przed siebie przyrzeczenia, za wy-

powiadane przez siebie słowa — będą musieli odpowiadać.

Na zamkniętych zebraniach *caucusów**) partyjnych układane są hasła wyborcze przy akompaniamencie głośnych śmiechów — śmiechu z łatwowiernych, którzy dadzą się wziąć na ch lep. Łatwowiernych jest mnóstwo, atwowierni stanowią olbrzymią większość wyborców w Stanach. Ale ich atwowierność ma granice w stopniu czasie. Toteż śmiech macherów partyjnych jest właściwie śmiechem szubienicznym. Wystarczy przejrzeć jakiekolwiek pismo dla „wtajemniczonych", akikolwiek organ wielkiej finansjery, aby się o tym przekonać. Gdyż jeśli nie oni, to ich spadkobiercy będą płacili rachunek. Tak jak reformami Jeffersona płacono za wysunięcie hasła wolnościowych w I-ej rewolucji, ak „rekonstrukcją" polincolnowską oraz szeregiem dekretów za czasów Lincolna musiano płacić masom za zwycięstwo rewolucji II-ej. Dziś taki właśnie organ wielkiej finansjery *U. S. News* pisze, iż „polityka ta (uwzględniania tendencji pokojowych) przyniesie z końcem roku groźbę inflacji. Lecz sytuacja zmieniłaby się radykalnie w razie wybuchu wojny na wielką skalę". I z rzadko spotykaną szczerością to samo pismo dodaje otwarcie: „Zbrojenia są po prostu zastrzykiem ożywczym dla wielkich interesów, a nawet czymś więcej. Te biliony złota oznaczają bilionowe zyski" (Nr z 18 maja 1951 r.).

Te biliony złota oznaczają jednak coś więcej. Oznaczają szersze otwarcie oczu, oznaczają wzrost świadomości klasowej robotników, których twarde ręce mozolą się przy maszynach, w kopalniach, w rzeźniach-olbrzymach, przy piecach hutniczych — nad gromadzeniem coraz potworniejszych zwałów złota w pancernych kasach łupieżców przemysłowych.

I dlatego, chociaż Amerykanie nie doczekali się dotąd wejścia w życie nawet deklaracji Niepodległości z roku 1776 — doczekają się oni i tego i czegoś więcej.

„Dynamika i zaczepność"

Bankierzy i generałowie rządzący dziś Stanami Zjednoczonymi z dumą obwieszczają od paru lat, że ich polityka — czyli polityka USA — stała się obecnie „zaczepna i dynamiczna". Odkrycia tego dokonał pierwszy Acheson w roku 1947, dziś zaś powtarzają jego formułkę wszyscy, gdyż mile łechce butę narodową. Ale to rzekome odkrycie nie jest właściwie niczym nowym, bowiem zachłanność, zwana eufemistycznie dynamizmem, i agresja (zaczepność) zawsze cechowały politykę Stanów. John Quincy Adams, późniejszy prezydent, a podówczas sekretarz stanu, oświadczył w roku 1819, że „świat musi oswoić się z myślą uważania całego kontynentu Ameryki Północnej za teren naszego wyłącznego władania... Hiszpania ma posiadłości na południe od naszych granic, zaś Wielka Brytania na północ. Jest nie do pomyślenia, by z biegiem czasu obszary te nie zostały anektowane przez Stany Zjednoczone". Teza ta znalazła niebawem rozwinięcie w doktrynie Monroe, błędnie przez niektórych uważanej za akt liberalny i demokratyczny, a ogłoszonej 2 grudnia 1823. Jak stwierdza klasyczny amerykański komentator i interpretator doktryny, prof. Albert B. Hart, „upoważnia ona Sta-

---

*) Caucus — wyraz pochodzenia przyuszczalnie indiańskiego oznacza poufne zebranie menerów partyjnych, bez względu na ich oficjalne stanowisko w partii, a mające na celu ustalenie listy kandydatów wyborczych i obsadzenie najważniejszych stanowisk w razie wygranej.

ny Zjednoczone do anektowania według swego uznania lub ustanawiania swego protektoratu nad każdym małym państwem czy wyspą (na terenie i w pobliżu obu Ameryk), jeśli to leży w interesie handlowym albo militarnym Ameryki". Pokrywa się z tym zdanie sekretarza stanu Olneya, wygłoszone 20 lipca 1895, że „Stany Zjednoczone są właściwie suwerenem tego kontynentu i ich wola jest prawem dla tych, na kogo uznają za stosowne ją rozciągnąć".

Doktryna Monroe miała rzekomo chronić demokratyczny ustrój republik amerykańskich przed próbą narzucenia im innej formy ustroju przez Europę. W rzeczywistości Stany Zjednoczone zawsze popierały taki ustrój, jaki dogadzał najbardziej ich klasom rządzącym. Trudno chyba o jaskrawszy przykład jak odmowa tegoż Monroe wspomożenia Meksyku, a następnie Kuby w walce o wyzwolenie spod panowania półfeudalnej Hiszpanii. Motywem odmowy była w obu wypadkach nietajona obawa, że niepodległość może pociągnąć za sobą zniesienie niewolnictwa. W dwadzieścia kilka lat później Stany Zjednoczone napadły na wolny już Meksyk i zrabowały blisko połowę jego terytorium. Zniesienie przez Hiszpanię niewolnictwa na Kubie stało się hasłem do szeregu prowokacji zakończonych wojną i „wyzwoleniem" wyspy, którą USA zagarnęły dla siebie. Wcześniej jeszcze, bo w r. 1848, prezydent Polk próbował kupić Kubę od Hiszpanii, głównie w celu zapobieżenia zniesieniu niewolnictwa, na co się w tym czasie zanosiło.

Skłonności „obronne", skłonności do udzielania „opieki" coraz to nowym krajom i ludom rosły w prostym stosunku do rozszerzania się apetytów kapitalizmu amerykańskiego. Kiedy rok temu Stany Zjednoczone pośpieszyły „na pomoc" Korei Południowej, nie był to pierwszy wypadek ich zainteresowania się tym państwem. Już w roku 1878 komandor Shufeldt otrzymał rozkaz „otwarcia drzwi" Korei. Sam Shufeldt wskazuje cel tego zabiegu pisząc w parę lat później: „Stany Zjednoczone mają w Chinach interesy, których rozległość przewyższy w przyszłości interesy wszystkich innych mocarstw".

Ekspansję na obszary Azji Wschodniej propagowali liczni amerykańscy pisarze polityczni. Admirał Mahan w latach 90-tych opracował specjalną „teorię potęgi morskiej", był jednym z głównych podżegaczy do wojny z Hiszpanią oraz domagał się podbojów na Oceanie Spokojnym i zbrojnego wkroczenia do Azji. Współczesny mu William Hillpin wysunął koncepcję „Kolei kosmopolitycznej", której podstawą miała być transsyberyjska linia kolejowa, rozbudowana i administrowana przez konsorcjum amerykańskie. Po zagarnięciu przez USA Filipin, głównej bazy wypadowej Stanów w kierunku azjatyckim, senator Beveridge wygłosił 9 stycznia 1900 wielką mowę, w której oświadczył: „Tuż za Filipinami rozciągają się tereny nieograniczonych możliwości rynku chińskiego... Nie wyrzekniemy się nigdy perspektyw, jakie tam otwierają się przed nami. Nie wyrzekniemy się tego, co Bóg przeznaczył dla rasy amerykańskiej... Bóg nam powierzył cywilizowanie świata, gdyby nie my, świat popadłby w otchłań barbarzyństwa i ciemnoty..."

Sekundował mu inny senator, Henry Cabot Lodge: „Nie można powstrzymać pochodu Stanów Zjednoczonych... Nasza pozycja gospodarcza prowadzi nas do władztwa ekonomicznego nad światem".

Było to 50 lat temu. Poglądy Beveridge'a i Henry Cabot Lodge'a nie były odosobnioną koncepcją obłąkańców, którzy przypadkiem tylko dosta-

li się na mównicę ciała ustawodawczego największego mocarstwa, jakie zrodził kapitalizm. Przeciwnie. Henry Cabot Lodge wypowiedział tylko w sposób prymitywnie szczery to, co leżało w zamysłach wszystkich rządzących tym mocarstwem. Był to pogląd Williama McKinleya, wielkiego inauguratora imperializmu amerykańskiego w skali światowej, Teodora Roosevelta, stale potrząsającego swym „wielkim kijem" (big stick — ulubiony termin amerykański), Williama Teodora Tafta, który jako gubernator Filipin zdobył sobie równie mało zaszczytną jak i mało znaną światu sławę najkrwawszego tyrana współczesnych rządów kolonialnych, Woodrow Wilsona, owego „dobroczyńcy ludzkości", który dlatego tylko odsunięty został od władzy przez niekoronowanych „królów republiki", że jego zbytnia żarłoczność imperialistyczna okazała się ponad siły USA; był to pogląd Hardinga, Coolidge'a i Hoovera, aż do najbardziej niezręcznego upostaciowania przeciętności i tępoty — Harry S. Trumana.

I jeśli przed laty pięćdziesięciu Stany Zjednoczone rozciągnęły swą krwawą tyranię „tylko" na wyspy Hawajskie i Filipińskie, jeśli później miarkowały nieco swoje apetyty, to tylko dlatego, że gromadziły siły, że ich zdolność „trawienia" była bardziej ograniczona niż dziś, że w świecie kapitalistycznym zderzały się na każdym kroku z potężną wówczas konkurencją Anglii, że wreszcie nie zakończyły jeszcze podboju wewnętrznego swego własnego terytorium przez wielkie monopole kapitalistyczne. „Dynamika i zaczepność" istniały, były tylko skierowane w inną stronę.

Usuwanie „defektów demokracji"

Znany badacz polityki zagranicznej USA, prof. Charles P. Howland pisał w roku 1928: „Nasza absolutna przewaga na kontynencie amerykańskim pozwala nam na jej nadużywanie bez oglądania się na to, co kto o tym powie; możemy czynić bezkarnie rzeczy, które w Europie musiałyby natychmiast doprowadzić do wojny. Możemy przy tym nazwać nasze poczynania akcją policyjną". Jak widzimy, dumne aspiracje USA, by być „policjantem świata", są tylko odnowieniem dawniejszych marzeń. Podobnie rzecz się ma z koncepcją o „obronnym" charakterze zbrojeń w wypadku, gdy zbrojącym się są Stany Zjednoczone. Wspomniany już wyżej admirał Mahan w miesięczniku Atlantic Monthly pisał we wrześniu 1893 o konieczności zbrojeń, nazywając je „najlepszą rękojmią pokoju" i twierdząc, że „pogląd, jakoby rozbudowa potęgi militarnej pociągała za sobą niebezpieczeństwo wojny, jest po prostu fałszem". Mahan oburzał się na demokrację amerykańską uważając, iż stanowi poważną przeszkodę w organizowaniu zbrojeń w czasie pokoju i zalecał cały szereg środków i sposobów usunięcia „defektów demokracji". Trzeba przyznać, że Truman gorliwie a skutecznie zastosował się do tych wskazań.

Podobnych wskazań nie brak oczywiście i dziś. I w dalszym ciągu można obserwować to przemieszanie cynizmu i purytańskiej pruderii, tak charakterystyczne dla mentalności amerykańskiej. Publicyści USA nie tają, że Korea jest częścią systemu wypadowego na Dalekim Wschodzie, że podobną rolę przeznacza się Grecji dla morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu, że zbrojenie Niemiec zachodnich jest przygotowywaniem ataku na wschód Europy, że polskie Ziemie Odzyskane „należy" oddać Niemcom, że plan Marshalla jest narzędziem hegemonii etc. Dorabiają tylko do tego motywację „konieczności życiowych", „nieodpartej

logiki" lub „idealistycznych pobudek", a czynią to równie mechanicznie jak ich koledzy z wielkich domów towarowych, nalepiając znaczki z napisem *made in USA*.

Z tym jedynie, że publicyści „poważni" są raczej namaszczeni i powściągliwi w wyrażeniach, zaś dziennikarze brukowi — są jaskrawi w środkach wypowiedzi i jeszcze bardziej prymitywni w myśleniu. A wszystko to obliczone jest nie na rozwijanie, ale na wyzyskiwanie poziomu umysłowego ludzi składających się w Ameryce na tzw. opinię publiczną.

Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Na pierwszy rzut oka nasuwa się refleksja, że „wszystko to już było". Że tylko listek figowy okrywający istotę trumanowskiej „filozofii" stał się może bardziej wyświechtany od zbyt częstego użycia. Amerykanie wyobrażają sobie, że po zniszczeniu części konkurentów — Niemiec i Japonii — i wyczerpaniu innych — Anglii i Francji zajmą ich miejsce, zbliżając się na bardzo już nieznaczną odległość do hegemonii światowej. Zapominają, że pokonanie faszyzmu niemieckiego i japońskiego oraz stępienie kłów kolonialnego kapitalizmu Anglii, Francji, Holandii itd. wyłoniło nowe siły w świecie, siły społeczne i gospodarcze, wcale nie skłonne do zamiany jednego jarzma na drugie. Wzbudziło siły ludów kolonialnych, siły tak potężne, że datę przebudzenia się tych ludów uznać można śmiało za nową erę w rozwoju stosunków świata.*) Ale Amerykanie w ogóle zapominają o prawdach najprostszych. Zapominają, że Związek Rad i kraje demokracji ludowej, to nie tylko „ostatni do pokonania konkurenci i przeciwnicy", ale nowy kształt życia, idea i przyszłość.

Julian Stawiński

*) Zapominają, że ich własne społeczeństwo uległo i ulega ciągłym przeobrażeniom. Zapominają wreszcie o potężnym ruchu na rzecz pokoju ogarniającym wszystkie narody kuli ziemskiej i niemal wszystkie warstwy tych narodów.

RZUT OKA NA WSPÓŁCZESNĄ LITERATURĘ RUMUŃSKĄ

Przed wojną Rumunia należała do najbardziej zacofanych krajów Europy wschodniej. Wiedziało się o niej niewiele więcej ponadto, że jest to kraj kukurydzy i winogron i że wojsko rumuńskie chodzi boso. Kiedy dziś robimy bilans jej osiągnięć kulturalnych za okres sześciu lat, które upłynęły 23 sierpnia, trzeba stwierdzić, że olbrzymi ten skok jakościowy dokonał się na bazie zasadniczych przemian społecznych, których rezultatem było uaktywnienie setek tysięcy ludności wiejskiej. Spadek po monarchiczno-faszystowskich rządach nie był wesoły w żadnej dziedzinie. W roku 1930 40% ludności nie umiało czytać ani pisać, dalsze zaś 27% było półanalfabetami. Dzisiaj szkoły podstawowe obejmują nauką wszystkie dzieci w wieku szkolnym — 1 795 000, szkoły zawodowe 823 000 uczniów, szkolnictwo wyższe — 57 000 studentów, kursy zaś dla analfabetów — 700 słuchaczy. Te osiągnięcia stanowią istotny rys dokonywującej się w Rumunii rewolucji kulturalnej. Upowszechnienie oświaty może pochwalić się imponującym rozmachem. Setki tysięcy ludności wiejskiej obudziły się do życia kulturalnego. Powstał nowy, masowy czytelnik. W tym roku dobiega końca budowa Casa Scantei, ogromnego kombinatu poligraficznego, który będzie mógł drukować 3 tys. egzemplarzy w ciągu 3 godzin 200 tys. tomów i broszur dziennie. Wystarczy zestawić liczbę 7 i pół milionów książek wydrukowanych w 1944 roku z liczbą 60 milionów 526 tys. książek, które ukazały

dię w 1950. Pozycja literatury i popularyzacji wiedzy wyrażała się w tym liczbą 2 milionów 470 tysięcy.

O nowym stosunku mas pracujących do kultury mówią również cyfry wydawnicze. O ile przed wojną nakład tysięcy należał do sukcesów literackich, o tyle nakłady 25 i 100 tysięcy dla wybitniejszych pozycji są dzisiaj rzeczą normalną. Literatura stała się udziałem mas.

Na czoło prozaików rumuńskich wysuwa się akademik Michail Sadoveanu. Znakomity stylista, namiętny rybak i myśliwy, który przewędrował swój kraj ojczysty wzdłuż i wszerz, już w pierwszych swoich szkicach, nowelach czy wierszach stanął po stronie uciemiężonych. W powieści historycznej S o k o ł y, poświęconej ruchowi wyzwoleńczemu chłopów przeciw feudalnym magnatom, Sadoveanu nie wyszedł jednak poza realizm krytyczny. Czasy faszyzmu otworzyły mu oczy, nauczyły go myśleć politycznie. Po wyzwoleniu staje w pierwszym szeregu budowniczych nowego ustroju. Zostaje wybrany wiceprzewodniczącym prezydium Wielkiego Zgromadzenia Narodowego, przewodniczącym rumuńskiej delegacji pokojowej, a wreszcie członkiem światowej Rady Pokoju. Uwieńczeniem jego długoletniej pracy jest książka M i t r e a C o c o r, nagrodzona złotym medalem Nagrody Pokoju.

M i t r e a C o c o r przedstawia przeobrażenia, zachodzące w świadomości biednego chłopa, który jak wielu innych, pognany został na wojnę z ZSRR, i który od głuchego protestu dochodzi wkońcu do świadomości rewolucyjnej. Poza dużymi walorami literackimi powieść ma wartość dokumentu, utrwalającego proces przeobrażania się wsi rumuńskiej. Problemowi oparcia wsi na nowych kolektywnych zasadach, jednemu z zasadniczych zagadnień życia współczesnej Rumunii, poświęcona jest ostatnia książka Sadoveanu M a ł a P a u n a.

Drugi wybitny pisarz starszej generacji — to Zaharia Stancu. Poeta, powieściopisarz, dramaturg, przed wojną redaktor czasopisma Ś w i a t R u m u ń s k i (*Lumea Romanesca*) kilkakrotnie więziony za swoją antyfaszystowską postawę i ostre wystąpienia przeciw Żelaznej Gwardii, w czasie wojny osadzony w obozie za zredagowanie protestu przeciw udziałowi Rumunii w wojnie ze Związkiem Radzieckim, jest obecnie przewodniczącym Związku Pisarzy i jednym z najczynniejszych organizatorów życia literackiego. Jego świetna powieść B o s y, która stanowi pierwszą część planowanej przez autora pięciotomowej epopei pt. P ó ł w i e k u, opisuje, osnutą na materiale autobiograficznym, historię chłopaka wiejskiego Dariu. Powieść zaczyna się od obrazu krwawej rewolucji chłopskiej 1907 roku, kiedy to w akcji „pacyfikacyjnej" zamordowano 11 tysięcy chłopów — następnie przez ciężkie przejścia w czasie wojny bałkańskiej i drugiej wojny światowej doprowadza do roku 1917 i pierwszej wieści o Rewolucji Październikowej. Zaletą tego pierwszego tomu jest szeroki nurt epicki, wielopłaszczyznowość akcji, a nade wszystko umiejętność wydobycia z surowej prawdy historycznej optymizmu i wiary w zwycięstwo. Dalsze części cyklu mają odzwierciedlać najważniejsze etapy historii rumuńskiej w ostatnim trzydziestoleciu. Końcowa 5-ta księga, zatytułowana S ł o ń c e w s c h o d z i, obejmie wydarzenia od 23 sierpnia 1944 roku do chwili obecnej.

Ciekawe są koleje losu innego wybitnego reprezentanta prozy rumuńskiej, Euzebiu Camilar. Syn małorolnego chłopa, aby zarobić na swoje utrzymanie, pracował jako najemnik rolny, pomocnik piekarza, a wreszcie robotnik w fabryce włókienniczej. Po wy-

zwoleniu Rumunii walczy na froncie kulturalnym o sprawę klasy robotniczej. W powieści Mgła, za którą otrzymał w 1949 roku Nagrodę Rumuńskiej Akademii Nauk, przedstawia bolesne obudzenie się świadomości w masach w trakcie wojny ze Związkiem Radzieckim, narzuconej Rumunii przez reżim Antonescu. Zdegenerowanym oficerom armii królewskiej przeciwstawia prostego, nieuczonego żołnierza, który wiedziony klasowym instynktem poznaje po czyjej stronie jest prawda.

Zagadnienia walki klasowej porusza znany pisarz współczesny Alecsandru Jara, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii i francuskiego Ruchu Oporu. W powieści Koniec żalów Jara sięgnął do lat międzywojennych, przedstawiając wielki strajk robotniczy w 1930. Najwybitniejszą pozycją Jara jest Grivica, pierwsza część zamierzonej trylogii, w której przedstawia dojrzewanie świadomości klasowej robotników wielkich zakładów budowy lokomotyw i wagonów. Mimo stłumienia strajku powieść kończy się akcentem pozytywnym.

Zagadnienie przemysłu ciężkiego zostało wprowadzone do literatury w powieści Iona Calugaru Chleb i stal, poświęconej walce o zwiększenie produkcji.

Do czołówki współczesnej prozy rumuńskiej należy jeszcze Galactiona, autor powieści Doktór Tajfun i Rocsana, wybitny patriota i bojownik pokoju i Ion Passa — autor realistycznej powieści o życiu robotników wielkiego miasta przed pierwszą wojną światową Dni twego życia.

Opowiadanie i nowele uprawiane są w Rumunii bardzo chętnie, zwłaszcza przez młodych pisarzy. Często poruszają one doraźnie zagadnienia chwili bieżącej. Na uwagę zasługują Noce czerwcowe i Polowanie na wilki Petru Dumitru, poświęcone zaostrzaniu się walki klasowej na wsi i zagadnieniom gospodarki kolektywnej, zbiory opowiadań Petre Dragosa i Petre Vintilla. Niesłychaną popularność zyskały sobie opowiadania satyryczne V. Gallana pt. Koń ojca Eftimia. Ojciec Eftimie, który pod wpływem wrogiej propagandy odebrał ze spółdzielni konia, stał się już dzisiaj w Rumunii figurą przysłowiową.

Twórczość dramaturgiczna jest bardzo ożywiona. Do repertuaru teatralnego włączono 30 nowych sztuk. Wyróżniają się sztuki Lucii Demetrius: Rozterka, poświęcona konfliktom na tle nacjonalizacji przemysłu oraz Nowy ster o kolektywizacji wsi. O walce z kułakami i przeobrażeniu wsi rumuńskiej mówi również sztuka wybitnej poetki Marii Banus Wielki dzień. Życie klasy robotniczej opisuje Mihail Davidoglu w sztuce Górnicy i Miasto ognia. Aureli Baranga w sztuce Chwast daje zagadnienie kosmopolityzmu w środowisku naukowców. Z utworów sięgających do przeszłości akademik Camil Petrescu przedstawił rewolucję 1848 roku w dramacie Balcescu, poświęconym jednemu z jej wodzów.

Rumunia posiada ok. 5% ludności nie rumuńskiego pochodzenia. O różnorodnym składzie tej domieszki świadczy fakt, że podręczniki szkolne wydaje się w 19 językach. Najliczniejsza jest mniejszość węgierska. Na uwagę zasługuje fakt, że chociaż Nagy Istvan, Asztalos Istvan i Kovacs Gyorgy piszą po węgiersku, mimo to tak jak inni pisarze obcych narodowości zamieszkujący Rumunię, cieszą się dużą popularnością wśród ludności rumuńskiej, która zna ich utwory w tłumaczeniach.

Rozwój literatury Rumunii charakteryzuje duży napływ młodych talentów, z których kilka zapowiada się obiecująco. Góruje poezja, która jest prawdziwą awangardą myśli postępowej. Obok

starego 75-letniego barda rewolucji A. Toma, członka Akademii i laureata Nagrody Państwowej startuje cała plejada poetów najmłodszej generacji jak Mihai Beniuc, sekretarz generalny Związku Pisarzy, poeta żywo reagujący na zagadnienia współczesne, autor Pieśni zagłady, i Człowiek oczekuje świtu, Maria Banus, ostatnia laureatka nagrody poetyckiej— Radość, Do moich synów, Eugen Jebeleanu, autor kilku tomików wierszy — To, czego się nie zapomina, Puklerz pokoju, Wiersze pokoju i walki, Veronika Perumbacu, autorka tomów Te lata i Towarzysz Matei otrzymał Order Pracy, Radu Bureanu Krew ludów, Nina Cassian, Victor Turbure, z najmłodszych zaś Dan Deszliu. Cała nowa generacja poetów opiewa nadzieję, pracę, pojęcie ludzkiej godności, sprawę pokoju. Piszą o sprawach i zjawiskach, które żywo obchodzą szerokie masy. Krąg ich zainteresowań obejmuje zagadnienie uprzemysłowienia kraju, życie nowej wsi, walkę narodów o pokój; dają one wyraz uczuciom solidarności z narodami, które walczą z imperializmem.

Ta pełna dynamiki młodzież literacka, która śmiało zdobywa dla literatury nową tematykę, otaczana jest troskliwą opieką przez starszych kolegów. Niedawno została założona specjalna szkoła literatury i krytyki literackiej, w której młodzi literaci uczą się „warsztatowych" przedmiotów jak marksizm-leninizm, teoria literatury, literatura obca i gdzie mogą uzupełnić braki swego wykształcenia i rzemiosła. Jeżeli idzie o stronę materialną Związek dysponuje „Funduszem Literackim", co dzięki racjonalnej polityce subwencji i stypendiów umożliwia pracę i samokształcenie młodym kadrom.

Awans kulturalny proletariatu wyraża się nowym zjawiskiem. Ogromna liczba utworów pisanych przez nie-literatów, zasila dorobek współczesnej literatury Rumunii. Przybiera fala żywiołowego dążenia mas pracujących do kultury. Ci nowi ludzie, którzy wzrośli i ukształtowali się w walce o zakładanie podwalin socjalizmu, wnoszą do literatury nową, określoną klasowo treść. Sama dynamika budownictwa socjalistycznego stanowi ogromny bodziec twórczy dla ludzi, którzy współdziałają w dokonujących się przemianach. Tu tzw. „zawrotne kariery", o których czytało się dawniej tylko w romansach, stają się rzeczą codzienną. Costin Hancu rozpoczął życie jako parobek, po wyzwoleniu pracował jako niewykwalifikowany robotnik w jednym z zakładów przemysłowych stolicy. Tu zaczął pisać wiersze. Pierwsze próbki zawędrowały do poradni literackiej przy zarządzie Związku Pisarzy. Dziś nazwisko Costima Hancu spotykamy często na łamach dzienników. Constanta Tudoroche — do niedawna niewykwalifikowana robotnica, dziś jest znaną poetką i członkiem Zarządu Głównego ZLR. Czasopisma literackie zamieszczają prace nowych nieznanych pisarzy z ludu. W zeszłorocznym Viata Romanesca zwrócił uwagę poemat Marii Gaetan Brygada młodości, opisujący życie dzieci w jednej ze spółdzielni produkcyjnych. Okazało się, że autorką była wychowawczyni we wzorowo prowadzonym przedszkolu tej spółdzielni. Znany prozaik Siara Hannibal wszedł do literatury wprost z kamieniołomów największej budowli Ludowej Rumunii, kanału Dunaj — Morze Czarne. Młody poeta Vasile Josif pracował jako robotnik w olejarni. Przykładów takich jest dużo. Na zlocie młodych pisarzy w Bukareszcie z 200 przybyłych młodych poetów i prozaików większość stanowili robotnicy lub pracownicy rolni.

ab.

KSIĄŻKI NADESŁANE

PROZA

Jorge Amado — Zamarłe morze. Przekł. autoryz. z portug. Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 260 + 2 nlb.

Louis Aragon — Komuniści. Wrzesień-listopad 1939. Przekł. Julii Hartwig i Ireny Krzywickiej. Klub Odrodzenia VI 1950. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 308 + 2 nlb.

Teodor Balk — Zaginiony rękopis. Przekład z niem. Marii Wisłowskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 249 + 3 nlb.

Michał Bałucki — Pańskie dziady. Powieść fotografowana z natury. Tekst wg. wydania z 1888 r. Do druku przygotował i wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 261 + + 3 nlb.

Marian L. Bielicki — Bakteria 0,78. Powieść. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 200 + 3 nlb.

Eiwind Bolstad — Spekulant. Powieść. Przekł. autoryz. z norwesk. Tadeusza Powidzkiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 230 + 1 nlb.

Euzebiu Camilar — Mgła. Tom I. Przekł. z rum. Romana Horodyskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 282 + 2 nlb.

Daniel Defoe — Dola i niedola sławnej Moll Flanders. Z jej własnych zapisków spisał Daniel Defoe. Przekł. z ang. Teresy Tatarkiewiczowej. Przedmowa Jana Kotta. Spółdz. Wyd. Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. XVI + 323 + 1 nlb.

Aleksy Fiodorow — Podziemny Komitet Obwodowy działa. Część I. Przekł. autoryz. Janiny Preger. Oprac. literackie oryginału Eugeniusza Bosniackiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 231 + + 2 nlb.

Mikołaj Gogol — Utwory wybrane. Tom II. Złota Seria Literatury Rosyjskiej. Przekł. z ros. Władysława Broniewskiego, Jerzego Brzęczkowskiego, Juliana Tuwima i Jerzego Wyszomirskiego, pod. red. Ziemowita Fedeckiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 513 + + 3 nlb.

Aleksander Jackiewicz — Jan bez ziemi. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 395 +1 nlb.

Jurij Janowski — Nowe opowiadnia kijowskie. Przekł. z ros. Józefa Bielickiego i Karoliny Morskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 93 + 3 nlb.

Teodor Tomasz Jeż — O byt. Powieść historyczna na tle dziejów Albanii XV w. Tekst przygotował do druku prof. dr. Witold Doroszewski. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Część I — Za wysługą — str. 367 +2 nlb., część II — Gwoli racji stanu — str. 369 + 2 nlb., część III — Rycerz chrześcijański — str. 390 + 4 nlb.

G. Karasławow — Historie wiejskie. Przekł. z bułg. Heleny Bychowskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 315 + 2 nlb.

Walentyn Kostylew — Iwan Groźny. Powieść. Przekł. Czesława Jastrzębiec Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Księga I — Wyprawa — str. 574 + 1 nlb., księga II — Morze — str. 597 + 1 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Macocha. Powieść z podań XVIII wieku. Tekst wg wydania z 1883 r. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Tom I i II — str. 267 + 3 nlb., tom III i IV — str. 241 + 1 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Herod baba. Opowiadanie dziadka. Tekst wg wydania z 1880 r., oprac. prof. dr Wiktor Hahn. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 282 + + 2 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Kawał literata. Tekst wg wydania z 1885 r. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 218 + 2 nlb.

Borys Ławrieniew — Opowiadania. Przekł. z ros. Tadeusza J. Everta. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 382 + 2 nlb.

Jerzy Marek — Marsz w ciemnościach. Powieść. Przekł. z czesk. Zdzisława Hierowskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 147 + 1 nlb.

Gustaw Morcinek — Pokład Joanny. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1950. Str. 476 + 2 nlb.

Władysław Orkan — Drzewiej. Powieść. Wyd. IV. Dzieła pod red. Stanisława Pigonia. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1950. Str. 221 + 1 nlb.

Katharine S. Prichard — Złota mila. Przekł. z ang. Tadeusza Jana Dehnela. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 578 + 2 nlb.

Władysław St. Reymont — Nowele. Pisma z przedmową Zygmunta Szweykowskiego, oprac. i do druku przygotował Adam Bar, tom VIII i XVI. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1950. Tom II — str. 307 + 2 nlb., tom V— str. 279 + 1 nlb.

Romain Rolland — Colas Breugnon. Przekł. autoryz. Franciszka Mirandoli. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 278 + + 3 nlb

Chorałan Rusew — Nad urwiskiem. Przekł. z bułg. Henryka Dankowicza. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 343 + 4 nlb.

Aleksander Saxton — Stacja Great Midland. Powieść. Przekł. autoryz. z ang. Ewy Fiszer. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 468 + 1 nlb.

Anna Seghers — Wesele na Haiti. Przekł. z niem. Adolfa Sowińskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 121 + 3 nlb.

Michał Słonimski — Inżynierowie. Powieść. Przekład z ros. Kazimierza Truchanowskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 203 + 1 nlb.

Meridel le Sueur — powitanie wiosny. Opowiadania. Przekł. autoryz. Jadwigi Olędzkiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 193 + 2 nlb.

Elza Triolet — Upiory pod bronią. Powieść. Przekł. Romana Kołonieckiego. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1950. Str. 430 + 1 nlb.

Iwan Wazow — Wybór opowiadań. Przekład zbiorowy. Redaktor: Zofia Korczak-Zawadzka. Spółdz. Wyd.-Ośw. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 157 + 2 nlb.

A. Wołoszyn — Ziemia kuźniecka. Powieść. Przekład zbiorowy. Redaktor: Emma Dmowska. Klub Dobrej Książki VI 1950. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 357 +2 nlb.

J. Wsiewołożski — Okręty odpływają. Przekł. z ros. H. Rogalowej. Ilustr. M. Kościelniaka. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 294 + 4 nlb.

Jan Zacharyasiewicz — Jarema. Studium z wewnętrznych dziejów Galicji, z portretem autora. Wstęp i komentarz Marii Janion. Cykl: Powieści polskie XIX wieku. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XVIII + + 127 + 2 nlb.

Stiepan Żłobin — Wyspa szczęścia. Powieść. Przekł. autoryz. Nadziei Druckiej i Karola Koźmińskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Część I — str. 386, część II — str. 435 + 1 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Jan Brzechwa i Janusz Minkiewicz — Pokój zwycięży. Wiersze i satyry. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 47 + 3 nlb.

Jan Brzechowa — Strofy o Planie Sześcioletnim. Redaktor: Helena Wilczkowa. Spółdz. Wyd. — Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 23 + 1 nlb.

Dwa wieki poezji rosyjskiej. Antologia. Wyd. II poprawione i rozszerzone. Ułożyli i opracowali Mieczysław Jastrun i Seweryn Pollak. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 620 + 2 nlb.

Jan Maria Gisges — Pierwsza miłość. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 50 + 2 nlb.

J. W. Goethe — Lis przechera. Przekł. Leopolda Staffa. Posłowie A. M. Swinarskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 154 + 1 nlb.

Carlo Goldoni — Sprytna wdówka; komedia w 3 aktach. Zakochani; komedia w 3 aktach. Przekł. z włosk. Zofii Jachimeckiej. Wstęp i objaśnienia Mieczysława **Brahmera, prof.** Uniw. Warsz. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LXII + 319 + 3 nlb.

Maksym Gorki — Na dnie. Przekł. Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 164 + 1 nlb.

Maksym Gorki — Lotnicy. Przekł. Stanisława Brucza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 222 + 1 nlb.

Maksym Gorki — Mieszczanie. Sztuka w 4 aktach. Przekł. Pawła Hertza i Seweryna Pollaka. Państwowy Instytut wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 208 + 1 nlb.

Aleksander Gribojedow — Mądremu biada. Komedia wierszem w 4 aktach. Przekł. Juliana Tuwima. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 113 + 2 nlb.

Inscenizacje, tom I. Praca zbiorowa. Teatr Szkolny. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 437 + 2 nlb.

Jan Kott i Adam Ważyk — Wiersze które lubimy. Antologia. Redaktor: Dr Daniela Gromska. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. XIV + 340 + 3 nlb.

Leopold Lewin — Odpowiedź poety. Państwowy Instytut Wydawniczy, Waraszawa, 1951. Str. 63 + 2 nlb.

Jerzy Lutowski — Próba sił. Sztuka w 3 aktach. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 115 + 1 nlb.

Włodzimierz Majakowski—Włodzimierz Iljicz Lenin. Poemat. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 131 + 1 nlb.

Jerzy Miller — Słowa na pozycji. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 65 + 3 nlb.

Janusz Minkiewicz — Pigułki. Ilustr. Jerzego Zaruby. Biblioteka „Szpilek",

3. Redaktor: Antoni Marianowicz. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 94 + 2 nlb.

nisław Ostrowski — Tłumaczę słowo pokój. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 42 + 2 nlb.

ksander Ostrowski — Las. Komedia w 5 aktach. Przekł Jerzego Jędrzejewicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 12 + 1 nlb.

ksander Ostrowski — Burza. Dramat w 5 aktach. Przekł. Jerzego Jędrzejewicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 35 + 1 nlb.

eksander Ostrowski — Niewinni winowajcy. Dramat w 4 aktach. Przekł. Czesława Jastrzębiec Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1950. Str. 165

eksander Ostrowski — Wilki i owce. Komedia w 5 aktach. Przekł. Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 223 + 1 nlb.

deusz Różewicz — Czas, który idzie. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 34 + 3 nlb.

eksander Rymkiewicz — Warszawskie cegły. Redaktor: Helena Wilczkowa. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 83 + 3 nlb.

nstanty Simonow — Tak będzie. Sztuka w 3 aktach, 6 obrazach. Przekł. z ros. Xymeny Lewickiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 102 + 2 nlb.

acia Tur — Pałacyk w zaułku. Sztuka w 9 odsłonach. Przekł. z ros. Seweryna Pollaka. Spółdz. Wyd. — Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 105 + 2 nlb.

Wiersze o komunie. W osiemdziesiątą rocznicę Komuny Paryskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 69 + 3 nlb.

Witold Wirpsza — Polemiki i pieśni. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 44 + 3 nlb.

ESSAY I KRYTYKA

O sytuacji w historii literatury polskiej. Wybór referatów wygłoszonych na Zjeździe Polonistów w dniach od 8 do 12 maja 1950 r. Pod red. Jana Baculewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 319 + 3 nlb.

Jan Parandowski — Alchemia słowa. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1950. Str. 365 + 3 nlb. + 1 portret.

Trzy poetyki klasyczne. Arystoteles — Horacy — Pseudo-Longinos. Przekład, wstęp i objaśnienia Tadeusza Sinko, prof. Uniw. Jagiell. Wyd. II, zmienione. Biblioteka Narodowa. Redaktor: Jan Kulewicz. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XXXVIII + 154.

LITERATURA MARKSISTOWSKA

Julian Lider — Pogadanki o dialektyce i materializmie. Wyd. V przejrzane i rozszerzone. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 263 + 1 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

Włodzimierz Zonn — O planetach, kometach i słońcu. Cykl: U podstaw wiedzy. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 264 + 4 nlb.

Włodzimierz Zonn — O gwiazdach i mgławicach. Cykl: U podstaw wie-

dzy. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 128 + 6 nlb. + 2 mapy nieba.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

Amerykański styl życia. Zbiór artykułów i reportaży o współczesnej Ameryce. Redaktor: Bronisław Baczko. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1951. Str. 265 + 6 nlb.

Henri Claude — Imperializm nad przepaścią. Przekł. z franc. Alfreda Liebfelda i Jana Meysztowicza. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 285 + 3 nlb.

Czarni niewolnicy imperialistów amerykańskich. Przekł. z rosyjskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1950. Str. 75 + 5 nlb.

Edmund Długopolski — Władysław Łokietek na tle swoich czasów. przedmowa prof. Jana Dąbrowskiego. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 366 + 1 fotogr.

Jean Fréville — Spotkania z Thorezem. Przekł. z franc. Leszka Kołakowskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 109 + 3 nlb.

Hipolit Grynwaser — Pisma, tom II. Kwestia agrarna i ruch włościan w Królestwie Polskim w pierwszej połowie XIX wieku (1807—1860); studium archiwalne. Przywódcy i „burzyciele" włościan. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 280 + 4 nlb.

Christopher Hill — Rewolucja angielska 1640 r. Cztery studia. Zredagował i wydał Christopher Hill. Przekł. autoryz. Julii Sokołowskiej i Jana Żaka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 250 +2 nlb.

Bogusław Leśnodorski — Dzieło Sejm Czteroletniego (1788—1792). Studiu historyczno-prawne. Wydawnictw Zakładu Narodowego im. Ossoli skich, Wrocław, 1951. Str. 473 + 2 nl

Gospodarcze zwycięstwa Chin. Przek z ang. Jana Meysztowicza. Redakto Tadeusz Wójcik. Spółdz. Wyd.-Oświa Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 51 3 nlb.

Kryzys systemu kolonialnego. Walk narodowo-wyzwoleńcza ludów wsch dniej Azji. Przekład zbiorowy z wy dania Akademii Nauk ZSRR (184 Spółdz. Wyd. — Oświat. Czytelni Warszawa, 1951. Str. 322 + 2 nlb.

Wiosna Ludów w Europie. Część Zagadnienia ideologiczne. W stulec Wiosny Ludów 1848—1948. Wydav nictwo zbiorowe pod red. Natal Gąsiorowskiej. W oprac. Henryka K tza, Witolda Łukaszewicza i Gryzelc Missalowej. Państwowy Instytut Wy dawniczy, Warszawa, 1951. St 41 + 2 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

M. Iljin i E. Sjegał — Jak człowiek st się olbrzymem. Przekł. z ros. Ma Kowalewskiej. Ilustr. N. Łapszyn z wydania rosyjskiego. Nasza Ksi garnia, Warszawa, 1950. Str. 230 1 nlb.

A. Mołodczykow — Reformatorzy prz rody. Ilustr. z wydania rosyjskieg Nasza Księgarnia, Warszawa, 19 Str. 145 + 2 nlb.

Alex Wedding — Sztandar Janka Gwi dały. Przekł. z niem. R. J. Szarot Ilustr. E. Buczkowskiego. Nas Księgarnia, Warszawa, 1951. Str. 2

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY

Alfred Kantorowicz — Notatnik his pański. Przekł. autoryz. Jani

sińskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 93 + 3 nlb.

na Krzywicka — Żywot uczonego. O Ludwiku Krzywickim. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 191 + 2 nlb.

rry Pollitt — Autobiografia. Przekł. ang. Erwina Wolfa i Ireny Bobrowskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 278 + 2 nlb.

odzimierz Rozałowski — Wspomnienia o generale Jarosławie Dąbrowskim. Oprac. mjr. Władysław Bortnowski. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Str. 88 + 1 mapa + 1 portret.

Śniadecki — Żywot literacki Hugona Kołłątaja z opisaniem stanu Akademii Krakowskiej, w jakim się znajdowała przed rokiem 1780. Wstęp i objaśnienia Dr. Henryka Barycza, prof. Uniw. Wrocławskiego. Biblioteka Narodowa. Redaktor: Jan Hulewicz. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LVI + 89 + 3 nlb.

Wiktor Wieriesajew — Wspomnienia. Wybrał i przełożył Remigiusz Kwiatkowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 406 +1 nlb.

RÓŻNE

Maurice Thorez — Marsylianka, Międzynarodówka. Przemówienie wygłoszone 28 czerwca 1936 r. Przedmowa Marcela Cachin. Przekł. z franc. Walentyny Założyny i Jana Guranowskiego. Wiersze Wiktora Hugo i Eugeniusza Pottier tłumaczył Julian Tuwim. Redaktor: Klemens Szaniawski. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 21 + 1 nlb + 1 portret.

Wyzwolenie. Zbiór relacji i wspomnień z okresu wojennego. Redaktor: Krystyna Żywulska. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 293 + 10 nlb.

SPIS TREŚCI

Jan Śpiewak: Piosenki. Nastkowi Matywieckiemu . . . .

Tadeusz Różewicz: Yenderan . . . . . .

Bohdan Czeszko: Pokolenie . . . . . .

Eugeniusz Paukszta: Dyskusja 5

Krzysztof Gruszczyński: Pociąg do Marsylii. Akt I i II . 7

Jan Szeląg: Zygmunt Podfilipski i jego pan 10

Julian Ursyn Niemcewicz: Fragmenty pamiętnika . . 11

Michał Lermontow: Maskarada — przeł. Jerzy Zagórski 12

Wacław Rogowicz: Na marginesie „Zmartwychwstania" . . 14

Edmund Goncourt i Juliusz Goncourt: Charaktery i anegdoty XIX wieku — przeł. Adam Mauersberger . 15

WŚRÓD KSIĄŻEK: Jan Śpiewak — Tadeusz Różewicz „Czas który idzie"; Jan Koprowski „Nowa ziemia"; Janusz Minkiewicz „Pigułki"; Ludwik Grzeniewski — Stanisław Zieliński „Ostatnie ognie"; Julian Stryjkowski — Antonio Gramsci „Listy z więzienia" 15

TEATR: Stanisław Witold Balicki: Po Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych 17

NA WIDNOKRĘGU: Bohdan Czeszko, Józef Spinc, Julian Stawiński, ab 17

KSIĄŻKI NADESŁANE 19

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 1
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA ZŁ 3.60